

**W POCZEKALNI EUROPY**

Egz. archiwalny

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X



MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# ŚLĄSK

Nr 5 (91) • ROK IX • MAJ 2003

CENA 4 ZŁ (w tym 0% VAT)

IPN: Poszukiwanie prawdy

Rozmowa z ANDRZEJEM CZECZOTEM

JAN WIKTOR – Na ziemi Piastów



Kabarety stare i nowe

Olga z Auschwitz

Proza OTY FILIPA

Mędzy Lwowem a Opolem

Wiersze MARIANA KISIELA







Adam Baumann świętował 35-lecie pracy artystycznej. Tutaj widzimy go w roli ojca w „Pułapce” Różewicza na scenie Teatru Śląskiego w Katowicach. Za tę kreację otrzymał w tym roku Złotą Maskę. Więcej – na stronie 68 i w Katowickim Notatniku Kulturalnym na stronie 83.



Foto: J. Szczotka image

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny obchodził jubileusz 50-lecia istnienia. W ciągu minionego półwiecza, ten znakomity ensemble odwiedził z koncertami wszystkie kontynenty, występował na najznacniejszych estradach świata - zawsze owacyjnie witany i nagradzany przez publiczność. Przypomnijmy, że jego twórcą i wieloletnim dyrektorem artystycznym był profesor Stanisław Hadyna.

Na zdjęciu: „Śląsk” na tle zamku w Koszęcinie, który dla artystów jest nie tylko siedzibą zespołu i miejscem pracy, ale także swego rodzaju domem, do którego chętnie powracają.



# ŚLĄSK

## MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 5 (91). Rok IX. MAJ 2003 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE  
TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21  
e-mail: slask@alfa.com.pl  
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:  
TADEUSZ KIJONKA  
redaktor naczelny

FELIKS NETZ  
zastępca redaktora naczelnego  
WIESŁAWA KONOPELSKA  
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT  
dział kulturalny  
BARBARA GRUSZKA-ZYCH  
dział krytyki

MAREK BASTER  
dział społeczno-historyczny  
WOJCIECH ŁUKA  
dział graficzny

MIROSLAW KORBEL  
nadzór techniczny i poligraficzny  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA  
PAWEŁ GARDAWICKI  
korekta

### ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,  
tel./fax 206-82-71.

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,  
ul. Dąbrówki 15/12, tel. 354-09-88, 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI  
43-190 MIKOŁÓW, ul. Wzorki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 29 10202313 10588 1212. Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza - 4 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egz. archiwalny

## W NUMERZE:

Marek S. Szczepański	W PRZEDPOKOJU EUROPY .....	16
Wiesław Koterski	PRAWDY I SPRAWIEDLIWOŚCI .....	16
Krzysztof Karwat	KULTURA OTWIERA DRZWI .....	15
Jerzy Machura	INŻYNIER OD REKORDÓW .....	16
Feliks Netz	DOKOŁA OSCARA .....	17
Marian Kisiel	WIERSZE .....	18
Eryk Szozda	KATOWICE CITY .....	20
Jerzy Lucjan Woźniak	OPOWIADANIA .....	24
Rozmowa z Andrzejem Czeczotem	POWRÓT Z EDENU .....	26
(B.J.)	MIŁOŚĆ NIEJEDNO MA IMIĘ .....	29
Julia Zadrozna	WIERSZE .....	29
Grzegorz Sztoler	OLGA Z AUSCHWITZ .....	30
Z WARSZTATU TŁUMACZA		
Rozmowa z Janem Stachowskim	TRZY W JEDNYM .....	35
Ota Filip	WNIEBOWSTĄPIENIE LOJZKA LAPACZKA ZE ŚLĄSKIEJ OSTRAWY. Przekład Jan Stachowski .....	38
Witold Turand	SELADYN I SPÓŁKA .....	42
Krystyna Heska-Kwaśniewicz	MIĘDZY LWOWEM A OPOLEM .....	44
Jarosław Zapart	WIERSZE .....	48
Alicja Badetko	KABARETY STARE I NOWE .....	50
Anna Witek	WIERSZE .....	55
Marzena Orczyk	WIERSZE .....	55
Weronika Siłczak	SMUTEK COKOŁÓW .....	56
ODCZYTYWANIE ŚLĄSKA		
Tadeusz Kijonka	PRZERWANA MISJA .....	58
Jan Wiktor	NA ZIEMI PIASTÓW .....	58
Danuta Lubina-Cipińska	PIĘTNO ODREBNOSTI .....	64
Wiesława Konopelska	WIRTUOZ KOŁORU .....	65
EDUKACJA REGIONALNA		
Tomasz Głogowski	PODSUMOWANIE .....	66
Janina Szanecka	MAŁE OKNO, DUŻA SPRAWA .....	79
Bogdan Widera	NIEMCY W GCK .....	80
ŚLĄSKI MIESIĄC		2
LISTY		3
REPLIKI I KOMENTARZE		
Tadeusz Kijonka	ODLICZANIE DNI .....	4
POZA KADREM		
Feliks Netz	CHICAGO .....	23
EKOLOGIA		
Jan Rzymelka	POLITYKA POBOŻNYCH ŻYCZEŃ ....	47
PODKOPKI		62
TEATR		
Krzysztof Karwat	OSZUST OSZUKANY? .....	68
(kark)	NAJLEPSZY „DYZMA” (Złote Maski) .....	68
Miroslawa Pindór	TANATOS I EROS .....	69
MUZYKA		
Karol Bula	CENTRUM KULTU SZYMANOWSKIEGO .....	70
Magdalena Dziadek	MIĘDZY NUTAMI .....	71
KSIĄŻKI		
Feliks Netz	HOMO SILESIENSIS .....	72
Krzysztof Zanussi	W POCIĄGU DO KATOWIC .....	73
Magdalena Zabrzewska	OCALENIE .....	73
Szymon Babuchowski	COŚ CHYBRYDYCZNEGO .....	74
Andrzej Kerner	BISKUP ZAWIŁYCH DRÓG .....	74
Antonina Grybosiowa	NIE TYLKO O JĘZYKU .....	75
Sławomir Matusz	POEZJA „KURSYWA” .....	76
	CZYLI POROBIŁO SIĘ... ..	76
	ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE .....	76
Bogdan Widera	URODA „BRZYDKICH SŁÓW” .....	77
NOTY		78
Wojciech Janota	GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE .....	81
NOTATNIKI KULTURALNE		
Wiesława Konopelska	KATOWICE .....	82
Jan Picheta	BIELSKO .....	84
Elżbieta Kot	CZĘSTOCHOWA .....	85
Marek Świercz	OPOLE .....	86
Jacek Sikora	ZAOLZIE .....	87
KONCERTY PROMENADOWE		88

Pismo  
wspierane finansowo  
przez  
ZARZĄD  
WOJEWÓDZTWA  
ŚLĄSKIEGO



oraz dotowane przez  
URZĄD MIASTA  
KATOWICE



i MINISTERSTWO  
KULTURY

### W kolorze:

● Xawery Dunikowski - wystawa rzeźby w Muzeum w Sosnowcu ● Leon Wyczółkowski w Muzeum Śląskim w Katowicach ● Janosch, Christof Heyduck - wystawy w Górnośląskim Centrum Kultury ● Znaki i Twarze Miasta - Katowicka secesja.

Na okładce:  
Zamek w Mosznej  
Zdjęcie: Roman Kucia

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą  
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.  
e-mail: zagran@pol.pl

■ **DWUKROTNY** mistrz świata przyjechał 2 marca do Szczyrku pod policyjną eskortą na sygnale. Kibice pod skocznia Skaliste czekali na niego siedem godzin — przybyło ponad 8 tys. osób. Skokami: 84,5 m oraz 89 m Adam Małysz zapewnił sobie tytuł mistrza Polski w skokach.

■ **PO** Dąbrowie Górniczej od kilku dni krąży tysiące ulotek, z których mieszkańcy dowiadują się, ile zapłacą za przenosiny władz miasta do nowej siedziby w Centrum Administracyjnym. Obiekt jest ogromny, ma 18,5 tys. m kw. powierzchni więcej niż dwa stadiony piłkarskie. Koszt budowy prawie 27 mln euro, czyli jeden metr powierzchni 7100 zł — trzy, cztery razy drożej niż w Katowicach, Krakowie czy Częstochowie.

■ **PO** raz kolejny przesunięto termin otwarcia biurowca UniCentrum w Katowicach. Najwyższy budynek w mieście miał przyjąć pierwszych gości pod koniec lutego. Pierwsi kontrahenci zamierzają zabrać swe wyposażenie...

■ **ŚLĄSKA** policja jako pierwsza w kraju umożliwiła młodym ludziom odsłuszenie wojska w policyjnych oddziałach prewencji. Ci, którzy się sprawdzają, mogą liczyć na etat.

■ **JERZY** Andrzej Schoen, wnuk ostatniego właściciela pałacu przy ul. Chemicznej w Sosnowcu, w którym mieści się teraz miejskie muzeum, otworzył 3 bm. stałą wystawę poświęconą swojej rodzinie.

■ **PONAD** 4 tys. zł zebrano w niedzielnych mszach w parafii św. Marii Magdaleny w Bielszowicach dla górników poszkodowanych w pożarze w kop. „Bielszowice”.

■ **JERZY** Borowiec został 3 bm. odwołany ze stanowiska wicewojewody śląskiego przez premiera. Urzędował tylko 8 miesięcy. Odszedł wraz z innymi urzędnikami z PSL.

■ **WIKTORY** telewizji: Krystyna Loska i Wojciech Kilar uhonorowani zostali Super-Wiktorami, a Adam Małysz otrzymał dwa Wiktory (popularności i dla najlepszego sportowca 2002 r.).

■ **DĄBROWSKIE** Stowarzyszenie Kobiet po Czerdziestce chce stworzyć w mieście sieć barów ze smacznym i tanim jedzeniem.

■ **TROPIONY** przez całą polską policję Jacek K. podejrzany o kierowanie gangiem i gigantyczne oszustwa, właściciel katowickiego hipermarketu U Belga, został zatrzymany w Warszawie. Wpadł, bo przechodził przez jezdnię na czerwonym świetle...

■ **DO** silnego tąpnięcia doszło 4 bm. w kopalni „Katowice-Kleofas”. Jeden górnik zginął — dwóch w ciężkim stanie trafiło do szpitala.

■ **10-LETNI** Tomek Byrt z KS Wisła Ustronia zdobył Puchar Fundacji Małyszów na skoczni K-17.

■ **TEGOROCZNY** karnawał, mimo że wyjątkowo długi, nic nie miał z zabaw i uciech. Ludziom ani do śmiechu, ani do uciech. Obecnej sytuacji bardziej odpowiada Wielki Post, który rozpoczął się 5 bm., tradycyjnym posypaniem głów wiernych popiołem w wypełnionych przez nich kościołach.

■ **MINISTER** sprawiedliwości Grzegorz Kurczuk spotkał się 6 bm. ze śląskimi sędziami. Katowickim sędziom obiecał zwiększenie inwestycji w budownictwie.

■ **KONFERENCJA** na temat Unii Europejskiej odbyła się 6 bm. w Katowicach. Metropolita górnośląski abp Damian Zimoń, minister Danuta Hübner i przewodniczący sejmowej komisji europejskiej Józef Oleksy przekonywali do wspólnej Europy.

■ **CZŁONKOWIE** kierownictwa firmy Mokate w Ustroniu otrzymali bezzwrotne „pożyczki” z zakładowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Pieniądze zamiast na urządzenia związane z ich niepełnosprawnością, wydali m.in. na renault lagune, ogrzewanie domu i wyposażenie kuchni. Sprawę bada NIK.

■ **AFERA** raketowa. Oficerowie katowickiej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego znaleźli w firmie handlującej złomem części do rakiet przeciwlotniczych SA-2 (m.in. sterowniki i autopiloty) oraz do systemów naprowadzania i radiolokacji. Część z nich była jeszcze fabrycznie



zafoliowana. SA-2 są zdolne do przenoszenia broni nuklearnej.

■ **CZŁONKOWIE** Zarządu Śląskiej Kasy Chorych walczą o zmianę statutu Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia, aby nie stracić swoich stanowisk. Ustawa przewiduje, że zachowa je najwyżej trzech z pięciu członków obecnego zarządu.

■ **MISS** Beskidów 2003 została 21-letnia Sylwia Wojciech z Wisły Małej. Wzrost — 172 cm, wymiary — 88/66/92.

■ **ANESTEZJOLOG** z Chorzowa dr Barbara Kopczyńska została prezesem Śląskiego Oddziału Katolickiego Zrzeszenia Lekarzy Polskich podczas obrad wojewódzkiego zjazdu KSLP 9 bm. Oddział istnieje od ośmiu lat i skupia prawie 140 osób.

■ **PROFESOR** Zygmunt Górka, otrzymał 12 bm. doktorat honoris causa Śląskiej Akademii Medycznej. Znany chirurg był też prezesem Polskiego Towarzystwa Chirurgicznego.

■ **POLSKI** Związek Hokeja na Lodzie wszczął postępowanie wobec GKS Katowice. Po przegranym 11 bm. meczu z Unią Oświęcim działacze dopuścili do skopania i oplucia arbitra. Kierownik drużyny już został zawieszony za wyzywanie sędziego.

■ **ZASTRZYK** oszczędności... W Centralnym Szpitalu Klinicznym w Katowicach wprowadzono nagrody dla lekarzy za ograniczanie wydatków na leki i dla pielęgniarek za oszczędności sprzętu jednorazowego użycia.

■ **FUNKCJONARIUSZE** Biura Spraw Wewnętrznych (policja w policji) zatrzymali asp. Dariusza K. z Sekcji Zabójstw Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach. Jest podejrzany o korupcję i mactwa.

■ **48-letni** górnik zginął 13 bm. w katowickiej kopalni „Staszic”. To już szósty w tym roku śmiertelny wypadek w śląskich kopalniach.

■ **SĄD** Okręgowy w Katowicach zażądał odwołania ławnika Józefa Cichego, który jako jedyny zgłosił sprzeciw do ostatniego (październik 2001 r.) wyroku w sprawie pacyfikacji kopalni „Wujek”, u niewinniającego część zomowców, a wobec pozostałych umarzając postępowanie.

■ **JEDYNA** na Śląsku płonąca hałda przy kopalni „Bolesław Śmiały” w Łaziskach Górnych tej zimy — po raz pierwszy od wielu lat — pokryła się śniegiem. To znak, że gorąca góra kopalnianych odpadów — bardzo powoli — ale stygnie.

■ **ARCYKSIĘŻNA** Maria Krystyna Habsburg wróciła na stałe ze Szwajcarii do Polski. Zamieszka w niewielkim mieszkaniu w Nowym Zamku w Żywcu.

■ **BYTOM** ginie... Po zawaleniu się domu przy ul. Wesołej w mieście zapanował strach. Ludzie z lękiem przyglądają się szczelinom w ścianach kamienic. Prezydent miasta kazał przeprowadzić kontrole w starych domach.

■ **OSTATECZNIE**, po całkowitym podliczeniu mieszkańcy województwa śląskiego wrzucili w tym roku do puszek Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy 777.885 zł i 77 gr.

■ **NOWE** przytulisko dla bezdomnych otworzył 20 bm. ordynariusz sosnowiecki bp Adam Śmigieński w Dąbrowie Górniczej Ząbkowicach.

■ **KSIĄDZ** porucznik Wiesław Okoń z 6. Batalionu Szturmowo-Desantowego w Gliwicach został mianowany kapelanem polskiego kontyngentu podczas misji w Iraku.

■ **NOWYM** prezesem Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej został Jerzy Swatoń, w latach 1988—1992 pracował w Wydziale Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach.

■ **KILKUSET** policjantów, antyterrorystów i mieszkańców Gliwic uczestniczyło 21 bm. w pogrzebie, pochodzącego z tego miasta, nadkomisarza Mariana Szczuckiego, do wódcy szturmu na willę w Magdalence.

■ **NOWYM** przewodniczącym śląskiego Sojuszu Lewicy Demokratycznej został poseł SLD 45-letni Zbyszek Zaborowski. Jego jedynym kontrkandydatem na zjeździe wojewódzkim był o 12 lat starszy od niego poseł Wiesław Jędrusik, jeden z inicjatorów powołania Stowarzyszenia im. Edwarda Gierka.

■ **ZASTĘPCA** prezesa Urzędu Regulacji Telekomunikacji i Poczty, b. wieloletni dyrektor TP SA w Katowicach Henryk Beberok zginął tragicznie 20 marca.

■ **JEDNĄ** z pierwszych w kraju Pracowni Biotechnologii otwarto 25 bm. w Fundacji Rozwoju Kardiologii w Zabrze. Będą w niej prowadzone hodowle tkanek, m.in. na bazie komórek macierzystych.

■ **78-LETNIA** kobieta zginęła 26 bm. podczas wypalania trawy przy ul. Granicznej w Ornutowicach k. Mikołowa. Tego samego dnia śląscy strażacy aż 650 razy wyjeżdżali do płonących traw.

■ **MAŁŻENSTWO** w średnim wieku przywoziło do noclegowni dla bezdomnych MOPS w Katowicach-Ligocie swojego 78-letniego ojca, którego syn i synowa nie chcą już utrzymywać, bo nie ma żadnych dochodów. Znaki naszych czasów...

■ **KONKURENCJA** „europejska” dla licealistów: najlepszą negocjatorką spośród uczniów szkół średnich została Anna Lebensztejn z pierwszej klasy IV Liceum Ogólnokształcącego w Sosnowcu, zdobywając Laur Dziekana Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego; najlepszym negocjatorem — II miejsce — jest Rafał Łataś z I Liceum Ogólnokształcącego w Świętochłowicach, tegoroczny maturzysta.

■ **MIESZKAJĄCY** w Stanach Zjednoczonych Polak, Adam Skarżyński zapłacił 110 tys. zł za narty, na których Adam Małysz zdobył dwa złote medale podczas mistrzostw świata w Predazzo.

■ **PO** raz pierwszy od wielu lat do szkoły prowadzonej w Rybniku przez siostry urszulanek przyjmowani będą także chłopcy. Dotychczas w zakonnej (bardzo dobrej) szkole uczyły się tylko dziewczęta.

■ **JUZ** dziesięć lat istnieje na Śląsku oddział niemieckiej Lufthansy.

■ **BYŁY** przygotowania, szumne zapowiedzi, stadion pełen kibiców i... po nieciekawej grze Polska zremisowała bezbramkowo z Węgrami, w rozgrywkach o Puchar Europy.

■ **OŚMIU** górników zostało rannych w wyniku wstrząsu, do którego doszło w kopalni „Rydułtowy”. Trzech z nich pozostało na obserwacji w szpitalu.

■ **NAJLEPSZY** niepełnosprawny polski pływak, niespełna 19-letni Maciej Maik z Liceum Ogólnokształcącego im. C.K. Norwida w Tychach — nie żyje. Był złotym medalistą Igrzysk Paraolimpijskich i rekordzistą świata w pływaniu.



Sesja historyczna pod patronatem „Śląska”

# Śląsk w Europie. Tradycja i współczesność

Studenckie Koło Naukowe Historyków Uniwersytetu Śląskiego wraz z Domem Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach organizuje Dni Śląskie pod hasłem *Śląsk w Europie. Tradycja i współczesność*, które odbywać się będą w dniach 21-22 maja br. w budynku rektoratu UŚ w Katowicach przy ulicy Bankowej.

Program pierwszego dnia przewiduje następujące wystąpienia: **Mariusz Matuszewski (SKNH)** - *Śląsk w Europie. Dzieje regionu od średniowiecza do 1848 roku*; **Michał J. Witkowski (SKNH)** - *Śląsk w Europie. Kluczowe momenty z historii Śląska od Wiosny Ludów do czasów współczesnych*; **Izabella Lar (SKNH)** - *Wpływ Niemców na tożsa-*

*mość Górnślązaków. Analiza biografów Niemców w Śląskim Słowniku Biograficznym*; **dr Peter Chmiel** (Haus Oberschlesien w Ratingen) - *Górny Śląsk w historiografii niemieckiej XX wieku*; **prof. Krystyna Heskwaśniewicz (UŚ)** - *Twórczość literacka na Śląsku w XX wieku*; **prof. Krystyna Kossakowska-Jarosz (Uniwersytet Opolski)** - *Górny Śląsk w literackim oglądzie z perspektywy koncepcji kresów*; **prof. Ewa Chojek (UŚ)** - *Nie tylko familoki*; **prof. Tadeusz Siwek (Uniwersytet Opawski)** - *Problemy narodowościowe na Śląsku Cieszyńskim i Opawskim w XIX i XX wieku*; **dr Jolanta Tambor (UŚ)** - *Mowa śląska - język czy gwara?*; **dr Aldona Skudrzykova**

(UŚ) - *Komunikacyjny status gwary we współczesnej polszczyźnie*. Po wygłoszonych referatach odbędzie się dyskusja panelowa nt. *Narodowość śląska?* z udziałem **Michała Szyski (SKNH)**, który wprowadzi do rozmowy wystąpieniem zatytułowanym *Wokół definicji narodu*, a w dyskusji wezmą udział **dr Jolanta Tambor**, **dr Krzysztof Łęcki**, **dr Jerzy Gorzelik** i **Dariusz Jerczyński**.

Drugi dzień Dni Śląskich odbywać się będzie pod znakiem filmu: przewidziano projekcję filmów: **Kazimierza Kutza** *Perła w koronie* oraz **Lecha Majewskiego** *Angelus* oraz wystąpienie wprowadzające zatytułowane *Historia gminy janowskiej*.

(wk)



Katowice, dnia 07.04.2003 r.

W Dzienniku Zachodnim nr 74 z dnia 28.03.2003 r. ukazał się artykuł pod tytułem „Kłątwa nad miastem”. Artykuł pod bardzo dziwnym tytułem jest streszczeniem panelowej dyskusji, która odbyła się dnia 26.03.2003 r. w Centrum Kultury z inicjatywy Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Wśród sześciu dyskutantów wymienionych w ww. artykule najbliższy prawdy i realiów w sprawie „Wybitnych katowiczian” był, moim zdaniem, prezes Górnśląskiego Towarzystwa Literackiego **Tadeusz Kijonka**, który zwrócił uwagę na to, że wybitnych katowiczian poszukiwano tylko wśród Niemców. Takie podejście dyskwalifikuje cały wysiłek, zmierzający do szukania śladów historii Katowic i rozwoju miasta.

Trudno ocenić, jakimi kryteriami posługiwano się przy doborze nazwisk, bo określenie „Wybitni katowiczanie” powinno być adekwatne do zasług, jakie ponieśli w różnych dziedzinach.

Ustawienie w jednej linii **prof. Marii Goepfert Mayer**, która jako dziecko wyjechała z rodzicami z Katowic, osiedliła się w USA i figuruje w encyklopediach jako uczona amerykańska, z **Willy Fritschem**

i **Georgiem Thomalla** jest dużym nieporozumieniem. **Willy Fritsch**, syn urzędnika niemieckiego z Siemianowic był żonaty z **Guitą Alpar**, z którą grał w kilku filmach. Parę z nich widziałem. **Fritschowi** daleko do wybitności. Aktorów o takim poziomie jest wszędzie na pęczki. Kiedy powstawał hitlerizm szybko rozwiódł się z żoną, bo była Żydówką. Nie wiem co robił w Hollywood, bo zmarł w 1973 r. w Hamburgu jak podaje „Oberschlesisches Literatur — Lexikon — 2000”. Podaje ten przykład żeby wykazać, że listę sporządzono wybiórczo i na siłę.

Wymieniono także paru teologów, z których jeden, **Reinhold Olesch**, zasługuje na uwagę ze względu na pracę w zakresie sławistyki, etnografii i językoznawstwa. Wg. znanego mi osobiste teologa, profesora dwóch uniwersytetów, pozostali nie odegrali żadnej znaczącej roli.

To samo dotyczy w większym lub mniejszym stopniu profesorów uniwersytetów, grafików, poetów, wydawców, muzykologów, publicystów itp. wymienionych jako twórców z Katowic. Zapomniałoby nie chciało pamiętać o Polakach profesorach i rektorach wyższych uczelni, kompozytorach, grafikach, artystach malarzach, aktorach, poetach, literatach, wydawcach itp., którzy odegrali nie mniejszą rolę niż ci wymienieni na sesji popularnonaukowej w ramach projektu „Historie lokalne wybranych powiatów, miast i gmin” i w piśmie pt. „Twórcy rodem z Katowic” opracowanym na podstawie: **Franz Heiduk** — „Oberschlesisches Literatur — Lexikon — 2000”.

Pan **dr Josef Gonschior** skarży się, że o **J. von Eichendorffie** w 450-stronicowej monografii **Raciborza** nie ma wzmianki. Przykre to, ale w tamtych czasach nie tylko nie wolno było pisać o Niemcach, ale

także o Polakach, których nawet zniesławiono, gdyż świecznikową postacią był komunista **Józef Wieczorek**.

Sugestia by historię Katowic zajął się Urząd Miasta jest nieporozumieniem. Urząd Miasta powinien prowadzić szczegółową kronikę. Historię powinni się zajmować historycy, a publikacje czy wydawnictwa winny być wspierane przez władze miasta.

Studenci w pracach magisterskich, podobnie jak doktoranci, też powinni zająć się tą tematyką. Zapewne wszyscy chcemy poznać historię naszego miasta, a w niej ważne osobistości, które przyczyniły się do jego rozwoju oraz do jego rozślawienia.

To co się obecnie dzieje jako żywo przypomina historię wydania Wielkiej Encyklopedii Polskiej w latach 60. Część członków komitetu redakcyjnego w porozumieniu z rewizjonistycznymi kołami niemieckimi celowo opuściła wszystkich znaczących Polaków w zaborze pruskim. Wymieniono natomiast wszystkich Niemców, którzy odegrali jakąś rolę na terenach, które weszły w granice Państwa Polskiego. Po wybuchu skandalu, który w tamtych latach był bardzo głośny, wydano nąpręde suplement częściowo uzupełniający braki.

Odniosłem wrażenie, że w tej sprawie chodzi raczej o propagandę, a nie o prawdę historyczną. Przy opracowywaniu historii jest wskazana jedna miara, by nie dochodziło do konfliktów szczególnie dzisiaj, kiedy następują poważne zmiany integracyjne w ramach Unii Europejskiej.

Ciekawi mnie także kto reprezentuje stronę polską w „Domu współpracy polsko-niemieckiej”.

Z poważaniem  
**CZESŁAW RYMER**

W Polsce niemal jednocześnie uruchomionych zostało kilka politycznych zegarów, których napięty czas nakłada się na siebie i zderza, tworząc stan destabilizacji państwa i narastających kolizji interesów - znów ponad społeczną wytrzymałość. Zaufanie do rządu drastycznie stopniało i radykalne zmiany wydają się nieuniknione. Czy władza będzie wnet do przejęcia - a jeśli... czy przy wsparciu zrewoltowanych tłumów? Czy w takim razie rozwiązaniem koniecznym nie okażą się przedterminowe wybory, o czym coraz głośniej. Prognozy ścierają się, zderzają terminy. Tylko jedna data jest dziś pewna - narodowego referendum w sprawie przystąpienia Rzeczypospolitej do Unii Europejskiej. Lecz jak potoczą się nasze polskie sprawy po 8 czerwca. I co realnie oznacza idea IV RP?

Toczące się od dłuższego czasu spory w tej najważniejszej kwestii, które nabrały teraz charakteru oficjalnej kampanii, zacierają obraz rzeczywistych podziałów i napięć zmierzających do politycznej konfrontacji. Ugrupowania pro-unijne stworzyły na ten czas taktyczny referendalny sojusz i - nie kryjąc różnic - współdziałają w tworzeniu forum na rzecz zdecydowanego „Tak”. Lecz po 8 czerwca dojdzie do zaostrenia stanowisk i sprecyzowania warunków politycznego ultimatum. Korzystny wynik referendum zostanie przecież zdyskontowany przez Leszka Millera, zaś spektakularny sukces jest mu teraz potrzebny jak nigdy. Będzie mógł powołać się na efekty twardych negocjacji podczas szczytu Unii Europejskiej w dniach 12-13 grudnia 2002 roku w Kopenhadze, gdzie okazał się negocjatorem bystrym i zdolnym do gry *va banque*. To także jemu przypadło, jako urzędującemu premierowi, złożenie historycznego podpisu podczas europejskiego szczytu w Atenach pod Traktatem Akcesyjnym. No i wreszcie czerwcowe referendum wieńczące wieloletnie starania o wejście Polski do rodziny zjednoczonej Europy.

Wydarzenia te zaliczane do najważniejszych naszej najnowszej historii nie miały jednak - wbrew przewidywaniom - wpływu na umocnienie pozycji premiera, skoro na przełomie marca i kwietnia, jak dowiodły sondaże CBOS-u, nastąpił największy spadek zaufania do gabinetu Leszka Millera, a przede wszystkim samego premiera. Już tylko 12 proc. ankietowanych oceniło tę działalność korzystnie, lecz aż 71 proc. negatywnie. Tempo spadku poparcia narastające od stycznia osiągnęło rekordowy poziom 24 punktów. Nawet w okresie największego regresu zaufania w schyłkowym czasie rządów Jerzego Buzka nie notowano aż tak ostrej zapaści. A przecież - jak dotąd - nie zapowiada odwrócenia tych tendencji, skoro już tylko 14 proc. ankietowanych wierzy jeszcze w poprawę sytuacji gospodarczej i społecznej kraju pod rządami Leszka Millera.

Przypomina to widok ciężko pijanego, który toczy się od płotu do płotu a do celu dojść nie może...

# Odliczanie dni

TADEUSZ KIJONKA

## Polityczny zegar premiera

Sytuacja dramatyczna - czy jeszcze do opanowania i odwrócenia fatalnych tendencji? Wyniki sondaży nie są oczywiście wiążące a spadek notowań nie reguluje biegu decyzji rządu. Ma to natomiast wpływ na atmosferę społeczną w kraju i aktywizuje opozycję. Nie można jednak nie wiązać tej sytuacji z ostrym zaniżeniem poparcia dla SLD, formacji o ugruntowanym, stabilnym elektoracie stanowiącym polityczne zaplecze rządu. Z kolei mocno wzrosły wpływy konfrontacyjnej „Samoobrony”, która wspierała się już w sondażach na drugie miejsce, przechwytyjąc znaczną część najbardziej dotkniętych kryzysem i zdesperowanych. Nadzieje jakie wiązali ci „których dręczy głód” z dojściem do władzy socjaldemokratów nie potwierdziły się, a tak mocno akcentowany program społeczny koalicji SLD-UP okazał się, w ich odczuciu, pustym zestawem obietnic.

Po kilkunastu miesiącach szef rządu i jego gabinet są oskarżani o to wszystko za co atakowano wcześniej zachłanny AWS: o nepotyzm, pazerność, korupcję, karierowiczostwo, arogancję a nawet o wspieranie kapitalizmu politycznego i powiązania interesowne z oligarchią, co w przypadku socjaldemokratów jest oskarżeniem szczególnie dotkliwym. A jak podejrzanej natury są towarzyskie relacje między polityką i aferystycznym biznesem potwierdza trwające od wielu miesięcy kosztowne widowisko telewizyjne związane z korupcyjną aferą Rywina. Nadal pogłębia się też kryzys państwa skoro obsada lukratywnych stanowisk wynika z partyjnych powiązań i układów. Postępuje centralizacja władzy, rozrasta się administracja. Rozpad koalicji też mocno osłabił rząd, od tego momentu mniejszościowy. Nie umacniają jego pozycji i sprawności nader częste dymisje i zaskakujące odwołania ministrów w atmosferze sensacji: już trzeci minister skarbu, trzeci minister zdrowia; 10 zmian na stanowiskach ministrów!...

Wszystkie zarzuty, oskarżenia i niepowodzenia nie miałyby jednak szerszego posłuchu, gdyby rząd Leszka Millera odnotował niepodważalne sukcesy w polityce gospodarczej

i społecznej, skoro tyle zapowiadał. Już start był ociężały, pełen przestojów i niepewności, choć miała wystąpić ekipa sprawna, imponująca energią i zdecydowaniem w realizacji precyzyjnego programu. Czas mijał i te same problemy dławili polskie życie, choć już pod innym szyldem. Nie udało się rozwiązać dotkliwej kwestii bezrobocia, które utrzymuje się na dramatycznie wysokim poziomie. Nie wzrosły dochody państwa, relacje między importem a eksportem są nadal niekorzystne, trwa zapaść w budownictwie. Nie udało się także ograniczyć obszarów biedy, która stała się już zjawiskiem dziedzicznym. Pogłębia się natomiast podział na sytych i wszechmocnych oraz głodnych i wykluczonych na pobocza życia. W najtrudniejszym położeniu znalazły się i wegetują wielkie środowiska pracy, przede wszystkim robotnicy coraz bardziej bezsilni wobec lawinowo likwidowanych stanowisk roboczych i upadających zakładów pracy. **Najdotkliwiej doświadczą tego - bo na największą, masową skalę - Śląsk, gdzie nie ma już dnia bez robotniczego protestu. A jeśli rozniecane w wielu miejscach demonstracje przerodzą się w potężną eksplozję gniewu i społecznego odwetu?!...**

Ten niewyplacalny rachunek, który wystawia dziś rządowi Leszka Millera zdesperowana masa milionów bezrobotnych oraz skazanych na bezrobocie to oczywiście wina nie tylko jego ekipy, ale suma skutków i następstw gigantycznej operacji związanej z przebudową państwa po ustrojowym przełomie, w tym restrukturyzacji gospodarki, co nie obyło się bez nieodwracalnych błędów zadufanych a dogmatycznych reformatorów. Aby wyprowadzić kraj z tego stanu, potrzeba wielu lat, nie bez dalszych bolesnych ofiar, a więc i trudnych decyzji. Tego jednak Leszek Miller pozujący na „żelaznego kanclerza” w butnych deklaracjach kampanii wyborczej nie przewidywał, jakby akt przejęcia władzy był równoznaczny z rozpoczęciem serii sukcesów. I tak stał się ofiarą własnej zwycięskiej retoryki... efektownego bon motu, że prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym jak zaczyna, ale jak kończy.

Jak i kiedy obecny premier złoży urząd, tego jeszcze nie wiemy. Na razie trwa od-



liczenie dni do zbliżającego się europejskiego referendum, oby uwieńczonego sukcesem! Ale co po symbolicznej dacie 8 czerwca? Czy premier Miller przetrwa zmasowane ataki i w jakiej politycznej kondycji, bo przecież nie można wykluczyć również korzystnych impulsów oraz wzrostu poparcia, ale to już spekulacje bez realnych podstaw, skoro zegary polityczne w Polsce mają od lat czas przyspieszony, o czym świadczy także liczba premierów III RP - łącznie dziewięciu w ciągu niespełna 14 lat. Bez względu na okoliczności nie jest to świadectwo stabilizacji władzy.

## Do wyborów!

Niekorzystne sondaże i gwałtowny spadek poparcia dla rządu Leszka Millera rzutują na coraz bardziej stanowcze żądania skrócenia obecnej kadencji i ogłoszenie przedterminowych wyborów. Ostatnio duże wrażenie wywołał skierowany do Prezydenta RP „Apel o nową ordynację wyborczą”, ogłoszony w Rzeczpospolitej z 15-16 marca. Jego sygnatariuszami są przedstawiciele niezależnych środowisk intelektualnych, gospodarczych i społecznych, w tym wybitni ludzie nauki i twórcy. Zdania, że „Polski system polityczny jest pogrążony w kryzysie. (...) Parlament nie potrafi wyłonić zdolnej do rządzenia większości. (...) Państwo paraliżuje siatka korupcyjnych powiązań między światem polityki i biznesu”, prowadzą do wniosku, iż niezbędne jest podjęcie inicjatywy ustawodawczej w sprawie zmiany obecnej ordynacji wyborczej. Zdaniem sygnatariuszy Apelu: *Obecne prawo wyborcze oddaje ten wybór w ręce partyjnych funkcjonariuszy. To oni decydują, kto dostaje się na listy kandydatów i jaki jest skład parlamentu. Trzeba im te decyzje odebrać i oddać obywatelom. Sprawdzoną w najlepszych demokracjach świata drogą do tego celu jest ordynacja oparta na jednomandatowych okręgach wyborczych i głosowaniu większościowym, według zasady jeden okręg wyborczy - jeden poseł. Ludzie odyskują wówczas, wraz z poczuciem odpowiedzialności, wpływ na losy państwa, a politycy mogą stać się prawdziwymi reprezentantami społeczeństwa.*

Od apelu - do decyzji droga zawsze daleka. Szlachetne inicjatywy mogą w realizacji okazać się wielce ryzykowne przy tym stanie życia politycznego co w Polsce obecnej. Na razie dysponujemy wspólnym oświadczeniem premiera i stanowiskiem prezydenta z propozycją przeprowadzenia wyborów do Sejmu i Senatu 13 czerwca 2004 roku, jednocześnie z wyborami do Parlamentu Europejskiego, co jest ofertą interesującą. Szef rządu ogłosił w związku z tym („Nowa sytuacja wymaga nowego rozdania”) swój czteropunktowy plan polityczny, który obok działań na rzecz

konsolidacji środowisk proeuropejskich przewiduje reformę finansów publicznych oraz przygotowanie budżetu na rok 2004. Czy jednak termin ten uznany przez czołowych liderów opozycji za taktyczny wybieg zostanie zaakceptowany? Czy nie przeważa jednak żądania przeprowadzenia wyborów jeszcze w tym roku, jeśli w ogóle do skrócenia kadencji dojdzie, bo wbrew pozorom nie jest to wcale operacja łatwa.

Do skrócenia kadencji i przedterminowych wyborów może dojść jedynie, gdy zostaną spełnione określone warunki: gdy Sejm nie uchwali budżetu (a jeśli mimo wszystko uchwali?), gdy po upadku gabinetu nie uda się po trzykrotnych próbach wyłonić nowego rządu (lecz są już nowe koncepcje personalne!), no i jeśli Sejm podejmie decyzję o samorozwiązaniu zgodną wolą 2/3 posłów, co wydaje się mało prawdopodobne. Wielu reprezentantów obecnej koalicji wcale nie jest skłonnych do przystania na tak radykalną decyzję. Malejące poparcie dla SLD przełoży się w przyszłości na znacznie mniejszą liczbę mandatów, więc mało który z „jednorazowych posłów” tego ugrupowania może liczyć na kolejny wybór. A to oznacza nie tylko polityczną degradację, ale i utratę wysokich apanaży - grubo ponad 120 tys. złotych, nie licząc innych wymiernych profitów choćby z tytułu zatrudnienia członków najbliższej rodziny w biurach poselskich. Czy podobnie nie rozumują „przeciętni posłowie” z innych ugrupowań, choć nie wypada im tego demonstrować publicznie.

## Nowa ordynacja

Godny uwagi jest niewątpliwie skierowany do Prezydenta RP „Apel o nową ordynację wyborczą”. To bezsporne, że obecne „prawo wyborcze oddaje ten wybór w ręce partyjnych funkcjonariuszy”, którzy decydują o składzie list wyborczych i usytuowaniu na nich kandydatów. Doszło tedy nie tylko do całkowitego podporządkowania wyborów interesom partyjnym, ale i do bezkarnych nadużyć. Spora grupa posłów - zawodowych funkcjonariuszy partyjnych, z reguły z adresem warszawskim - to już posłowie niemal żywotni. Równie niegodziwe i amoralne jest utrzymywanie licznej drużyny posłów-spadochroniarzy, przerzucanych z okręgu do okręgu. Przykładem wręcz skandalicznym jest poseł Tomasz Mamiński, szef partii emerytów i rencistów, narzucony wyborcom rybnickim, wkrótce wykluczony z klubu SLD (startował z tej „mocnej” listy). Ten obrotowy polityczny cwaniak do tej chwili nie uruchomił nawet biura poselskiego w Rybniku, bo i co go teraz obchodzą tamtejsi wyborcy! No a liczni posłowie-wieloskokczkowie z sezonowych ugrupowań pravicowych, którzy zdążyli już repre-

zentować wszystkie chwytiliwe barwy z wysokim błogostawieństwem. Jak rozległy był na przykład desant polityczny posłów byłej AWS: dokąd w porę uszli, gdzie dziś są w wcześniej byli? Chociażby taki mąż stanu Maciej Płażyński, który miał zasadniczy udział w demontażu koalicji Krzaklewskiego, formacji postsolidarnościowej, odwołującej się do „najświętszych wartości”, potem jeden z trzech współtwórców Platformy Obywatelskiej, do niedawna szef Klubu Poselskiego PO i głowa partii, który właśnie co złożył obie funkcje i krząta się ochoczo wokół utworzenia partii chadeckiej, z myślą o przedwczesnych wyborach, do których napiera.

Zapowiedź przedterminowych wyborów do Sejmu i Senatu w powiązaniu z wyborami do Parlamentu Europejskiego w 2004 roku wznowi wcześniejsze spory o nową ordynację. Na pewno dyskusję wywoła frapująca propozycja zawarta w „Apelu” sygnatariuszy skierowanym do Prezydenta. Pytanie: czy jest obecnie możliwe przyjęcie ordynacji „opartej na jednomandatowych okręgach wyborczych”. Wyzwanie śmiałe, zapowiadające przełom, ale z jakimi zagrożeniami. Czy przy obecnym rozbiću skłóconej prawicy wybory według tych zasad nie doprowadzą do jeszcze większego zdominowania Sejmu przez reprezentantów SLD, nawet przy obecnym spadku poparcia. No i pracę do władzy populistycznej do objędu „Samoobrony”. I co wówczas? Nawet przy wejściu do Sejmu wielu kandydatów niezależnych, z frontu autentycznie obywatelskiego, mozaikowa struktura poselskich ław może spowodować chroniczne rozproszenie głosów i dominację SLD, ugrupowania zwartego (pomimo wszystko), nim dojdzie do konsolidacji posłów niezależnych (lecz kogo z kim?) w sytuacji rozdrobnionej prawicy.

Do rozważenia w aktualnym stanie polskiego życia politycznego jest natomiast ordynacja mieszana, jednocząca obecną ordynację proporcjonalną z większością, opartą na okręgach jednomandatowych. Gdyby została przyjęta... wróciłibyśmy do projektu ordynacji wyborczej z maja 1991 roku (proporcje: 70 i 30 proc.). Wtedy jednak do ataku przystąpił prezydent Lech Wałęsa, który zdecydowanie wyraził veto przeciw temu rozwiązaniu. I tak doszło do uchwalenia przygotowanej w trybie interwencyjnym ordynacji proporcjonalnej, preferującej duże partie i ugrupowania polityczne, z decydującą rolą „partyjnych funkcjonariuszy”.

## Od płotu - do płotu

Trwa odliczanie dni poprzedzających unijne referendum. Towarzyszy temu mobilizacja wszystkich proeuropejskich sił, by osiągnąć miarodajne „Tak”. Lecz zaraz potem nastąpi seria politycznych zwań i sporów o nowy podział politycznej sceny. Apel sygna-

tariuszy listu do Prezydenta wyznacza jeden z głównych celów przyszłej kampanii - zmianę ordynacji wyborczej na rzecz społeczeństwa obywatelskiego i systemu ponadpartyjnego. W jej założeniach zawarta jest koncepcja odrodzonego państwa - IV Rzeczpospolitej: Polski uwolnionej od dyktatu i dominacji partii politycznych; dziś kraju wszechwładzy pieniądza, grupowych powiązań, nietykalnych oligarchów, skorumpowanej administracji, zdeprawowanego sądownictwa, bezkarnej przemocy; państwa nieczulego na potrzeby najsłabszych, bezsilnego wobec klęski masowego bezrobocia, środowisk ludzi wykluczonych, skazanych na vegetację.

**Czy jednak ponawiające się wołanie o IV Rzeczpospolitą - państwo skutecznego prawa, władzy i instytucji publicznych w służbie obywatelskiej - nie okażą się obosieczne?** Czy nie grozi to wywołaniem konfrontacji o trudnych do przewidzenia konsekwencjach? Czy nie będziemy i tak skazani w większości na tych samych „trybunów narodu” i politycznych graczy zonglujących chwyliwymi hasłami? Niech nas nie zwodzi magiczna moc zmiany numeracji, **no bo kto i przy czczej pomocy to przejście z jednej Polski do kolejnej ma przeprowadzić?** Jakie nowe zorganizowane siły i instytucje wysokiego zaufania publicznego?

**Wszystko co konieczne a związane z uzdrowieniem państwa i polskiego życia trzeba podjąć i dokonać w konstytucyjnych ramach Rzeczypospolitej III,** która niestety zesła z historycznego traktu budowy społeczeństwa obywatelskiego po historycznym przełomie 1989 roku. Lecz kto wtedy uruchomił demony wszechobecnego wolnego rynku bez skutecznego nadzoru prawa, rozpętał wojny na górze, dopuścił do aferałnych aktów prywatyzacji i dominacji interesów partyjnych nad zasadami społeczeństwa obywatelskiego?

Po odliczeniu dni do unijnego referendum, w nowej sytuacji Polski związanej z tym przełomowym aktem, trzeba rozpocząć gruntowne prace nad skuteczną naprawą państwa. W pierwszej kolejności nad reformą finansów publicznych i nad rygorystycznym respektowaniem reguł przetargów i aktów prywatyzacji. Muszą zostać prawnie uporządkowane wszystkie kwestie związane z funkcjonowaniem spółek prawa handlowego i obrotu gospodarczego. Trzeba radykalnie usprawnić system sprawiedliwości, wzmocnić poczucie bezpieczeństwa publicznego i socjalnego środowisk najbardziej zagrożonych. **Fundamentalne obowiązki stabilizacji i sanacji państwa wymagają jednak współpracy wszystkich sił, także aktualnej opozycji.**

Inaczej możemy się zataczać od Rzeczypospolitej III do IV, od IV do V... Tak jak teraz - co kadencja na przemian: od prawicy do lewicy. Przypomina to widok ciężko pijanego, który toczy się od plotu do plotu a do celu dojść.

*Dobry człowiek nawet w najbardziej mrocznych dążeniach jest świadom istnienia jedynej, właściwej drogi.*

Johann Wolfgang Goethe

**Polska - stwierdził w lipcu 1998 roku Leszek Balcerowicz, wówczas wicepremier i minister finansów - może umocnić swoją obecną pozycję najszybciej rozwijającego się dużego kraju Europy i jednego z kilku najbardziej dynamicznych krajów świata. Możemy przez wiele lat być zdrowym »tygrysem« - w odróżnieniu od chorych »tygrysów«, takich jak Korea Południowa, Tajlandia czy Indonezja. Możemy systematycznie poprawiać warunki życia milionów ludzi. Możemy w ciągu dziesięciu lat podwoić naszą zamożność. Pomijając nader delikatną kwestię trafności słów polityka, zwłaszcza w obliczu kryzysu finansów publicznych, można przyjąć, że jednym z ważnych elementów realizacji strategii prorozwojowej jest polski akces do struktur Unii Europejskiej.**

Takie działania poprzedzone być winny starannym i wyczerpującym rejestrem rodzimych aktywów i pasywów społecznych, gospodarczych, kulturowych czy szerzej jeszcze: cywilizacyjnych. Tymczasem za rażący błąd uznać należy fakt, że ani pierwszy niekomunistyczny rząd Tadeusza Mazowieckiego, ani następne po nim, rozmaitej zresztą proveniencji politycznej, nie sporządziły takiego rejestru, i to w państwie poddawanych tak radykalnej terapii.

Nie odbyła się również wyczerpująca dyskusja społeczna nad akcesem, jego dobroczynnymi i negatywnymi konsekwencjami. Prawdopodobnie pierwszym, poważnym jej przejawem, będą dopiero debaty przed referendum w sprawie przystąpienia Polski do struktury „piętnastki”, zapowiedzianym na 7-8 czerwca 2003 roku. Mówiąc inaczej, polski „tygrys” znalazł się w europejskiej poczekalni bez dostatecznej i pełnej świadomości stanu posiadania, bez rozeznania atutów i potencjalnych utrudnień.

### Doliny lez

W polskich debatach nad zjednoczoną Europą, szczególnie intensywnych po rozpoczęciu formalnych negocjacji z piętnastką, w marcu 1998 roku, i po przejściu rządu przez Leszka Millera, często pomijano lub lekceważono istotne przeszkody stojące na drodze takiego procesu. Jest ich wiele, ale do szczególnie istotnych zaliczyłbym zacofanie cywilizacyjne kraju, stan i strukturę arealową polskiego rolnictwa, nierozwiązane dylematy starych regionów

przemysłowych oraz innych problemowych obszarów Polski i Europy, takich choćby jak Górny Śląsk, region wałbrzyski czy tereny popegeerowskie.

Tymczasem „eurostratedzy” eksponują ich archaiczną strukturę zatrudnienia, opóźnienie techniczno-organizacyjne i cywilizacyjne, poważny stan ekologiczny, znaczące kwestie społeczne (np. nowa bieda, bezwzględna liczba klientów instytucji pomocy społecznej i bezrobotnych) czy dopiero zapoczątkowane procesy poważnej restrukturyzacji. Wydaje się zatem, iż w debacie nad „powrotem do Europy”, korzyściami i niedostatkami, atutami i obciążeniami warto uwzględnić rolę starych regionów przemysłowych w tym procesie.

Warto jednocześnie dostrzec ich osobliwości społeczne i kulturowe, stanowiące o specjalnym kolorycie oraz, być może, unikatowości. Rzecz jasna unikatowość ta poddana zostanie ciężkiej próbie w procesie integracji i uniformizacji europejskiej. Przykładowo taką szczególną cechą Górnego Śląska jest jego pograniczny, w sensie społeczno-kulturowym, charakter.

### Poza filantropią

Debata nad polskim miejscem w strukturach unijnych winna uzmysłowić entuzjastom „powrotu do Europy” kłopoty, na które można napotkać w obliczu nierozstrzygniętych problemów starych i archaicznych obszarów przemysłowych. Integracji Zachodnioeuropejskiej towarzyszy bowiem od samego początku równoległy proces rozwiązywania fundamentalnych kwestii w odniesieniu do, zachowując wszelkie proporcje, ich własnych obszarów problemowych, takich jak Zagłębia Ruhry, Saary czy region Nord Pais de Calais. Trwa on już kilkadziesiąt lat i do tej pory jego animatorzy nie uznają restrukturyzacji za proces zakończony ani, co gorsza, zwieńczony pełnym sukcesem. Warto o tym sposobie myślenia pamiętać, zwłaszcza w kontekście nierozwiązanych problemów Górnego Śląska.

Nieodzwonne wydaje się także odrzucenie mitologicznych wyobrażeń i projekcji obecnych w myśleniu poważnej części polskiej klasy politycznej i odłamów społecznych, dotyczących funkcjonowania Unii Europejskiej. „My Polacy - słusznie napisał Antoni Kukliński - żywimy złudzenie, że Unia Europejska jest wielkim Stowarzyszeniem św. Franciszka, które myśli przez cały czas, jak biednym regionom i biednym warstwom



# W poczekalni Europy

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

może pomóc. (...) Tymczasem trzeba pamiętać, że Unia Europejska jest przede wszystkim Towarzystwem im. Karola Darwina. To jest towarzystwo, które popiera interesy silnych partnerów Unii. Jest maszyną ukonstytuowaną po to, aby stworzyć korzystne mechanizmy konkurencji, choć oczywiście musi dysponować także tzw. funduszami kohezyjnymi”.

Można zatem powiedzieć, że Unia w takim właśnie, a nie innym, kształcie jest przyszłością Polski. **Z przyszłością zaś, jak powiadał William E. Gladstone, polityk brytyjski z XIX wieku, nie należy walczyć. Trzeba się tylko dobrze, indywidualnie, społecznie, politycznie, gospodarczo, technologicznie i kulturowo do niej przygotować.**

## Dekalog polskiego zacofania

Podstawowym problemem Polski na drodze do zjednoczonej Europy, oprócz przebudowy tradycyjnych regionów przemysłowych i dostosowania rolnictwa, jest **wielowymiarowe zacofanie cywilizacyjne kraju: gospodarcze, techniczno-technologiczne, infrastrukturalne, społeczne i organizacyjne.** Utrwalone historycznie zacofanie przejawiało się, przynajmniej od XVII stulecia, w wyraźnym i jednostronnym dostosowaniu gospodarki do potrzeb zgłaszanych przez przodujące państwa, regiony i miasta Europy, takie jak: Anglia, Holandia, miasta hanzeatyckie, a później wielkie organizacje kontynentalne (Unia Europejska).

Wyrażało się również w zbyt wolnym tempie powstawania nowych klas, zwłaszcza mieszczaństwa, które organizować mogły wzrost i rozwój gospodarczy, a zatem i przełamać monokulturową gospodarkę i ubogi asortymentowo eksport towarów (zboże, drewno, konopie, dziegieć, a następnie węgiel, siarka, miedź, stal).

Nieco inaczej kształtowały się losy gospodarcze Górnego Śląska. Będąc przez ostatnie stulecia wielkim i ważnym zagłębiem przemysłowym Prus, a później Rzeszy Niemieckiej, czy wreszcie Polski był zapóźniony kulturowo, o słabej liczebnie elicie wykształcenia, zwłaszcza w przypadku ludności rodzimej. Ekonomicznie

Śląsk był najważniejszym po Zagłębiu Ruhry obszarem przemysłowym Rzeszy Niemieckiej, a po plebiscycie najpoważniejszym, choć peryferyjnym zagłębiem odrodzonej Polski.

Pomijając śląski fenomen, można przyjąć, że już w XVII wieku Polska była, gdyby użyć współczesnej terminologii, państwem gospodarczo zacofanym.

Dzisiaj, po kilku stuleciach, polskie zacofanie opisywać można przy pomocy licznych wskaźników oraz charakterystycznych procesów, ale z całą pewnością za najważniejsze jego przejawy, istotne w dialogu akcesyjnym, uznać można:

**1. Przystarzałą strukturę zatrudnienia i gospodarczą dominację sektora drugiego (przemysł przetwórczy) oraz pierwszego (rolnictwo i przemysł wydobywczy), przy nieproporcjonalnie niskiej roli sektora trzeciego, obejmującego najszerzej pojmowane usługi tradycyjne (handel czy usługi oferowane przez rzemieślników), jak i nowoczesne (usługi edukacyjne, bankowe, biznesowe, zdrowotne, ubezpieczeniowe, informatyczne, z zakresu opieki społecznej, obrotu nieruchomościami itd.).**

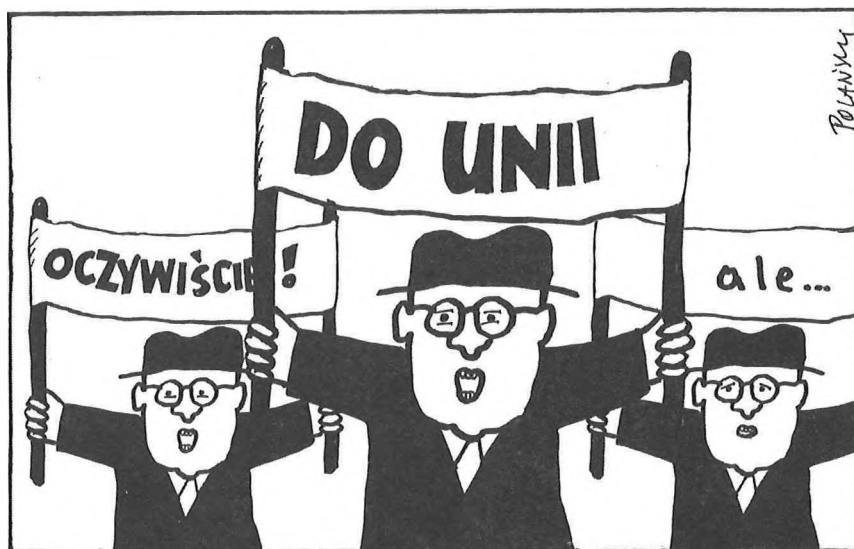
Polska wciąż pozostaje krajem przemysłowym choć perspektywa osiągnięcia stadium poprzemysłowego, w którym ponad połowa rodaków znajdzie zatrudnienie w sektorze

usług, wydaje się z jednej strony nieodczuwalna, z drugiej - nieodległa (około 2004 roku). Warto wszakże pamiętać, iż USA osiągnęły ten etap na przełomie 1949 i 1950 roku.

**2. Anachroniczne stosunki własnościowe,** znaczący udział własności państwowej i wciąż widoczny, mimo licznych a przy tym pozytywnych przemian, niedorozwój sektora prywatnego. Wydaje się przy tym, że tempo i zakres procesów prywatyzacyjnych w Polsce w niektórych sektorach gospodarki (np. bankowość) były zbyt szybkie, a w innych (np. duże przedsiębiorstwa przemysłowe) zbyt wolne i źle przygotowane.

**3. Niekorzystną strukturę eksportu** (artykuły nisko przetworzone: oferta surowcowo-rolnicza, meblarska, odzieżowa) i **importu** (artykuły wysoko przetworzone: maszyny i urządzenia, elektronika); względnie niski poziom międzynarodowej konkurencyjności polskich produktów, zarówno na rynku wewnętrznym, jak i w ofercie eksportowej; szacuje się, iż udział surowców, a zatem towarów o niskich cenach jednostkowych, szczególnie podatnych na wahania koniunkturalne i bariery protekcyjnistyczne, w całym polskim eksporcie wyniósł w 2002 roku 30 proc.

**4. Marnotrawstwo zasobów i środków w sektorze państwowym, zwłaszcza**



Rys. Marek Polański

cza w przemysłach ciężkich (np. górnictwo) oraz **głęboką, a przy tym ugruntowaną historycznie, degradację środowiska przyrodniczego, zwłaszcza w tradycyjnych regionach przemysłowych** (region górnośląski, krakowski, legnicki, wałbrzyski, łódzki). Warto może podkreślić, że w pierwszej połowie 2003 roku zadłużenie globalne górnictwa - zawinione lub nie - zbliżyło się do 24 mld złotych, a zatem stanowiło dziesiątą część rocznego budżetu państwa i zagroziło tym samym stabilizacji finansowej kraju.

**5. Archaizm techniczno-technologiczny** i wciąż niski poziom innowacyjności, zwłaszcza w państwowych sektorach gospodarki. Ta cecha wielu przedsiębiorstw stanowiących własność skarbu państwa skutkuje nie tylko wspomnianą w innej części szkicu niską ich rentownością, ale także utrudnia, czy wręcz uniemożliwia, konkurencyjność na światowych rynkach.

**6. Niską wydajność pracy** i brak logicznego związku między wkładem pracy, kwalifikacjami a płacą, zwłaszcza w sferze budżetowej. Trudno jednak zlekceważyć symptomatyczne doniesienia Głównego Urzędu Statystycznego z 1997 roku. Statystyczny magister zarabiał w tym czasie 144 proc. średniej krajowej, absolwent zasadniczej szkoły zawodowej - 90 proc., a pracownik z ukończoną szkołą podstawową ledwie 83%. Wykształcenie, choć nie gwarantuje już pracy, łagodzi indywidualne koszty transformacji; osoby najlepiej wyedukowane żyją dłużej niż inni, rzadziej trapią je depresje, a ich prywatne firmy rzadziej bankrutują. Wydaje się zatem, iż proces powolnego łączenia kwalifikacji i wynagrodzeń będzie nieodwracalny i trwały. Tym samym zniesiony zostanie kolejny element kłopotliwego dziedzictwa po realnym socjalizmie;

**7. Niski poziom Produktu Krajowego Brutto** na jednego mieszkańca. Gdyby rządy Jerzego Buzka i jego następcy, Leszka Millera, realizowały przygotowany przez Leszka Balcerowicza w pierwszym kwartale 1999 roku dokument zatytułowany „Strategia finansów publicznych i rozwoju gospodarczego - Polska 2000-2010”, to w przypadku ziszczenia się „**wariantu aktywnego**” (7 proc. wzrostu PKB w ciągu roku), kraj nasz ścigał będzie państwa Unii 24 lata, w przypadku bardziej realnego „**wariantu pasywnego**” (4 proc. wzrostu PKB) - 95 lat, a przypadku „**wariantu ostrzegawczego**” (3 proc.) - kraj nasz nie jest w stanie w ogóle doścignąć państw Unii.

Nikt jeszcze wówczas nie pisał o „**wariacie krytycznym**” - wiado-

mo bowiem, że wzrost PKB w 2001 nie przekroczy 1,3 proc., a w roku 2002 będzie jeszcze niższy.

**8. Jednostronną zależność gospodarczą, techniczno-technologiczną i kapitałową** od najlepiej rozwiniętych państw świata. Negatywne doświadczenia Polski z lat 1944-1989, czyli okresu realnego socjalizmu, wynikające z asymetrycznych i niekorzystnych gospodarczo, politycznie oraz cywilizacyjnie relacji ze Związkiem Radzieckim, nakazują różnicowanie kontaktów i wymiany międzynarodowej. Doceniając wagę integracji europejskiej a także jej dobrodziejstwa dla Polski warto zabiegać zarówno z powodów symbolicznych, świadomościowych, jak i gospodarczych czy kulturowych o to aby dawne centrum decyzyjne ułożone poza granicami kraju, nie zostało w całości zastąpione przez inne.

Żupełnie inną, tutaj wszakże nieomawianą kwestią, jest nieodzowna cesja niektórych uprawnień państwa na rzecz struktur europejskich i tym samym ograniczenie suwerenności politycznej.

**9. Niekorzystne wskaźniki rozwoju cywilizacyjnego, w tym zdeformowaną strukturę wykształcenia i wysoki stopień funkcjonalnego analfabetyzmu** (np. wysoka śmiertelność niemowląt; nadumieralność w wielu przedziałach wiekowych, niski wskaźnik oczekiwanej długości życia; skromne nasycenie infrastrukturą społeczną i komunalną). Przypomnijmy, że kapitał edukacyjny pracowników zatrudnionych w gospodarce kraju jest skromny. W końcu 2002 roku struktura wykształcenia dorosłej ludności Polski była następująca: 65 proc. ludzi posiadało bowiem wykształcenie niepełne podstawowe, podstawowe lub co najwyżej: zasadnicze zawodowe. Ledwie 27 proc. legitymowało się świadectwem ukończenia szkół średnich, a pozostałe 8 proc. tworzyło elitarną grupę osób dysponujących wykształceniem wyższym.

Warto jednak zauważyć, że w roku szkolnym 1997/1998 Polska po raz pierwszy dogoniła kraje Unii Europejskiej jeśli chodzi o odsetek absolwentów pobierających naukę w pełnych szkołach średnich (80 proc.).

**10. Nierówności w rozwoju regionalnym** wyrażające się najpełniej w dystansach, czy mówiąc wprost w przepaściach, między poszczególnymi obszarami kraju (Polska Centralna a Ściana Wschodnia), czy projektowanymi województwami (np. województwo mazowieckie a województwo podlaskie). Naszkicowana z takim trudem nowa mapa regionalna ugruntuje te przepaści kreując dwa bardzo silne ekonomicznie wo-

jewództwa: **mazowieckie i śląskie**; siedem o dużej i umiarkowanej sile ekonomicznej: wielkopolskie, dolnośląskie, małopolskie, łódzkie, pomorskie, kujawsko-pomorskie i zachodniopomorskie oraz siedem słabych i bardzo słabych: opolskie, lubuskie, świętokrzyskie, warmińsko-pomorskie, lubelskie, podkarpackie i podlaskie.

W kontekście tych zestawień trudno nie przypomnieć słów Adolfa de Custine'a, pisarza francuskiego i podróżnika, autora znakomitych „Listów z Rosji”, analiza mechanizmów despotyzmu rosyjskiego. „Syberia - mawiał - zaczyna się tuż za Wisłą”.

### Uskrzydleni Lechici - dekalog atutów akcesyjnych

W dyskusji nad akcesem do Unii Europejskiej nie można pomijać rejestru atutów, jakimi dysponuje Polska w dialogu integracyjnym. O ile „**dekalogowy zapis**” rodzimego zacofania winien być postrzegany i opisywany w perspektywie „**długiego trwania**”, to zbiór atutów wiąże się, w pierwszej kolejności, choć nie wyłącznie, z procesami transformacji świeższej daty. Odnośniki historyczne odgrywają tutaj ważną rolę w kilku punktach, na przykład w odniesieniu do ukształtowanego rynku wewnętrznego, ułożenia geopolitycznego, uwikłania w „system europejski” czy tradycji rzemieślniczo-rolnych, ale w przypadkach pozostałych można mówić o zjawiskach ugruntowanych w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Gdyby, dla celów porównawczych i bez żadnych odwołań biblijnych, dokonać „zapisu polskich atutów akcesyjnych”, to ich dekalog wyglądałby następująco:

**1. Duży rynek wewnętrzny**, połączony z wewnętrzną wymiennienością złotych. Ten kluczowy atut blisko czterdziestomilionowego kraju, o niepowtarzalnym w Europie Środkowej potencjale demograficznym, produkcyjnym i nabywczym jednocześnie, osłabiają liczne negatywne wskaźniki makroekonomiczne, pośród których szczególnie ważny jest niekorzystny bilans handlu zagranicznego, wysoki dług publiczny (duże zadłużenie wewnętrzne i zagraniczne), zadłużenie niektórych branż mogące zagrozić stabilności finansów publicznych (np. zawinione i niezawinione zadłużenie górnictwa).

**2. Względnie tania - ale tylko w porównaniu z unijną - siła robocza i inne czynniki pracy oraz produkcji**, zwłaszcza ziemia. Polak zarabia przeciętnie 7-krotnie mniej niż Duńczyk, ale już tylko 1,5 raza mniej niż Portugalczyk. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto Polaka wynosiło w 2001 roku blisko 500 eu-



ro. W państwach aspirujących do Wspólnoty większe pensje mieli tylko Cypryjczycy - 1350 euro, Maltańczycy - 850 euro i Słoweńcy - 840 euro.

**3. Korzystne ułożenie geograficzne, komunikacyjne i transportowe na wielu szlakach Europy** (np. północ-południe, wschód-zachód, w tym szczególnie istotne otwarcie Unii na wschód oraz północny-wschód kontynentu poprzez Via Baltica: Warszawa-Suwałki-Kowno-Ryga-Tallin).

Nie bez znaczenia jest również ułożenie geopolityczne na kresach przyszłej Unii, które może być zarówno atutem w transferze handlowym, kulturowym, cywilizacyjnym, jak i negatywnym czynnikiem w sytuacjach ekstremalnych i konfliktowych. „Nasze granice przesuną się na wschód, ale Europa nie kończy się na granicach Unii Europejskiej” - stwierdził w wywiadzie dla tygodnika „Wprost” Jacques Santer, były przewodniczący Komisji Europejskiej. - Musimy ukształtować partnerskie stosunki także z Rosją, Ukrainą, Białorusią i innymi krajami. Byłoby dobrze, gdyby dokonał się pewien podział ról; spodziewamy się, że Polska i pozostali nowi członkowie wspólnoty będą ważnymi ogniwami w tym procesie”.

**4. Szybko rosnący Produkt Krajowy Brutto i wzrastająca zamożność znaczącej grupy Polaków**, pozwalające na korzystne rokowania w zakresie adaptacji w systemie Unii, ograniczające, choć do pewnego stopnia, możliwość gwałtownego, niekontrolowanego i niekorzystnego transferu polskiej, tańszej, siły roboczej, zwłaszcza wysoko kwalifikowanej, do państw Unii, w tym zwłaszcza ułożonych na przedakcesyjnych kresach, np. Niemcy czy Austria.

**5. Uczestnictwo Polski w NATO** i obecność naszego kraju, z ograniczeniami w czasie rozbiórów i realnego socjalizmu, w „systemie europejskim” oraz udział w znaczących instytucjach i organizacjach kontynentalnych czy światowych, na przykład w OBWE czy OECD.

**6. Legalne, oparte na demokratycznych wyborach, uprawnienie władzy politycznej, połączone z mozolną odbudową tradycji parlamentarnych.** Znaczącą rolę w demokracji kraju i ograniczeniu jego scentralizowania, w niwelowaniu schedy po realnym socjalizmie, przyniosła reforma gminna, a efekt ten wzmocnić może nowy układ organizacji terytorialnej państwa (reforma regionalno-powiatowa).

**7. Paradoksalnym atutem Polski w procesie akcesyjnym okazać się może - choć w pewnym tylko stopniu i zakresie - zacofanie rodzimego rolnictwa.** Otwiera się przed nim szansa rozwoju agroturystyki, produkcji żywności ekologicznej i produktów naturalnych (np. Inianych, wiklinowych). Podobne możliwości pojawiają się przed polskim rzemiosłem, dziedziną gospodarki o dużych tradycjach, choć przeżywającą czas uwiadu i zniknięcia wielu reliktowych zawodów, atrakcyjnych obecnie rynkowo i turystycznie (np. kowalstwo artystyczne, rusznikarstwo, snycerstwo, piekarstwo).

Nie można jednak bagatelizować faktu, iż polskie produkty rolne, często czyste ekologicznie, są brudne biologicznie, a sytuacja polskiego mleczarstwa dostarcza tutaj znamiennego przykładu.

**8. Rosnące aspiracje edukacyjne i profesjonalne znaczącej części Polaków, zwłaszcza młodszego pokole-**

nia, *homo novus* wykształconych na rodzimych uniwersytetach, uczelniach biznesowych i politechnikach już po 1990 roku. Nie można jednak pomijać faktu, że postawy i motywacje związane z pragnieniem awansu zawodowego są wciąż obce dużej grupie Polaków, niechętnie podejmujących kształcenie i dokształcanie ustawiczne, z najwyższymi oporami zmieniających zawód z „nadwyżkowego” na rynku pracy na „deficytowy”.

**9. Postępy unifikacji polskiego prawodawstwa z prawodawstwem unijnym (tzw. *screening*).** Warto może podkreślić, iż dorobek prawny Wspólnot Europejskich, *acquis communautaire*, obejmuje 20 tysięcy aktów prawnych rozmaitego typu, zawartych na 80 tysiącach stron znormalizowanego druku. Procesy unifikacyjne dotyczyły 31 obszarów negocjacyjnych i zostały formalnie zamknięte 13 grudnia 2002 roku w Kopenhadze.

**10. Społeczne poparcie dla akcesu unijnego.** W oparciu o badania demoskopijne można przyjąć, że około 65 proc. dorosłych Polaków popiera akces, a wśród pozostałych, część (10-15 proc.) nie ma na ten temat zdania, a 20-25% jest włączeniu przeciwna. Z całą pewnością tak jednoznaczne, choć powoli spadające, poparcie dla europejskich aspiracji wiąże się z nikłą wiedzą polskiego społeczeństwa na temat wielowymiarowych, pozytywnych i negatywnych, konsekwencji akcesu, w tym w odniesieniu do losów rolnictwa, górnictwa, hutnictwa czy rybołówstwa. Najprawdopodobniej, wraz z rosnącą wiedzą z tego zakresu, obniżyć się będzie, choć zapewne nie radykalnie, społeczne poparcie dla aspiracji unijnych.

W tym kontekście nie można też lekceważyć wstrzemięźliwych ocen co do ekspansji Unii w samych społeczeństwach „piętnastki”. W badaniach i sondażach tam prowadzonych dominują (ponad 50 proc.) przeciwnicy włączenia Polski do struktur europejskich.

W procesie akcesyjnym szczególnie ważne okazało się tropienie unijnych precedensów, ustanowionych dla niektórych krajów (np. ograniczenia w obrocie ziemią przeznaczoną pod budowę domów rekreacyjnych dla cudzoziemców w Danii i Austrii) czy umiejętne eksponowanie niezaprzeczalnych atutów. Nie można rzecz jasna oczekiwać, iż Polska trafi z „antyszambrów” na unijne salony na warunkach wyjątkowych. Niemniej jednak próbować można i trzeba. „Bóg - jak powiedział Franklin - pomaga tylko tym, którzy pomagają sobie”.



*Kiedy tysiące miotanych wojną ludzi mordowano,  
wsadzano do obozów i wywożono, nikt nie zadawał pytań.  
Teraz trzeba je postawić.*

# Prawdy i sprawiedliwości

WIESŁAW  
KOSTERSKI

Oddział Instytutu  
Pamięci Narodowej  
— Katowice, ul. Kilińskiego 9.  
Poszarzały budynek,  
jakich wiele w Śródmieściu.  
Kiedyś siedziba miejska  
MO i SB, teraz — IPN-u,  
kilku instytucji i firm.  
Sale, w których zapewne  
omawiano niejedną  
akcję represyjną,  
gdzie bicie i groźby  
były normą  
w czasie przesłuchań,  
przemieniły się w miejsce  
prowadzenia badań  
historycznych i śledztw  
obejmujących  
tamte właśnie wydarzenia.  
Można to uznać  
za ironiczny komentarz historii.



**Na** początku marca tego roku prokuratorzy IPN prowadzili 115 śledztw w sprawie zbrodni komunistycznych i 30 dotyczących zbrodni nazistowskich. Widoczna dysproporcja wynika z oczywistego faktu — najlepiej zbadane i opisane są zbrodnie hitlerowskie, bo były ścigane, bo wolno i należało się nimi zajmować. Inaczej ze zbrodniami komunistycznymi — tych nikt nie mógł tknąć.

W przypadku zbrodni nazistowskich trudno oczekiwać na sądowe finały, bo większość sprawców już nie żyje. Śledztwa mają zatem głównie wymiar historyczny. Niedawno z takiego powodu umorzone zostało postępowanie w sprawie mordów w katowickim więzieniu

w okresie II wojny światowej, kiedy działały sądy nie mające z prawem nic wspólnego.

Taką samą decyzję podjęto również w sprawie zbrodni Wehrmachtu we wsi Zajączki. Mimo dotarcia do materiałów archiwalnych w Niemczech nie udało się ustalić, kto konkretnie kierował akcją, jacy członkowie oddziału, z imienia i nazwiska, dokonali zabójstwa w 1939 roku. Umorzone wobec niewykrycia sprawców śledztwo zostało jednak zaskarżone.

Na taki krok zdecydowali się ludzie bezpośrednio związani z wydarzeniami w Zajączkach. Mają nadzieję, że może jeszcze coś nowego wyjdzie na jaw. Być może liczą też po cichu na odszkodowania albo ja-

kąkolwiek inną formę zadośćuczynienia za krzywdy doznane przez najbliższych.

## Deportacje nieprzedawnione

**P**okazuje to także sprawa deportacji na Żywiecczyźnie, kiedy często pierwszą reakcją świadków są pytania odnoszące się do kwestii odszkodowań i wątku śledczego. Wątek historyczny nie wzbudza dużego zainteresowania. IPN, oczywiście, nie zajmuje się wypłacaniem żadnych odszkodowań; odszkodowania, jeżeli są podstawy, wypłaca Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie, a dostali je ci



spośród wywiezionych z Żywiecczyny, którzy następnie z terenów deportacji zostali skierowani na przymusowe roboty w głąb III Rzeszy.

Zapewne nadzieja na odszkodowania sprawiła, że **jeszcze w 1998 roku zgłosiło się około 700 świadków i pokrzywdzonych w sprawie deportacji górali żywieckich**. Prawie jedna trzecia spośród nich nie bardzo rozumiała, że śledztwo, które prowadzi IPN, ma na celu ustalenie liczby i tożsamości osób pokrzywdzonych, wyjaśnienie wszystkich okoliczności tej zbrodni... i jest oderwane od wątku odszkodowań, na które liczą.

Deportacja Żywiecczyny nie była akcją tak znaną i zakrojoną na tak dużą skalę jak ta, zorganizowana przez okupantów na Zamojszczyźnie. Niemniej objęła wiele wiosek położonych wokół Żywca. Choć nie była ludobójstwem, wiązała się z udręczeniem ludności, skazaniem jej na głód i wyniszczenie. Mieszkańców zabierano z ich rodzinnych domów po to tylko, żeby wysiedlić do Generalnej Guberni. Opustoszałe wioski mieli skolonizować Niemcy z Wołynia, których też zmuszono do opuszczenia swoich siedzib i zasiedlenia obszarów włączonych do Rzeszy.

Górali wyrzucono z jednym tobołkiem w rękę. Wywożono na tereny tzw. wschodniej ściany, na Lubelszczyznę, w okolice Warszawy, na ziemię sandomierską, ale też i bardzo blisko — bo do Kalwarii Zebrzydowskiej. Transporty kolejowe kierowane były głównie do Łodzi, stamtąd wyjeżdżały w dalszą drogę.

**Łącznie deportowano około 20 tysięcy osób z wielu wsi, żeby wymienić Radziechowy, Gilowice, Sopotnię Małą, Żywiec, Zadziole (teraz na terenie tej wsi jest zalew żywiecki), Ślemień, Kocoń, Brzuśnik, Milówkę, Kamesznicę. Wszystko spięto w czasie od września do listopada 1940 roku.** Większość górali wróciła na ojcowiznę. Ci, którzy zastali ruiny, zdecydowali się wyjechać na ziemię odzyskaną.

Akcja przesiedlania kierowana była odgórnie — zaczęła się od dekretu Hitlera z 7 października 1939 roku. W dokumentach nie znaleziono dowodów na dokonanie gwałtów i zabójstw, nie mówią też o tym świadkowie. Można więc przyjąć, że tak ciężkie przestępstwa nie towarzyszyły wywózkom górali.

Gwałty i morderstwa mogły natomiast dotknąć tych, których wysie-

dlono do wiosek ukraińskich. Na kresach zetknęli się bezpośrednio z dramaturgią tamtych czasów. Niektórzy opowiadają o zbrodniach nacjonalistów ukraińskich, choć nie trafił się dotąd świadek, który by wspomniał, że ktoś z jego rodziny został zamordowany.

Śledztwo trwa od trzech lat. **Szanse na skierowanie aktu oskarżenia przeciwko niemieckim oficerom, którzy kierowali deportacją, są żadne.** Winnych zbrodni przeciwko ludzkości (przesiedleń zabraniała konwencja haska) skazano w procesach norymberskich, w tym za przesiedlenia. Jest to więc czysto historyczne śledztwo, które ma jednak wiele swoich walorów związanych z opracowaniem dokumentacji.

## Alianci milczeli

Jedną z białych plam powojennej historii jest los górników deportowanych w głąb Związku Radzieckiego. Jak wynika z badań IPN, Rosjanie wykorzystali do tego haniebnego celu niektóre postanowienia traktatu poczdamskiego, który pozwalał na dowolne wykorzystanie siły żywej przez zwycięskie mocarstwo. Zbrodniczą machiną pacyfikacji kierował Beria.

Deportacje objęły wszystkich, niezależnie od pochodzenia i miejsca zamieszkania. **Wywożono więc Ślązaków, ale i Niemców, którzy pozostali po wojnie na ziemiach śląskich, brano mieszkańców Śląska, ale także Bielska i Małopolski.** Zwycięzcy Rosjanie robili, co chcieli. Przy aprobacie i milczeniu aliantów. Do 1946 roku, do kiedy obowiązywały prawa wojenne.

Cynizm i obłuda władz komunistycznych zdawały się nie mieć granic. **Za przykrywkę do wywózek służyły kłamliwe apele wzywające do rzekomego udziału w odbudowie zrujnowanej stolicy.** Ślązacy są zdyscyplinowani; skoro władza apelowała, zamierzali pojechać do Warszawy i pomóc innym. Wielu górników zgłosiło się więc dobrowolnie. Innych zatrzymywano siłą.

Pojmanych wywożono śladem dawnych zesłańców w głąb Rosji, bez powiadomienia rodziny o miejscu zsyłki. Transporty jechały „na białe niedźwiedzie” — jak potocznie mawiano. Bogu ducha winnych górników kierowano do łagrów i katorżniczej roboty w kopalniach, kamieniołomach, kołchozach w wielu regionach ZSRR,

w tym na Kołymie. Setki zapomnianych dziś cmentarzy porośniętych trawą, bez krzyży i nagrobków, dowodzi jak wielu górników nie wróciło do Polski.

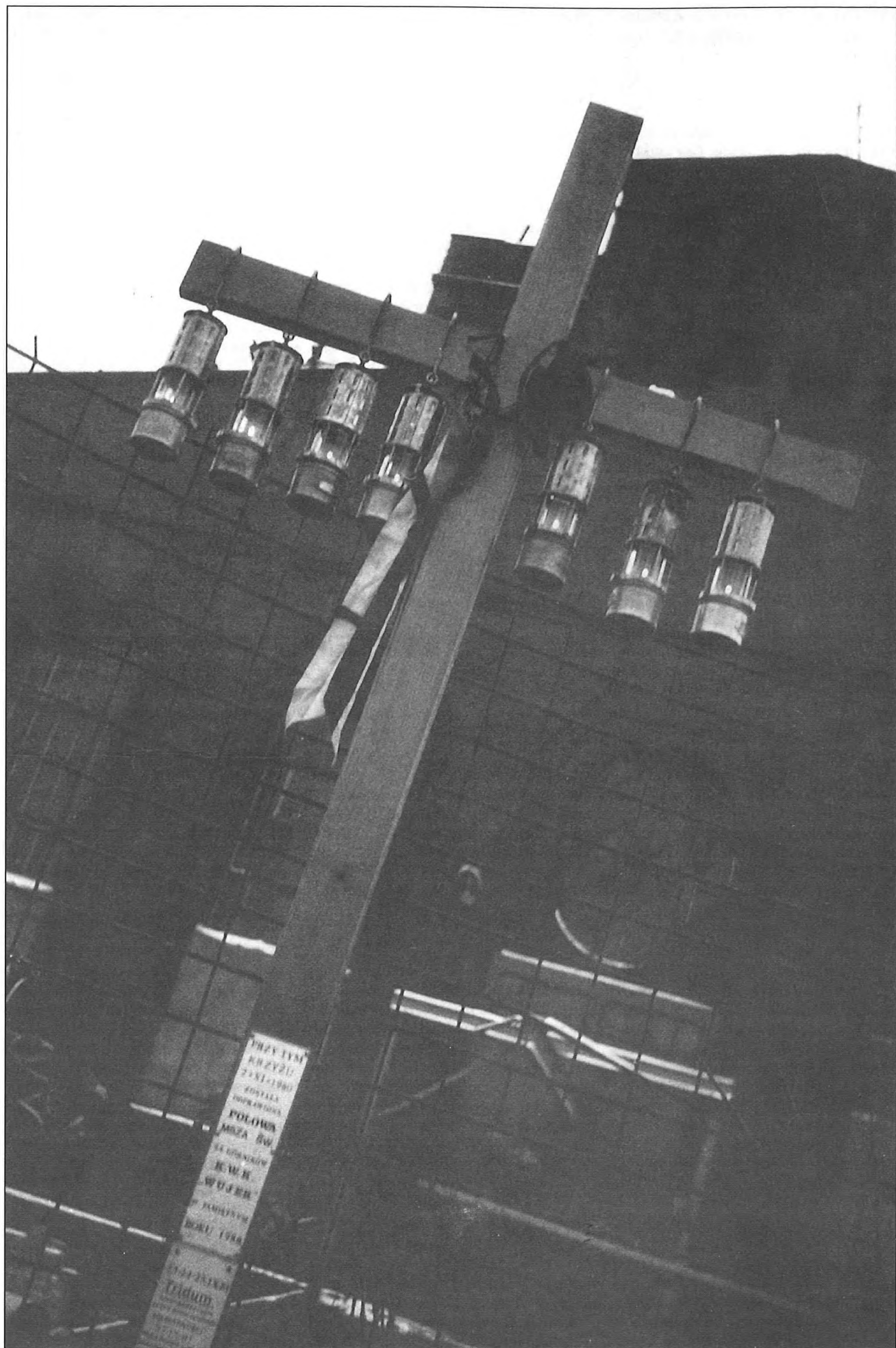
Śledztwo, jedno z najstarszych jakie prowadzi IPN, zmierza do wykrycia i ukarania sprawców deportacji oraz ustalenia nazwisk osób pokrzywdzonych. W latach powojennych, kiedy rodziny górników zaczęły starać się o powrót swoich bliskich do domów, w sprawę zaangażował się Jerzy Ziętek, wojewoda śląski. Dzięki niemu sporządzono spis obejmujący prawie 10 tysięcy nazwisk.

**Z ustaleń INP wynika, że nie jest to jednakże pełna lista osób deportowanych. Ta bowiem oscylować ma wokół 20 do 25 tysięcy ludzi.** Norman Davies i Roger Moorhouse piszą w „Mikrokosmosie”, znakomitej historii Wrocławia, że na samym Śląsku zebrano aż 30 tysięcy nazwisk. Deportacje miały szerszy zasięg — objęły także Pomorze i Dolny Śląsk. Aresztowani przez NKWD ludzie padli „ofiarami paranoicznej polityki »zabezpieczenia tyłów«, tzn. pacyfikacji groźnych jakoby cywilów na terenach przyfrontowych”. (W listopadzie tego roku IPN zamierza zorganizować w muzeum bytomskim wystawę ilustrującą deportację górników.)

— Deportacje możemy traktować jako zbrodnie wojenne, podobnie jak i nie tak rzadkie, niestety, na naszym terenie morderstwa i gwałty dokonywane przez żołnierzy Armii Radzieckiej, jak choćby sprawa Miechowic — mówi dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach Andrzej Sikora.

Miechowice, był rok 1945. **Armia Radziecka w odwecie za rzekome zastrzelenie swoich żołnierzy dokonała masakry mieszkańców tej miejscowości. Polaków wyciągano siłą z mieszkań i po prostu zabijano. Według obliczeń IPN, zgłodzonych zostało około 380 osób.** Były też gwałty.

Zbrodnia obciąża funkcjonariuszy NKWD. Żadnych nazwisk sprawców nie udało się jednak ustalić. Szanse znalezienia oficerów NKWD odpowiedzialnych za zbrodnię i postawienia komukolwiek zarzutu, choćby z powodu braku jakichkolwiek możliwości dotarcia do dokumentów radzieckich, o ile w ogóle cokolwiek w sprawie mordu w Miechowicach zostało przez Sowieców udokumentowane, są równe zero. Skoro nie



Zdjęcia pochodzą z albumu „Krzysztof Górników. Kopalnia „Wujek” w Katowicach. Grudzień 1981 - Grudzień 1996”. Katowice 1996.

udało się to w przypadku Katynia czy Miednoje...

## Morel: nowe zarzuty?

**K**olejne głośne śledztwo — **sprawa Salomona Morela**, byłego komendanta obozu w Świętochłowicach-Zgodzie, który jeszcze w latach 90. mieszkał w Katowicach. Jakiś czas temu z wnioskiem o ekstradycję wystąpiły władze polskie. Był to wynik postępowania, jakie prowadziła Prokuratura Okręgowa w Katowicach, stawiając Morelowi zarzut znęcania się nad osadzonymi. Władze izraelskie odmówiły jednak wydania Morela twierdząc, że zgodnie z prawem Izraela przestępstwo znęcania się uległo przedawnieniu.

— W tej chwili pracujemy nad poszerzeniem zarzutów — mówi prokurator **Ewa Koj**, naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach. — Zwróciliśmy się do prokuratury w Dortmundzie, która też prowadziła postępowanie przeciwko Morelowi w podobnym zakresie, opierając się na zeznaniach świadków mieszkających w Niemczech. Dokumenty zostały przekazane do tłumaczenia. Mam nadzieję, że uda nam się ten zarzut tak sprecyzować, żeby można było ponownie wystąpić z wnioskiem o ekstradycję.

Jak ustalono, są dowody na to, że **Morel bezpośrednio dokonywał rękoczynów na osadzonych**. Był komendant obwiniany jest też o ewidentne zaniedbania graniczące ze zbrodnią, które polegały na świadomym dopuszczeniu do szerzenia się tyfusu latem 1945 roku w obozie w Świętochłowicach-Zgodzie, na skutek czego zmarło wielu więźniów.

Gdyby część zarzutów, jakie należy przedstawić Morelowi, uznano za zbrodnie przeciwko ludzkości, są szanse na to, aby władze izraelskie zmieniły stanowisko. Pozostaje zatem pytanie, czy zarzucane byłemu komendantowi obozu czyny zostaną w taki sposób zakwalifikowane.

— Bezczyнность w sprawie Morela zarzuciło władzom polskim Radio „Maryja” twierdząc, cytując z pamięci, że „Polska nic nie robi” — informuje dyr. Sikora. — W imieniu IPN, by dać odpór nieprawdziwej informacji, wysłałem list do Radia „Maryja”, pisząc o toczącym się w Katowicach postępowaniu prokuratorskim. Jak kamień w wodę.

Oboz w Jaworznie. Więźniów można podzielić na trzy grupy: Górnolazaków (1945—1947), Ukraińców (1947—1949) i młodocianych więźniów politycznych (1951—1956). Górnolazaków osadzano za to, że byli... Górnolazakami. Ukraińców przywieziono z Bieszczad, niektórych z Doliny Wołosatego — z wioski zrównanej z ziemią przez UB za współpracę jej mieszkańców z UPA, dzisiaj całkowicie opustoszałej. Wywodząca się w większości ze szkół średnich młodzież niepodległościowa z całego kraju wykazywała dystans do władzy ludowej i niepodatność na wpływy komunistyczne. Szła więc za druty.

We Wrocławiu istnieje bardzo prężne środowisko byłych więźniów — jaworzniaków. Utrzymują stałe więzi między sobą. Z uwagą przyglądają się trwającemu śledztwu, w którym coraz szersze kręgi zatacza wątek ukraiński — uwięzienie ze szczególnym udręczeniem. Wśród wielu tablic pamiątkowych poświęconych ludziom represjonowanym przez władze komunistyczne, które umieszczono na ścianie wrocławskiego kościoła św. Elżbiety, jest i ta: „Jaworzniakom — młodocianym ofiarom terroru stalinowskiego w latach 1944—1956”.

## Śladami partyzantów

**IPN**-owi nie zabraknie roboty w najbliższych latach. W tym roku instytut zamierza zająć się zbadaniem okoliczności zagłady getta będzińskiego. Temat nie był do tej pory podjęty szeroko w publikacjach naukowych. Prace badawcze obejmą także wydarzenia związane z działalnością organizacji niepodległościowych na terenie Zagłębia, w tym także w okresie II wojny światowej.

Jeśli chodzi o Armię Krajową i organizacje niepodległościowe będące jej kontynuacją po II wojnie światowej, to uwagę zwraca rejon Częstochowy i Lublińca, gdzie działało Konspiracyjne Wojsko Polskie, mające swoje korzenie na ziemi łódzkiej. Mapę historyczną województwa śląskiego uzupełnia działalność organizacji niepodległościowych w Beskidach, w tym NSZ. IPN bada wszystkie okoliczności działalności konspiracyjnej, łącznie z partyzantką lewicową.

— Badamy w jaki sposób działała Armia Ludowa, jakie były jej re-

lacje z innymi polskimi ugrupowaniami podziemnymi, jaki był jej stosunek do partyzantki radzieckiej, która w dużej mierze miała charakter tak zwanego głębokiego zwiadu — mówi dyr. Sikora. — Niezwykle interesująca będzie więc odpowiedź na pytanie, na ile partyzantka ta w czasie II wojny światowej zamierzała wspomagać miejscową ludność, a na ile realizowała tylko cele czysto wojenne Armii radzieckiej, która chciała mieć informacje na temat tego regionu.

Odrębny, tragiczny rozdział historii Śląska — zbrodnie komunistyczne. Jest ich sporo. Przykładem niech będzie choćby śledztwo w sprawie jednego z największych mordów komunistycznych na zbrojnym podziemiu, kiedy na skutek prowokacji ubeckiej wywieziono dużą część partyzantów z oddziałów NSZ „Bartka” na teren Opolszczyzny i tam wymordowano w nie wyjaśnionych do końca okolicznościach. Zginęło około 150 osób. Partyzanci mieli być przerzuceni do strefy amerykańskiej. Główny prowokator z UB nie żyje, zmarł nie tak dawno.

— Teraz znalezienie nawet grobów pomordowanych partyzantów byłoby sukcesem śledztwa — ocenia dyr. Sikora.

W 2001 roku instytut przejął materiały archiwalne Służby Bezpieczeństwa. Niedawno ujawniono, że wśród nich znajdują się dokumenty Inspektoratu Armii Krajowej z obszaru rybnickiego. Akta muszą kryć jeszcze niejedną zagadkę. Żaden historyk nie mógł przecież, z oczywistego powodu, ich penetrować. Dokumentację przejęło UB i zamknęło na kłódkę. Jakimś cudem materiały ocalały, leżąc przez 50 lat w archiwach bezpieki.

Amnestia 1947 roku. Nie był to akt dobrej woli ze strony państwa i komunistycznych władz, ale narzędzie do uchwycenia i zewidencjonowania ludzi z podziemia, których potem wsadzono do więzienia i skazywano na karę śmierci. Wyroki przez rozstrzelanie były wykonywane w wielkim pośpiechu, niemal natychmiast.

Lata 1956—1981 nie zaznaczyły się na Śląsku dużą liczbą dramatycznych wydarzeń. Poza marcem 1968 roku, który został nie tak dawno udokumentowany w ramach sesji naukowych IPN. W Katowicach i Bielsku-Białej były wszakże demonstracje młodzieży i idące w ślad za tym represje wobec śro-



dowiska studenckiego. Wielu młodym ludziom wydano wtedy „wilcze bilety”, co nie pozostało bez negatywnego wpływu na ich przyszłość.

IPN doprowadził do końca sprawę Barbary W. — oficera SB z Częstochowy, która odpowiada przed sądem za przekroczenie uprawnień, polegające na niewłaściwym wykonywaniu przeszukań — rewizji osobistych. Oskarżona kobieta miała naruszyć w ten sposób godność osobistą członków tamtejszego biskupiego komitetu pomocy. Barbara W. do niedawna jeszcze pracowała w policji. Kilka rozpraw już się odbyło. Są kolejne terminy.

— Jest to jedyne postępowanie z obszaru katowickiego IPN zakończone aktem oskarżenia — mówi prok. Koj.

## „Wujek” po raz trzeci

**Być** może drugim aktem oskarżenia zakończy się śledztwo prowadzone przez IPN w sprawie pacyfikacji kopalni „Wujek” i „Manifest Lipcowy”. Wszystko jest na najlepszej drodze, tym bardziej, że proces byłych milicjantów z oddziałów ZOMO oskarżonych o strzelanie do górników rozpocznie się po raz trzeci.

Stało się to możliwe dzięki orzeczeniu Sądu Apelacyjnego w Katowicach sprzed kilku tygodni, który uznał, że użycie broni przeciwko górnikom „Wujka” i „Manifestu Lipcowego” należy traktować jako zbrodnię komunistyczną, a ta nie ulega przedawnieniu.

Śledztwo prowadzone przez IPN jest konsekwencją wcześniejszych dwóch wyroków uniewinniających, które wykazały, że materiał dowodowy zebrany przez prokuraturę jako kompletny nie dostarczył — zdaniem sądu — bezpośrednich podstaw do oskarżenia milicjantów.

— Po przeprowadzeniu ponadrocznego postępowania w IPN jesteśmy pewni, że dowodów nie ma, dlatego, że nie zebrały ich osoby, które do tego z racji wykonywanego zawodu były upoważnione — mówi prok. Koj. — Nie zebrano tych wszystkich bardzo istotnych dowodów, które mogłyby spowodować przypisanie winy konkretnym osobom. Zrobiono to celowo.

W kopalni „Wujek” interweniujący 17 grudnia 1981 roku mili-

cjanci z oddziałów ZOMO strzelali do górników, zabijając dziewięciu z nich. W tym samym dniu rozpoczęło się, trwające do 20 stycznia 1982 roku, śledztwo prowadzone przez prokuratorów wojskowej prokuratury garnizonowej w Gliwicach. W miesiąc postępowanie zostało zakończone i umorzone.

Wiele wskazuje na to, że robota prokuratorów polegała raczej na zacieraniu śladów zbrodni niż ustaleniu rzeczywistego przebiegu wydarzeń. Trudno uwierzyć, by nie zdawali sobie oni sprawy z tego, jak wielkie znaczenie dowodowe ma zabezpieczenie łusek i broni, z której strzelano, ustalenie, kto miał broń z ostrą amunicją oraz jak ważne jest dokonanie oględzin miejsca śmierci górników i zabezpieczenie dokumentacji milicyjnej. Tego jednak nie zrobiono.

## Prokurator się nie przyznaje

**Dwaj** byli prokuratorzy wojskowi zostali przesłuchani przez IPN. Postawiono im zarzut utrudniania śledztwa i nie dopełnienia obowiązków służbowych. Jeden odmówił składania wyjaśnień, oświadczył, że do niczego się nie przyznaje. Drugi — również nie przyznając się do winy — złożył obszernie wyjaśnienia, twierdząc, że taki był czas, że tak musiał działać.

— Jest za wcześnie, by mówić o tym, kto nakazał im zacieranie śladów — dodaje Ewa Koj. — Kolejne zarzuty postawione będą byłym prokuratorom wojskowym wyżej usytuowanym w hierarchii władz prokuratorskich PRL.

„Kopalnia Wujek po raz trzeci” — krzyczała tytułem na pierwszej stronie „Rzeczpospolita” z 1—2 marca tego roku, pisząc o wznowieniu procesu. A w komentarzu przejmujące zdania: „To jeden z największych grzechów III Rzeczypospolitej. Grzech, który nie tylko obraża pamięć i ofiarę poległych, ale również demoralizuje pokolenia współczesne. Nie można bowiem budować w pełni demokratycznego państwa prawa, nie rozliczając i nie poznając jego przeszłości. A tak jest dzisiaj w Polsce. Jedynie ofiary są prawdziwe. Cała reszta — sprawcy bezpośredni, wydający rozkazy, a przede wszystkim politycznie odpowiedzialni za czas bezprawia — pozostają bezkarni”.

Dyr. A. Sikora, przypominając sprawę Grzegorza Przemyka, dodaje:

— W procesie Przemyka skazano tych, którzy byli całkowicie niewinni. Widać więc, jak dalece potrafią sterować mechanizmem ukrywania prawdy. To była szkoła UB — udoskonalona i poprawiona w fałszowaniu i fingowaniu procesów przez organy bezpieczeństwa. Te sprawy musiały trafiać na biurka najważniejszych urzędników w państwie. Również szereg działań z okresu stanu wojennego miało charakter bezprawia. Poczynając od tego, że już samo skazanie na podstawie dekretu o stanie wojennym, który był rozpowszechniany od 17 grudnia, a skazywano ludzi za ich działalność z 14 grudnia, świadczy o bezprawnej działalności organów państwa. Bezprawne były wieloletnie wyroki, bezprawne było więzienie.

A co z powszechnym przekonaniem o biciu aresztowanych osób w stanie wojennym oraz o istnieniu słynnych „ścieżek zdrowia”? Nie znajduje to potwierdzenia w badaniach katowickiego IPN. Świadcowie niechętnie zresztą chcą wracać do wydarzeń, które dotknęły ich boleśnie, niechętnie mówią o doznanych krzywdach.

Oczekują dwóch rzeczy — prawdy i sprawiedliwości.

## Apel INP

*W związku z przygotowaniem do wystawy poświęconej deportacjom Górnolazaków do ZSRR w 1945 roku Biuro Edukacji Publicznej Oddziału IPN w Katowicach zwraca się z prośbą o udostępnienie pamiątek związanych z tym wydarzeniem (korespondencja, notatki, również zrobione później, zdjęcia osób deportowanych, przedmioty związane z pobytem w ZSRR). Gwarantuje się zwrot udostępnionych przedmiotów. Otwarcie ekspozycji planowane jest w listopadzie br. IPN będzie wdzięczny za wszelką pomoc w jak najlepszym i najpełniejszym przedstawieniu tej przemiłczanej przez lata tragedii.*

**Adres i telefon: Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice, tel. 60-99-871 i 60-99-872.**



Katowicka „Camerata Silesia” po koncercie w Kolonii

# Kultura otwiera drzwi

Chyba każde miasto, każda śląska gmina ma podpisaną partnerską umowę o współpracy z miastami i gminami niemieckimi, holenderskimi, francuskimi czy nawet amerykańskimi. Odnoszę jednak od lat wrażenie, że owe partnerstwa na ogół ograniczają się do oficjalnych kontaktów urzędniczo-administracyjnych, z których niewiele wynika. A szkoda, i jest to chyba nasza wina, bo zachodni samorządowcy do takich partnerstw przywiązują większą niż my wagę, nawet jeśli ich zapal studzi nierówny podział kosztów. Bo za przyjaźń i współpracę — niestety — trzeba płacić. Czy wiemy dlaczego i czy wiemy, że takie inwestycje w przyszłość zawsze są korzystne? Czy wiemy, jaką niewymierną wartość mogłyby przynieść także tzw. wymiany kulturalne?

Na jednej z niedawnych publicznych debat dyrektor Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach Joanna Wnuk-Nazarowa apelowała w obecności kilku ministrów, przedstawicieli władz wojewódzkich i menedżerów poważnych firm, by zawiadujący administracją, gospodarką i międzynarodowym obrotem handlowym pamiętali o ludziach kultury, których praca może być poręcznym elementem w promocji za granicą wszystkiego co nasze, co polskie. Ma to kapitalne znaczenie w przeddzień akcesji do Unii, a i w następnych latach nadal trzeba będzie przekonywać naszych europejskich partnerów, że nie jesteśmy znikąd, że stoją za nami godne szacunku tradycje i kulturalne dziedzictwo. Ale czy ten głos został wysłuchany? Czy nie po-

traktowano go jako jeszcze jednej formy narzekania i biadolenia?

Piszę o tym w kontekście prezentacji dorobku kulturalnego województwa śląskiego, jakie niedawno zakończyły się w Nadrenii Północnej-Westfalii (relację z pierwszej części tego dużego przedsięwzięcia zamieściliśmy w nr 12/2002). Przypomnijmy, że ten festiwal polskiej i śląskiej kultury był efektem wcześniejszego porozumienia, jakie w roku 2000 województwo śląskie podpisało z landem Nadrenia Północna-Westfalia. Jesienią większość imprez odbyła się w Düsseldorfie, wiosną — w Kolonii (mieście — nawiasem mówiąc — od lat mającym partnerstwo z Katowicami).

Pierwsza część nadreńskich prezentacji była bogatsza, programowo bardziej urozmaicona, bardziej spektakularna, bo też wyłożono wtedy o wiele większe pieniądze (koncertował m. in. NOSPR, tyskiej Orkiestrze Kameralnej „Aukso” towarzyszył wybitny polski pianista młodej generacji Piotr Anderszewski, który — podobnie jak Hanna Schygulla występująca w jednoosobowym recitalu według Brechta — przyleciał do stolicy Nadrenii Północnej-Westfalii wprost z Paryża). Tym razem budżet był skromniejszy, więc i dawka kultury musiała być mniejsza. Ale i tak ponownie zaproszono wieloosobowy Zespół Śpiewaków Miasta Katowice pod dyktando Anny Szostak, który w jednym z najstarszych kolońskich kościołów dał bardzo piękny koncert. Ponadto występował także Kwartet Śląski, który przedstawił m.in. kompozycje Henryka Mikołaja Góreckiego i Aleksandra Lasonia. Z kolei w Konsulacie RP w Kolonii bardzo korzystnie zaprezen-

tował się złożony z młodych instrumentalistów Kwartet Akademos. Były również koncerty jazzowe, potwierdzające wysoką markę, jaką nie tylko w naszym kraju ma muzyka tworzona przez absolwentów katowickiego Wydziału Muzyki Rozrywkowej i Jazzu (m. in.: Trio Joachima Mencla).

Nie zabrakło też akcentów plastycznych. W prestiżowych salach Stadtmuseum w Düsseldorfie dużą wystawę zorganizowano Jackowi Rykale, zaś kilkaset metrów obok, w Instytucie Polskim — wśród „śląskich mistrzów dnia siódmego” znalazł się Erwin Sówka, ostatni z żyjących artystów tzw. Kręgu Janowskiego. Obie wystawy cieszyły się dużym zainteresowaniem.

Za organizację i powodzenie Dni Kultury Województwa Śląskiego (Obeschlesien an Rhein und Ruhr) odpowiadała katowicka Instytucja Kultury „Ars Cameralis Silesiae Superioris”, która w swój statut wpisana ma właśnie działalność promocyjną poza granicami kraju. Ale chciałoby się, by tego typu przedsięwzięcia, niekoniecznie tak duże i tak spektakularne, stały się codziennością. Niestety — jest inaczej. Nawet śląscy muzycy, których wysoka klasa znana jest nie od dziś, mniej podróżują po Europie, niż przed laty. Coraz trudniej się przebić, zwłaszcza gdy myślimy o prawdziwie ważnych festiwalach, konkursach, o prestiżowych salach. Liczy się bowiem nie tylko pieniądź, ale i działania marketingowe, które muszą towarzyszyć eksportowi polskiej kultury. A z tym nie jest najlepiej, nawet w przypadku „towarów” komercyjnych czy policzonych na szerszą niż kameralna publiczność.

Plastyki są w jeszcze trudniejszej sytuacji, bo w ich przypadku od razu trzeba wcale niemałe pieniądze wkładać na promocje, ubezpieczenia, cła etc. Jeśli wystawiają na Zachodzie, to raczej w niewielkich prywatnych galeriach. Filmowcy zaś w ogóle są w odwrocie i nie ma sensu powoływać się na wielkie międzynarodowe sukcesy Polańskiego czy Wajdy, bo one tylko zaciemniają mizerny obraz polskiego kina, o którym w Europie wie się niewiele lub zgoła nic. Międzynarodowe kontakty literackie, gdy odnosić je do polskich środowisk, właściwie też zamarły. Zwłaszcza w wymiarach międzyregionalnych.

Jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy? Czy tylko finansowe? Te zapewne są bardzo ważne i — co tu kryć — deprymujące. Ale równie ważne są blokady świadomościowe. Nasi samorządowcy i biznesmeni nierzadko nie wykazują zrozumienia dla spraw kultury. Nie wiedzą, że za granicą mogliby mieć w ludziach kultury swoich sojuszników. Kultura potrafi otworzyć niejedne drzwi.

Jerzy Chromik, spośród śląskich mistrzów najczęściej poprawiał międzynarodowe rekordy, bijąc trzy razy rekord świata w biegu na 3000 m z przeszkodami a także ustanawiając rekord Europy na dystansie 2 mil. Takiej sztuki nie zanotował nikt inny, ani spośród lekkoatletów, ani ciężarowców, ani przedstawicieli innych wymiennych dyscyplin sportu.

Lista rekordów byłaby niepełna, gdyby nie wspomnieć o aż 23 poprawkach w tabelach rekordów Polski. A przecież Jerzy Chromik to nie tylko rekordowe, ale i medalowe biegi: tytuł mistrza Europy w Sztokholmie na 3 km z przeszk. (1958) oraz aż 11 tytułów mistrza Polski na 3, 5 i 10 km, w biegu przeszkodowym oraz w przełajach. Dodać trzeba, że Chromik był pierwszym Polakiem, który w biegu na 3000 m (płaskie) uzyskał czas poniżej 8 minut, a na 5000 m poniżej 14 minut. Dwukrotnie też reprezentował Polskę na igrzyskach olimpijskich (1956 i 1960).

A przecież nic nie zapowiadało, że urodzony w Kosztowach w 1931 r. (dziś dzielnica Mysłowic) chłopak wyrośnie na tej klasy biegacza, ba, w ogóle na sportowca. Bo był dzieckiem chorowitym i słabym fizycznie. Do tego stopnia, że lekarz szkolny w Męskim Gimnazjum im. T. Kościuszki w Mysłowicach, zwolnił go z bardziej intensywnych zajęć wf-u i zakazał uprawiania sportu. I pewnie talent by przepadł, gdyby Jerzy, po zdaniu tzw. małej matury, nie przeniósł się do Liceum Mechanicznego w Zabrze. Tam sportu mu nie zakazano, wprost przeciwnie. Wziął udział w Biegach Narodowych i... zwyciężył. To sprawiło, że zainteresował się nim trener Jan Vorreiter i... zaczęła się sportowa przygoda Jurka. Najpierw jako zawodnik Unii Kosztowy, potem Górnika Zabrze. Chromik pisał się po szczeblach wyczynowej kariery, a najpiękniejszy jej etap rozpoczął się z chwilą spotkania z trenerem Janem Mulakiem, legendarnym już twórcą równie legendarnego Wunderteamu.

Niektóre sceny z bogatego życiorysu Chromika przeszły do historii nie tylko polskiej lekkiej atletyki, jak np. wspomniany już zwycięski bieg na ME w Sztokholmie na 3 km z przeszkodami czy rywalizacja na tym samym dystansie w meczu Polska - USA w 1958 r., gdy Chromik trzeci raz pobił rekord świata rewelacyjnym na owe czasy rezultatem 8:32,0. A przecież oprócz wyników w pamięci zapisał się też styl, w jakim biegał znakomity polski długodystansowiec.

Po zakończeniu sportowej kariery Chromik ukończył studia na Wydziale Górniczym Politechniki Gliwicz-

## Sportowe legendy



## Inżynier od rekordów

kiej, pracując jednocześnie w kopalni „Wujek”. Zmarł nagle 20 października 1987 roku, w rok po przejściu na emeryturę. Jeszcze za życia, w 1984 r. Uniwersytet Jagielloński uhonorował go prestiżowym meda-

lem „Kallós Kagathos” („Piękny i Dobry”), w dowód uznania dla postawy nie tylko na bieżni ale i poza nią - w nawiązaniu do platonowskiej idei harmonii ciała i ducha. Bo dla Chromika sport był radością życia, a zarazem sposobem pracy nad sobą i walki z własnymi słabościami.

Dziś takich sportowców już nie ma - chciałoby się powiedzieć. Inne to jednak były czasy, inni ludzie - mówił mi o tym zmarły ostatnio Zdzisław Krzyszkowiak, kolega z bieżni Chromika, którego o tamte czasy miałem przyjemność pytać, gdy był on kilka lat temu gościem zawodów o Memoriał Jerzego Chromika w Mysłowicach.

- Dlaczego nagle pojawiła się grupa świetnych polskich zawodników? Chromik, Zimny, Jochman, Ożóg i ja, byliśmy znani w Europie, a potem i na całym świecie. Ja uważam, że Mulak tworząc wtedy szkołę biegania, tworzył ją dla nas, dla biegaczy. Ta nasza „piątka” była bardzo filigranowa, każdy z nas ważył poniżej 60 kg i trener stwierdził, że musi opracować jakiś specjalny rodzaj treningu, że nie możemy naśladować Czecha Zatopka czy Rosjanina Kucy, że powinniśmy mieć swój system przygotowań do startu. Ta nasza szkoła biegania polegała na zabawach biegowych, luźniejszych treningach w plenerze na tzw. azymut, po harcersku - w lesie, żeby nie obciążać zbytnio psychiki „piłowaniem” odcinków bieżni. I to się Mulakowi udało - wspominał pan Zdzisław. - Nasze wyniki szły bardzo szybko w górę, do tego stopnia, że po 2-3 latach już byliśmy w międzynarodowej czołówce, a potem doszło nawet do tego, że biliśmy rekordy świata. Rekordy w okresie, gdy nie było w sporcie komercji, gdy biegano się dla przygody. Za branie pieniędzy groziła przecież dożywotnia dyskwalifikacja. Niektórzy teraz mówią mi, że „urodziłeś się za wcześnie, bo gdybyś teraz biegał to miałbyś duży szmal”. W moich czasach nie znano też dopingu. Dopinguem była możliwość wyjazdu za granicę, zobaczenia kawałka świata. Można było wtedy wyjechać tylko, gdy się było dobrym sportowcem. I to był nasz cel.

Dziś już nie ma ani Chromika ani Krzyszkowiaka. A wspomniane memoriałowe zawody w Mysłowicach - bieg crossowy ulicami i alejkami parkowymi, organizowane są od 1989 r. - w październiku, rok po roku, z inicjatywy niedysyjszego kolegi Chromika, działacza miejscowego MOSiR - Józefa Szendery.

I tylko tyle pozostało z dawnej potęgi polskich biegaczy długodystansowych.

JERZY MACHURA



Ktokolwiek oglądał transmisję z oscarowej gali (na żywo, bądź z poślizgiem) nie mógł nie słyszeć na własne uszy, jak Adrien Brody, oszłomiony sukcesem, dzierżąc statuetkę Oscara, podziękował Romanowi Polańskiemu „za rolę życia”. A oto gazeta New York Post opublikowała głupi i w gruncie rzeczy podły tekst, w którym podaje swoim czytelnikom do wierzenia, że Roman Polański był wściekły, iż Adrien Brody nie podziękował mu za rolę. W rezultacie Polański miał powiedzieć, że nie ma zamiaru więcej pracować z Brodym. Nikczemne kłamstwo! Roman Polański mógłby odesłać autora tego tekstu, a w ślad za nim czytelników nowojorskiej gazety do relacji z oscarowej gali, ale wie doskonale, że gala to już przeszłość, a liczą się nowsze od niej fakty medialne. Dlatego oznajmił publicznie: „Jestem zaskoczony, czytając o sobie takie słowa. Mogę jedynie zapewnić, że nigdy nie powiedziałem, ani nawet nie pomyślałem tego, co mi się przypisuje. Kiedy wysłuchałem mowy Adriana, skakałem z radości. Czuję wtedy - i czuję nadal - ogromną wdzięczność i miłość dla Adriana. Bez niego nie byłoby PIANISTY. Cóż więcej mogę powiedzieć, żeby rozwiązać to kłamstwo”.

Zaiste, niczego więcej powiedzieć nie sposób. Zwraca wszakże uwagę ton tej wypowiedzi, bardzo poważny; Roman Polański zdaje sobie sprawę, że - jak przed laty - tak i dzisiaj są w Ameryce ludzie, którzy nie mogą mu darować..., ano właśnie, czego: obłapianki z nastolatką-kurewką? A co to kogo obchodzi poza jakimś zapyziałym sędzią, któremu, w bardzo nudnym życiu kauzyperdy trafiła się jedna głośna sprawa, ze sławnym oskarżonym w roli głównej. Są jednak tacy, których ten przybysz z jakiejś tam właściwie prowincji sowieckiej przyprowadził o silny ból głowy. Zebyż był po prostu zdolny. Ale on poważił się być geniuszem! Mało tego! On chciał im narzucić siebie, swój styl życia, swoje widzenie nie tylko świata - mniejsza o świat! - ale widzenie Ameryki, życia Amerykanów, ich wiary i niewiary, to, że - co pokazał w „Chinatown” - za nic mają moralność, modlą się do pieniądza i nieobca jest im wszelka nikczemność. Skandalista. Jeszcze jeden Lary Flint.

Dlatego Roman Polański zareagował spokojnie, z należytą powagą, bo wie, że komuś nie jest w smak tryumfalny pochód PIANISTY przez niezliczone ekrany Ameryki. To nie jest ich film, to nie jest towar z ich fabryki. Nie dano mu pozłacanej statuetki w kategorii „najlepszy film”, a przecież PIANISTA (przekonuje się o tym również polski widz, który już obejrzał „Chicago”, „Godziny”, „Gangi Nowego Jorku” i „Schmida”) jest dziełem zupełnie innego ciężaru niż

# Dookoła Oscara



„Chicago” (o którym szerzej piszę w felietonie „Poza kadrem”). Przy czym jest to film świetny, momentami budzący szczerzy zachwyt, ale to jednak zdecydowanie - by posłużyć się terminem ukutym przez Karola Irzykowskiego: lżejszy kaliber... Przesłanie, jakie płynie z PIANISTY, trafia prosto w serce, wdzierając się do naszych sumień, zmusza do zadania sobie kilku elementarnych pytań, w rodzaju: a czy ja, gdybym się znalazł..., etc. Jest to wreszcie film, który, jak wielka literatura - jak Dostojewski i Faulkner, Camus i Conrad - nawet w dantejskim piekle, jakie człowiek zgotował człowiekowi, znajduje okrucieństwo człowieka, nieusuwalny znak ludzkiej, bezinteresownej dobroci.

Polański dostał złotą statuetkę za najlepszą reżyserię. Zasłużenie. Ale doskonale wyreżyserować film, a stworzyć dzieło wielkiej wagi, które jest pokarmem nie tylko dla oczu, lecz i dla rozumu, to nie jest to samo, to nawet nie jest coś, co można porównywać. Stephen Daldry (pamiętny twórca „Billy Elliota”) po mistrzowsku wyreżyserował film „Godziny” (The Hours”), mroczną opowieść o trzech kobietach (doskonałe role Nicole Kidman, Meryl Streep i Julianne Moore), z których jedna jest Virginią Woolf, a wszystkie trzy łączy powieść tej wybitnej angielskiej pisarki pt. „Pani Dalloway”. Precyzyjne, a przy tym swobodne jak oddychanie, splecenie trzech odrębnych wątków w jedną głęboko poruszającą opowieść - to wystarczający powód, by przyznać twórcom „Godzin” oscara za reżyserię. Pod warunkiem, że oscar „dla najlepszego filmu” trafiłby do rąk twórcy PIANISTY. (N.b. od pewnego czasu osoby rozrywające kopertę i odczytujące werdykt Amerykańskiej Akademii Filmowej, nie wypowiadają, jak było w zwyczaju: „... and the winner is...” (i zwycięzcą jest...) - tu padało nazwisko laure-

ata lub laureatki, lecz „... and the Oscar goes to...” (i oscar idzie do...), co jest istotną zmianą semantyczną. Nie o zwycięzcę bowiem idzie w tej rywalizacji, bo to nie wyścig rydwanów, lecz jedynie o wskazanie osoby - równej wśród równych - do której po prostu uśmiechnął się los. Wprawdzie James Cammeron po odebraniu oscara za „Titanica” (m.in. w kategorii najlepszy film roku), krzyknął: „I’m a king of the world!”, ponieważ emocje są potężne, ale ta zmiana jest rozumna.

Zbigniew Zapasiewicz wyraził zdziwienie („Dlaczego akurat Brody?”) na wieść, że odtwórca roli Władysława Szpilmana otrzymał oscara. To nie jest głos, który wolno zbagatelizować, bowiem jest to głos wielkiego aktora, który, gdyby wychował się w języku angielskim, byłby godnym rywalem Jacka Nicholsona, o ile, oczywiście, zostałby aktorem. Zbigniew Zapasiewicz ma swoją rację, bo na przykład Jack Nicholson zagrał, chciałoby się powiedzieć, genialnie tytułową rolę w filmie „Schmid”. Adrien Brody miał prawo spodziewać się, że oscar trafi właśnie do rąk Jacka Nicholsona. I gdyby tak się stało, nikt by nie podważył celności wyboru członków Akademii. A już na pewno najgłośniej by kłaskał. Adrien Brody jest bowiem człowiekiem nadzwyczaj inteligentnym, i wie jakim dziełem jest rola Schmidy. Przypomnę jednak nieukrywaną radość Jacka Nicholsona z sukcesu Adriana Brody’ego. Stary hollywoodzki mistrz wie bowiem, że on sam, a także David Jay Lewis (nominacja za rolę w „Gangach Nowego Jorku”) umieją więcej, niż ten młody aktor z Nowego Jorku. Ale Jack Nicholson wie, bo zna magię kina jak mało kto na świecie, że w dniu, w którym na ekranie pojawiła się szczupła sylwetka blisko dwumetrowego Adriana Brody’ego o wielkich, smutnych oczach zranionego dziecka, do wielce elitarnych grupy niezapomnianych postaci światowego kina dołączył Pianista. I Jack Nicholson wie, że ci wybrańcy bogów zrobili między sobą miejsce dla Adriana Brody’ego.

Oto dlaczego właśnie on dostał oscara.

Martin Scorsese zrobi z pewnością lepszy film od „Gangów Nowego Jorku”, był smutny w czasie oscarowej gali, ale chyba już wie, że ten pomysł był „przenoszony”.

I wreszcie, jedno trzeba powiedzieć, czego nie ukrywa Roman Polański. Także Adrien Brody. Bez wspomnień Władysława Szpilmana, bez jego powściągliwej relacji z podróży do kresu nocy w okupowanej przez nazistów Warszawie, nie byłoby tego filmu. Nie byłoby filmu tej rangi.

FELIKS NETZ

## *Sobie na trzydzieste urodziny*

wybierał słowa  
których nikt nie lubił  
układał wiersze  
lecz ich nie czytano

stawał często przy oknie  
z widokiem na staw  
wpatrywał się w wodę

gdy zasiadał za biurkiem  
nie pamiętał zdań  
jakie chciał napisać

wciąż ponawiał próby  
uporczywie trwał  
jakaż retoryka była w jego gestach

mijały lata  
blakły włosy  
gasła w oczach ziemia

dopracował się w końcu  
rzeczy najtrudniejszej  
poetyki oczekiwania  
daremnego

## *Ojczy*

przychodzisz do mnie coraz częściej  
uśmiechnięty  
młodszy

z każdym dniem  
im bardziej oddalasz się  
tym jesteś bliżej

dzisiaj widziałem ciebie w naszym opustoszałym domu  
przechodziłeś przez zimne pokoje

czy mieszkasz tu gdy nas nie ma  
czy tylko zajrzałeś na chwilę

w moim śnie

★ ★ ★

nie,  
również tobie  
nie wygłoszę pogrzebowej mowy,

jeżeli napiszę szkic,  
nie będzie o twej śmierci,

żyj,  
trzymaj się łapczywie tej ostatniej gałązki,  
jakby od tego zależał los świata.

## *Mylisz się śmierci*

Miałeś przyjaciół?  
Wielu?

Miałem.

A teraz gdzie są,  
powiedz,  
umierasz sam.

Są wszędzie, również teraz  
pełno ich w mojej pamięci,

mylisz się, śmierci.

## *Duszyczko moja*

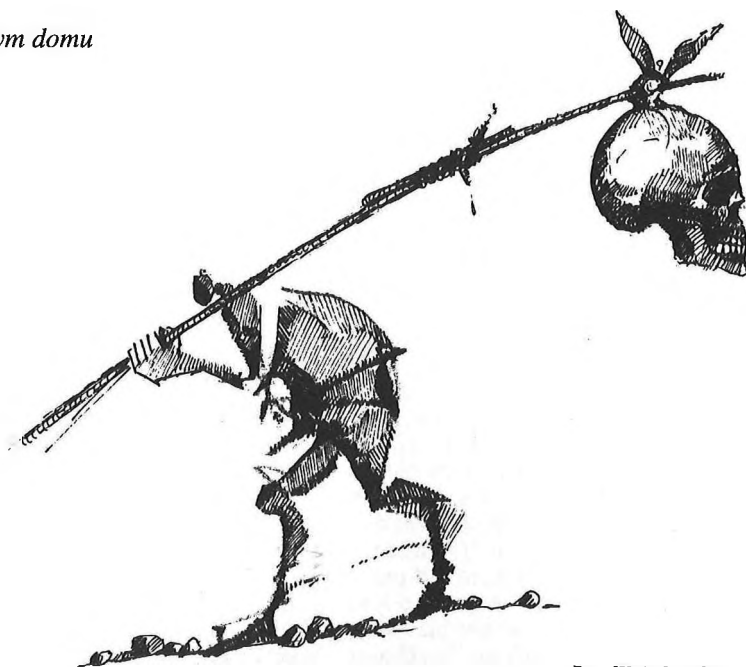
nie bój się,  
szybo zlecą dwa tygodnie snu;

zniknie nędzna powłoka,  
zabieleje kość;

pomyśl: przez śmierć całą  
będziesz tworzyć proch;

ten wspomni.  
tamten minie;

o, jakaż to prosta  
koniugacja bytu.



Rys. Wojtek Łuka

## Litery

Ustawiam litery.

Zbijają się w jeden rządek,  
Posłuszne.

Milcząc,  
pokornie wyczekują.

W ich doskonale wydatnych  
żebach  
gości śmierć.

## Tobolek

są jednak rzeczy,  
które należy zabrać do grobu,

maleńki tobolek  
na całą śmierć.

## Autoportret

wyostrzyły mi się rysy  
poorała twarz  
oczy osadziły głębiej

co ja tu robię  
w kruczej gromadzie  
zabawnie młody i stary

pamięć w inne wlatuje przestrzenie  
dreszcz mnie przesywa  
dreszcz

★ ★ ★

z Songana

Stoją przy drodze, nagie,  
Dwa kamienne posągi Buddy.

Wiatr je owiewa,  
Chłoszczą zamiecie i deszcze.

Zazdrość im. Nie wiedzą,  
czym jest rozstanie.

## Król drzew

jest tak:

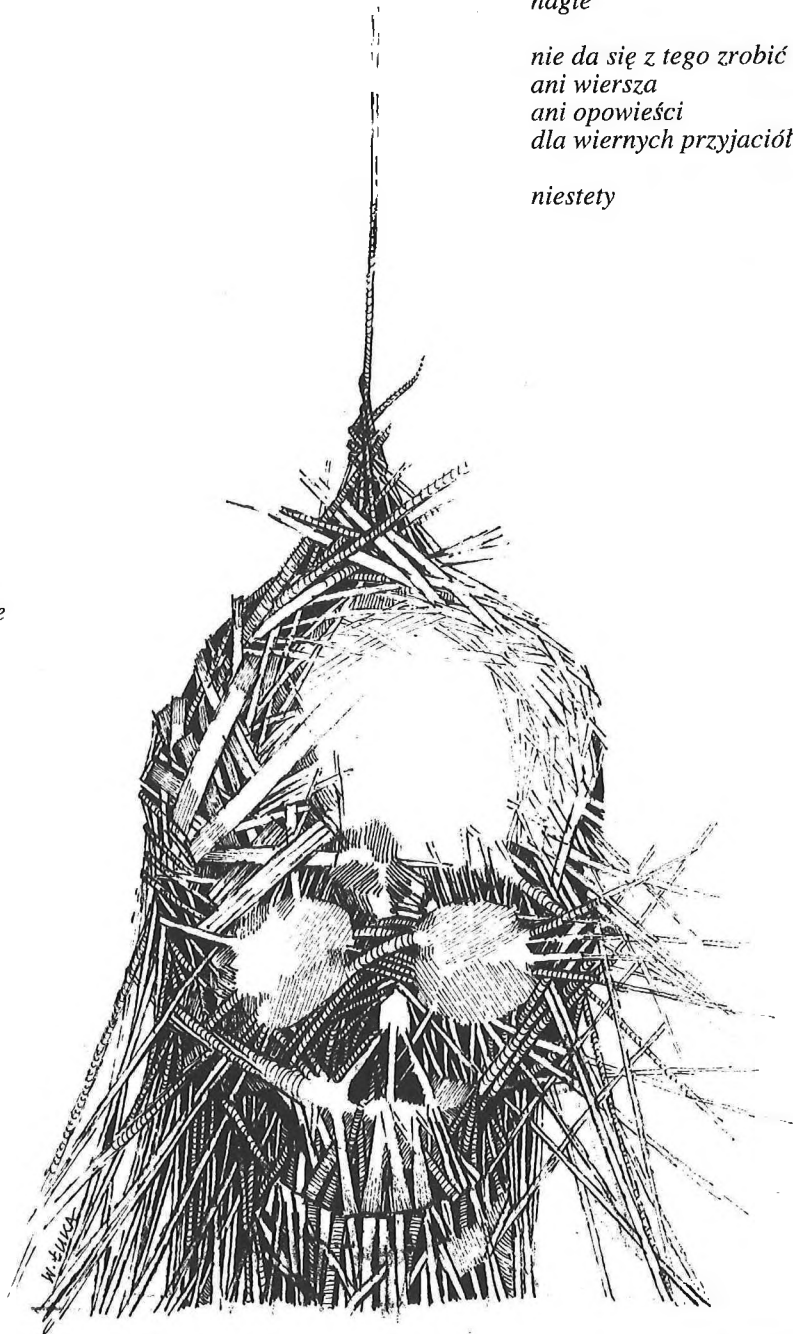
wyciąga do mnie rękę  
trwa chwilę  
ożywiony w tej pozie

moja ręka drewnieje  
skóra staje się korą  
lecz stopy odczuwają  
ciepłą wibrację piasku

i to przemija  
nagle

nie da się z tego zrobić  
ani wiersza  
ani opowieści  
dla wiernych przyjaciół

niestety



Rys. Wojtek Łuka

MARIAN KISIEL



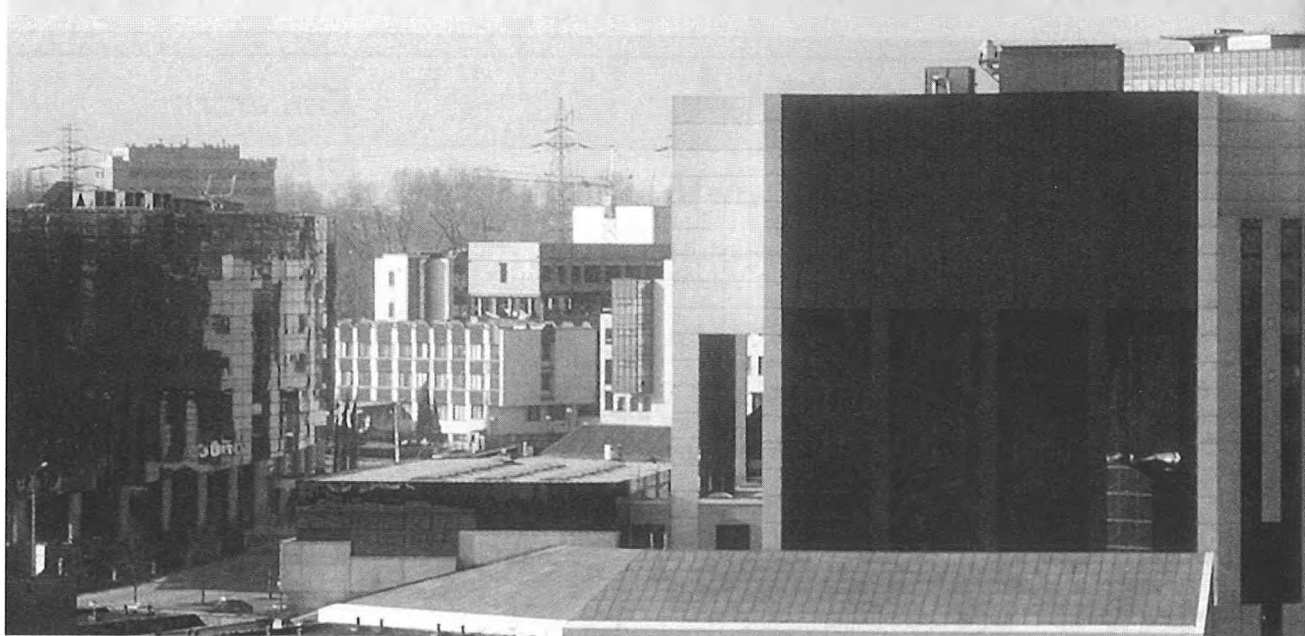


Foto: Andrzej John-Przewłocki

Szkło i aluminium wśród kamienic z XIX wieku

# Katowice City

Szczerniały ze starości, a jeszcze przed wiekiem czerwone cegły zastępują dziś szkło i chrom. Czy taki ma być nowy wizerunek Katowic? Jaką tkankę miasta utworzą bezduszne wieżowce? Jakich ludzi będą przyciągały? Czym będzie się różniło właśnie to miasto od setek identycznych, rozrzuconych na mapie świata? Pytań jest co najmniej tyle, ile nowych budynków, tworzących nową rzeczywistość śląską.

Jednym jest zwyczajnie żal starych familoków, mówią o bezpowrotnie ginących pod szkłem i chromem śladach kultury. Inni z nadzieją patrzą na strzeliste wieżowce i płynące wzdłuż ulic okręty nowej armady nowoczesnych na wskroś obiektów.

- Ścisłe centrum miasta nadal przyciągać będzie zwyczajnych ludzi: robiących zakupy, spieszących na dworzec, podążających do pracy. Jednak nowe City jest tu, w okolicy Chorzowskiej 50 - mówi **Ryszard Żmija**, dyrektor zarządzający Centrum Banku Śląskiego.

Kreśli śmiało, ale nie pozbawioną podstaw, wizję nowego miasta. Co prawda w okolicy ul. Chorzowskiej w Katowicach są jeszcze stare budynki Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej, zaniedbane place, chylące się ku upadkowi hale, ale niebawem

zgarnie je pod siebie łyżka koparki i wyrówna walec. Za 10-15 lat budynek Centrum wejdzie w skład zachodniej części Katowice City. Ogarnie ona kwartał od atrium banku przy ulicy Sokolskiej, pobiegnie wzdłuż Chorzowskiej 50, do wybudowanej od głębokich warstw ziemi nowej ulicy Stęślickiego, aż po Mickiewicza.

Ta część miasta z Centrum Banku Śląskiego - jego udziałowcami są Bank Śląski i NU Buildco z Luksemburga, z budynkiem Stalexportu i nowymi, wpisanymi w papierowy na razie krajobraz miasta na wskroś nowoczesnymi budowlami, przyciągnie tysiące ludzi.

- To będzie nasze śląskie Wall Street, przyciągające ludzi spotykających się w interesach lub przychodzących tu z ciekawości - mówi dyr. Żmija. - Nie będzie to jednak pasaż do odwiedzania przez ludzi robiących zakupy, wpadających do kawiarni czy zegarmistrza. Taką Golden Street będzie ul. Mickiewicza.

Przedsmak tego, dla kogo budowane są nowe obiekty, daje już Chorzowska 50. Centrum Banku Śląskiego wybudowała polsko-belgijska spółka Cocefi, ta sama, która stworzyła m.in. Centrum Finansowe Puławska w Warszawie. Kompleks biznesowy z punktami obsługującymi ludzi zajmujących się interesami - taki ma być ten teren. Już dziś na

Chorzowskiej 50, na prawie 20 tys. metrów luksusowej powierzchni biurowej zasiedlonej już w 75 proc. moszczą się wygodnie takie giganty, jak PKN Orlen, Polskie Huty Stali, Nationale Nederlanden. Na parterze, na 2,5 tys. metrów powierzchni usługowej - przedstawicielstwo przewoźników lotniczych, elegancka kwiaciarnia, salon mebli biurowych, ubezpieczyciele, kancelarie prawne, wytworna winiarnia, salon samochodów od 100 tys. zł wzwyż za sztukę. Ale też pralnia, biura podatkowe, a do tego 660 miejsc parkingowych. Bez przypadkowej działalności - bo też nie dla przypadkowych ludzi budowany obiekt. Tam zresztą przypadkowych osób nie ma. Nie uświadczysz tam przechadzających się par, rodzin z dziećmi, zadumanych, siedzących na ławce starszków.

- Dobrze usytuowany w centrum miasta budynek, reprezentacyjny, mieszczący poważne firmy, które odwiedzają zamożniejsi klienci - tak o powodach ulokowania przy Chorzowskiej 50 salonu Chryslera mówi jego kierownik, **Wojciech Porębski**. - Nie przeszkadza nam, że budynek nie tworzy części pasażu, po którym przewijają się dziesiątki osób. Nikt nie kupuje naszego auta pod wpływem impulsu. Ze względu na cenę jest to dobrze przemyślana decyzja. Ale ludzie, którzy takie decyzje po-

dejmują, odwiedzają Centrum Banku Śląskiego postawione za prawie 170 mln zł.

Usytuowana na parterze „okrętu nowej armady” winiarnia „Burgundia” także liczy na klientów zajeżdżających do Centrum na biznesowe rozmowy i na zatrudnionych w nowym obiekcie. Założenie było jasne - obsługa pracowników i klientów z Chorzowskiej 50.

- *Przyjeżdża tu mnóstwo ludzi. Mają wolną chwilę w oczekiwaniu na spotkanie i zachodzą do nas. Przy kawie, muzyce czas mija szybko. Organizujemy także obiady biznesowe, nawet z udziałem ministrów bywających tu choćby w związku z Polskimi Hutami Stali* - mówi sommelier **Artur Wieczorek**. Jak sam wyznaje - jego zajęcie będące połączeniem pasji i profesji zrodziło się z potrzeby chwili - w wyniku rozmów z klientami.

- *Znają wino, znają się na winie, chcieliby kupić takie, jakiego skosztowali podróżując po świecie. Jesteśmy ich doradcami i dostawcami* - mówi Wieczorek.

Położone po sąsiedztwu kwaciarnie mają klientów wśród pracowników Centrum i odwiedzających ich gości, salon mebli biurowych ma pewny zbyt dzięki nowym lokatorom obiektu. Ubezpieczyciele wystawiają im polisy, doradcy podatkowi przygotowują dokumenty dla fiskusa, pralnia czyści garderobę, biuro podróży zamawia bilet lotniczy, przychodnia zdrowia ustali termin spotkania z lekarzem i zajmie się niezbędnymi badaniami u specjalisty - w końcu nad ich głowami pracują setki ludzi interesu. Mają za mało czasu, by szukać czegoś innego, niż to, co dostępne, niemal pod ręką. Jeden telefon, zjazd lub wjazd windą - zero kłopotu, żadnej straty

czasu, o pieniądzach dżentelmeni nie rozmawiają.

- *My już dziś tworzymy nowe oblicze miasta i zachodnią część City. Niebawem zostanie przebudowane Rondo, które otworzy drzwi do wschodniej części City, w okolice UNI Centrum* - mówi dyr. Żmija.

Nie obawia się on wyrastającej niemal pod boki konkurencji, która ma identyczne ambicje. Millennium Plaza - obiekt położony vis a vis Géanta, który jest częścią kompleksu wybudowanego przez Pascal Polska w Dolinie Trzech Stawów, po obu stronach alei Górnośląskiej - nie budzi jego zachwyty. Wyklada sprawę krótko: obiekty odwrócone od człowieka jadącego ulicą, o zamkniętych powierzchniach szkła, niepołączone w całość, wręcz przecięte ruchliwą ulicą, nie przyciągają ciekawskich. Nie mogliby zresztą przejść z supermarketu czy lotniska do hotelowego barku czy restauracji - zbyt daleko leży łączące obie strony alei przejście.

Istotnie, trudno odmówić mu racji, aczkolwiek dla nadjeżdżających od strony Tychów budowle położone po obu stronach Górnośląskiej są imponującą bramą do miasta. Millennium Plaza - błękit i granat o 11 tys. metrów powierzchni i 9 piętrach - stało się siedzibą Raiffeisen Banku, firmy Avon, Ery oraz World Trade Centrum (Stowarzyszenia Centrów Handlu Światowego) i wykonawcy - firmy Pascal Polska. Tu mają się zbiegać nici łączące inwestorów, importerów i eksporterów, najaktywniejszych uczestników międzynarodowych interesów. Cały kompleks biurowo-usługowy dopełnia hotel Campanile. Razem z posadowionym naprzeciwko obiektem handlowym Géant-King Cross kosztował 130 mln dolarów.

Obok posadowił się sklep odzieżowy Gemo, Komfort z wyposażeniem wnętrza, stacja obsługi pojazdów Feu Vert, sklep Go Sport i Bioromarket. A jednak Aleja Górnośląska - zamiast łączyć - dzieli. Tak jak podzieleni są klienci jednej i drugiej strony ulicy. Różnią ich sprawy, w jakich przybywają w tę okolice, i zawartość portfeli. Chyba że spełniona zostanie zapowiedź inwestora.

- *Planujemy wydać jeszcze 110 mln dolarów. Powstanie centrum handlowo-rozrywkowe z multikinem, kręgielnia oraz czterogwiazdkowy hotel z międzynarodowym centrum kongresowym* - zapowiedział Bernard Gehin, prezes Pascal Group.

Na razie z ostatniego piętra Millennium Plaza rozciąga się wspaniały widok na tereny pod przyszłe inwestycje. Kto przejmie punkt ciężkości miasta?

O miano „Katowice City” walczą tereny oparte na kręgosłupie ul. Chorzowskiej przechodzącej w Roździeńskiego. Przyjmują one na siebie ciężar interesów rodzących się dotychczas w południowych Katowicach: przy ul. Jagiellońskiej, Lompy, Wita Stwosza, Francuskiej, Powstańców Śląskich...

Co prawda liczące 28 pięter UNI Centrum (tuż za hotelem Katowice) o 105 metrach wysokości (nie ma wyższego budynku na południu Polski), kosztujące 120 mln zł, wciąż jest niegotowe. Przecież jednak niebawem 11 pięter zajmie w nim hotel Holiday Inn. Supernowoczesny obiekt o 77 tys. metrów powierzchni, zwany jest „inteligentnym budynkiem” - spełnia najwyższe standardy jakości i bezpieczeństwa, jest wprost nafaszerowany elektroniką. Ma być monitorowany przez system kamer, część



Foto: Andrzej John-Przewłocki

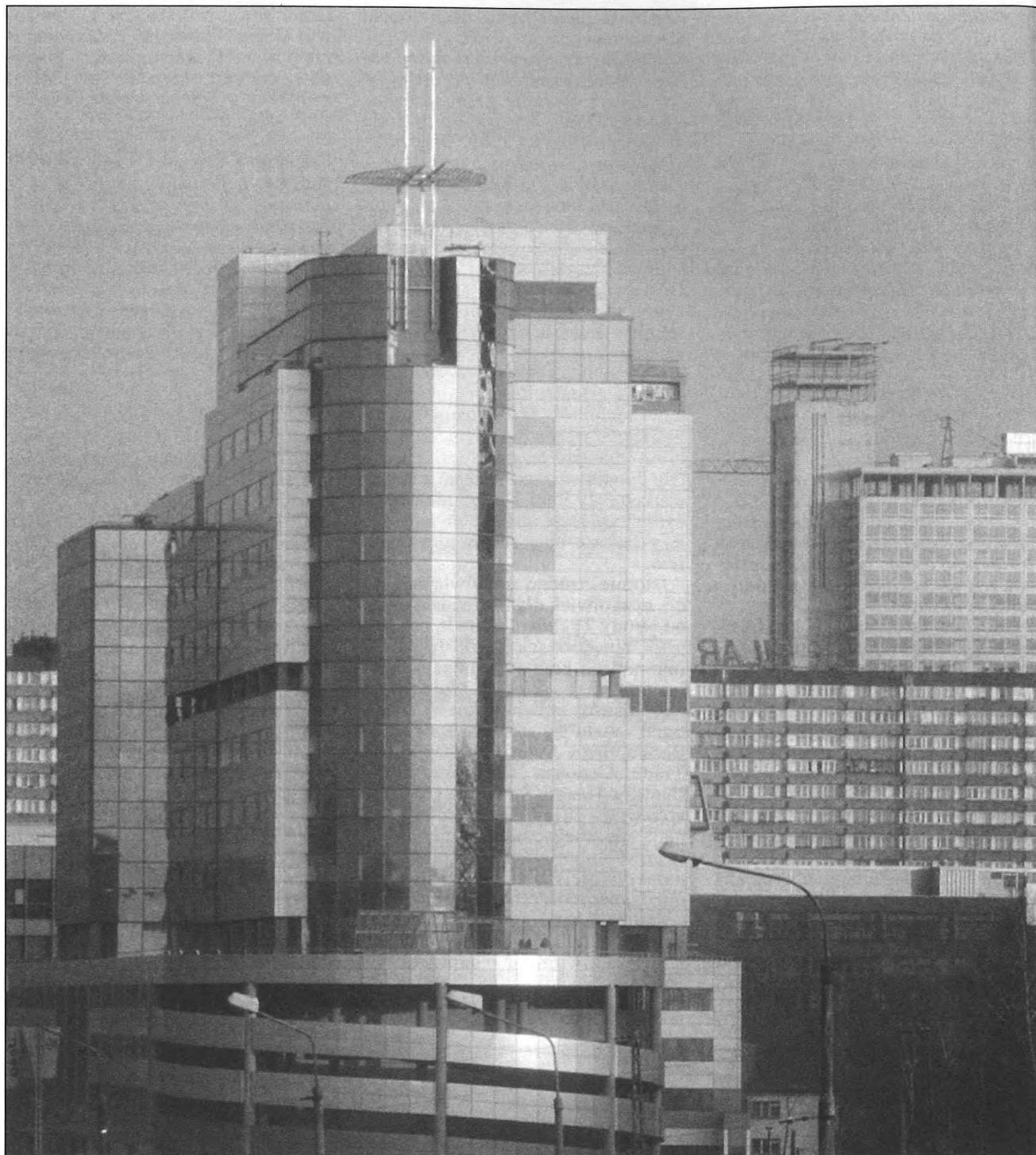


Foto: Andrzej John-Przewłocki

hotelowo-biurowa zostanie wyposażona w schody ruchome, szybkie windy, sieć łączności kablowej, telefonię satelitarną i stacjonarną, szybkie łącza komputerowe, klimatyzację, będzie dźwiękoszczelna. Ma w nim pracować 3,5 tysiąca osób. Oprócz biur w UNI Centrum znajdzie się kino z 9 salami projekcyjnymi, bank, sale konferencyjne, firmowe sklepy, centrum usługowe, kawiarnie, luksusowy Fitness Klub i Gymnasion.

Restauracja Clark's.pl (na cześć Clarka Gable'a, z pamiątkami nawiązującymi do starych amerykańskich filmów) ma kusić elegancją i niebanalną kuchnią. Dla klientów o chud-

szych portfelach szykowana jest tańsza restauracja „1” i hotelowy bar „La Paleta” o wystroju nawiązującym do hiszpańskich klimatów.

Na najwyższym piętrze będzie można zamówić drinka i oddać się marzeniu o pokonywaniu przestworzy. Piętro zostanie zwieńczone skrzydłami samolotu z imitacjami stalowych lin i sterowników.

- Lokal na 27 piętrze wieżowca, z szybami wstawionymi zamiast ścian od samej podłogi, będzie nosił nazwę „Sky Bar”, czyli podniebny bar - mówi **Małgorzata Małachowska** z Holiday Inn.

Można zasiąść, by podziwiać panoramę miasta. Jakiego? Z budyn-

kiem Stalexportu sięgającego 97 metrów, blokowiskami „Gwiazdy” i „Kukurydze” dochodzącymi do 80 metrów? Czy z maleńkim rynkiem, leżącym w centrum miasta, a nieprawdopodobnie marnowanymi terenami należącymi do kolei - szarymi, brudnymi, przerzniętymi klingą torów?

Wszystko wskazuje na to, że jednak ta część miasta będzie ze szkła i chromu, a nie ze szcherniałych po wiekach cegieł. Choć można też postawić dukaty przeciwko orzechom, że jeszcze za nimi zatęsknimy. Chyba już tęsknimy.

ERYK SZOZDA



Oscar dla najlepszego filmu roku 2002! O czymże jest ten najlepszy film roku? O morderstwie i pragnieniu sławy za wszelką cenę. Mało to oryginalne? Zapewne. Ale też rzecz nie jest nowa. W roku 1926 Maurine Watkins - reporterka z Chicago Tribune napisała sztukę zatytułowaną pierwotnie „The Brave Little Woman“, później przemianowaną na „Chicago“, dla której inspiracją były głośne procesy w Hrabstwie Cook. Sukces sztuki był tak duży, że natychmiast przystąpiono do jej ekranizacji: w roku 1927 powstał (jeszcze niemy) film pt. „Chicago“, a w roku 1942 wszedł na ekrany film pt. „Roxie Hart“ (tak zwała się owa „dzielna kobietka“ ze sztuki Maurine Watkins, takie też imię i nazwisko nosi bohaterka musicalu „Chicago“ - dzieła Johna Kondera, Freda Ebba i Boba Fosse'a, które odniosło wielki sukces na Broadwayu w roku 1975. Wtedy reklamowano rzecz jako „opowieść o morderstwie i manipulacji mediami“.

Film Boba Marshalla jest adaptacją filmową sztuki Maurine Watkins i musicalu Kondera, Ebba i Fosse'a. Z wszystkich wymienionych do tej pory nazwisk największym blaskiem świeci to ostatnie: Bob Fosse, twórca arcydzieła pt. „Kabaret“ jest obecny w tym filmie w wielorakim sensie, choć nie uczestniczył bezpośrednio w jego produkcji. Są w filmie „Chicago“ mniej czy bardziej jawne aluzje, czy zgoła nawiązania (by nie powiedzieć: cytaty) do „Kabaretu“. Katherine Zeta-Jones (Velma Kelly) jest ucharakteryzowana na Lizę Minnelli, a Richard Gere w scenie z marionetkami (doskonale!) przypomina Joela Graya.

Jednakże Bob Fosse dysponował świetnym materiałem literackim, powieścią Christophera Isherwooda („Goodbye to Berlin“), z precyzyjnym zapisem atmosfery Berlina początku lat trzydziestych. To, co z zewnątrz przenikało do kabaretu, do życia z zwykłych ludzi, miało tchnienie apokalipsy i rzeczą artystycznego smaku było oszczędne z niej korzystanie. W filmie „Chicago“ nie ma nazistowskiego inferna in statu nascendi, jest Chicago czasu prohibicji, jest zbrodnia i showbusiness. Znaczy to, iż Bob Marshall opowiada historię bardzo głęboko osadzoną w mitologii amerykańskiej. Gdzieś tam w tle, poza filmem, w naszej pamięci istnieje Al. Capone i wojny chicagowskich gangów. Na pierwszym planie oglądamy opowieść o dwu kobietach, które spotykają się w więzieniu, ponieważ obie zaabiły, jedna - Velma Kelly - męża i siostrę przyłapanych in flagranti (z siostrą tworzyła doskonały duet taneczno-wokalny), druga - Roxanne „Roxie“ Hart - kochanka, który obiecywał zaprotegować ją u właściciela kabaretu, w którym występowały Siostry Kelly.

Obie zbrodnie są ewidentne, i obie panie wywiną się od stryczka dzięki niezliczonym kręactwom, oszustwom i wszelkim sądowym nikczemnościom



# Chicago

adwokata Billy'ego Flynna. I obie - wrogie dla siebie w więzieniu - na wolności stają się sojuszniczkami i odnoszą sukces. Lecz nie na długo, bo nowa zbrodnia przyciąga uwagę mediów, czyli radia i prasy. Prasa... Dość powiedzieć, że w dniu, w którym ma zapasć wyrok, czy Roxie jest winna, czy niewinna, na platformie furgonetki rozwożącej najnowsze wydanie Chicago Tribune, widzimy dwie mutacje tej gazety: jedna na pierwszej stronie wybija słowo Winna, druga Niewinna. Z chwilą, gdy z sądu rozchodzi się wieść, że Roxie jest niewinna, z furgonetki wylatują paczki z wielkim tytułem na pierwszej stronie gazety: Niewinna! Reszta nakładu (na wszelki wypadek) idzie na przemiał.

Prawo, sąd, sala rozpraw? Ależ to taki sam cyrk, jak tancbuda, taki sam biznes, tłumaczy naiwnej (do pewnego stopnia!) Roxie jej cyniczny obrońca, Billy Flynn. Ten nigdy jeszcze nie przegrał sprawy, stawia jeden tylko warunek: 5000 dolarów honorarium (wtedy była to suma ogromna!). Jego dewiza: „Gdyby do mnie przyszedł Jezus Chrystus z pięcioma tysiącami dolarów, sprawy potoczyłyby się inaczej“.

Żadnej moralności, cienia etyki, nic, prócz biznesu! Zbrodnia jest towarem, który dobrze się sprzedaje, tym lepiej, im zbrodniarz jest bardziej znany, ale „urok (jednej) zbrodni“ trwa krótko. Media są nienasycone, zamówienie publiczności jest nieustające i stale prolongowane. Oto przesłanie filmu „Chicago“.

Przesłanie dość ponure, a jednak emanuje z tego filmu potężna radość tworzenia. Najwyraźniej ludziom, którzy zaangażowali się w tę produkcję, chodziło o coś więcej, niż dobry, czy

nawet porywający spektakl kinowy. To zadanie zostało wykonane niemal bez zarzutu, i tylko nieco bystrzejsze oko dostrzeże, że stepujący Richard Gere został zręcznie zmontowany z profesjonalnym tancerzem, który wziął na siebie, by tak rzec, pracę nóg (filmowanych od stóp do kolan), słynnemu gwiazdorowi pozostawiając mimikę i kilka prościutkich tanecznych ewolucji. Również Renee Zellweger nie tańczy, nie śpiewa na poziomie Catherine Zeta-Jones, ale jest wyśmienitą aktorką, bez której „Chicago“ byłoby filmem o wiele uboższym, choć i tak nie grzeszy nadmiarem myśli.

Bez wątpienia znalazłby się również aktor nie gorszy od Richarda Gere, za to obdarzony wyższymi umiejętnościami taneczno-wokalnymi (np. Antonio Banderas), ale Gere tak często grał cynicznych adwokatów, że jego obecność w „Chicago“ jest czymś więcej, niż odgrywaniem roli. Gere - to jest pewien znak, pewien typ: jego kariera zaczęła się od filmu „Amerykański żigolak“, zaś jego specjalnością są role bardzo inteligentnych, przystojnych cyników, którzy potrafią robić bezwzględny użytek ze swojej inteligencji i urody. I właśnie ktoś taki mógł wnieść do filmu „Chicago“, by posłużyć się pojęciem z zakresu ekonomii: wartość dodatkową. Wystarczyła silna dawka brawurowej szarży, byśmy otrzymali na ekranie wyborną autoparodię, a może nawet autopaszkwil. Cały ciężar tanecznych popisów i głównych songów wzięta na siebie Katherine Zeta-Jones, równie doskonale jest - aktorsko, a jeszcze bardziej wokalnie - Queen Latifah. W choreografii, której autorem jest reżyser filmu Bob Marshall, znać „język taneczny“ Boba Fosse'a, własnych pomysłów nie widać, dlatego też nie sadzę, by „Chicago“ mogło pretendować do tytułu rewelatora musicalu.

Oryginalność filmu „Chicago“ tkwi gdzie indziej: w narracji: właściwie oglądamy jakby dwa filmy, dwa odrębne światy, w których ludzie mówią i poruszają się zupełnie inaczej, lecz te światy przenikają się w sposób magiczny. Jeden bez drugiego istnieć nie może. Oglądamy dwa światy, ale oglądamy je równocześnie. Znaczny strumień obrazów dzieje się ponadto w wyobraźni Roxie! Bez wątpienia, „Chicago“ jest dziełem wielkiej pracy (od pomysłu do pierwszego dnia zdjęciowego upłynęło osiem lat!), dziełem wielkich zdolności i wielkiej miłości do sztuki. A już to samo jest czymś niezwykle rzadkim we współczesnym przemyśle filmowym.

FELIKS NETZ

POZA KADREM

# Starcie

**Bądź** rozsądny! Nie rzucaj wszystkim wyzwania. Od dawna wiadomo, że świat jest zły. Miejsce między młotem a kowadłem nie jest wygodne. Jesteś taki młody. Zaczynasz dopiero smakować życie. To nie pomarańcza ani banan. To ciężki chleb i pot, dużo potu. Już czujesz jego sól. Jesteś na pochyłości a pod górę idzie się ciężiej. Uspokój serce. Najlepiej przy kamieniu koło którego codziennie przechodzisz. Wygrzało go wiosenne słońce. On nie jest taki twardy skoro od lat przegrywa z kroplą wody. Idź dalej w zielone pola, ogarnie cię przestrzeń. Ptaki zawołają do ciebie z wysokości, a przydrożne głogi podadzą rękę.

I jeszcze raz pomyśl, jaki ma sens tylko nadpalona i zgasła świeca. Ja wiem, że to symbol - ale czy mało mówi?

Pamiętaj - od teraz bądź rozsądny. Potrzeba ci dużo sił. Nie patrz z nienawiścią na zegary. Czas jest beznamiętny i nie podlega prawu ciężenia. Nie będzie twoim sprzymierzeńcem. Jeszcze poznasz jego rytm i wartość. Nieliczni z tych, których zabił - jak pokazuje historia - potrafili go pokonać. Może się znajdziesz wśród nieśmiertelnych. Widzę jak zlagodniała twoja twarz. Sprawił to chyba widok forsycji. Pierwszy raz je zauważyłeś, a rosną na twojej ulicy od dawna. Są świeże i radosne. Zapadające słońce zegna je oddechem światła. Do zobaczenia!

(1999)

# Konie

**Te** piękne zwierzęta zawsze mnie fascynowały. Już jako mały chłopiec próbowałem z pomocą dorosłych dosiąść większego konia, ale natychmiast mnie zrzucił. Nie zraniłem się jednak; przeszły lata.

Nadal budziły one moją niezaspokojoną ciekawość. Często je podpatrywałem. Szczególnie wieczorem lubiłem to robić. Mimo że byłem miejskim chłopcem, na wsi przebywałem często. Wtedy już dorastałem. Wieczór właśnie wydawał mi się najbardziej odpowiedni do wizyt i obserwacji w stajni. Mdłe światło niskowatowych żarówek dodawało chwili tajemniczości. Czyniło ją bardziej intymną.

Konie stały już zwykle odprężone po ciężkiej pracy. Spokojnie miedliły swoje codzienne siano, a kumaryna mieszała się w osobliwy zapach z końskim łajnem i potem. Gdy wchodziłem cichutko, często się ploszyły. Rżały donośnie, a w ich oczach widziałem jakiś gniew - czy te płonęły. Byłem przekonany, że to tęsknota do rozległych przestrzeni. Kiedyś wolne śmigały z wiatrem w zawody prężąc się jak struny. Bębniły kopytami w napięty brzuch ziemi. To im zostało. Często ponosiły, gdy woźnica puścił luźniej wodze - szły galopem, jakby się przeistaczając.

Zrozumiałem to jeszcze dokładniej po kilku latach.

Pewnego razu jechaliśmy w Tatry. Między Krakowem a Myślenicami zsoła biegł koń, środkiem szosy, spieniony. W oczach miał ten sam ogień, dobrze przeze mnie zapamiętany. Samochody zjeżdżały na pobocza, a on biegł po wysokim to nasypie. Jakby ponad wszystkim - następny skok miał być skokiem w przestwór. Jak grom uderzyła mnie myśl - mknący Pegaz.

Zatrzymaliśmy się również nie chcąc go wyprzedzić.

Po kilku kilometrach leżał przy drodze na trawie, oczy miał już martwe. Ludzie mówili że się zapalił i trzeba go zastrzelić. Poczuliem, że tam, wewnątrz, coś mnie zabolalo, odwróciłem głowę i ni by objętym patrzyłem w przeciwnym kierunku.

Spiesząc się - pojechaliśmy dalej.

(1999)

# Łaskawość

**Maj.** Popołudnie. Niebo piękne jak nad Morzem Śródziemnym. Kolorowe dachy nowo zbudowanego osiedla. Na brzegu chodnika przystanął starszy człowiek. Twarz wystawił wyzywająco do słońca. Cenił sobie bliskie sąsiedztwo dwóch dorodnych akacji ze względu na zapach - kwity. Słońce - wbijało deli-

## JERZY LUCJAN WOŹNIAK

Urodzony 1939, mieszka w Sosnowcu. Debiutował w katowickich „Poglądach” w roku 1983, publikował wiersze w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Miesięczniku Literackim”, „Piśmie Literacko-Artystycznym”, „Akcencie”, „Pograniczach” oraz „Toposie”. Wydał tomiki poetyckie: *Pod skórą* (1991), *Różga światła* (1991), *Szelest czasu* (1993), *Z oczu bielmo, z serca strach* (1998), *W Tatrach* (2001).



Rys. Wojtek Łuka

katne, pieścizotliwe igielki w odkryte miejsca ciała. Przyjemnie jak po kilku lampkach szampana.

Ni stąd ni zowąd poczuł się szczęśliwy. Czy to nie dziwne? Stoję u wrót starości - myślał - niczego znaczącego w życiu nie dokonałem, kieszenie straszą gołym płótnem, nawet nie chce ich przedziurawić obecność monet, a ja jestem szczęśliwy. Chyba dlatego, że żyję. Świeci na mnie to samo słońce co na bogatych, moje nozdrza czują ten sam co oni - agresywny i błogi aromat wiosny. Pójdę spać - obudzę się, znowuż usnę i obudzę się - zobaczę słońce. Nie wiem, jaki mnie czeka niebyt. Cieszyć się trzeba z doczesności.

Obok przechodziły matki pchając w wózkach swe pociechy. Dobiegały głosy radośnie bawiących się dzieci. Słońce chyliło się ku widnokręgowi. Przechodnie dziwili się nobliwemu panu o białych włosach i łagodnej - rozświetlonej od wewnątrz dziwnym blaskiem - twarzy.

Nawet słońce popatrzyło na niego niedowierzająco. Krzywo się uśmiechnęło i rzuciło - chowając się za okap pobliskiego dachu - błogosławiące promienie.

(2002)

# Ulica

**O**graniczoność i statyka pomieszczeń psychicznie zawsze go przybijała. Wychodził na ulicę. Różnorodność i ruch odnawiała, relaksowały - można powiedzieć, budowały świeżym oddechem. Lepiej byłoby pojechać do lasu. Wymaga to jednak przygotowań i czasu. A tu - wszystko natychmiast...(?)

Ludzkie twarze, czytelna i jakże różnorodna kora problemów. Uśmiechy rzadkie i krótkie jak listopadowe słońce. Podgrzewany kocioł różnorodności, ciągły happening, zaskakujący tygiel.

Odprężał się, dociekliwe problemy schodziły na dalszy plan, stresy łagodniały. Wyłączał się „z siebie”, ciągłą przypadkowość i brak reżyserii pozwalały odpocząć: dziecko wybiega na jezdnię, ktoś upuścił butelkę z sokiem pomidorowym (śmieszne rozbrzydgi), jedzie pogotowie ratunkowe, ciężarówka prawie otarła się o tramwaj. Nagromadzenie zdarzeń. Intensywność ulicy, nieustanne „dzianie się” wciąga - pa-

trząc koncentrował się na zewnętrzności, na chwili. I czas płynął niepostrzeżenie. Żywy teatr bez logicznego zakończenia.

Wracając do swego pokoju inaczej patrzył na sprzęty, czuł inny zapach. Kolorowe grzbiety książek - klawiatura wielkiego instrumentu, na którym chciałoby się zagrać nową melodię.

I najważniejsze (a byłby zapomniał) - daleko gdzieś odpływała świadomość, że czas biegnie, życie maleje. Nie wierzył, iż bez przerwy ubywa z niego jedno mgnienie.

(2002)

## Miłość

Uczucie magiczne. Gdy się staje - zaczynamy podnosić głowy, śledzić lot ptaków zapadających w zieleń. Nagle - zwykły dotyk tej drugiej osoby - elektryzuje. Matowe oczy nabierają blasku, a wybuchający entuzjazm przenosi góry. Codzienna szarość ustępuje. Świat wypełnia się tysiącem pastelowych kolorów. Już nigdy nie zapomnisz (choćby kochana osoba przepadła we mgłę) co czułeś, jak to uczucie zawładnęło tobą, rzuciło na kolana.

Jednak, gdy pierwszy raz cię nawiedzi, jednego nie wiesz - może się nie powtórzyć. Piastuj ją - dmuchaj i chuchaj. I choćbyś był największym prostakiem - wiesz, że przyszła - nawet wtedy, gdy nigdy czegoś podobnego nie czułeś.

Bywa i bólem. Spada nagle jak umarły w locie ptak lub dopiekająca rozkosz. Jednak zawsze wzbogaca! Słychać śpiew głodnej krwi, w żyłach pulsuje mocna symfonia. Unosi nas i kołysze. Czujemy wtedy: przecież po śmierci nie zostaje z nas tylko garść popiołu.

Zdarza się też - przychodzi wbrew naszej woli. Wciśnięta w kąt, a jednak z łaskawości deszczu i słońca - żywa jak pęd wiosennego drzewa, rośnie, staje się nie do pokonania. Rozkwita nad wszystkim. Często ku cierpieniu.

I na koniec - proste pytanie - czemu nikt jej nie zdefiniował? Powiedzieliśmy już, jest magiczna. Nie poddaje się obiektywnej ocenie. To cecha rzeczy wielkich.

(2002)

## Kiepura

Z La Scali, z Metropolita, a właściwie z Zaświatów - wrócił nam śpiewać. Stoi na cokole. W dzień iskrzą go i złocą słoneczne promienie, w nocy punktowe reflektory.

Nie mają do niego pretensji zakochani, że nie patrzy pod stopy, gdy się spotykają. Płaszcz rozpiął, głowę unioś i dalej śpiewa. Wyciągniętą ręką jeszcze swój głos unosi, wysyła w przestrzeń, ponad dachy, do ptaków. Może w jego metalowym sercu śpiewają teraz skowronki, klaskają słowiki. Chyba się cieszy. Przeżył we wdziennej pamięci sosnowiczanie. Przywołaliśmy go. Zjechał w rydwanie w stulecie miasta i swoich urodzin, na Plac Stulecia, w same trzewia miasta. Mamy go teraz, już na zawsze, dla siebie. Nigdzie nie pojedzie. Jest nawet podobny ptakom. Zdziwione gołębie - ugasiwszy pragnienie w fontannie, robią często honorową rundę wokół wyniosłej postaci.

A sosnowiczanie? Chętnie wysiadują ławeczki wokół pomnika. Czasem przysiadzie ktoś starszy, kto słyszał go śpiewającego, lub znał go osobiście.

Gdybyśmy ciągnęli dalej te rozważania, powstałaby cała pomnikowa filozofia. Tylko po co? Nadmiar słów byłby rażący. Każdy może go zobaczyć, nawet przejeżdżając autobusem czy tramwajem. I niech tak będzie!

(2002)

## Las

Wchodząc do lasu zawsze łagodniał, przestawał się jeżyć wobec świata. Dobrze ziarno - za sprawą panującej łagodności - padało na najżyźniejszą glebę jego skołataną stresami duszy, trafiało w najdalsze zakątki. Narastała w nim jedność w powtarzającym się tutaj - w ciszy i w pokorze - cyklem życia: rodzenie,

wzrastanie, umieranie. Misterium - bez zgiełku i fajerwerków - jakie inne niż w ludzkim życiu. Wielka harmonia natury - mądry teatr przy otwartej bez przerwy kurtynie - działał jak balsam. Odpoczywał.

Ptaki, wiatr, szelest - słyszał dopiero później, oswoiwszy się z lasem. Czasem ogarniał go strach, trzask gałązki pod stopą, przechodził dreszczem przez całe ciało. Szedł tak kilometrami. Lubił siadać - gdzie w wysokopienny las wdzierał się młodnik, a z nim światło. Kładł się na plecach - walczył z napływającym zmęczeniem - patrzył na niebo. Na jasnym tle tańczyły gałązki stojące obok brzoźki. I z ziemi, i z otoczenia, chłonał siłę. Wzrastał, wypuszczał młode pędy. Życiowe światłocienie nabierały jedności. Czas przestawał się liczyć - mijała godzina, dwie. Nagle głos kukli - dalej czy bliżej - przywracał rzeczywistość.

Docierały wreszcie nurtujące myśli, drenujące bez przerwy mózg. Refleksje były smutne: człowiek będąc częścią natury, stopiony z nią w jedność, jest najszlachetniejszym gatunkiem tego stopu. Niektórzy tego nie widzą, stawiają się ponad naturą, krótkowzroczni, dopiero później postrzegają, jak boleśnie ugodzili w siebie. Jest człowieczym nieszczęściem, że w tym układzie chce panować, a nie koegzystować.

Wędrował tak wielokrotnie ze swymi myślami. Gdy pomiędzy drzewami było coraz więcej światła, las się kończył - czuł się zawiedziony, chciałby dalej iść. Zmęczenie było jakieś słodkie, jednorodne, bez niuansów. Dochodząc do zgubionej wśród ostatnich drzew kolejowej stacji lub przystanku autobusowego, czuł się lepszy, odnowiony, mądrzejszy, jakby po rozgrzeszeniu z przekonaniem, iż może zacząć od nowa i wszystko co zrobi będzie lepsze, z większym sensem. Już - gdy się kolebał w rytm jazdy, rozważania sączyły wątpliwości często przodzące w pewność - zostawiany tam, za plecami świat, jest lepiej zorganizowany od naszego.

(2002)

## Plaża

Z pociągu wysiadł w Warnowie. Po kilkuset metrach wzdłuż brukowanej kocimi łbami szosie skręcił w las Wolińskiego Parku Narodowego. Czterokilometrowe przejście buczyną dotleniło go. Stał teraz na wciętej w klif plaśni, obok latarni morskiej Kikut w Wiselce - wysoko ponad płachtą morza, spienionego tutaj, wściekle atakującego żółty piach. Ruszył i zbiegł - nurzając nogi po kostki - na brzeg. Chłonał uderzającą w niego bryzę. Po chwili szedł plażą na granicy dwóch światów: łądu - stromiejącego tu coraz bardziej klifem i morza - niespokojnej masy, ostrzegawczo ziębiącej jego nogi. Patrzył idąc, jak woda atakuje podcięte tu gardło łądu. Ta droga na granicy dwóch światów zawsze go fascynowała z dwóch powodów. Po lewej, opoka, stałość zrośnięta z naszym życiem, gdzie wykopią nasz grób. Po prawej, ruchoma, niezgłębiona masa, pełna metafizycznej treści. Przez 11 km nieustanny wgląd - aż do Międzyzdrojów - w śmiertelny pojedynek. I dochodził jeszcze krajobrazowy walor - najbardziej dzika i malownicza część polskiego Bałtyku. Co za poglądowy i ciekawy zestaw. Drzewa zawisły nad głową, plaża się zwężała zamieniając w kamienistą. Gdzieś w prozdzie samotna brzoza ochraniała ramionami ostatnie liście. Niebo stało się ciężkie i ponure - deszcz smagał tylko kilka chwil. Plaża znów była piaszczysta, nadal bezлюдna. Piach zastygł, bez pieśczoły ludzkich ciał. Szedł. Przed nim, wysunięte w morze bastiony klifu, były jak wojskowe przyczółki. Systematyczne poruszanie nogami przez kilka kilometrów nasunęło skojarzenie, że ludzkie ciało jest niezrównaną, najdoskonalszą maszyną na świecie. Słońce zdążyło ku zachodowi. Usiadł - zespolił się ze spokojnym szumem fal. Przymknął oczy i wyobraźnia przeniosła go w krainę łagodności. Wstał po dłuższej chwili, włożył koszulę i po przejściu kilku zakoli wzdłuż linii brzegu, ukazała się wąska, wybiegająca w morze kreska mola w Międzyzdrojach. Plaża rozszerzała się wyraźnie i mimo kończącego się września - wypełniona. Ładne dziewczyny przyciągały wzrok. Szczególnie jedna smukła blondynka go zachwyciła. Spojrzała jakoś tak nagle i dziwnie z obezwładniającym wdziękiem i uśmiechem. Zresztą wzbudzał ogólne zainteresowanie. Wyłonił się z najmniej spodziewanej strony, ubrany, z plecakiem, przecinając plażę po długim skosie. Wśród wydym usiadł na pokładzie zamienionego na restaurację, zużytego kutra. Ryba smakowała wybornie a piwo rozlewające błogość w żyłach - dopełniły łagodnie piękny dzień.

(2002)



# Powrót z Edenu

Premierowa publiczność w katowickim kinie „Kosmos” zapomniała, że jest to, choć animowany, film pełnometrażowy. Atakujące kolory, zmieniające się plany, sekwencje śmieszne na przemian ze strasznymi, a wszystko podlane frenetyczną muzyką Michała Urbaniaka. Tak, w Katowicach podobał się „Eden”, najnowsza robota animowana Andrzeja Czeczota. Robota, to mało powiedziane: sprawca tego przedsięwzięcia nazywa „Eden” dziełem swojego życia, nad którym spędził blisko sześć lat.

Bohaterem tej „boskiej komedii” jest Youzeck, wiejski grajek w fikuśnym kapelutku i pasiastych porciętach. Podróżuje on w czasie i przestrzeni, wizytując, zdziwionym okiem wschodnioeuropejskiego prostaczka, świątynie kultur, od antyku po najświeższy amerykański pop. Prometeusz sąsiaduje tu z Janosikiem, Dali z Presleyem, Napoleon podaje rękę Clintonowi, a Kolumb ściągą się z Chopinem. Są i Czeczotowe potwory, diabły i strzygi wszelakie oraz, a jakże, sam Bóg Ojciec, który zamiast doglądać dzieła stworzenia woli czytać książki, które o nim napisano. Na szczęście wkracza do akcji Youzeck i ratuje arkę Noego, za co czekają go dwie nagrody: pożycie z małżonką Noego oraz lądowanie na pokładzie arki u stóp Statui Wolności.

Film - mówią - otarł się o nominację do Oskara. Teraz odwiedza rozliczne festiwale na świecie, wywołując zdumienie, potem zachwyt, a w międzyczasie estetyczny szok. Bo w czasach, kiedy animacja jest dla dzieci, to jest film dla dorosłych. I kiedy nawet Disney używa potężnych komputerów, u Czeczota wszystko jest „hand made”, co podkreśla się z dumą.

Autor wydaje się zadowolony. „Niech każdy sobie czyta w tym filmie, co chce”, mówi przy szklaneczce whisky z lodem. Sam się przy tym filmie dobrze bawił, więc i dla widza „to ma być zabawa obrazem i muzyką”.

- Na Pańskim rysunku z lat siedemdziesiątych rozanielony pijaczyna lewituje po kolejnej flaszce, a podpis pod rysunkiem brzmi: „Odpalenie pustego członu Józka K. nad Pustynią Błędowską”. Józek czyli Youzeck?

- Nie, tamten Józek nie ma nic wspólnego z Youzkiem, choć wszyscy ich przyklejają. Ale dobrze, niech każdy sobie układa taką asocjacje, jaka mu się podoba. Nie mam nic przeciwko temu. Nawet lepiej.

- A Youzeck to kto?

- Youzeck to może być każdy. Taki everman. Głupek wiejski, który idzie przez dzieje kultury. Trochę artysta, bo gra na fujarce, ale w zasadzie pretekstowa postać, która pokazuje świat. W zasadzie raz się tylko włącza w jego dzieje, bo ratuje arkę i pieprzy panią Noe. Ot, i cała jego działalność.

- On jest ze Śląska?

- Chcielibyście!...

- Ale z Polski.

- Niekoniecznie. Może być z Polski, może być z Chorwacji. W każdym razie z Europy Wschodniej. Ale

to gość raczej z XIX-wiecznych bajek niż z czasów współczesnych. Prostaczek. Człowiek, który patrzy swoimi oczami i niczym się nie przejmując.

- To są Pańskie oczy, Pański sposób patrzenia na świat?

- No, chyba moje spojrzenie, bo w zasadzie nie było to „zwidziane” przez kogoś. A jeśli nawet, to nieświadomie. Ja wymyśliłem Youzkowe nosooko. To moje odkrycie graficzne. Nie wszyscy na początku rozumieli, że to nie dziurka w nosie. No, zrobiłem i cześć. Wyszło tak, jak wyszło.

- Fajnie wyszło. Dzięki Youzkowemu spojrzeniu, zdziwionym okiem prowincjusza. Pan też zawsze w tych małych miasteczkach - we Włoszczowej, w Pszczynie, w Żorach...

- Moi rodzice, nauczyciele, przenosili się z miasteczka do miasteczka. Ja najbardziej jestem związany z Podolem, gdzie się matka urodziła. Jeszcze jako mały szkut jeździłem tam na wakacje. Dniestr, Mariampol. To na mnie największe wrażenie wy-

warło. I góry. To jakaś druga fajna sprawa, z którą się czuję związany. Chałupę tam miałem, w Żywieckiem. To był ładny okres.

- Małe miasta są po to, żeby z nich wyjeżdżać.

- Śląsk dał mi poczucie miejscowości. Żory, Pszczyna, blisko Katowice. Tu była uczelnia i środowisko artystyczne, które dawało poczucie wspólnoty. W to wszedłem. No, fajnie było. Tu uzyskałem samodzielność, od mamusi się wyrwałem. Tu po raz pierwszy wypilem setę wódki bez nadzoru, tu zjadłem pierwszy kotlet z koniny, w barze „Tatarskim” przy ulicy Warszawskiej. Mieszkalem przy Stawowej 8, później koło kina na Załężu - nie wiem, czy jeszcze istnieje - potem przy 1 Maja. W Katowicach dowiedziałem się o śmierci Stalina i tego samego dnia usłyszałem wspaniałe boogie Ellingtona. Zrobiło się wesoło, ale zaraz potem przyszedł Stalino- gród.

- Ale Greenpoint to też małe miasteczko.

- Fakt, ta nowojorska dzielnica bardzo przypomina małe miasteczka w Polsce, choć jest bogatsza, ciekawsza.

- No, to się Pan nie wybił...

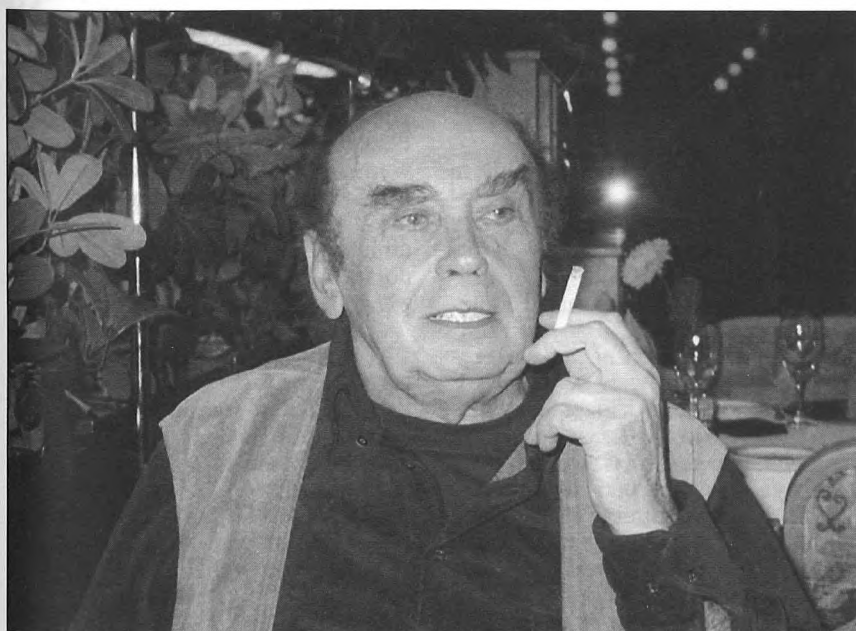
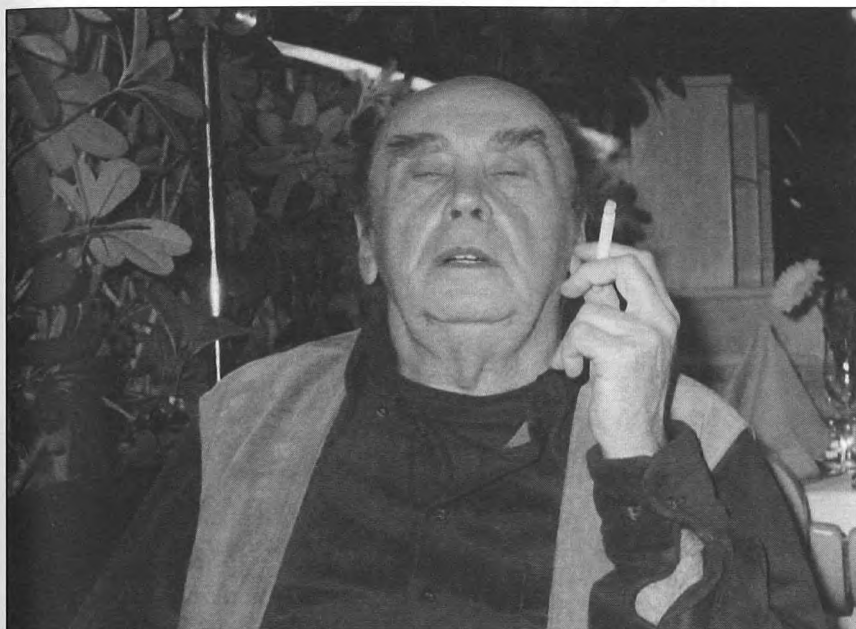
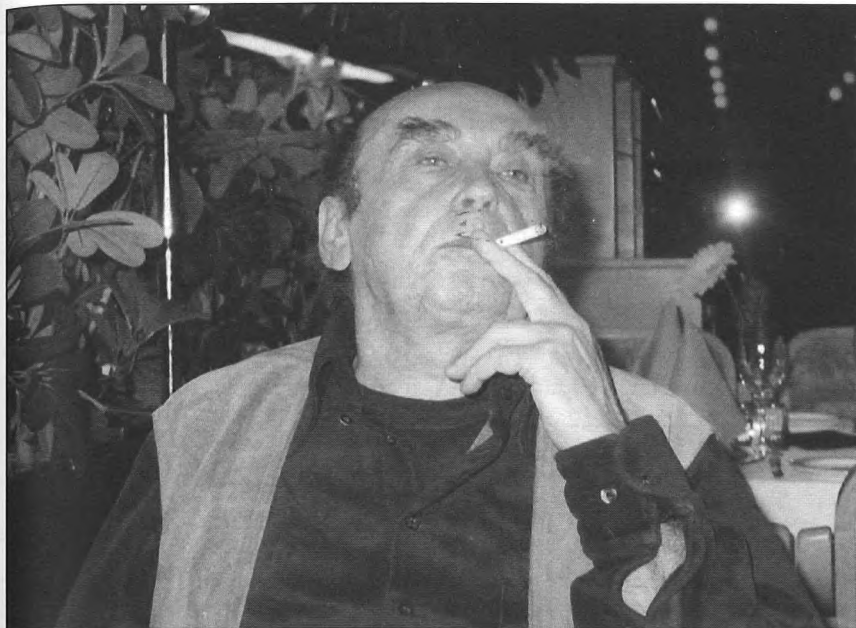
- Toż ja wyjeżdżałem po kolei z wszystkich małych miasteczek. Z Katowic też. Z tych ostatnich już tak bardziej na dobre. Uwielbiam prowincję, zwłaszcza tę o pięć minut od Manhattanu...

- Bo w Katowicach dali Panu 13 grudnia w kość.

- No, wzięli mnie, pogonili w kapiach. I dobrze. To mnie natchnęło, żeby opuścić cały ten kraj, nie do zniesienia wtedy. Nie chciałem rysować haseł na murach, bo się do tego nie nadawałem. Siedzieć w tym bajzlu też nie chciałem. Koledzy akurat siedzieli, ale w więzieniach. Zresztą trzymali mnie tylko dziesięć dni, co nie upoważnia mnie do bycia bohaterem.

- To prawda, że w samej pizamie Pana zabrali?

- Myśmy z żoną nie chcieli wierzyć, że to telegram i nie chcieliśmy wpuścić tych panów, którzy byli w cywilu. Oni zresztą nie mieli żadnego papierka o stanie wojennym. Wyłamali drzwi, a żona wyskoczyła na balkon, z krzykiem: milicja!, milicja! Milicja to już czekała na mnie w suce... Ja miałem taki pistolet na gaz, który kupiłem od jednego gościa z zespołu 2 Plus 1. I bałem się, że mi od razu przypiszą posiadanie broni. Chciałem to schować, ale ten esbek chodził za mną, z pokoju do pokoju. Wreszcie ściągnąłem pizamę, jakoś ten pistolet owinałem i rzuciłem na podłogę. Stuknęło. Facet spojrzał na mnie. Ja uciekłem do następnego pokoju. Facet za mną. Nie chciałem iść, zamierzył się na mnie łomem. Zabrali mnie w spodniach, w koszuli i na



bosaka. To się skończyło przeziębie-  
niem ciężkim i porządnym wrzodem  
na dwunastnicy.

- **To był impuls, żeby stąd pry-  
skać?**

- Nie, nie, ja marzyłem zawsze  
o wyjeździe, a Nowy Jork był zawsze  
mekką. Wcześniej nie widziałem  
możliwości wyjazdu. A w 82 roku  
okazało, że jest. No, to powiedział-  
łem: proszę bardzo.

- **Bez żalu? Mówią, że w tamtych  
latach może i było biednie, ale śro-  
dowisko trzymało się razem..**

- Wie pan, niby byliśmy razem, ale  
jak się później okazało, nie tak wcale  
razem. Jak ja dostałem w dupę, kiedy  
mi groził proces, tylko jeden kolega  
podszedł do mnie na ulicy i wymienił  
uścisk ręki. Jeden się odważył, zresz-  
tą ten z drugiej półki. Inni się pocho-  
wali i zniknęli. To jest ludzkie.

- **Mówi o procesie, który Panu  
wytoczył Ryszard Filipiński za rysu-  
nek?**

- Tak.

- **To wszystko było tak, jak Kutz  
w „Alfabcie” wspominał? A kiedy  
natknął się Pan u niego na przyja-  
ciela Filipińskiego, Porębę, rzekł  
Pan: „takiemu ch... ręki bym nie  
podał”?**

- Mniej więcej tak. Tylko ten ch...  
to już wymysł Kazia. On był zawsze  
jajcarz i chciał to wszystko anegdotą  
okrasić. Ja widziałem tego Porębę  
pierwszy raz w życiu, gdzie ja bym  
go przy pierwszym spotkaniu ch...  
nazwał! Chociaż, nie powiem, za ta-  
kiego go uważałem.

- **Z Pana też był niezły jajcarz.**

- No, robiłem te humory, takie za-  
kamuflowane. Miałem kłopoty z cen-  
zurą. Kilka razy mi zakazali, zresz-  
tą nie na długo, publikacji. Raz Jurek  
Moskal zaaranżował taką historię:  
w sześćdziesiątym ósmym to było,  
miałem rysunek w „Poglądach” z tłu-  
mem ludzi, którzy idą w pochodzie  
i krzyczą: „Allelúia!, Allelúia!”. Tyl-  
ko jeden z tłumu woła normalnie:  
„Allelúja!”, i tego leją. Rysunek był  
czarny, a wszystkie napisy były na  
osobnej, czerwonej kliszy. Jurek tę  
kliszę zatrzymał, a wysłał do cenzury  
same rysunki, z których nic nie wyni-  
kało. I oni to zatwierdzili. Chryja by-  
ła nieprzytomna, cenzor wyleciał,  
a ja dostałem zakaz druku.

- **Słyszałem, że potem się Pan wy-  
robił, bo przynosił do redakcji tu-  
żin rysunków absolutnie niecenzu-  
ralnych, a na koniec wyjmował ten  
jeden, który się nadawał.**

- Nie zawsze to wychodziło. Raz  
zrobiłem bałwana z miotłą i z podpi-  
sem: „Ten bałwan nigdy nie stopnie-  
je”. A w tym samym numerze Szew-  
czyk napisał świetny artykuł o Je-  
rzym Ziętku, z jego fotografią na  
okładce. I znowu chryja nieprzecięt-  
na, Szewczyk o mało nie umarł  
z przerażenia. Ale KC było szczęśli-  
we, bo Grudzień nienawdził Ziętka.

Ja w tym moim rysowaniu byłem moralistą, nienawidziłem zamykania gęby na kłódkę. I to mi pozostało do dzisiaj.

**- Dlatego zaczął Pan drukować w „Nie”?**

- Oni się w Nowym Jorku strasznie obrazili na mnie, Polonia i ci wszyscy patrioci. Ale ja po chwili zastanowienia powiedziałem: fajnie, bo to jest pismo, które idzie pod włos, a mnie czegoś takiego akurat było potrzebna. Zresztą sam Urban jest fantastycznym, piekielnie inteligentnym facetem. Rzeczywiście niezależnym. Otwarty mózg, wspaniały język. Prywatnie jest fajny, choć wolę go, jak pisze.

**- Ale w Pańskich amerykańskich albumach jest mniej rubaszości, wszystko jest bardziej sophisticated.**

- Humor jest nieco inny, bardziej miękki, oczywiście. Dzięki temu wszedłem do „New Yorkera”. Ale utrzymywałem się w Nowym Jorku - zabawne - głównie z malarstwa. Tam zobaczyłem kolor. Mam w tej chwili swoją galerię, ale nie wiem, czy będę chciał cały czas siedzieć w Nowym Jorku. Jak się jest ruchliwym, otwartym, wtedy jest ciekawiej.

**- Na początku nie było ciekawie.**

- Strasznie było. Choć mieszkaliśmy w domu, który się nazywał pięknie „Wieże Oceanu”, karaluch wędrował mi po gębie. Po tym, co mieliśmy w Katowicach, to wie pan...

**- A miał Pan taki odruch, że teraz to ja wam pokażę?**

- Na początku, zanim wyjechałem. A później, jak zobaczyłem to od środka, pomyślałem: O, kurcze, zobaczmy, co będzie dalej. Miałem portfolio. Jak z nim chodziłem, wszyscy się pytali: „Are you Jewish?”... Aż raz moja żona odpowiedziała: „Not yet!”. Strasznie się zezłościłem, bo mi wtedy zabrała robotę.

Amerykanów zdumiewał sam rysunek. Rozluźniony, inna kompozycja. Ta forma ich ucieszyła. Dostałem propozycję pracy jako profesor grafiki na wydziale Pratt Institute. Facet, który tam był szefem, nazywał się Andrew Stasik. Urodzony w Ameryce, ale Słowak z pochodzenia, znający się na grafice polskiej. Mówi do mnie: Jaki u ciebie widać wpływ Stefana Suberlaka! A Suberlak to był mój kolega dwa lata wyżej na akademii, już nieżyjący. No, zaskoczył mnie zupełnie. A potem zapytał: czy ty robiłeś ilustracje do „Przygód dobrego wojaka Szwejka”? Ja mówię, że tak. To może zostaniesz dziekanem wydziału drzeworytu? Ale tej samej jesieni Reagan zabrał fundusze na kulturę, z uczelni wyleciało kilku asystentów, więc nie mogli mnie przyjąć. Dostałem status visiting artist i przez dwa lata, na ich koszt, robiłem drzeworyty, i było wspaniale. W tym czasie chodziłem na angielski.

**- How did you find Katowice?**

- *Fine!* Żywe miasto, kipiące. Drzewa znowu urosły. Jest mnóstwo knajp, sklepów, zrobiło się przyjemnie. Wiem z telewizji, że bezrobocie, że górnicy się wściekają i tak dalej. Ale coż, towarzysz Gierek nadmierne rozbudził apetyty. Teraz ci ludzie spadli z wysokiego pułapu, a jeszcze do niedawna wciąż im powtarzano: Wyście, chacie, być górnikiem na Śląsku to je bardzo piykno i fartowno rzecz...

Ja siedzę teraz w Łodzi. To już trwa jakieś sześć lat. I chyba się za-

**ANDRZEJ CZECZOT** - grafik, malarz, ilustrator, scenograf i autor filmów animowanych. Ur. w 1933 r. w Krakowie. Absolwent filii krakowskiej ASP w Katowicach. Po dyplomie (1957) był kierownikiem artystycznym Wydawnictwa Śląsk. Rysował do „Poglądów”, „Szpilek”, „Literatury”, „Polski”, „Studenta”, „Solidarności Jastrzębie” i in. W 1972 otrzymał nagrodę specjalną na II Biennale Grafiki Użytkowej w Brnie za ilustracje do „Dobrego wojaka Szwejka”. Projektował scenografię teatralną. Realizował filmy animowane w Studiu Filmów Animowanych w Bielsku-Białej. Internowany po 13 grudnia 1981, w sierpniu 1982 r. wyjechał do Ameryki.

Rysował dla „Nowego Dziennika”, potem dla „New York Timesa”. Zaczął znowu malować. Wystawa jego prac, „Village on the East River”, została bardzo dobrze przyjęta w Nowym Jorku. Po powrocie do Polski drukuje w „Nie” i „Polityce”. Autor cykli filmów animowanych („Przychodzi baba do doktora”, Bajki dla dorosłych”). Od 1996 r. pracował nad „Edenem”.

siedziałem. Wie pan, tam ojczyzna, gdzie praca. To przez ten film.

**- Pan już w latach siedemdziesiątych robił filmy w bielskim studiu.**

- Jak zabronili mi rysować z powodu procesu z Filipskim, zrobiłem w Bielsku „Gody” i „Kierdel”. Potem były „Makutki”, które dostały nagrodę na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Zacząłem sprzedawać scenariusze kolegom. I tak stałem się filmowcem mimo woli. W Stanach nawet nie próbowałem czegośkolwiek w filmie robić, zresztą z moim widzeniem świata to byłoby w ogóle bez szans. A jak przyjechałem do Polski na rocznicę „Plebeya”, to był taki dodatek do „ITD”, namówił mnie Tomek Filipczak, który został szefem telewizji w Łodzi, żebym zrobił jakiś film. Zaczął słać do mnie do Nowego Jorku ponagląjące pisma. Ja to olałem, bo

mi się dobrze wtedy powodziło. No, ale jak się znowu odezwał, to powiedziałem: Dobrze, przyjeżdż, ale z forszą. Tomek przyjechał z księgową i z miejsca mi zapłacił za cztery scenariusze. No i zaczęła się zabawa z „Bajkami”.

**- Ale „Eden” to już jest przedsięwzięcie potężne, pełnometrażowe.**

- Bo jak skończyliśmy „Bajki”, myślałem o następnej serii. Zacząłem pisać, ciągnęło się to i ciągnęło, i nijak nie chciało się ułożyć w odcinki. Tomek przeczytał szkic i wypalił, żeby robić długi metraż. Ja osłabłem, bo wiem, ile to kosztuje i że nie będzie widowni, bo to musi być kino artystyczne i dla dorosłych. I tak się zaczęło.

**- Sześć lat pracy.**

- Powstał film mojego życia, coś, co nie zginie. To będzie puchło, rośło, rośło, rośło... „Eden” chodzi teraz po festiwalach, ale trochę jak błędny rycerz. Bo to są przeważnie festiwale filmów fabularnych. A on nie dość, że animowany, to jeszcze jest dla dorosłych. Dziwactwo. Bo dzisiaj wszędzie te „Shreki” i „Mustangi z Dzikiej Doliny” są dla dzieci i dziesięcioletnich dorosłych.

Byliśmy blisko nominacji do Oskara. „Eden” znalazł się w szesnastce filmów, z których pięć się nominuje. Nie dopchaliśmy się do nominacji, ale opinie, jakie dostaliśmy, to chapeau bas. Cieszę się strasznie. Była znakomita recenzja w „Animated Magazine”. Dwa dni temu wróciłem z festiwalu w Miami Beach. Tam też sensacja, bo to był jedyny film animowany wśród fabuł.

**- Co im się tak w „Edenie” podoba?**

- Jakies osłupienie jest, że w ogóle można coś takiego zrobić. Że animowany, a nie dla dzieci, to raz. A dwa, że można takie okropieństwa dawać, że krew się leje, jest pieprzenie. Jak gdyby nie zauważali, że w filmach fabularnych jest jedno i drugie. Ale w animacji?! Reakcja jest fantastyczna, po chwili osłupienia ludzie do mnie walą i dziękują. Film będzie pokazywany w Stanach i w Japonii. Pchają się do nas festiwale - w Nowym Jorku, Delaware, Rio de Janeiro, Szanghaju, Jerozolimie, Barcelonie... Cholera, wszystkiego nie umiem wyliczyć. W przyszłym roku pojedę do Holandii. Myślę, że coś z tego będzie.

**- W Katowicach film się podobał.**

- To dobrze, bo czuję sentyment do tego miasta, szczególnie kiedy spotykam ludzi, którzy się specjalnie nie zmienili. Bo niektórzy się zmienili. A wielu już nie ma... A co tam u Bolk Lubosza?

**- Umarł.**

- No widzi pan. Albo poumierali, albo się pochowali. Życie...



Ogólnopolski Konkurs Literacki  
„Miłość niejedno ma imię” stał  
się już wydarzeniem kulturalnym  
o zasięgu krajowym.

Powołany w 1998 roku w II Pry-  
watnym Liceum Ogólnokształcącym  
w Katowicach, ul. Kołodzieja 44,  
przez nauczycieli humanistów  
i uzdolnioną literacko młodzież tej  
szkoły, przy pełnym poparciu organi-  
zacyjno finansowym Dyrekcji II  
PLO, szybko urastał do rangi woje-  
wódzkiej i ogólnopolskiej.

Komitet Organizacyjny Konkursu  
już po pierwszej edycji powołał  
Ogólnopolski Klub Literacki Mło-  
dych Twórców Literatury i wraz  
z nim pomysłowymi przedsięwzię-  
ciami rozwinął zasięg i zapewnił  
przyzwoity poziom artystyczny, tej  
dziś cenionej już imprezy literackiej  
o charakterze ogólnopolskim.

Każda kolejna edycja Konkursu  
przynosiła odkrycia nowych talentów  
literackich ze środowisk młodzieży  
szkół średnich oraz uczelni wyższych  
z całego kraju, rzadziej szkół podsta-  
wowych i gimnazjów.

Na corocznym spotkaniu 14 lutego  
w II PLO - edycja I-IV i edycja V  
w Miejskim Domu Kultury „Południe”  
- laureaci danej edycji otrzymali dyplomy,

# Miłość niejedno ma imię

my, nagrody i świeżo wydany tomik  
utworów nagrodzonych, co sprawia pi-  
szącym największą przyjemność.

W IV i V edycji w dziale poezji  
I miejsce uzyskała **Julia Zadrożna**  
**z Katowic, studentka IV roku Aka-**  
**demii Ekonomicznej oraz Państwo-**  
**wej Szkoły Muzycznej II stopnia**  
**w Katowicach.** Ma w dotychczasowym  
dorobku pokaźny zbiór publiko-  
wanych i nagrodzonych wierszy,  
przybliżających Autorce debiut  
książkowy.

Interesującymi talentami są też  
m.in. Zuzanna Olesińska z Katowic,  
Hanna Zielińska z Opola, Barbara

Pacholska z Warszawy, Krzysztof  
Woch z Krakowskiej Akademii Gór-  
niczo-Hutniczej, Janina Mirosława  
Laskowska z Pręgowa w woj. pomor-  
skim, Urszula Stępień z Kielc, Bere-  
nika Michnik i Małgorzata Sala z Ka-  
towic, Karol Grzybowski z Nowego  
Sącza, Natalia Kaźmierczak ze  
Szczecina czy Anna Wawrzyniak  
z Gdańska.

W pięciu edycjach Konkursu wzię-  
ło udział 692 autorów, spośród któ-  
rych różnymi formami wyróżniono  
203. Najwyżej cenią sobie publikację  
(małej jak dotąd) części ich dorobku  
twórczego.

Konkursowi (aczkolwiek powoli)  
zaczynają sprzyjać władze samorzą-  
dowe Katowic, a życzliwym i mą-  
drym działaczem kultury w naszym  
mieście okazuje się Dyrektor Zespołu  
Miejskich Domów Kultury „Połu-  
dnie” Bogdan Kallus.

Zakończenie V edycji Konkursu  
odbyło się w Miejskim Domu Kultu-  
ry „Południe” w Katowicach-Mur-  
kach 14 lutego 2003 roku, które  
uświetnił obecnością Tadeusz Kijon-  
ka - poeta i Redaktor Naczelny Mie-  
siężnika „Śląsk”.

B.J.

## JULIA ZADROŻNA

\* \* \*

*Bóg jest Poetą  
poeta jest bogiem  
ja jestem bogiem tylko na dwa palce  
wystarczająco żeby wziąć w nie pióro  
za mało żeby stworzyć wszechświat*

### Lament

*ciężkie jest życie śpiewaczki  
gdy u sąsiadów remont  
harmonia zburzona przez laików  
o godzinie leżącej poza kołem  
kwintowym*

*nienastrojona wiertarka  
nierytmiczny młotek  
i już zupełnie atonalny gruz*

### Insomnia

*otulam się ciszą  
by chłód nie ponaglał mojej  
cierpliwości  
zanurzam ciało w ciemności  
rozpuszczanej moim oddechem  
czekam  
wymiślam sny które jutro  
ci opowiem  
zawieszona między zmierzchem  
a świtem  
pajęczyna nocy oplata mnie  
i paraliżuje  
błagam o niepamięć  
o śmierć jaką jest tylko sen  
z moich rzes spływa*

*niechciana nieśmiertelność  
umieram powoli  
każdego ranka  
księżyc ucieka z miejsca zbrodni*

\* \* \*

*moje pióro  
jest słabe  
słabsze niż pióra poetów  
przegrywa z nimi w wyścigach  
i w walce na pięści*

*moje pióro  
jest inne  
nie nadaje się do pisania  
jest dowodem  
na istnienie ptaków*

### Ognisko

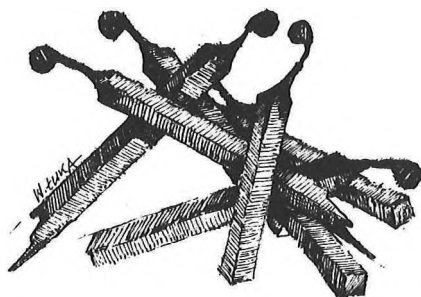
*kilka drewnienek  
z sekami w kształcie serc  
rude czupryny zapalek  
iskierka nadziei  
wybuch uczuć  
ogień pożądania*

*jeszcze przytulone do siebie  
w żarze namiętności  
ziemniaki  
już gryzący dym  
i wiadro zimnej wody  
na zakończenie ogniska.*

\* \* \*

*macierzyństwo  
oddala się z każdą łzą  
już nie dorastam  
zagubiona  
zapłakana  
biegnę  
od ciebie  
do ciebie  
bez ciebie*

*pobłogosławieni przez drzewa  
nocą wątpliwości  
słabi ludzie  
poszarpani uczuciami  
samotni razem  
zimny obiad  
w telewizji  
pusty pokój  
wróżka już tu nie mieszka  
na własną rękę szukamy pomocy  
mówimy milczymy  
i czekamy na koniec świata*



Rys. Wojtek Łuka

# Olga z Auschwitz

GRZEGORZ  
SZTOLER

Uratowana z „marszu śmierci”, zapomniała o swoich wybawcach. Dlaczego?

„Przemówili ci, którzy teraz milczą, a nie mogą powiedzieć więcej” - napisał Albert Einstein, światowej sławy fizyk, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, w liście do Olgi Lengyel, więźniarki oświęcimskiego obozu dziękując za książkę „Five Chimneys” - „Pięć kominów”. Wspomnienia wydane w 1947 roku w Stanach Zjednoczonych zrobiły furorę. Książka Olgi była jedną z pierwszych, która opisywała mechanizm zagłady hitlerowskiego obozu, a także przerażające pseudomedyczne eksperymenty Josefa Mengele, zwanego „Aniołem Śmierci”. Więźniarka zaczęła ją pisać w małych Brzeżcach koło Pszczyny w rodzinie Augustyna i Zofii Godziek, którzy pomogli jej przeżyć.



Potomkowie Augustyna Godzka na wspólnej fotografii z Olgą.

Przez długie lata rodziny Godzków i Paszków z Brzeżec koło Pszczyny czekały na przysłanie książki o obozowych wspomnieniach Olgi Lengyel, więźniarki obozu w Oświęcimiu, którą uratowali od śmierci. - To byłaby duża rzecz przeczytać o małych Brzeżcach w amerykańskiej książce - mówił jeszcze w latach osiemdziesiątych Józef Paszek, który także pomagał Oldze. Książka jednak nie nadchodziła, a czas płynął. Wybawcom Olgi pozostały tylko wspomnienia.

Amerykanka znalazła się w Brzeżcach w styczniu 1945 roku, kiedy przez wioskę przechodziły tysiące więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Olga razem z dwoma Żydówkami uciekły z konwoju śmierci i schroniły się w zabudowaniach gospodarczych Marii i Ludwika Paszków przy szosie na Pawłowice.

- Jeden z więźniów ukrywających się w moim domu poinformował mnie, że w stodole są jacyś ludzie - wspominał Ludwik Paszek. - Udałem się tam i najpierw po polsku tłumaczyłem, że jestem miejscowym gospodarzem i proszę o wyjście. Dopiero, kiedy to samo powtórzyłem w języku niemieckim, ze stodoły wyszła

więźniarka, która powiedziała, że wraz z dwoma koleżankami z Węgier prosi o ukrycie.

Kiedy nadeszły ciemności, przewieziono je wozem, ukryte w sianie do stodoły Godzków. Uczyniono tak, bo dom Paszków leżący przy głównej trasie marszu, narażony był na częste postoje ewakuujących się Niemców. Poza tym Augustyn Godziek pracował w Landwache, lokalnej służbie porządkowej. Był więc poza podejrzaniami.

Gdy następnego dnia rano Godziek poszedł do stodoły po słomę, zdumiony znalazł zakopane w plewach Żydówki - Olgę, Magdę i Lożikę. Ubrane były w cienkie paletki. Przyprowadził je do kuchni całe wystraszone i chude. Mówiły, że są Węgierkami. Augustyn dogadał się z nimi w łamanej niemieczynie. W ciągu dnia miały nie pokazywać się w obejściu. Na noc zabierano je do izby, gdzie spały na siennikach z całą rodziną.

Godzkwowie początkowo nie mieli pojęcia skąd znalazły się u nich Żydówki. Dopiero kilka dni później Zofia, żona Augustyna, dowiedziała się, że Żydówki przewiózł do ich zabudowań Paszek. - Pamiętam, jak podczas

pobytu więźniarek przyszli do nas niemieccy żandarmi - wspominała. - Na szczęście nie zaglądali do pokoju, gdzie przebywały.

## Rozmyte litery

- Mieszkały w jednej izbie razem z moimi rodzicami - wspomina Jadwiga Lazar. - Jedną z więźniarek, Magda uszyła mi sukienkę. Węgierki bardzo rzadko wychodziły na zewnątrz. Najczęściej przebywały w domu. Olga często opowiadała o obozowych przeżyciach. Pamiętam, że zapisywała swoje wspomnienia w zeszytach.

U Godzków Żydówki doczekały się wyzwolenia przez Rosjan. Kiedy tylko sowieccy żołnierze pojawili się w obejściu, przerażone więźniarki wpadły do piwnicy, gdzie ukrywali się mieszkańcy domu i sąsiedzi. Jedną z nich - Olgę, próbowano zgwałcić.

Żydówki wyjechały z Brzeżec po dwóch miesiącach, kiedy niebezpieczeństwa ze strony Niemców już nie było. Augustynowi zostały adresy swoich rodzin i paczki listów - na wszelki wypadek. Prosiły, by w razie ich śmierci zawiadomił bliskich.

W obawie przed stacjonującymi Rosjanami, Godziek schował papiery w skrytce nad wejściem do domu. Wilgoć sprawiła, że litery pisane atramentem się rozmyły.

- W 1947 roku nie mając od nich żadnego znaku życia, mój ojciec Ludwik napisał do szwagra Olgi w Rumunii - wspomina Henryk Paszek. - Otrzymaliśmy wiadomość, że Olga mieszka w Nowym Jorku. Napisała rok później. Podziękowała za uratowanie życia i obiecała przysłać dopiero co wydaną książkę. To był ostatni list Olgi. Nie odzywała się przez 33 lata. Wysłane do niej listy wracały z angielskim nadrukiem: „adresat nieznan”.

Ludwik Paszek, jeden z pomagających Żydówkom, zmarł w 1974 roku. Zofia Godziek 13 lat wcześniej. 90-letni Augustyn umarł w 1979 roku, półtora roku przed przyjazdem Olgi. Nigdy nie dowiedzieli się, co stało się z Olgą, Magdą i Lojziką.

Olga przyjechała do rodziny Godzków i Paszków dopiero w 1981 roku razem z prof. Stanisławem Leszczyńskim z Warszawy. Nie umiała odzłotać, że Augustyn, Zofia i Ludwik nie żyją. Pozostało jej zrobić tylko zdjęcie przy grobach swych wybawców. „Kochana rodzinco, było tak wielką przyjemnością dla mnie spotkać się z Wami po tylu latach, chociaż nie było między nami częstego kontaktu listownego... wierzcie mi, że dzień nie przechodził bez wspomnienia Was wszystkich z uczuciem przyjaźni i nieograniczonej wdzięczności”.

Z pobytu Olgi zachowało się osiem zdjęć. Przedstawiają one miejsca, w których się ukrywała razem z koleżankami. Drewniana stodoła Paszków, w której znalazły schronienie została rozebrana zaraz po wojnie. Zabudowania Godzków pozostały prawie nietknięte. Tym bardziej wspomnienia związane z ucieczką z marszu śmierci musiały poruszyć Olę.

„Bardzo tęskniłam za Waszymi Rodzicami i wierzyłam, że po tylu latach będzie mi dane dziękować im za uratowanie mnie i moich przyjaciół więźniów. Dałam wyraz moim uczuciom stojąc nad ich grobami, ale pamiętać ich będę jak długo będę żyła” - pisała Olga 30 lat po uratowaniu jej życia, po pierwszej wizycie w Brzeżcach w 1981 roku.

„Napiszę o Was wszystkich w mojej nowej książce. Proszę Was podać mi Wasze nazwiska, wiek itd. W mojej poprzedniej książce (wydanej w 1947 roku - przyp. autora) pisałam o Was, ale w związku z sytuacją polityczną nie wiedziałam, czy zechcecie abym podała Wasze nazwiska w amerykańskiej książce. Jeżeli teraz wyrażicie zgodę napiszę o naszym spotkaniu po trzydziestu kilku długich latach”. Książka ta jednak chyba nigdy nie powstała. Olga poza kolejną

wizytą w 1983 roku już nigdy z nią nie dotarła do swoich przyjaciół w Brzeżcach.

### Trzydzieści lat później

To pytanie przewijało się najczęściej właśnie w rodzinach Paszków i Godzków przez całe 30 lat. W kwietniu 1948 roku pisała z Nowego Jorku: „Gdy Was opuściłam, pojechałam do Paryża przez Rosję, Turcję i Włochy. W Paryżu przebywałam 13 miesięcy pisząc książkę, którą zaczęłam jeszcze w Brzeżcach. Prześle Wam jedną kopię. Myślę, że dojdzie za 3-4 tygodnie. Z Paryża dostałam się do Ameryki, gdzie w sierpniu 1947 roku ukazała się w języku angielskim. Każdego dnia opowiadałam o przeżyciach w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, często wspominając o Was, jak ocaliliście mi życie. W mojej drugiej książce opiszę jak żyłam w Brzeżcach i jak dobrze byliście.”

W 1956 roku Olga znalazła się na Kubie, ale gdy do władzy doszedł Fidel Castro, czym prędzej uciekła do Ameryki. Nie mogła jednak sobie nigdzie znaleźć miejsca. „Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa i cierpię więcej na wolności niż w niewoli obozu. Nie mogę zapomnieć moich rodziców, mego męża i moich dzieci. Moje przyjaciółki (tj. Magda i Lojzika - przyp. autora) są bardziej szczęśliwe, odnalazły własne rodziny. Żyję sama i tylko dla mojej pracy. Nie chodzę do kina ani teatru. Myślę, że jestem równie nieżyjąca jak moja rodzina”.

To przerażające słowa oddające stan ducha Olgi, uczucie pustki i rozczarowania światem. „Nie wiem, co myślicie o przyszłości, ale ja nie jestem optymistką. Ludzie niczego nie nauczyli się przez tę wojnę. Bardzo się boję, że zacznie się to wszystko po raz drugi. Ameryka była bardzo daleko od tego niebezpieczeństwa, tych wszystkich okrucieństw. Nie mają pojęcia, jak wiele wycierpieli ludzie podczas tej wojny.”

Dlatego Olga napisała książkę o swoich przeżyciach i znalazła się na

liście założycieli (m.in. obok Simona Wiesenthala) Memorial Library and Art Collection of Second World War, instytucji mającej upamiętnić Holocaustu narodu żydowskiego, w Nowym Jorku.

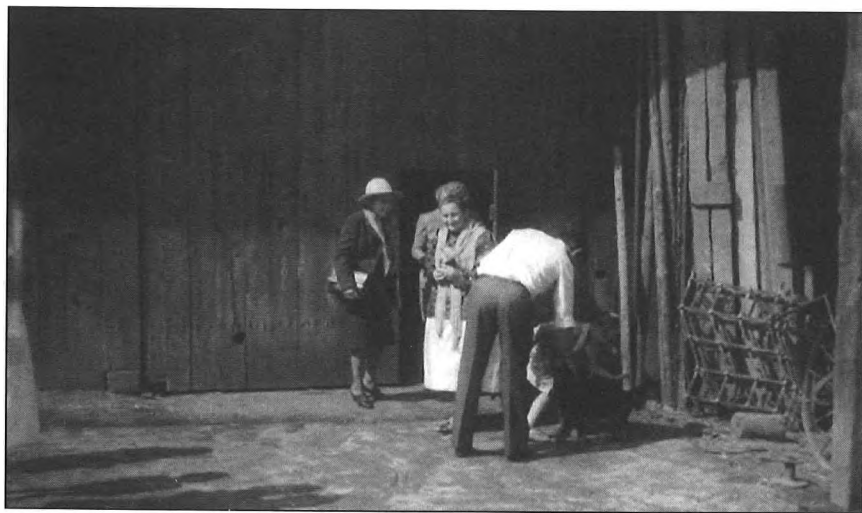
„Mój cały majątek znajduje się w Rumunii - pisała zaraz po wojnie. - Chciałam tam wrócić po moje rzeczy, ale nie otrzymałam paszportu. Myślałam, że będę miała przy okazji przyjemność odwiedzenia Was i podziękowania. Niestety nie jest to możliwe.”

Olga jest rozgoryczona i to stanie się powodem długiej, korespondencyjnej przerwy. „Jak Wam się powodzi? - pyta uparczywie Godzków i Paszków. - Pisałam więcej razy, z Paryża i Ameryki jednak nie otrzymałam odpowiedzi... Nie chcę już więcej pisać, może następnego razu, gdy będę pewna, że mój list otrzymacie.”

Rozgoryczenia po przejściach w Auschwitz, utracie bliskich nie zrekompensują nawet drobne paczki z cynamonem, pieprzem i rodzynkami przysyłane do dalekiego kraju. „Tu, w Stanach zarabiam tyle, że mogę żyć, ale wierzcie mi, że nie chcę żyć ani zarabiać więcej. Po co? Wiem doskonale, że pieniądze i tak nie mają żadnego znaczenia w życiu”.

### Do Yad Vashem

Przyjaciółki Olgi były dwie: Magda, doktor chemii i Luiza (Lojzika - tak mówi moja babka Jadwiga), żona węgierskiego lekarza. Nigdy żadna z nich nie napisała słowa do swoich wybawców. Magda prowadziła korespondencję z Olgą. Wszystkie pochodziły z Budapesztu. „Po wyjeździe z Polski - pisała Olga w lipcu 1984 roku - polecałam do Rumunii, gdzie ma być wydana moja książka po rumuńsku. Odwiedziłam również znajome miasto Cluj i tam dowiedziałam się z wielkim smutkiem o śmierci Luizy, którą ukrywał razem ze mną Wasz ś.p. Ojciec.



W tej stodołę ukryły się Olga, Magda i Lojzika. Tutaj znalazł je Augustyn Godziek.



Umarła tegoż dnia, kiedy ja leciałam z Nowego Jorku do Polski”.

- Dziwię się, że pani Lengyel z własnej inicjatywy nie poczyniła żadnych starań, by pośmiertnie uhonorować moich zmarłych rodziców i zmarłych państwa Godzków - dziwił się Henryk Paszek z Mikołowa, syn Ludwika, w liście do Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Warszawie w 1984 roku, na kilka miesięcy przed wizytą Olgi w Polsce. - Podobno w Izraelu każda polska rodzina, która udzielała pomocy Żydom ma zasadzone drzewko.

Drzew sprawiedliwych jest w Yad Vashem kilkanaście tysięcy. Jedna trzecia z nich należy do Polaków. „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata” mają prawo do symbolicznego posadzenia drzewka, za każde uratowane istnienie ludzkie. Godźkowie i Paszkowie uratowali trzy Żydówki.

O medale zaczął starać się Henryk Paszek, który jeszcze tego samego roku przesłał stosowną dokumentację do Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Odpowiedź nadeszła dopiero po 12 latach. „Z satysfakcją powiadami, że Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem w Jerozolimie na sesji w dniu 12 kwietnia 1992 roku przyznał medale „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” moim niezującym rodzicom, Ludwikowi i Marii Paszek, jak i państwu Zofii i Augustynowi Godźkom oraz podpisanemu - pisał Henryk Paszek z Mikołowa. - Ale przyznając medale zapomniano o pani Jadwidze, która przesiadywała z Żydówkami w jednej izbie.”

#### Milczenie

„Powodem mojego długiego milczenia jest moja choroba, od chwili mojej operacji w październiku 1986 roku, ciągle moje zdrowie wymaga rehabilitacji - pisała w lutym 1988 roku. - Trzy ataki bólowe spędziłam w zeszłym roku w listopadzie i w grudniu w szpitalu. To uniemożliwia mi to tej pory podróż do Polski, którą planuję każdego roku. Zawsze chcę zobaczyć Wasze Rodziny i pojechać znowu do Auschwitz. Zwykle ludzie chcą powracać do miejsc związanych z przyjemnymi wspomnieniami. Zamiast tego moje okropne przeżycia w Oświęcimiu z niewytłumaczalnych psychologicznie przyczyn, ciągle skłaniają mnie do powrotu do Auschwitz znowu i znowu.”

„Jeżeli zrealizuję podróż w tym roku, chciałabym zorganizować w Auschwitz obiad rodzinny dla Wszystkich Was. Mam nadzieję, że macie się dobrze, i że otrzymam od Was wkrótce dobre wieści” - napisała Olga w jednym z ostatnich listów. Było to w 1988 roku, cztery lata przed przyznaniem medalu „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”.

- Nie przypominam sobie takiego rodzinnego spotkania z Olgą - podkreśla Barbara Tomecka z Mikołowa, córka Henryka Paszka z Mikołowa. - Gdyby do niego doszło, na pewno utkwiłoby mi w pamięci.

Olga nie przyjechała już do Polski. - Profesor Stanisław Leszczyński z Warszawy rozmawiał ostatni raz z chorą Olgą w 1991 roku. Próbowaliśmy jej szukać w Stanach przez znajomych księży, ale bezskutecznie. Nikt nie mógł odnaleźć Olgi - opowiada Jadwiga Lazar, która marzy o zasadzeniu drzewka na Wzgórzu Pamięci w Jerozolimie.

Od kiedy Olga, więźniarka obozu w Oświęcimiu uratowana przez dziadka Augustyna Godźka, przestała pisać listy, urwał się z nią kontakt. Nie wiedzieliśmy, co się z nią stało. Dzięki przyjaciółom Stanach zlokalizowałem dwie osoby o tym nazwisku mieszkające w Nowym Jorku. Obie powinny już nie żyć. Ale nie byłam tego pewny. Pisałem internetowe listy, e-maile, do różnych instytucji i bibliotek w Stanach. Bez efektu. Jedne raczyły odpowiedzieć, że to nie ich sprawa. Inne nie odzywały się wcale. To internetowe poszukiwanie utwierdziło mnie tylko w jednym. Wspomnienia, które Olga zaczęła pisać w Brzeżcach weszły do klasyki literatury o Holokauście. Każda pozycja, strona internetowa wymieniała książkę „Five Chimneys”. Szkoda tylko, że bez rzeczywistych imion i nazwisk bohaterów.

Podczas wirtualnych penetracji dotarł do mnie jeden ważny list. Napisał go Jo Davidsmeyer, który książkę Olgi - a właściwie jej fragment - przerobił na sztukę teatralną pt. „Aniol”. Z tego, co wiem, znali się z Olgą dosyć dobrze. Więźniarka była na premierze przedstawienia. Jo napisał, że Olga umarła niecały rok temu (a list od niego otrzymałem w maju 2002 roku). Padło tam kilka ważnych zdań:

„I am sorry to say that Olga passed away last summer. She had lived in Manhattan. I had the honor to meet her several years ago on the occasion of „Angel” being produced at a local theater. She invited me to her home where we discussed her amazing life and her projects.

She was a remarkable woman.

Regards,  
Jo Davidsmeyer”

Jakiś czas później zaciekawiony kupiłem we Wrocławiu biografię Józefa Mengele, hitlerowskiego „Anioła Śmierci”. To o nim zdaje się była ta sztuka. Mengele był doktorem w Oświęcimiu, ale tylko złym znaczeniu tego słowa. Ofiary jego eksperymentów, w większości dzieci, albo nie przeżywały albo nie umiały się z nich „otrząsnąć” do końca życia. Zdaje się, że to samo spotkało Olgę, która mimowolnie była zmuszona do uczestnictwa

w tych ponurych chwilach. Nie mogła książka, która stać miała się przysłówiowym katharsis. Zadra, wyrzuty sumienia, zaważyły na dalszym samotnym życiu więźniarki. Wspomnienia Olgi były często cytowane w tej książce. Przypomniałem sobie wtedy słowa mojej babki Jadwigi, która zawsze pragnęła przeczytać całość wspomnień po polsku. Niestety, nie byłem w stanie sprostać tym oczekiwaniom. Własnoręcznie przełożyłem, tylko tę część, którą opowiadała o uwolnieniu i pobycie Olgi z przyjaciółkami w małej polskiej wiosce, czyli w Brzeżcach. Do dzisiaj stoi tam stodoła, dom i chlewy nietknięte upływem czasu. Tak jak zapamiętała je Olga.

Urządziłem też w Brzeżcach rodzinne spotkanie potomków Godzków i Paszków, rodzin którym Żydówki zawdzięczały ocalenie. Obejrzelismy film telewizji Katowice nagrany wkrótce po odbiorze w Katowicach medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” przyznanego Augustynowi Godźkowi. Babka Jadwiga mocno się wzruszyła wspomnieniami. Opowiadała, jak więźniarka szyla jej sukienkę. Oprawdzała nas po miejskach, gdzie spały, wypoczywały. Zachowałem na pamiątkę kasetę z nagraniem tego spotkania.

Okazało się, że żyjących spadkobierców tej oświęcimskiej sagi jest koło dwustu. W większości są to już pra, praprawnukowie ratujących. Ale najbardziej zainteresowane było pokolenie średnie, z lat 50 i 60. żyjące w rejonie Mikołowa. Potomkowie Henryka Paszka, który tak zabiegał o sprawiedliwość i uznanie zasług tych, którzy narażali życie. Mieli sporo pytań. Byli ciekawi, jak i gdzie ukrywano Żydówki. Miejsca, które znali z opowieści, nabrały dla nich realnych kształtów. Z ciekawością słuchali relacji z moich poszukiwań, i muszę to przyznać, zdopingowali mnie do dalszych.

#### Ocalenie według Olgi

Jakiś czas potem dzięki przyjaciółom w Stanach sprowadziłem książkę Olgi do Polski. I przetłumaczyłem ów fragment, w którym Olga nie wymienia imion ani nazwisk swych wybawicieli. Brzmi on tak:

„Okrażeni przez strażników SS tworzyliśmy jedno wielkie stado wzdłuż drogi do Auschwitz. Panowało mroźne zimno, powietrze rozdzielało nasze łachmany. Z daleka rozbrzmiewały strzały. Strzelanina z potężnej broni stawała się coraz głośniejsza; detonacje wydawały się być bliskie, ich bliskość potęgowało echo. Sporadyczne wybuchy rakiet rozświetlały niebo. Rosjanie najwidoczniej przygotowywali wielką ofensywę. Stawaliśmy się weselsi, gdy nocą nieboskłon rozdzielały połyskujące

światła. Odległe stuki artylerii były najlepszą pożegnalną muzyką Auschwitz.

Poganiali nas szybciej i szybciej. Niemieccy strażnicy byli zaniepokojeni. Biczowali nas, by zmusić do biegu aż zupełnie nie czuliśmy zimna a nasze ubrania były zupełnie mokre od potu. Psy jakby wyczuwały niebezpieczeństwo czyhające na ich panów, były w nerwowym napięciu. Błyskały łkami warcząc i gotowe zaatakować każdego, kto oddalił się z kolumny. Obóz, który nie tak dawno płonął żarem, utonął w mroku. Kilka godzin wcześniej chętnie maszerowaliśmy. Teraz z trudem posuwaliśmy się do przodu...

Przez całą drogę nie słyszeliśmy ani jednego słowa poza przeklinaniem i wiecznym: „Stehen bleiben!”, „Weiter gehen!” (dalej w drogę). Komendanci byli zwykle zajęci ogłuszającym powtarzaniem chórom złożonym z tysięcy więźniów. Tak w kółko. Myślałam, że doprowadzi mnie to do szału. Ale teraz słowa przerywane były łomotem pocisków. Już nie było chórów. Mogłam umrzeć, ale w tym momencie musiałam uciec.

Martwiłam się o moje przyjaciółki, Magdę i Luizę. Były przerażone, ale podążały wytrwale za mną. Od czasu do czasu patrzyłyśmy na ziemię lub skulone za nami śnieżne wzgórza, by zbiec przed salwą, którą niemieccy żołnierze mogli wystrzelić. Na szczęście blask nie rozjaśnił jeszcze nieba. Włokąc się, doszliśmy do zakrętu drogi.

Dostrześliśmy wieżę kościelną. Wiodła do niej nasza droga. Kiedy więc dotarliśmy do małej, polskiej wioski, ruszyliśmy w stronę kościoła.

Pewien człowiek stał w wejściu do świątyni. Po naszym głośnym zachowaniu poznał, że musimy uciekać, ale udał się do domu. Gestem dał do zrozumienia, że tam znajdziemy schronienie.

Tymczasem niemiecki patrol bezpieczeństwa zbliżył się do przykościelnego cmentarza. Kiedy ujrzałyśmy żołnierzy, pognaliśmy do tego domu. To był dość duży budynek. Blisko niego znajdowała się stodoła. Drzwi były zamknięte, ale w jednej ze ścian otwarty był przesmyk - jakby w tym momencie czuwała nad nami Opatrzność. Skierowałyśmy się tam skradając. Wspięłyśmy na poddasze wypełnione sianem. Niemiecki patrol, który mógł zauważyć ślad naszej ucieczki, wpadł na podwórze. Ale na szczęście szukali kilkunastu chłopców. Pani domu zapewniła, że w obejściu nie ma obcych. Być może strażnicy zobaczyli jej trzech synów. Pomimo tego, Niemcy przetrząsnęli całkowicie dom. Wtedy zbliżyli się do stodoły. Jednak z niewytłumaczalnego powodu postanowili odwołać poszukiwania obiecując, że wrócą tu później wieczorem.

Przeżyliśmy trudny moment, gdy dziękując dobremu losowi za ocalenie, zauważyliśmy, jak służąca wspięła się na strych po siano i odkryła naszą obecność. Nadszedł jej szef. Zapewnił, że nie poinformuje Niemców, ale będziemy musiały się wynieść. Rozmowa trwała długo i w końcu gospodarz dał się ubłagać. Zgodził się na pozostawienie nas w stodole na noc, a międzyczasie miał postarać się znaleźć nam inne schronienie. Jego żona, która była życzliwą kobietą, przyniosła jedzenie. Tak długo nie jadłyśmy normalnej żywności, że nie mogłyśmy jej poznać. Po chwili uświadomiłam sobie, że to zwykły wiejski chleb posmarowany smalcem. Tylko chleb ze smalcem w stodole, między wolnymi ludźmi. To była manna z Raju.

Nasz gospodarz zbudził nas następnego dnia wcześniej rano. Podążyłyśmy za nim do nowego miejsca ukrycia. Jednak ostrzegł nas, że jeżeli spotkamy niemiecki patrol, zignoruje nas, a my nie rozpoznamy jego.

Jego ostrożność okazała się uzasadniona. Niemiecki patrol minął nas po drodze. W tej samej chwili pojawiła się najwidoczniej powietrze rakiet - najwidoczniej rosyjska - i powaliła na ziemię strażnika. Korzystając z zamieszania uciekłyśmy do domu, który był naszym następnym schronieniem.

Nasz nowy gospodarz pozwolił nam ukryć się w stajni. Ale następnego dnia zaprowadził nas do najlepszego pokoju z sypialnią. Tutaj właśnie starsza para, ich córka i Magda tłoczyli się w łóżku, podczas gdy ja z Luizą spałyśmy na podłodze. Byli tutaj zakwaterowani także niemieccy żołnierze. W tutejszej okolicy przebywali aż do końca okupacji. Oczywiście nie było możliwości opuszczenia pokoju.

Pewnego poranka, kiedy myślałam, że Niemcy odeszli, poszłam do kuchni upiec transylwańskie ciasto dla rodziny. Tak byłam zajęta, że nie spostrzegłam, kiedy niemiecki żołnierz nieoczekiwanie wszedł do kuchni. Przy-

patrywał mi się ze zdziwieniem i zaczął wypytywać, kim jestem i dlaczego nie widział mnie wcześniej. Powiedziałam mu, że jestem krewną, która właśnie przyjechała z wizytą. A moja matka jest chora i leży złożona chorobą w jednym z wiejskich domów. Do tej pory byłam zajęta opieką nad nią.

Tak czy inaczej żołnierz uwierzył mi i od tego czasu narzucił swoje wstrętne towarzystwo mnie i całej rodzinie. Czasami przynosił czekoladę. Pewnego razu przyjechał z kilkunastoma przyjaciółmi i zmusił mnie do wzięcia udziału w ich salonowych grach. Rodzina mojego gospodarza obserwowała ze współczuciem jak musiałam towarzyszyć mężczyźnie, do którego czułam odrazę i pogardzałam, bo należał do morderców moich bliskich.

Kanonada stawiała się coraz głośniejsza. Rosjanie posuwali się naprzód. Niemcy, którzy byli tu zakwaterowani otrzymali rozkazy i przygotowywali się do odwrotu. Widziałam, gdzie rozmieszczali miny. Byłam nawet świadkiem przedwczesnego wybuchu, który zabił dwóch żołnierzy. Od czasu mojej rozmowy z jednym z niemieckich żołnierzy (którego poznałam w kuchni), wiedziałam, że uważają sytuację na froncie na ponurą.”

#### Prawda a fikcja

Wspomnienia Olgi dałem do przeczytania prof. Stanisławowi Leszczyńskiemu z Warszawy, wybitnemu radiologowi, który w latach 80. wspólnie z Olgą odnalazł rodzinę Godzków i Paszków. Jego relacja rzuciła jeszcze bardziej interesujące światło na spotkanie, które miało miejsce po kilkudziesięciu latach od zakończenia ostatniej wojny.

Otóż okazało się, że Leszczyński przyjechał do Brzeźca z Olgą przypadkiem. Tak się złożyło, że akurat wtedy, gdy Olga planowała wyjazd do Oświęcimia, otrzymał krótki urlop naukowy. Pojechał do Oświęcimia z Żydówką. Kiedy zwiedzali obóz za-



Olga pisała później w listach, że wizyta w Brzeźcach bardzo ją poruszyła i nadała nowy sens jej życiu. Tutaj się odnalazła.

uważył, że Olga mniej, czy bardziej świadomie nie poznaje swego bloku. Zwalił winę za to na karb jej wieku. Niemniej wizyta po latach w obozie w Auschwitz wywołała odpowiednie wrażenie. Olga zapagnęła odwiedzić swoich wybawicieli. Leszczyński znakomicie wywiązał się ze swego zadania. Odnalazł miejscowość, do której normalnie Olga by nie trafiła (podpszczyńskie Brzeźce bardzo często mylone są z Brzeszczami koło Oświęcimia). - Było mi przykro, bo nie kupiliśmy nawet bukietu kwiatów, a witano nas, a właściwie Olę iście po królewsku - wspomina. - Byłem zażenowany tym wybuchem serdeczności. Zażenowany, bo miałem świadomość tego, że nie mieliśmy dla nikogo żadnego prezentu.

Olę wizyta poruszyła do głębi. Dała temu wyraz w swych listach. Leszczyński korzystając z chwili postanowił ją obwieścić po wszystkich okolicznych cmentarzach, na których spoczywali Żydzi polegli w czasie pamiętnego marszu śmierci, by dowieść Amerykance, jak bardzo cżci się w Polsce pamięć o nich. Groby były zadbane, ukwiecone. Świadczyły o pamięci.

Ale potem nastąpiło długie rozstanie. Leszczyński widział jeszcze Olę raz jeden w Nowym Jorku, w jej mieszkaniu muzeum. - Amerykańscy Żydzi - opowiadał - chętnie korzystali z takich rozwiązań, bo omijali surowe progi podatkowe.

Do tego zresztą otwarcie przyznawała się Olga. Lecz Leszczyński, wówczas stawiający pierwsze kroki w międzynarodowym światku naukowców radiologów, nie wspominał tego spotkania miło. Olga prowadziła żywot pustelnika. Niezbyt wiele wygod, ascezyzm w wyglądzie i pożywieniu. To zrażało gości i nie sprzyjało nawiązywaniu kontaktów. Tym bardziej, że dokuczliwa bywała starcza podejrzliwość, że ktoś łasi się na jej pieniądze. Tak właśnie można wytłumaczyć lekko sknerowaną naturę Żydówki, która postępowała tak jakby wyrównała wszystkie rachunki. Leszczyński też nie doświadczył od niej pomocy. Nawet w stanie wojennym, mimo próśb. Olga pozostała głucha i nie pomogła jego najbliższym, którzy opuścili ojczysty kraj. A kiedy dotarł do niego list babki Jadwigi, która z trwogą pytała o to, co dzieje się z Olgą, bo od dłuższego czasu nie ma od niej żadnej nowiny, Leszczyński odesłał list do Ameryki z odpowiednim, ostrym komentarzem. Poskutkowało. Olga przypomniała sobie o rodzinach wybawicieli. Na jakiś czas. Potem znowu kontakt wygasł. - Ale nie wiem, co się z nią dalej stało - mówi. - Nie interesowałem się już tą sprawą. Nie jestem nawet w stanie powiedzieć, kiedy zmarła.

Przeczytał za to z zainteresowaniem książkę z wspomnieniami obozowymi Olgi. - Zupełnie nie rozu-

miem tego, jak mogła nie wymienić imion i nazwisk swoich wybawców. Pozostawić ich bezimiennych, tak samo jak tę wioskę. To nieprawda, że mogła wyrządzić im tym krzywdę. Ci ludzie, ich czyn na to zasługiwał. Właśnie Olga wyrządziła im ogromną szkodę - podkreślał.

Profesor nie zgadzał się z argumentem, że chroniło ich to przed niebezpieczeństwem ze strony komunistów. - Przecież ratowali życie ryzykując swoje i to przeciwstawiając się hitlerowcom. To nie może być wytłumaczeniem - oponował.

Ale tłumaczy sprawę inną rzecz. Amerykańskim środowiskom żydowskim nie w smak była historia uratowania życia trzem Żydówkom przez Polaków, na których ziemi ojczystej istniał obóz zagłady kilku milionów Żydów. Ten fakt trzeba było pomniejszyć. - Wiem, co mówię - twierdzi Leszczyński. - Nie jestem antysemitą i tępię wszelkie przejawy tego typu postępowania. Ale podczas moich amerykańskich podróży częstokroć spotykałem się z naukowcami pochodzenia żydowskiego i toczyliśmy długie zażarte dyskusje. To oni zazwyczaj toczyli, bo ja po pewnym czasie zorientowałem się, że nie ma sensu prostować tego steku kłamstw i pomówień. Zbyt wiele trzeba by poświęcić na to czasu. Ale swoje powiedziałem, i wiem jak gorąco odebrali moje argumenty niektórzy Żydzi. Dla nich Polak był współwinny Holokautowi, bo na jego ziemi toczyły się te okropieństwa. Pamiętam, że w amerykańskiej telewizji puszczali wtedy jakiś pseudodokumentalny serial, który pełen był takich pseudohistorycznych herezji.

Leszczyński bronił się, ile mógł, przed posądzeniem go o antyżydowskie fobie. - Jako kilkunastoletni chłopak pomagałem Żydom z łódzkiego getta. Przenosiłem dokumenty, które podrabiał mój ojciec. Byłem też w okupowanej Warszawie - wspominał.

Największe zasługi w ratowaniu w ludzkiego życia położyła matka profesora, Stanisława Leszczyńska, którą papież ogłosił błogosławioną. - Nie chcę się na ten temat wypowiadać - delikatnie dał nam do zrozumienia Profesor. - Wielu mądrych ludzi napisało już tyle rzeczy, po co jeszcze coś powtarzać.

Ale po lekturze wspomnień Olgi był bardziej skory do rozmów. Jego zdaniem Olga przyczyniła mocno niektóre obozowe zdarzenia. - Matka nigdy nie wspominała mi o celowym zabijaniu kobiet w ciąży. Przeciwnie ona je ratowała od śmierci. Oczywiście, wiele z nich zginęło. Ale i tak zdążyło przetrwać obozowe okropności kilkadziesiąt dzieci.

Ponieważ matka Profesora posiadała odpowiednie zaświadczenie, że jest położną i pokazała je lekarzowi obozowemu, została przydzielona do bloku, gdzie przebywały ciężarne kobie-

ty. Zastąpiła siostrę Klarę, Niemkę z pochodzenia, która znana była z mordowania dzieci. Władze obozowe uznały, że dopuściła się przestępstwa i usunęły ją. - Moja matka przyleżała ponad trzy tysiące porodów - opowiada prof. Leszczyński. - Kobiety rodziły na piecu. Nieprawdą jest również, że kobiety po urodzeniu dziecka od razu wędrowały do gazu. Przecież były - przynajmniej z nazwy - w szpitalu obozowym. Niemcy nie zgodziliby się, aż na takie okrucieństwa. Nie zgadzam się także z jej twierdzeniem, że by uratować ciężarne kobiety od mąk w czasie gazowania, trzeba było spowodować przezwranie ciąży. To bzdura, przecież w innym baraku w tym samym czasie ratowała rodzące kobiety i noworodki moja matka. Odcinała pępowiny i dzieci rodziły się żywe. Jeżeli umierały, to z nędzy i tragicznych warunków. Ale nikt ich nie zabijał przed urodzeniem.

Leszczyńska próbowała przez wiele lat zapomnieć, ale w końcu przemogła się i napisała raport o tym, co wyprawiano w Oświęcimiu. On stał się później kanwą procesu beatyfikacyjnego.

Olga natomiast, czego nie może zrozumieć Profesor, zupełnie pominęła sprawę ratowania niemowląt. Skupiła się tylko na drastycznych opisach. A przecież pracowały obok siebie, w sąsiednich barakach. Skoro ciężarne kobiety wiedziały, gdzie spodziewać się śmierci, a gdzie jej można uniknąć, powinna to też wiedzieć pielęgniarka asystująca doktorowi Mengele - z mniej lub bardziej wymuszoną wolą.

Marzeniem mojej babki Jadwigi, która jako ostatnia żyjąca osoba pamięta Żydówki, jest przeczytać wspomnienia Olgi po polsku - o tym, co zrobił w styczniu 1945 r. jej ojciec, a mój pradziadek, Augustyn Godziek. Chciałbym sprawić niespodziankę mojej babce i odnaleźć oryginał pamiętnika Olgi, który zaczęła spisywać jeszcze w Brzeżcach. Mam nadzieję, że tam wszyscy jej wybawcy wymienieni są z imienia i nazwiska, a całe to zamieszanie jest winą bezdusznych wydawców. Pragnę uwierzyć, że Olga nie przyjechała do Brzeżc z naprędce wymyślonym wytłumaczeniem o kolejnej książce, w której opíše spotkanie po latach. Tą opowieścią mamiała nas przez kilka kolejnych ciężkich lat, kiedy był stan wojenny, a my żyliśmy tą historią wyrwaną z serca naszej babki. Jej oczy nadal pokrywają się mgłą, gdy wspomina tamte dni. Mam nadzieję, że uda mi się tą książkę odnaleźć, choć prof. Leszczyński - który towarzyszył Oldze - nawet o niej nie słyszał. Pozostały mi tylko słowa obietnicy Olgi w jednym z listów, i nadzieja...



„Czeska proza rzadziej sięga do języka literackiego, częściej  
- do potocznego, do mówionego”

# Trzy w jednym

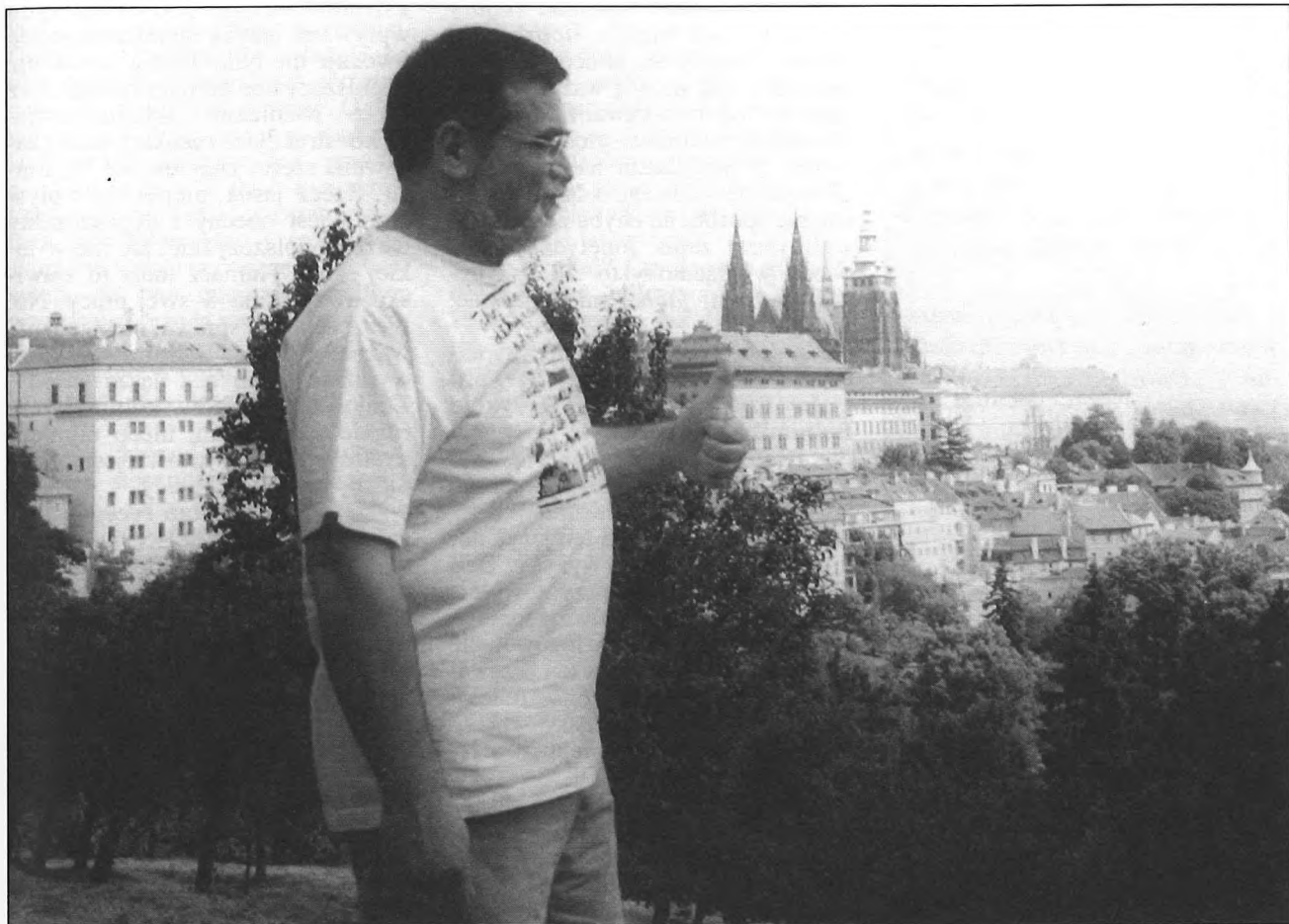


Foto: ARC

Jan Stachowski

Z JANEM STACHOWSKIM rozmawia KRZYSZTOF KARWAT

- Parę lat temu oglądałem telewizyjny dokument o polskiej kolonii w Pradze. Wystąpił w nim m.in. prof. Jacek Baluch z Uniwersytetu Jagiellońskiego, ówczesny ambasador RP. „Jan Stachowski? - retorycznie pytał Baluch, by za chwilę samemu sobie odpowiedzieć. - To najlepiej mówiący po czesku Polak”. Taka perfekcyjna znajomość

języka, w tym nade wszystko „języka ulicy”, zapewne przydaje się w codziennym życiu Polaka, któremu przyszło tyle lat spędzić w Czechach. Czy jest równie użyteczna w pracy tłumacza literatury pięknej?

- Nie wypada mi komentować opinii profesora Balucha. Chyba jednak przesadził, bo znam paru Polaków,

k którzy, w moim przekonaniu, mówią po czesku lepiej ode mnie. Zostawmy więc tę opinię na boku... Nie ukrywam jednak, że akurat w wypadku literatury czeskiej znajomość owego „języka ulicy”, języka potocznego, jest bardzo przydatna. Mogłem się o tym przekonać, tłumacząc w latach 80. prozę Jana Pelca, pisaną nawet nie tyle językiem potocznym,

## JAN STACHOWSKI

(ur. 1951)



– tłumacz literatury czeskiej. Absolwent bohemistyki UJ (1971). W latach 1974-1978 asystent w Katedrze Filologii Słowiańskiej UŚl., 1978-1989 redaktor Wydawnictwa „Śląsk”, 1990-1991 redaktor warszawskiego „Tygodnika Literackiego”, w latach 1991-1996 oraz 1998-2002 pracownik Ambasady RP w Pradze. Mieszka w Katowicach.

Publikacje w pismach krajowych (m.in. „Literatura na Świecie”, „Odra”, „Czas Kultury”, „Dekada Literacka”, „Śląsk”), w latach 80. także – jako Maciej Prażak lub Jakub Waniek – w obiegu niezależnym (m.in. „Kontur”, „Arka”, „Obecność”).

W dorobku przekładowym m.in. proza Bohumila Hrabala (tom opowiadań „Święto przebiśniegu” powieść „Obsługiwałem angielskiego króla”), Josefa Škvoreckiego („Wybór opowiadań”, „Historia Kukulki”), Jana Pelca (powieść „... będzie gorzej”), Karela Štorkána „Žegnaj maturo” (powieść dla młodzieży) oraz głośny esej Josefa Kroutvora „Europa Środkowa: anegdota i historia”. Dotychczas nie wydane tłumaczenia powieści: Arnošta Lustiga „Niekochana. Z dziennika 17-letniej Perty Sch.”, Ladislava Fuksa „Księżna i kucharka” (wraz z Edwardem Madanym), Václava Duška „Kiepski świat” oraz sztuka Luboša Baláka „Wnuk Szwajka”. Obecnie pracuje nad przekładem powieści Oty Filipa „Wniebowstąpienie Lojzka Laspaczka ze Śląskiej Ostrawy”.

co slangiem. Musiałem przy tym przekładzie posługiwać się kilkoma specjalistycznymi słownikami, które na szczęście już wtedy powstały. Każdy bohemista wie, że czeszczyzna ma kilka poziomów językowych. Język mediów, zwłaszcza prezentorów telewizyjnych, język teatru czy oficjalny język polityków jest diametralnie inny od języka potocznego, tego „mówionego”.

– Czy to zjawisko da się jakoś odnieść do polskich realiów?

– Nie i dlatego tłumacze literatury czeskiej mają z tym pewne problemy.

– Spróbujmy naszym czytelnikom je przybliżyć.

W „normalnej sytuacji życiowej”, każdy Czech, nawet wykształcony, nie powie: dobrý kamarád (*dobry kolega*), lecz raczej: *dobrý kamarád*. Zmienia się końcówka przymiotnika. Tak mówią wszyscy – począwszy od niewykwalifikowanego robotnika, po uniwersyteckiego profesora. W przekładzie na polski tego zjawiska językowego właściwie oddać nie sposób, no chyba że zastosowalibyśmy zapis fonetyczny. Ale wtedy wyglądałoby to tak, jak byśmy zamiast: *jablko* mieli napisać: *japko*.

– A jaki język penetruje współczesna literatura czeska? Ten oficjalny czy mówiony? Na przykład Bohumil Hrabal?

– Hrabal zdecydowanie stosował język potoczny, ten, który po czesku nazywa się *obecná čeština* (czeszczyzna „gminna”). On ten język nobilitował, podniósł na wyżyny. Dziś już wielu czeskich pisarzy odwołuje się do owego języka mówionego, i to nie tylko w warstwie dialogowej, ale również opisowej. Język ten przeważa także w publicystyce, w felietonach. Ale nie jest to kanon.

– Niejako zatem istnieją dwa języki czeskie?

– Zaryzykuję i powiem, że trzy.

– ???

– Poza językiem literackim (*spisovná čeština*) i „gminnym”, który funkcjonuje przede wszystkim w środkowych Czechach i jest bardzo ekspansywny, istnieje jeszcze odmiana mówionej czeszczyzny, używana na Morawach. Między oboma językami mówionymi są pewne subtelne różnice. Czech z Moraw mówi inaczej niż prażanin, choć oba języki nie są skodyfikowane. W Brnie mało kto powie: *trámvaj*, raczej: *šalina*, nie powie: *ségra* (*siostra*), tylko: *švica*. Nie chodzi jednak jedynie o różnice leksykalne, przede wszystkim – o fonetyczne.

– A wydawać by się mogło – przepraszam za ten banał – że praca tłumacza z języka czeskiego na polski powinna być relatywnie łatwiej-

sza, skoro oba języki są tak do siebie podobne. A to tylko pozór!

– Tak, bo im język obcy wydaje się bliższy, tym niebezpieczeństwa i pułapki, przed jakimi staje tłumacz, są większe. Oto leży przede mną słowniczek zatytułowany *Zdradliwe słowa*. Zawiera jakieś 600 haseł, które brzmią w obu językach identycznie lub bardzo podobnie, lecz znaczą zupełnie co innego. Przykłady? *Kryminalista* – to nie ten, który popełnia przestępstwo, lecz ten, który przestępcę ściga. *Čerstvý chléb*, to *świeży chleb*. Takich pułapek jest sporo, zważywszy, że średnio wykształcony użytkownik języka korzysta na co dzień z 3,5 do 4 tysięcy jednostek leksykalnych. Poza tym czeszczyzna kształtowała się pod wyraźnymi wpływami języka niemieckiego, co owocuje nie tylko liczniejszymi niż w polszczyźnie germanizmami, lecz także różnicami składniowymi. W konstrukcjach czeskich zdań czasownik często znajduje się na końcu. Rzecz jasna, pierwotny wpływ łaciny jest obecny i dopuszczalny także w polszczyźnie, ale nie w takiej skali. Tłumacz musi to zjawisko uwzględnić w swej pracy. No, i jeszcze jedna sprawa, niesłychanie ważna. Różnica kulturowa, która wyraźnie dzieli oba nasze narody. Znajomość realiów kulturowych, różnic mentalnych, nieco odmiennych systemów wartości, jest czymś niezbędnym w tej pracy.

– Jak oceniasz stan recepcji literatury czeskiej w Polsce, i vice versa? Niekiedy wydaje się, że nie jest dobrze, a przecież żyjemy, zwłaszcza my, mieszkańcy Górnego Śląska, tak blisko siebie.

– Z Czechami Rzeczpospolita ma najdłuższą granicę państwową. I odwrotnie. Historia nas jednak inaczej ukształtowała, choć niewątpliwie Czecha lepiej rozumie właśnie mieszkaniec Górnego Śląska, niż na przykład mieszkaniec Mazowsza. I nie mam na myśli tylko kwestii językowych, a właśnie kulturowe. A recepcja? Cóż, żyjemy w czasach, w jakich żyjemy... Recepcja układa się jak sinusoida. Największe zainteresowanie literaturą czeską odnotowaliśmy w latach 80. ubiegłego stulecia, na co wpływ miał także tzw. drugi obieg wydawniczy.

– Kundera i Hrabal.

– Nie tylko. Niemal każde pismo bezdebitowe miało swój czeski „kącik”. Prezentowano także twórczość m.in. Havla i Škvoreckiego. W latach 90. ta fala zainteresowania czeską literaturą zaczęła opadać. A teraz, tak mi się wydaje, powoli, powoli znowu zaczyna się wznościć.

W Czechach – podobnie. Lata 90., zwłaszcza ich pierwsza połowa, to posucha na polską literaturę. Co cie-

kawe, ci wszyscy pisarze czescy, którzy albo zostali w czasie husakowskiej i posthusakowskiej „normalizacji” zmuszeni do milczenia bądź emigracji, po „aksamitnej rewolucji” byli w Czechach czytani niemal masowo. Ale potem też ta fala zainteresowania ich pisarstwem równie błyskawicznie opadła. Nakłady dzieł zebranych Bohumila Hrabala, pisarza tak przecież w Polsce kochanego, osiągały wtedy w Czechach ledwie kilka tysięcy.

**- Podobną „przygodę” przeżyli w Polsce i nasi emigranci.**

- Tak, ale pamiętajmy, że Czechów jest - plus-minus - cztery razy mniej. Odnoszę wrażenie, że sytuacja na obu rynkach czytelnichych dynamizuje się i zmienia na korzyść. O dziwo, to nie Praga dyktuje warunki, lecz ośrodki mniejsze, tzw. prowincja. Dla polsko-czeskich kontaktów literackich najwięcej w ostatnich latach robi Ołomuniec i środowiska skupione wokół tamtejszego uniwersytetu. W tym miejscu chciałbym wspomnieć przede wszystkim o osobie Václava Buriana, tłumacza i nieustrudzonego popularyzatora polskiej literatury. Na uwagę zasługuje też fakt, że czescy wydawcy publikują autorów, którzy w Polsce zdobyli uznanie stosunkowo niedawno, że wymienię Olę Tokarczuk, Magdalenę Tullę czy Andrzeja Stasiuka.

**- Parę miesięcy temu drukowaliśmy w „Śląsku” jedno z opowiadań Josefa Škvoreckiego w twoim przekładzie. Czy nie wydaje się ci się, że jest to pisarz słabo obecny w naszym kraju?**

- Nie, to nieprawda. W ostatnich latach wyszło w naszym kraju kilka jego książek. Inne czekają na druk.

**- Wiem, w tym także w twoim tłumaczeniu. Mnie jednak chodzi o czytelnicy, o krytyczny odzew.**

- W Polsce wychodzą głównie starsze książki Josefa Škvoreckiego. Zaczęło się od *Tchórzy*, na początku lat 70. ubiegłego stulecia. To była pozycja w ówczesnych Czechach objęta zakazem druku i rozpowszechniania. Škvorecki był już wtedy emigrantem, mieszkał w Kanadzie. I z tych powodów pisarz ten, także w Polsce, zniknął z pola widzenia. Nie można było go wydawać. Pojawił się dopiero wraz z narodzeniem się drugiego obiegu, do czego i ja skromnie przyłożyłem rękę, publikując wraz z innymi fragmenty jego opowiadań i powieści w tomie pt. *Wyjątki z autosztambucha*. W latach 90. zaczęto wracać do Škvoreckiego. Na przełomie poprzedniej dekady wyszło kilka inte-

resujących tytułów, ale wszystkie one pochodzą z lat 50. i 60.

**- Dlaczego sięga się do tak odległej już epoki?**

- To odrabianie zaległości. Być może - a stawiam tę hipotezę ad hoc, na użytek tej rozmowy - ta część twórczości Škvoreckiego, która penetruje temat holocaustu, chyba nie wydaje się już dzisiejszemu czytelnikowi tak interesująca i odkrywczą. Inny wielki temat tego pisarza to jazowa subkultura i jazz. Wtedy, w latach 50., jazz znajdował się poza obszarem kultury oficjalnej, przynajmniej w naszych szerokościach geograficznych. To rzeczywiście są sprawy już dość odległe i może rzeczywiście mało atrakcyjne dla współczesnego czytelnika. A szkoda, bo literacko są to teksty świetne. Niczego nie straciły ze swej świeżości. Ba, mają w sobie także walory poznawcze, nie tylko artystyczne. A tego bym nie lekceważył.

**- A Hrabal? Czy można go jeszcze w Polsce „odkrywać”? Czy może jednak jest to już dla polskiego rynku czytelniczego i księgarskiego rozdział całkowicie zamknięty?**

- Odkrywać? To już prawie niemożliwe, choć oczywiście trzeba pamiętać o czytelnikach młodych, którzy nie mieli dotąd okazji bliżej obcować z tą twórczością. Niedawno wydawnictwo Znak wydało minipowieść Hrabala zatytułowaną *Auteczko*. To ostatnia spośród nieznanych dotąd w naszym kraju książek tego autora. Nie sadzę, by odkryto jakieś nowe teksty. Coś tam jeszcze zostało, choćby jego korespondencja miłosna i jakieś drobiazgi. Ale z rzeczy większych wszystko już zostało na język polski przełożone. I w tym sensie - ten rozdział rzeczywiście trzeba uznać za zamknięty.

**- Wspomniałeś, że były lata, gdy w Czechach spadło zainteresowanie tym pisarstwem. A w Polsce?**

- Jak na razie nie. Wprost przeciwnie. Hrabal ciągle jest chętnie czytany i kupowany. Wiem coś o tym. Wydawnictwo PIW, które opublikowało *Obsługiwałem angielskiego króla*, permanentnie robi dodruki. W ostatnich trzech latach - trzykrotnie.

**- Hrabal, i to nie tylko w Czechach, bo też w Polsce, chętnie i nieraz z wielkim powodzeniem jest adaptowany na scenach teatralnych. Przed laty widziałem kapitalną inscenizację właśnie *Obsługiwałem angielskiego króla* w wykonaniu brneńskiego Divadla na provazku. I na tym polu niejedno chyba jeszcze nas czeka.**

- Też widziałem kilka realizacji, ostatnio w Teatrze TV Izabella Cywińska wyreżyserowała spektakl na podstawie opowiadań ze zbioru *Bar „Świat”*, ale nie zachwycił mnie.

**- Mnie również.**

- Wiem, że do innej realizacji przemierza się teatr w Nowej Hucie. Cóż, Hrabal doprawdy ma w Polsce wielu wiernych czytelników i entuzjastów jego talentu.

**- Nic więc nie wskazuje na to, byśmy mieli o Hrabalu zapomnieć. Ale czy lepiej poznamy Otę Filipa, którego już raz przed paroma laty na tych łamach prezentowaliśmy, a w tym numerze „Śląska” znów drukujemy jego prozę w twoim przekładzie? Ja po raz pierwszy spotkałem się z tym nazwiskiem u Horsta Bienka, który mówił o Filipie w jednej ze swoich książek wspomnieniowych. Ci pisarze znali się osobiście.**

- Tak, zgadza się. Bardzo bym chciał, by Ota Filip trafił w Polsce na podatny grunt. Ale to jest opinia subiektywna, bo przecież jestem żywo zainteresowany powodzeniem tej prozy. Rzecz w tym, że *Wniebowstąpienie Łojzka Lapaczka ze Śląskiej Ostrawy*, bo o tej powieści tu mówimy, jest potężnym tomiskiem, a wiadomo, co to dziś oznacza dla wydawców, którzy nie przepadają za ryzykiem i za takimi 700-stronicowymi „ceglami”. Dlatego powieść ta wymaga od przyszłego wydawcy wręcz heroicznego wysiłku. Ale to naprawdę bardzo ciekawa proza. Powieść jest szeroką, epicką panoramą, obejmującą czterdzieści lat, w tym czas międzywojnia, gdy Ostrawa była jeszcze podzielona na część morawską i śląską. W tamtej epoce na tym terenie obok siebie żyli Czesi, Polacy, Niemcy i Żydzi, prawdziwy tygiel narodowy i kulturowy. Poznawanie go poprzez literaturę jest zajęciem niezwykle pasjonującym, tym bardziej że Ota Filip pisze z dowcipem, czasem ciepłym, ale czasem i zjadliwym. Nikogo nie oszczędza i tamtej rzeczywistości nie podkoloruje. Kiedy trzeba, nie oszczędza swych czeskich ziomków. Po równo „dostaje się” i Polakom, i Niemcom, i Żydom, gdy mowa jest o nietolerancji czy fanatyzmie, które znaczyły tamtą epokę. Ale są również wydobycie pozytywne aspekty współżycia. Z dzisiejszej perspektywy nabiera ono jeszcze innych, nowych znaczeń. Na pewno skłania do refleksji, chyba nie tylko historycznej.

**- Dziękuję za rozmowę.**



# Wniebowstąpienie Lojzka Lapaczka ze Śląskiej Ostrawy

(fragmenty)

przekład JAN STACHOWSKI

W

IV.

ostatnich latach babka Zabalska tak się jakoś zawężliła, zakleszczyła, jakby się zasznurowała, upychając w sobie ostatnie resztki życia i przez to jej duszyczka nijak się z niej wypłatać nie może.

Krótko mówiąc, babcia nie zamierza umrzeć.

Na myśl, że mogłaby żyć jeszcze dwa, trzy lata, robi mi się niedobrze. Problem polega też na tym, że nawet nie wiem, ile ma lat. Po roku jeden tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym zapomnieliśmy liczyć jej urodziny, a choć babcia trzyma jakieś dokumenty, to z nimi mądrych nie ma, bo wystawiały je trzy reżimy i każdy coś odjął albo dodał, więc dziś nikt nie umie się w nich połapać.

Nie chcę jednak powiedzieć, że babcia sprawia mi kłopot, bo niemal nic mnie nie kosztuje. Cały dzień wytrzyma na herbach i zupie. Kiedy mam dobry humor, przynoszę do domu flaszkę sherry. Wtedy babcia zawsze się ożywia: jej oczy jaśnieją, wkracza w nią zaskakująco nowy duch i opowiada mi takie rzeczy, że aż mi się w głowie kręci.

Babcia jest po prostu niezniszczalna. Przeżyła cesarza, prezydentów, firera, protektorów i wszystkich wodzów proletariatu, w tym Stalina. Nic nie potrafiło jej wykończyć. Zawsze znalazła szczelinę, przez którą przemykała w miarę cało, choć czasem trochę poobijana.

Najbardziej załazi jej za skórę rotmistrz Georg von Zabalski.

Babka przywiązuje do dziadka wielką wagę. Pochodził z rodziny Zabalskich, która galicyjskim regimentom Jeggo C. K. Wysokości przez całe pokolenia dostarczała wiernych rotmistrzów, majorów i pułkowników, dziwkarzy i karciarzy jakich mało. Kiedy w roku jeden tysiąc dziewięćset jedenastym dziadek przerznął w karty żołd swoich żołnierzy, pan pułkownik von Königstein położył przed nim na stole rewolwer ze słowami, że pan Zabalski już wie, co zrobić.

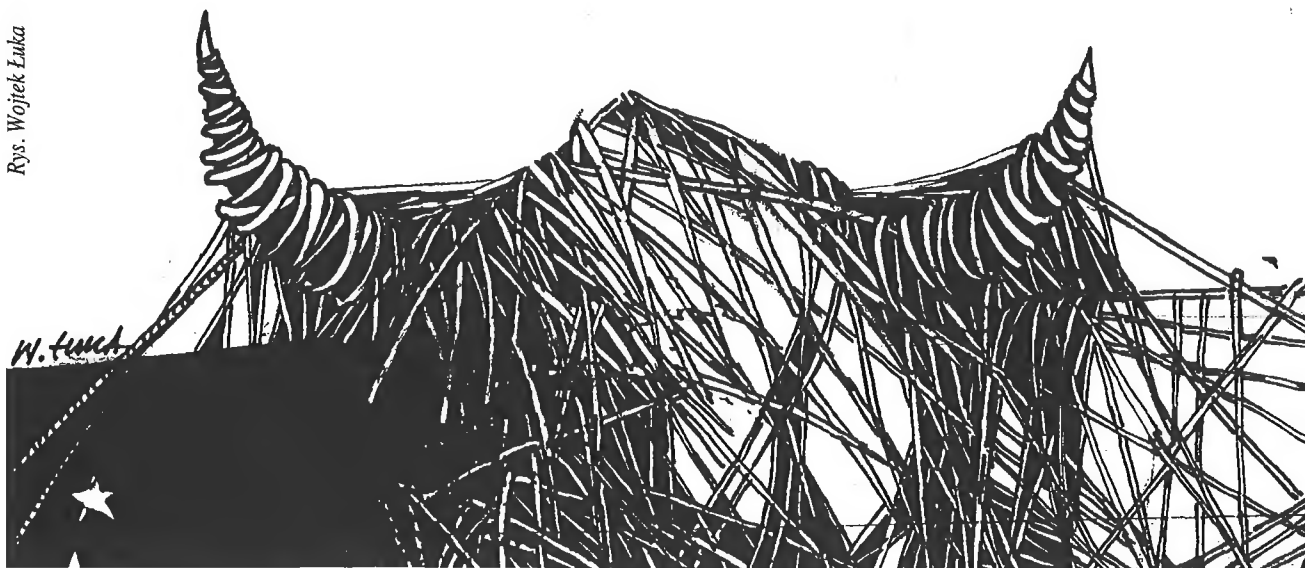
Rotmistrz von Zabalski wiedział to dobrze i jeszcze tego wieczora ulotnił się z miasta, zabierając też z sobą subretkę z krakowskiej operetki, niejaką Ninę Jerzykowską, znaną jako Czerwona Nina.

Teraz dziadek zaprzecza, że wtedy wziął jeszcze pułkową kasę, ale gdy już był poza Krakowem, wtedy pan pułkownik von Königstein zaczął kłąć, że wyparowała także cała kasa. Dwa, trzy tygodnie później babka dostała z Hamburga list, w którym pan rotmistrz Zabalski oznajmiał, że żegna się ze starym, zgniłym światem i wyjeżdża do Ameryki, gdzie zamierza rozpocząć nowe życie, wkrótce zarobi te nędzne trzy tysiące złotych, które przegrał z panem pułkownikiem Königsteinem, o którym przecież powszechnie wiadomo, że oszukuje. Dalej pisał, że babka powinna pójść do pułkownika i zażądać, by - o ile jest człowiekiem honoru - zwrócił pieniądze, z których w nieuczciwy sposób ogołocił pana rotmistrza. Babka jednak przekonała się, że pan pułkownik Königstein nie jest człowiekiem honoru, ponieważ odmówił zwrotu pieniędzy, które ponoć wygrał w uczciwej grze zwanej ferblem, a co więcej roztrąbił, że skradziono całą kasę z dużą gotówką.

Babcia Zabalska rozsądnie nie wspomniała o hamburskim liście dziadka, co panu pułkownikowi von Königstein chyba było na rękę, bo zaczął sugerować, że pan rotmistrz zapewne utopił się w Wiśle, nie zapomniawszy uprzednio schować zaginioną w tajemniczy sposób kasę pułku. O Czerwonej Ninie nie padło choćby słowo. Kwestia ta została zbyt milczeniem lub znaczącym ruchem brwi - wielu panom oficerom kamień spadł z serca, gdy Nina Jerzykowska znikła z miasta.

Rzecz jasna babkę interesowało, co będzie z rentą po rotmistrzu, skoro panuje przekonanie, że skończył nędznie w Wiśle, ale pan pułkownik oświadczył, że wniosek o rentę będzie można złożyć dopiero po znalezieniu ciała domniemanego topielca.

- Ale jeśli zwłoki zostaną odnalezione - pouczał pułkownik panią von Zabalską - będzie pani niestety musia-



ła odczekać pięć lat, zanim wojskowe urzędy uznają pana rotmistrza za zmarłego.

Lecz za pięć lat wybuchła wojna światowa, rotmistrzowie przepadali codziennie w różnych wojennych opalach i Georgiem von Zabalskim już właściwie nikt się nie przejmował.

Z całej rotmistrzowskiej świetności zostało babci raptem sławne nazwisko i kupa wstydu, jaką dziadek pozostawił po sobie w Krakowie. Jeszcze podczas wojny przeprowadziła się do Ostrawy, gdzie utrzymywała się, z czego się tylko dało. Sprzedawała resztki mienia po panu rotmistrzu, ale nie było tego dużo. Żyła skromnie ze spadku po swym ojcu, polskim ziemianinie Mikołajczuku, który wydziedziczył ją w dzień jej tajnego ślubu z dziwką Zabalskim. Ale na śmiertelnym łóżu w ostatniej chwili rozmyślił się i darował córce, a mojej babce, jedną trzecią majątku, ta zaś kazała to sobie wypłacić w gotówce, którą jednak prędko straciła na skutek powojennych zawirowań wokół waluty.

Potem wiodło się jej różnie. Ulegała zmiennym nastrojom: od przekonania, że dziadek żyje, wróci i wszystko będzie dobrze, po pewność, że do Abrahama na piwo. Więc żeby sobie w tej przekłętą sprawę zrobić jasność, po kolei odwiedziła w Radwanicach wszystkie słynne karciane wróżki, lecz nie dowiedziała się niczego konkretnego, słysząc od każdej zaledwie aluzje, które mogła sobie tłumaczyć na różne sposoby.

Później wyszły na jaw moje medialne zdolności, ale nawet ja nie byłem w stanie wejść z dziadkiem w kontakt.

Gdzieś jesienią roku jeden tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego wreszcie mi się zjawił. Wystroił się na to spotkanie w mundur austro-węgierskiego rotmistrza i przyczernił wąsa, słowem trzymał fason.

- Wnuku - powiedział dziadek - jestem już na łonie Abrahama, ale wiedz, że o tobie nie zapomniałem. Zostałem ci w Ameryce dolarowy spadek. Od tej chwili jesteś właścicielem ośmiu tysięcy dziewięćset dwudziestu sześciu dolarów i trzydziestu ośmiu centów. Kazałem wprowadzić odszukać moją byłą żonę, tylko że tej franczy i tak niczego nie zapiszę, bo zdradzała mnie z panem pułkownikiem von Königstein. Ale znalazłem ciebie...

Ta wiadomość tak mnie przeraziła, że wypadłem z transu, po czym dumałem w łóżku, co teraz? A ponieważ nic mi nie przychodziło do głowy, po chwili uspokojenia znowu pogrzeżyłem się w stan błogości.

Dziadek stał przy łóżku cały nastroszony, no bo gdzie u mnie kindersztuba, tak sobie zniknąć, kiedy on jeszcze nie skończył. Ale nie powiedział mi już zbyt wiele poza tym, że kancelaria adwokacka Dutton and sons z Bostonu ponoć mi przyśle wszystkie papiery wraz z jego ostatnią wolą, którą muszę wypełnić, ponieważ jest to rozkaz.

- Wnuku - powiedział drżącym głosem - twoim świętym obowiązkiem jest przewieźć moje ciało do Krakowa i tam je pochować. Obiecuję, że to załatwisz!

Obiecałem natychmiast.

Z samego rana zabrałem się do rachunków stwierdzając, że nawet po opłaceniu transportu zostanie mi fura dolarów. Uznałem jednak, że w aktualnej sytuacji poli-



tycznej pochowanie dziadka w Krakowie jest niewykonalne, a więc dziadek będzie się musiał zadowolić Ostrawą. Zresztą do Krakowa stąd niedaleko.

Na lepsze myślenie otworzyłem buteleczkę koniaku i zapomniawszy o powszednich troskach, już radowałem się z nęcących perspektyw kapitalistycznego spadku po monarchistycznym dziadku, i to z rodowodem, którego jako proletariusz w zasadzie powinienem się wstydzić.

I tak w oczekiwaniu na spadek zacząłem pić. A dokładniej: piłem coraz więcej. Wystarczyło, żebym się napił, i już przychodził dziadek w galowym mundurze mówiąc, że robię słusznie, bo człowiek ma z życia tylko to, co wypije i czego użyje.

Jak sięgam pamięcią, babka Zabalska zawsze złorzęczyła dziadkowi. I nawet mamie nie dawała spokoju: ciągle jej wytykała, że zamiast wychodzić za piekarza, miała sobie znaleźć raczej jakiegoś majora. Nie brała przy tym jakoś pod uwagę faktu, że po światowej wojnie majorów istotnie ubyło. Ale lata uciekały i mama wchodziła w wiek, kiedy jej twarz coraz częściej przybierała kwaśnego, staropanieńskiego wyrazu - a kandydata do żeniaczki jak nie było, tak nie było.

Od czasu do czasu wprowadzie coś się zaczynało kroić, lecz gdy okazywało się, że panna Anna Zabalska poza moim nazwiskiem jest gołą, zalotnicy ze słowami przeprosin znikali.

Chciałbym wierzyć, że mama wyszła za mąż z wielkiej miłości, lecz to nie tak. Anna von Zabalska wyszła za piekarza Jarosława Lapaczka na złość swojej mamie.

Moja mama w ogóle miała szczególny charakter. Potrafiła się zawziąć, pokonać wszystko wokół siebie i w sobie samej, by nagle, w momencie, gdy się tego chyba sama nie spodziewała, padały w niej bariery niepokoju, a wtedy ona bez chwili zastanowienia pakowała się w najrozmaitsze ryzykowne przedsięwzięcia. Być może powodował ją zwykły strach, wrażenie, że właśnie coś może stracić, więc pozwałała sobą pomiatać, niecierpliwa i z naiwną nadzieją, że jakoś wypłacie się z tych tarapatów.

Myślę, że nieustannie toczyła wewnętrzny pojedynek między strachem a pragnieniem małej stabilizacji, tylko że chyba nigdy dokładnie nie wiedziała, na czym ta mała stabilizacja polega. Trochę ją sobie dopasowywała do własnych, nieco fantastycznych wyobrażeń, pozostając pod wpływem matki, która, nigdy nie pogodzona z rzeczywistością, żyła w swoim świecie, jaki został jej po rotmistrzu Zabalskim. Mama wszędzie wietrzyła niebezpieczeństwo, bez przerwy czujna, bez przerwy pod bronią. Od czasu do czasu ruszała do ataku w nadziei, że wreszcie przerwie wały, które czuła wokół siebie.

Jej zamążpójście też chyba było jednym z nierozsądnych szturmów, który, tak jak pozostałe wcześniej i potem, zakończył się klęską. Jak zawsze w takich razach mama odcięła sobie drogę powrotu i nie mogąc się wycofać, zacięła się w sobie - w tym wypadku wzięła się za pranie strojów drużyny piłkarskiej FC Śląska Ostrawa.

Swój los nad baliami brudnego prania traktowała jako karę bożą. Przyjmowała ją z pokorą, ale wiem, że z szalonym zapałem gromadziła w sobie siły do kolejnego szturmu, a przynajmniej do podjęcia takiej próby.

Jej chwila nastąpiła pewnego styczniowego dnia roku jeden tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego, kiedy sekcja hokeja S. C. Śląska Ostrawa gościła na swoim lodowisku węgierskich hokeistów z Budapesztu, w których składzie grała gwiazda: hrabia Medessy.

Tego wieczora po hokejowym spotkaniu zostałem poczęty. Z tatą teraz także często rozmawiam.

Stoi zgarbiony nad moim łóżkiem, ścigając twarz w grymasie, ponieważ nadal się jeszcze nie pozbył chro-

nicznego kataru i kichania. Gdy tylko pytam go o mamę, zwiesza głowę i chyba z uśmiechem odpowiada, że nie chce o tym mówić.

- Nie zmuszaj mnie do tego.

- Ale kochałeś ją?

- Tak, bardzo... ale właściwie tylko w czasie ślubu, później było inaczej.

Tato rozgląda się. Wydaje mi się, że ma wrażenie, jakby ktoś stał za jego plecami. Jego głos drży.

- Była bardzo piękna - mówi - naprawdę bardzo piękna, miała tak delikatne kostki. Ale to wszystko było dla mnie karą, sprawiedliwą karą, bo wyszedłem za twoją matkę tylko po to, żebym się mógł przechwalać piękną kobietą...

- Tato, a jak to jest z mną?

- Nic by ci z tego nie przyszło, gdybyś wiedział, jak było... zresztą ja nic nie wiem, niech ci powie mama, jeśli zechce...

Na tym zazwyczaj kończymy. Tato prostuje się i uśmiecha z miną winowajcy, ale czasami zaczyna tłumaczyć się gęsto i usprawiedliwiać, a wtedy już wiem, że zakończy prośbą o przebaczenie. Lecz z tego usprawiedliwiania się i uzalania nad sobą zbiera mi się na mdłości, czuję, jak w transie oblewa mnie pot i widzę, że tacie rozlewają się na twarzy niebieskie plamy. Jest mi niedobrze, więc odwróciwszy się na drugi bok, usiłuję jak najprędzej się ocknąć.

Ale i tak wciąż wypełnia mnie tato. Czuję jego ciało, jak oddycha w piekarni, podczas gdy rośnie ciasto, moja twarz owiewa żar z jego pieca, tato wchodzi we mnie, a ja go wchłaniam, ponieważ nie mam już nikogo, kim mógłbym nasiąknąć.

Słyszę go, jak panu Wenzelowi Deutscherowi, byłemu piłkarzowi SC Morawska Ostrawa, wykrzykuje w kuchni, że dziadek Zabalski był dziwkazrem.

Mama stała w obłokach pary nad baliami z żółtymi strojami FC Śląska Ostrawa, obok ujrzałem babkę Zabalską, jej rozłożone ręce, przez co w tej parze wyglądała jak wieszczka.

- Słyszałaś, słyszałaś to? Powiedział, że Zabalski był dziwkazrem! I ty jemu, piekarzowi, pozwalasz na to? Ty, córka oficera?

- Podpisz pan folkslistę - rzekł zmęczonym głosem pan Wenzel Deutscher - podpisz pan ten swój życiowy transfer i wszystko będzie w porządku, zagrasz pan wreszcie w porządnej drużynie, która przez następne wieki poprowadzi światową ligę różnicą klasy!

- No i tak to u nas jest, panie Deutscher - krzyczała babcia w parze - tak tu sobie żyjemy! Anna pierze stroje, a Lapaczek sobie umyślił, że nie podpiszemy folkslisty. Ale on mi to robi na złość, bo nie chce, żebym wreszcie dostała rentę po rotmistrzu von Zabalskim. Skoro tak, sama podpiszę, a potem adije, Lapaczku!

- Daj spokój - odezwała się znad balii mama.

- Do cholery! - krzyknął tato, ale zaraz zamilkł i położywszy głowę na stole, natychmiast zapomniał wszystko, co zamierzał wykrzyknąć.

- Na to sobie nie zasłużyłem, naprawdę, na to nie - mówił cicho - różne rzeczy zniosłem, nawet tego zasnętego hrabiego Medessy, nawet dziadka von Zabalskiego, ech, było, minęło... Panie Deutscher - tato uniósł głowę - daj pan tu ten papier, dla świętego spokoju, daj go pan!

Tato podpisał, wstał i bez słowa poszedł do piekarni. Ledwie tam stanął przy dzieży, poczuł zapach rosnącego ciasta i otoczył go mdły, słodkawy przeciąg, a na jego plecach oparło się buchające z pieca ciepło. Przepasał się zeszytniałym od resztek ciasta fartuchem i gdy pochylił się nad stolnicą, znowu poczuł się lepiej.

Tych chwil, kiedy tacie naprawdę ulżyło, od tamtego dnia było coraz mniej.



atanie już mi nie sprawia takiej frajdy. Gdy tylko znajdę się nad nowym ratuszem, coś ściga mnie w dół wprost na frontową ścianę z bliznami, klamrami i dziurami w tynku. Również dźwięki, które tam, na górze, słyszałem zwykle jako niezrozumiały i przypadkowy zlepek okrzyków, szeptu, dudnienia, muzyki i śpiewu, teraz słyszę oddzielnie, wystarczy, bym skupił się tylko na jednym z nich.

Pod sobą na placu mogę słyszeć głosy mówców, ich okrzyki w głośnikach, słyszę śpiewane hymny: Uchowaj nas, Panie; Gdzie ojczyzna ma; Deutschland, Deutschland uber alles; O zabrzmi, podniosła pieśń; Bóg to jest nasz ostatni, a potem orkiestry dęte, chrząst czołgowych gąsienic na bruku, strzały, krzyki - i cisza.

Kompletna cisza, w której bardzo muszę się wysilić by usłyszeć, jak miasto z lekkim trzaskiem osuwa się, jak pękają nędzne szwy ziemi, bruku i domów, jak miasto niezwykle ciężko osiada na swoim podłożu z węgla.

A potem za rzeką, na Kamieńcu, stąpa światło. Raca wzbija się wprost z boiska FC Śląska Ostrawa, a za światłem z boiska płynie też melodia, ale nie jako całość, tylko rozdrobniona, rozpuszczona w srebrnej mgłę; najwyżej wzbijają się tony wyższe, całkiem w dole zostaje bęben. Najpierw słyszę coś jakby walca, ale z każdą chwilą zwalnia, aż w końcu melodia przechodzi w parę przeciągłych tonów, raca nad boiskiem gaśnie i zapada ciemność. I cisza. Słyszeć tylko echo bębna.

Budzę się przerażony.

Wydaje mi się, że przede mną milcząco gestykuluje tato, chce mi coś powiedzieć, ale ja go nie wezwę. Działek wścieka się, że pochowałem go w Ostrawie zamiast w Krakowie. Też go nie wezwę. Później widzę mamę. Jest pokorna. Wiem, co chce mi powiedzieć, ale ja już tego wiedzieć nie chcę.

Mój ponóbóczek jest ze mną, gędzi coś o odpuszczeniu grzechów. Jestem samotny i przerażony, więc słucha się tego przyjemnie, nie wiem tylko, co chce przez to powiedzieć: czy ja mam coś odpuszczać, czy też mnie będzie odpuszczone?

Słucham mądrego staruszka i tak sobie myślę, że każdy powinien wypić piwo, jakie sobie nawarzył. Ja już go nawarzyłem i wypilem sporo, za siebie i za innych.

Ot choćby taki Natan Preis, były właściciel skupu złomu i makulatury, ale kupował też szmaty, kości i skóry. Ileż się to z nim nauzeralem.

Pani Preis podsuwała mi czekoladowe cukierki, żebym wezwał nieboszczyka Preisa i spytał go, co ona, biedaczka, ma sama począć. Sama, bez chłopca.

Z panią Herminą Nosal z Radwanic, tą od wywoływania duchów, dwa razy nie udało się nam przywołać Natana Preisa, prawowiernego Żyda. Pani Nosal uznała, że główna trudność tkwi właśnie w prawowierności Preisa, tacy ponoć zawsze są najgorsi: ciężko ich przywołać, a jak już się pojawią, są źli i niecierpliwi.

Jeszcze przed moją rozmową z Natanem tłumaczyła pani Preis panu magistrzowi Wotoczkowi, który mieszkał u nas w gabinecie pełnym pluskiew, jak bardzo jest opuszczona, naprawdę, i co ona, wdowa z chłopakiem na głowie, ma począć, podczas gdy panu Wotoczkowi to się wiedzie, bo ma zapewniony byt.

- A interesy, panie magistrze, idą kiepsko, oj, kiepsko - rozgadała się pani Preis. - Na szczęście Natan zostawił mi jakiś kapitał, więc gdybyśmy, panie Wotoczku, zainwestowali pieniądze w jakąś ładną aptekę, co by panu wpadła w oko, ojoj, ale by się nam razem żyło!

Pan Wotoczek zwlekał z odpowiedzią.

- Panie magistrze, zapraszam na mój budyń - pani Preis ściszyła głos - zrobię kawki i porozmawiamy jak do brzy przyjaciele, tak od serca.

Pan Wotoczek zakasłał, pani Preis zaczęła szybciej oddychać, a gdy stanęła na czubkach, żeby pan Wotoczek mógł przejść przez wąski przedpokój, zaskrzypiała pod nią podłoga. Przeszedł, ale ona ustawiła się tak sprytnie, że pan magister musiał rękawem dotknąć jej sutków. Lecz nawet to nie zatrzymało pana Wotoczka: bez słowa wyszedł z przedpokoju na korytarz, cicho otworzył drzwi swojego gabinetu i zamknął je za sobą na klucz.

Chciałbym przechować w pamięci iluzję, że pani Preis załamała się i żeby nie osunąć się na kolana, musiała się przytrzymać ściany, i że już nie powstrzymała łez, ale to nie tak.

Została jeszcze przez chwilę w ciemnym przedpokoju, później weszła do swojej kuchni i stanąwszy przed lustrem, przyglądała się sobie z profilu i z przodu, wydymając dolną wargę (pamiętam, że była przepięknie ukrwiona), po czym powiedziała sama do siebie: - A niech cię.

Potem wszedłem ja i powiedziałem, że Natan przekazuje jej, żeby nie wychodziła za goja. Jeżeli nie znajdzie dobrego Żyda, mówił Natan Preis, niech raczej zostanie wdową.

- Nie - krzyknęła pani Preis - przecież tego nie mógł powiedzieć!

- Dokładnie tak powiedział - odparłem.

- Pogadaj z nim jeszcze raz - nalegała pani Preis - wytłumacz Natanowi... a właściwie co mu będziesz tłumaczył, sam to musi zrozumieć... Nie, on niczego nie zrozumie, nigdy niczego nie rozumiał... Trzeba mi porządnego chłopca, przyzwoity Żyd mnie nie uratuje... Potrzebuję chrześcijanina, katolika, ewangelika, baptystę... nawet za mahometanina bym wyszła... - rozplakała się.

Bałem się Natana Preisa. Zjawiał się, a przynajmniej tak mi się zdawało, spowity jakąś okrutną surowością, jego głos był głęboki, a wypowiedzi zwięzłe. Wydał kilka krótkich poleceń i natychmiast zażądał, żebym go zwolnił. Na pytanie, za kogo ma wyjść jego udręczona małżonka, odpowiadał: - Za prawowiernego Żyda, w przeciwnym razie ją przeknę!

- Niechże się pan opamięta - nalegałem - żona pańska potrzebuje chrześcijanina, bo inaczej interesy jej nie pójdą!

- Trzymałem się wiary, a interesy mi szły - rzekł Natan Preis.

- Czasy były inne, panie Preis.

- Dla Żydów czasy zawsze były złe, tak było i będzie.

Pani Preis nie dawała mi spokoju, ciągle pytając, czy Natan już nie zmądrzał.

- Przecież tak nie idzie żyć - labiedziła - co to za życie, klientela mi ucieka, musisz mu to wytłumaczyć!

No i pewnego wieczora uciekłem się do kłamstwa. Ściszone głosem przekazałem pani Preis wiadomość od Natana: przemyślał sobie wszystko jeszcze raz, czasy są rzeczywiście złe, więc nie byłoby o rzeczy, gdyby spróbowała z panem Emerykiem Cachem, byłym obrońcą FC Śląska Ostrawa, rzeźnikiem, który zainstalował się w naszym domu.

Pani Preis cała zadygotała, ręce jej opadły. Oparta o ścianę wyszeptała, że Natan ma rację, jaki tam magister Wotoczek, to przecież dla niej żadna partia, co innego Emeryk Cach. Gdyby tak połączyć dwa interesy...

Zawstydzony zcmychnąłem do domu.

# Seladyn i spółka

**Panie i panowie! Mam zaszczyt przedstawić najbardziej wyświechtane pojęcie ostatnich lat. Nawet nie wiem ilu. W każdym razie zbyt wielu, zarówno dla zdrowego rozsądku jak i dla czystości języka polskiego. Nie chcę nadużywać niczyjej cierpliwości: owo słowo to krucjata. Ot, taki drobiazg historyczny, mocno zakorzeniony w potocznym języku. Tak mocno, że już dziś nie bardzo wiadomo co krucjata jest, a co nią nie jest, par excellence, że tak powiem.**

**O**d czegoż jednak słownik, który w 1980 roku będąc pod redakcją Jana Tokarskiego ukazuje krucjatę jako zbrojną wyprawę podjętą pomiędzy XI a XIII w. w celu zdobycia Ziemi Świętej w znaczeniu wąskim, oraz wszelką wojnę uświęconą przez Kościół, której celem jest rozszerzenie lub przywrócenie na jakimś terenie wiary katolickiej. Odnoszę wrażenie, że po upływie dwudziestu z niewielkim okładem lat zakres tego pojęcia nieco się poszerzył, a może zmienił. No bo jeśli np. Radio Maryja mówi o krucjacie przeciw obcej własności w Polsce, to chodzi tu o kampanię polityczną, której celem jest obrzydzenie życia obcym podmiotom i osobom, które odważyły się w cokolwiek zainwestować w Polsce. Jeśli jakaś organizacja mówi o krucjacie przeciw pornografii, wiemy, iż chodzi o wyeliminowanie tego zjawiska z naszego życia, choć defetystycznie nastawieni mądrale twierdzą, że to mało realne. Inna krucjata, to atak senatora McCarthy'ego i jego komisji na wszystko w USA, co miało kolor choćby lekko różowy. Było, minęło. Choć scenarzyści Hollywoodu nie zapomną tego rychło.

Wniosek z tej prezentacji płynie taki, że kluczowym słowem charakteryzującym krucjatę jest uświęcenie, nieważne czy mówimy o kampanii, nawet lokalnej, czy o wojnie z Saracenenem, na którą ruszyła onegdaj cała rycerska i rozbójnicza Europa. Dziś problem jest tego rodzaju, iż Janowi Pawłowi II nawet się nie śni, żeby uświęcać jakiegokolwiek zbrojne porachunki, nawet te w opinii świata uzasadnione. No, ale krucjaty miały miejsce w średniowieczu i wtedy było inaczej. Etos rycerski, walka za wiarę i inne pojęcia były elementami ówczesnego świata, równie silnie do niego przystającymi, jak do dzisiejszego internet czy inżynieria gentryczna.

A zaczęło się wszystko z końcem lata 1095 roku, gdy do Francji, do Clermont przybył papież Urban by wziąć udział w synodzie. Porządek obrad tego sza-

cownego zgromadzenia był doprawdy imponujący: potępienie świeckiej inwestytury, symonii oraz małżeństw księży, a nadto ogłoszono apel o przestrzeganie Rozejmu Bożego. Także: ekskomunika króla Filipa za lekceważenie sakramentu małżeństwa i ekskomunika biskupa Cambrai za symonię. Było także kilka innych punktów, które dziś już nikogo specjalnie nie ekscytują, może poza kapitułami w Reims i Sans, które zdążono jeszcze podporządkować arcybiskupstwu w Lyonie. Niejako poza protokołem, choć nie wbrew intencjom papieża, pojawiła się sprawa bezpieczeństwa pątników udających się do Jerozolimy. Paradoksalnie, ten nie ujęty w planie obrad punkt okazał się najważniejszy. Kończące synod wystąpienie jego świątobliwości, w całości poświęcone tej sprawie, było niezwykle emocjonalne, ale i wyrachowane.

- „Deus le volt!” - (Bóg tego chce) - skwitowali je obecni starofrancuskim okrzykiem, wpadając w wojenną euforię i wielu z nich, z biskupem Ademarem z Le Puy na czele, zgłosiło swój akces w zbrojnej wyprawie, czyli innymi słowy „wzięło krzyż”. Po mniej więcej roku pierwsza wyprawa krzyżowa stała się faktem. Historia Europy wkroczyła na nowe tory nieodwracalnie, co oznacza, że pokłosie tego wydarzenia zbieramy do dziś. A więc zaczęło się od spalenia Żydów w Moguncji i Kolonii, a następnie spłodowano troszeczkę Węgry przy granicy z ówczesnym Bizancjum. Troszeczkę, bo król Koloman nie dał sobie w przysłówiową kaszę dmuchać i wzdłuż trasy przemarszu krucjatowego pospolitego ruszenia ustawił swych łuczników z nakazem pacyfikacji niesfornych ochotników. Podobnie postępowali lokalni zarządcy bizantyńscy, a także sam cesarz Aleksy Komnen. A jednak los Bizancjum był już przesądzony. Nabożni pielgrzymi nim dotarli do terytorium dzisiejszego Libanu dopuszczali się okropnych bezczeństw i w ten sposób położyli podwaliny pod dalszy rabunek Bizancjum i pozostawili w sercach mieszkańców tamtych terenów zadre-

na wieki. Ale była to dopiero pierwsza wyprawa.

Absolutny autorytet w tej dziedzinie, Steven Runciman, wylicza w sumie pięć wielkich wypraw i kilka mniejszych, nie licząc tzw. krucjaty dziecięcej i wyprawy przeciw katarom. Wśród krzyżowców byli także liczni monarchowie, a wśród nich królowie Francji Ludwik i Filip, cesarz Niemiec Fryderyk oraz Ryszard Lwie Serce, francuskojęzyczny Anglik, w zasadzie król, choć z rzadka parający się tym rzemiosłem. Udział koronowanych głów świadczył o wadze przedsięwzięcia, które zdaniem Runcimana było w owych czasach operacją zbrojną na skalę światową.

Odpryski tej światowości dotarły także do Polski. Warto pamiętać o tym patrząc w Mikołowie na joannickie wieże tamtejszego kościoła, dziś od strony zachodniej skutecznie przestronięte tzw. lekkimi konstrukcjami przemysłowymi. Jest w Polsce sporo pamiątek tamtej epoki, której niejako ubocznym rezultatem był konflikt z zakonem krzyżackim, który dziś oceniamy niekoniecznie przez pryzmat sienkiewiczowski. Jednakże wśród historyków europejskich dominuje przekonanie, iż w swej pielęgnacji „normanitas”, czyli agresywnego zdobywania i cywilizowania nowych terenów posunęli się nieco zbyt daleko, a ponadto mieli brzydką zwyczaj nawracania nawróconych. Proponowano im stworzenie antytureckiej marchii gdzieś na południowy wschód od Węgier, ale niestety, byli uprzejmi przyjąć ofertę Konrada Mazowieckiego. Na Śląsku jednak ograniczono się do zapraszania joannitów, bożogrobców, a nawet ponoć templariuszy, zakonów także rycerskich, ale zdecydowanie mniej agresywnych, zakładających szpitale i hospicja, po których gdzieś tam przetwały nazwy ulic (Chorzów, Cieszyn).

Czy Polska miała swego krzyżowca? Otóż miała ich kilku. Należał do nich książę Henryk Sandomierski, tajemniczy uczestnik (może tylko domniemany) odsieczy twierdzy Krak de Chevaliers w Palestynie - Jaksza z Miechowa oraz najstarszy syn Władysława II, rycerz o międzynarodowej renomie, Bolesław Wysoki. Polska nie leżała bezpośrednio na szlaku krucjat, jednak wygląda na to, że Śląsk Cieszyński, położony najbliżej szlaku wiodącego przez Wiedeń sporo zyskał. Ruch musiał być bardzo ożywiony, jako że do wypraw przyłączali się nawet Skandynawowie.

Warto jeszcze słówko powiedzieć o lokalnych krucjatach; można by rzec, gdyby nie przerażająca, jak na tamte czasy liczba ofiar, krucjatkach. Tak właśnie postanowiono we Francji rozprawić się z katarami w Prowansji. Także i Polska miała tu swój wkład; podejmowaliśmy krucjaty przeciw Prusom, Słowianom połabskim, a nade wszystko Pomorzanom. Z tego czasu nie zachowało się żadne bon mot, jedy-

nie może taka informacja o komesie pałacowym Bolesława Krzywoustego, Skarbimirze, który miał wstręt do łupienia wsi i stad, preferował natomiast grody warowne i miasta, a jak już któreś zdobył, to zamieniał je w pustynię, o czym zaświadcza sam Gall Anonimem zwany. A co do bon motów, to nieśmiertelne powiedzonko jednego z francuskich biskupów powstało właśnie podczas krucjaty katarskiej, gdy planowano oblężenie Beziers, dziś przeuroczego miasta na południu Francji. Otóż padło wtedy pytanie, jak odróżnić katarów od prawowiernych chrześcijan, których także w mieście nie brakowało. - Tuez tous, mes enfants. - Odpowiedział dobrotliwie biskup. - Dieu les reconnaitra. \*) No i zabijano bardzo pracowicie, albowiem w ciągu jednego dnia zlikwidowano 30 tys. heretyków. Także niezbyt odległe i nieopisane malownicze Carcassonne było jedną z głównych katowni tamtego okresu. Kto ciekaw, niech wstąpi do izby tortur, której nie brakuje w żadnym prowansalskim mieście i miasteczku. Co za nastrój, co za aura.

O krucjatach można by jeszcze długo, ale chciałbym również wspomnieć o naszych, to znaczy chrześcijaństwa przeciwnikach - od Kurbughi, walecznego generała tureckiego począwszy, poprzez całą plejadę Al-Mansurów, seldżukidę Kilidż Arslana, Alp Arslana, aż po wspaniałego Seladyna, który, tak przynajmniej mówią, odpowiadał profilowi europejskiego rycerza bardziej niż niejeden utytułowany jego przeciwnik. Owszem, był porywczy. O tym mówią fakty, takie jak masakra jeńców chrześcijańskich. Ale przy innej okazji wykazywał się wielkodusznością, graniczącą czasem z lekceważeniem celów taktycznych, gdy ułatwiał przeciwnikowi dostęp do wody, która podczas walk w tamtejszym klimacie decydowała o wszystkim. Jego homeryckie zmagania z Ryszardem Lwie Serce to nadal kopalnia tematów dla filmu i literatury. Sądzę, że to właśnie te postacie stały się inspiracją dla wielkiego znawcy Arabii i Arabów, dowódcy i szpiega, rodaka króla Ryszarda, który pojawił się na Bliskim Wschodzie w osiemset lat po legendarnym królu.

Pułkownik T.E. Lawrence rozpetął, czy też jak chcą niektórzy, ukierunkował tylko arabską rewoltę przeciwko Turkom, sojusznikom Niemiec, podczas I wojny. Jeszcze inni uważają, że wręcz cynicznie wykorzystał zastaną sytuację. W każdym razie jego wiedza nie miała sobie równych, a jego książka „Siedem filarów mądrości” jest przepełniona podświadomą ideą dania islamowi zadośćuczynienia za nieszczęsne krucjaty. Uświęcane przez wielu papieży, ale nie uświęcone.

Czy zatem wydarzenia, których scenerią jest od pewnego czasu Irak, to kolejna krucjata? Prasa światowa już to



kupila. Ale to mylące. Nikt przy zdrowych zmysłach nie dąży do konfrontacji religijnej, papież nawołuje do zaniechania tej wojny, nawet kosztem czyichś żywotnych interesów, entuzjazm jaki jej perspektywa wywołuje w chrześcijańskim społeczeństwie jest niemal żaden, a więc cóż to za krucjata? W gruncie rzeczy chodzi o usunięcie jednego człowieka, który prawem kaduka (objął władzę w wyniku zamachu) stał się przywódcą państwa arabskiego, ale np. z Seladynem ma tyle wspólnego, co George W. Bush, jr. z Ryszardem Lwie Serce. Z pewnością nikt nie chce nawracać siłą Irakijczyków. Nawet na demokrację, bo do niej trzeba raczej przekonywać, co w Iraku, gdzie plemienne struktury są wciąż żywe i nie rozbiła ich nawet żelazna pięść saddamowskiego socjal-faszystwu, będzie bardzo trudne. Obecnie wydaje się, że lepiej sobie radzą Brytyjczycy - poza uczestnictwem w walkach wzięli na swoje barki ciężar zmagania o serca i umysły Irakijczyków, w każdym razie na południu Iraku. Dobrze znają mentalność arabską. Spuścizna pułkownika Lawrence'a to lektura obowiązkowa brytyjskich arabistów, których, idąc o każdy zakład, wysłano w rejon Zatoki Perskiej wielu. Żywność, leki, pomoc medyczna, wodociąg z Kuwejtu zbudowany w rekordowym tempie, mecze piłkarskie z reprezentacją lokalnej ludności, radio nadające w lokal-

nym języku, ulotki - to także oręż Brytyjczyków. Czy tak wygląda krucjata?

W jednej z publikacji gazetowych określono Donalda Rumsfelda, jako mrocznego krzyżowca. Urzekające, nieprawdą? Jednak nieprawdziwe. Rumsfeld to wcielenie amerykańskiego pragmatyzmu, soli w oku rozdyskutowanych i nie zawsze skutecznych, ale za to bezwzględnie poprawnych politycznie Europejczyków. Autor owej publikacji zaprosił Rumsfelda na maskaradę. Tytułem tym przywołał postać rycerza w zakurzonej zbroi, nie mającego już po co wracać do kraju, walczącego więc dla samej idei walki. Podobnie jak 250.000 szakali pustynnych pod jego rozkazami. Takie maskarady są jednak niebezpieczne - oddziałują na emocje i stanowią swego rodzaju przepustkę do krainy niemyślenia.

Saddam Hussain uwielbiał historyczne maskarady i Bagdad był pełen jego portretów jako kalifa Abbasa, Haruna Al Raszyda czy Seladyna, a nawet, o zgrozo - Hammurabiego, od którego ponoć we śnie otrzymał obowiązujący w Iraku kodeks. Widziałem nawet jego portret jako Tyrolczyka. Polska TV najchętniej pokazywała go w idiotycznym kapeluchu z dwururką w rękę. Jedyna postać, w jaką nigdy nie przyszło mu do głowy, by się wcielić to Semiramida (Babilon to historyczne serce Iraku), ale kto wie? Potem już tylko pozostałaby Szeherazada. Wszak i jej głowy zażądał król Shah'Rayar. Ale to już nie moje zmartwienie.

Moim zmartwieniem jest raczej, by dzisiejsze wydarzenia nie przerosły samych siebie dzięki bezmyślnemu używaniu określeń nie do końca znanych. Wszelkie wrażenie, iż mamy do czynienia z konfrontacją religijną czy cywilizacyjną, jest ze wszech miar niepożądane. Nie potrafię tego racjonalnie uzasadnić, ale często językowe nadużycia stają się wywoływaniem wilka z lasu. Dlatego ciarki przebiegły mi po plecach, gdy pewnego marcowego poranka media zacytowały wypowiedź pewnego półgłówka przed mikrofonem jakiejś arabskiej radiostacji, który stwierdził, iż oto obserwujemy wybuch trzeciej wojny światowej. Histeria i ponura metafizyka.

Dziś powiew nienawistnej metafizyki nad pustynią pozostawi podobne tysiącletnie, niegojące się rany, jakie pozostawiły krucjaty. Aby demokracja nie stała się tam słowem nienawistnym prowadźmy już raczej krucjaty przeciw pornografii, przestępczości czy bezrobociu. To są zjawiska odnawialne, niestety, ale walczyć z nimi trzeba. Saddam Hussain, miejmy nadzieję, odnawialny nie będzie. Może zastąpi go ktoś z klasą Seladyna i starogreckim wyczuciem demokracji, nie potrzebującej przecież krucjaty.

\*) Zabijajcie wszystkich, moje dzieci. Bóg rozpozna swoich.



KRYSTYNA  
HESKA-  
KWAŚNIEWICZ

# Między Lwowem a Opolem

**W latach dwudziestolecia międzywojennego oraz po zakończeniu drugiej wojny światowej na Śląsku swoje miejsce na ziemi odnalazło wielu wybitnych pisarzy, którzy w wyniku różnych zawiłości życiowych, często uwarunkowanych polityką i historią, zostało bezdomnych.**

**I** tak w roku 1922 na Śląsku Cieszyńskim osiedliła się Zofia Kossak, w Katowicach, w roku 1924 zamieszkał Wincenty Ogrodziński, a w 1926 r. Kazimierz Gołba, w roku 1945 do Wrocławia przyjechał Stanisław Kolbuszewski, a w 1946 r. z Opolem związał się Stanisław Wasylewski, tu też swe gniazdo rodzinne założył Zbyszko Bednorz.

Stanisław Wasylewski był pisarzem o ogromnym dorobku literacko-dziennikarskim, w którym były szkice historyczne poświęcone dziejom kultury polskiej, głównie czasów oświecenia i romantyzmu, oparte na bogatych źródłach, napisane znakomitym, barwnym językiem, ubarwione uroczą anegdotą, dynamiczne i pełne życia, jak np.: *Na dworze króla Stasia*, *Romans prababki*, *Portrety pań wytwornych*, *Twarz i kobieta* i in. Pisał też doskonałe, pełne życia powieści biograficzne: a także dziesiątki opowiadań i felietonów oraz pasjonujące wspomnienia. Śląskowi poświęcił przepiękną monografię *Na Śląsku Opolskim*, *Szkice serdeczne i przewrotne* oraz tom legend i baśni śląskich pt. *Meluzyna, czyli panna ze śląskiego wiatru*.

W roku 1940 o swym potężnym dorobku twórczym, który jeszcze przez następne lata swego życia wydatnie pomnożył, napisał Wasylewski następująco:

„W ciągu 35 lat pracy dziennikarskiej i literackiej napisałem: a) około 16 książek z dziedziny historii obyczajowości i kultury wieku XVIII i XIX, krajoznawstwa i popularyzacji wiedzy, b) około 600 felietonów i artykułów, c) około 400 czytanek dla młodzieży w podręcznikach szkolnych rozmaitych form, d) około 300 audycji radiowych.”

Wasylewski ogarniał swym zainteresowaniem ogromne przestrzenie polskiej kultury, łącząc ją w ścisłe i ważne związki z kulturą europejską. Był mistrzem w opisywaniu szczegółu, kreśleniu anegdoty, eleganckiego żartu, którym jak świetnie doprawionym kąskem, ubarwiał przedstawianą rzeczywistość. W jego rozmachu, pracowitości i talencie było coś fenomenalnego: błyskotliwość szła w parze z gruntowną i wszechstronną erudycją, dbałość o niuans z syntetyzującym oglądem całości, wykwinność języka z żartem i humorem. On to też stworzył jedyną w swoim rodzaju monografię krajoznawczą *Na Śląsku Opolskim* (1937), o której prof. Jerzy pośpiech napisał: „pierwszy i najwspanialszy pomnik wystawiony tej ziemi przez polskiego pisarza”.

Jego droga na Śląsk była jednak prosta i pełna meandrów, bo pisarz pochodził z Kresów Wschodnich, urodził się w Stanisławowie 18 grudnia 1885

roku w rodzinie o tradycjach urzędniczo-szlacheckich ale i literackich, gdyż przodkowie pisarza, zarówno po kądzieli, jak i po mieczu przekazywali sobie lotność pióra, a pisanie wierszy okolicznościowych należało do stałego obyczaju. Dzieciństwo i lata szkolne przyszłego autora *Meluzyny* związane były ze Stryjem i Lwowem, tam zdał maturę i podjął studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Na wagary szkolne chodził z Kornelem Makuszyńskim, i pozostawał pod wielkim wpływem Juliusza Kleinerera, w latach szkolnych zwanym „złotowłosym bambinem”. Studiował Wasylewski równolegle polonistykę i historię i był to bardzo dobry okres w jego życiu. Równoczesna praca w Ossolineum pozwalała zgłębić wszystkie jego tajniki „chłonać rozmaitych Mochnickich, Orzechowskich czy Ludwików Jabłonowskich”. Dotyk starych ksiąg i dokumentów działał inspirująco na wyobraźnię młodego człowieka. Pisał: „To były jedyne lata, w których ujęła mnie w swe kluby praca systematyczna przy biurku od tej do tej godziny dziennie. Tu był mój właściwy uniwersytet. Bo nie na ławce seminarium i nie na wykładach dorywczo słuchanych, uczyłem się. Donośniejsza od głosu szanownych preceptorów była wymowa starych szpargałów, które odzywały się z tłoku białych półek w wielkiej księżnicy. Wychowała mnie atmosfera murów i ludzi”.

W roku 1917 zadebiutował esejami z pogranicza klasycyzmu i romantyzmu pt. *Księżnej pani*. Następne książki posypały się lawinowo: *Na dworze króla Stasia* (1919), *W srebrnym dworze z modrzewia* (1919), *O miłości romantycznej* (1920), *Przypadki króla jegomości* (1920) i tak dalej.

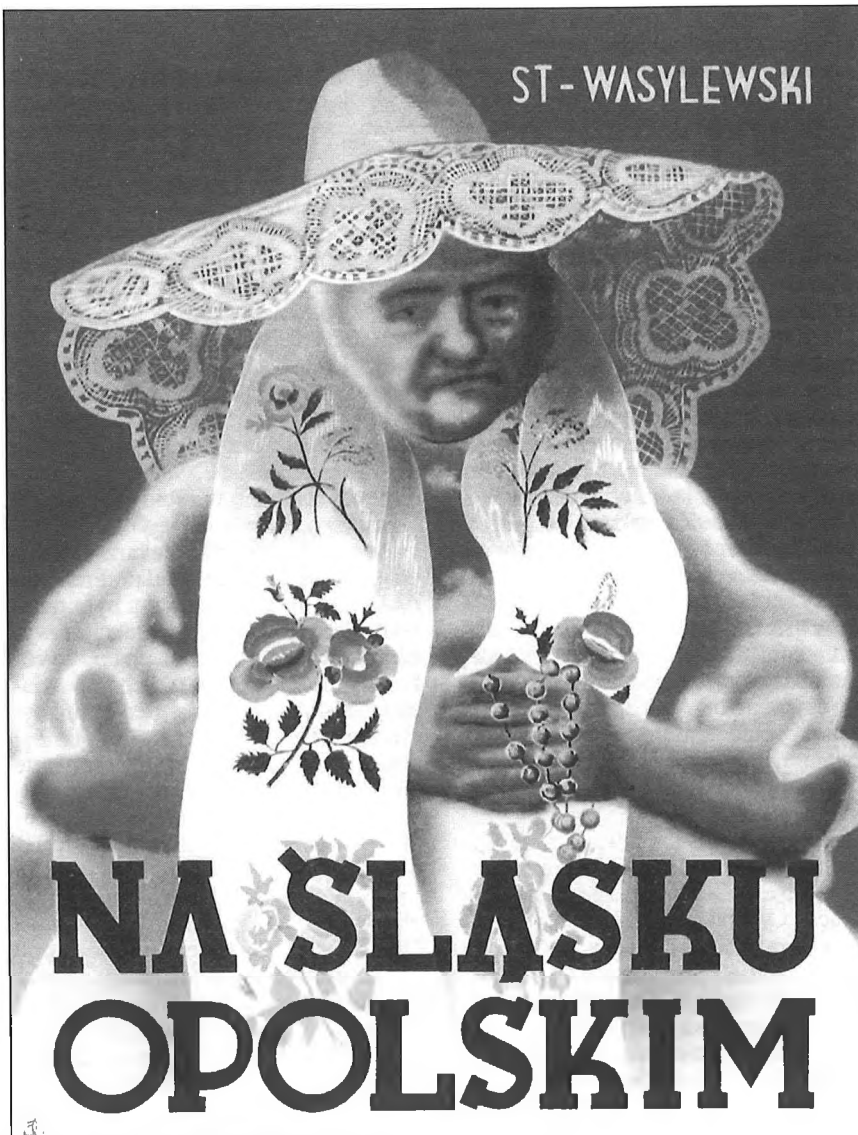
W roku 1927 poślubił pisarz Stanisławę Nowacką-Stamirowską, opuścił Lwów i przeniósł się do Poznania. „Ciągnęła mnie tam - wyznał - chęć zakosztowania innych, ciekawiających, bo odrębnych, warunków życia. Wegner namawiał, ofiarując mi posadę kierownika literackiego w swej firmie nakładowej, która z każdym rokiem dochodziła do większej pomyślności”. W miasto wrósł szybko, choć nie bez trudu; lata spędzone w stolicy Wielkopolski to w biografii Wasylewskiego czas wielkiej prosperity i żywotności literackiej, dziennikarskiej, naukowej. Ta ostatnia uwieńczona została doktoratem na temat: *Krytyka literacka w Polsce wobec romantyzmu w latach 1816-1822*. Elita arystokratyczna i kulturalna Poznania chętnie odwiedzała salon państwa Wasylewskich pełen wykwinnych antyków i wyszukanych dzieł sztuki.

Do napisania książki o Śląsku Opolskim nakłonił pisarza wojewoda Michał Grażyński, którego popierał dyrektor Instytutu Śląskiego - Roman Lutman. Ten wybór nie był przypadkowy, gdyż Wasylewski był szalenie popularny wśród polskich czytelników.

Podjęcie tematu było też odpowiedzią na apel Związku Polaków w Niemczech do pisarzy polskich, aby opisali prawdę o warunkach życia Polaków na Śląsku Opolskim; odbył latach 1933-35 trzykrotnie podróż na Opolszczyznę w towarzystwie Arki Bożka, którym był zauroczony. Opolskie wsie, miasta i miasteczka, język, obyczaj, kultura i rozległy biało zielony pejzaż tak podziałały na wyobraźnię twórcy, że rozpoczął gruntowne studia śląskoznawcze. Nawiązał też szereg kontaktów z ludźmi, głównie działaczami Dzielnicy I Związku Polaków w Niemczech, bywał też w Konsulacie RP w Opolu i u ks. Emila Szramka w Katowicach, o którym napisał „żarliwy badacz silesianów”. Zaczął z pasją gromadzić materiały, docierać do korzeni polskości na Opolszczyźnie. Było to odkrywanie fascynującego tematu: Śląska Opolskiego. We wstępie do książki napisał: „Opowieść niniejsza dotyczy tego Śląska, o którym się najmniej wie, najrzadziej mówi. Bo mówiąc o Śląsku mamy zwykle na myśli komin fabryczny, gdzie nawet śnieg biały staje się popielatym, albo uroki Wisły czy Istebnej, A jeśli Śląsk oddzielony - to chętniej za Olzę myśl biegnie niż na przybrzeżu Odry. I zawsze raczej Czarny, raczej zielony niż tamten najcięższy, najmniej się rozgłaszający - Biały, biało-zielony, Opolski”. Ten Śląsk, jego krajobraz, ludzi, ich życie, przeszłość, pieśń i literaturę i gospodarkę opisał w 33 znakomitych esejach i reportażach, bogato i pięknie ilustrowanych. Tak powstała - mimo pewnych usterek rzeczowych - niepowtarzalna, fascynująca opowieść o Opolszczyźnie, której jeszcze dzisiaj nie da się czytać bez wzruszenia.

Książka ukazała się w roku 1937 i w tym samym roku otrzymał za nią Wasylewski Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury, natomiast władze hitlerowskie umieściły ją na liście książek zakazanych. Odzew recenzyjny był zresztą znakomity. W latach poznańskich Wasylewski napisał też kolejne tomy świetnych książek, wśród nich opowieść o języku polskim *Na końcu języka* i pełne wdzięku wspomnienia z lat lwowskich i poznańskich pt. *Niezapisany stan służby* [1937]. Jego książki mają bogaty, porywający obraz polskiej kultury i obyczaju, głównie doby Oświecenia i Romantyzmu, ale są też wycieczki w epokę Średniowiecza. Jedną z nich *Klasztor i kobieta* (1923), bardzo luksusowo wydana przez R. Wegnera, ozdobiona rysunkami W. Skoczylasa - uznana została za zuchwałą.

W roku 1939 we wrześniu musiał pisarz opuścić Poznań, był poszukiwany przez Niemców. Prof. Pośpiech przytacza taką relację: „SS wpadli do mieszkania i porabiali jego [Wasylewskiego - KHK] portret wołając: Drugi tom o Śląsku Opolskim będzie pisał przez 20 lat w Dachau”. Zniszczono wówczas jego wspianą bibliotekę, liczącą 8.000 woluminów (w tym jeden z naj-



większych zbiorów pamiątek polskich), dzieła sztuki i stylowe meble. Pisarz uciekając w pośpiechu nie zabezpieczył swego majątku. Natomiast popełnił wówczas rzecz dla bibliofila przerażającą: wyrwał z książek strony z dedykacjami. Było ich trzysta i w ten sposób je ocalił.

**P**aństwo Wasylewscy powrócili do Lwowa; od jesieni 1941 roku zaczął pisarz działać w ruchu oporu. Na polecenie „Konfederacji Narodu Polskiego” - kierowanej przez Stanisława Piaseckiego - prowadził bezimiennie w „Gazecie Lwowskiej”, koncesjonowanej przez okupanta, dział kulturalny i literacki, później też pełnił nadzór techniczny, wszakże sam żadnych tekstów własnych nie ogłaszał. Usuwał agresywne treści z depesz niemieckich, a dział ogłoszeń udostępniał jako skrzynkę kontaktową dla podziemia, za jego wiedzą odlewane były płyty dla prasy konspiracyjnej, do której sam werbował współpracowników (m.in. ks. Michała Rękasa z radiowego duszpasterstwa chorych). Było to jeszcze w okresie wojny przyczyną wielu nieporozumień a po wojnie stało się powodem oskarżenia o kolaborację.

Okres powojenny był tragiczny dla Wasylewskiego; pisarza potępiono, uwięziono, a następnie pozbawiono praw publikowania. W opracowaniach pisano przeważnie, że z atakiem wystąpił „delegat łódzki” i że to właśnie środowisko łódzkich literatów najbardziej prześladowało autora *Romansu prababki*, nie ujawniano wszakże żadnych nazwisk, ani konkretnych faktów. Dopiero profesor Andrzej Brożek doznał do źródeł sprawy. Przygotowując w roku 1989 reedycję książki Wasylewskiego Instytut Śląski w Opolu zaproponował prof. Brożkowi napisanie wstępu do owego reprintu.

Miał to być wstęp popularny, a tymczasem powstało - jak napisał Wiesław Lesiuk - „studium krytycznonaukowe”, tekst, który mógłby właściwie zaistnieć autonomicznie i miał charakter wybitnie naukowego przedsięwzięcia, z profesjonalnym aparatem naukowym i bardzo głęboką analizą merytoryczną, głównie historyczną, ponadto ujawniał takie szczegóły z okresu prześladowania pisarza w PRL-u, na które ówczesna cenzura mogła się nie zgodzić. Wydawca więc z opracowania zrezygnował. Tekst ukazał się dopiero

w 1995 roku, już po śmierci Brożka, jako odrębna publikacja. Zawiera ona bezcenne informacje o Stanisławie Wasylewskim. Ujawnił w niej uczony przede wszystkim niezwykle powiązania konspiracyjne pisarza, którym interesował się sam gen. Grot-Rowecki, a następnie opisał szczegółowo w oparciu o bardzo rzetelną kwerendę prasową i archiwalną, dzieje prześladowania autora *Na Śląsku Opolskim* w latach powojennych.

Jest to relacja wstrząsająca. A oto szczegóły tej sprawy: w 1945 roku walny zjazd Związku Literatów Polskich na przedstawiony przez S. R. Dobrowolskiego wniosek oddziału łódzkiego bez żadnych dochodzeń podjął uchwałę, która wykluczała Wasylewskiego ze Związku za współpracę z Niemcami (ciekawe, że nigdy nie podjęto dochodzeń przeciw pisarzom którzy kolaborowali z Sowietami?), ale w gruncie rzeczy chodziło o powiązania konspiracyjne pisarza. W ślad za tym poszło uwięzienie na 13 miesięcy, po czym autor *Na Śląsku Opolskim* stanął przed sądem. Równocześnie trwała nagonka w różnych formach. Stanisław Ryszard Dobrowolski, Adam Ważyk, Jan Szczawiej, Jan Kott, który napisał: „Uważam, że wymienianie Wasylewskiego obok innych pisarzy - którzy osiedli na Ziemiach Odzyskanych jest bolesnym nieporozumieniem. Nikt z nas nie zasłużył sobie, aby umieszczano go w jednym rzędzie z kolaboracjonistą. I nie ludzie typu Wasylewskiego budzić będą polskie echa tej [śląskiej - KHK] ziemi” - to główni prześladowcy Wasylewskiego. Sąd Najwyższy jednak pisarza uniewinnił. A jednak do dnia dzisiejszego Związek Literatów Polskich oficjalnie nie zrehabilitował Stanisława Wasylewskiego! Dodajmy dla pełności obrazu, że Wasylewski był autorem książki pt. „*Lwów*” wydanej w serii „*Cuda Polski*” w roku 1931, która podlegała konfiskacie w okresie „czystek bibliotecznych” prowadzonych w latach stalinowskich.

Andrzej Brożek nie ocenia tamtych zachowań - i słusznie, cytując tylko wypowiedzi z tamtego okresu, one mówią same za siebie. Nie wiadomo i dziś już do tego nie dojdziemy, czy wspomniani literaci występowali z własnej inicjatywy, czy też „inni szatani byli tu czynni”. Brożek sugeruje, że to klimat końca lat czterdziestych był głównym „sprawcą” tego ataku.

Ale istnieje też drugi biegun tej sprawy. Piękne, szlachetne zachowania ludzkie (także bardzo rzetelnie udokumentowane przez A. Brożka). Żarliwie jako świadek obrony bronili pisarza: Arka Bożek, ks. M. Rękas, Julian Przyboś, Jan Wiktor i inni. Arka Bożek powiedział: „To mój przyjaciel - dobry Polak i patriota”. Wilhelm Szewczyk, broniąc Wasylewskiego, ryzykował nawet likwidacją „Odry”. Wyrok zapadł uniewinniają-

cy, a wychodzącemu z sądu pisarzowi publiczność zgutowała owację.

Bardzo konkretna pomoc przysłała z Opola. Arka Bożek, poseł na Sejm, i wicewojewoda śląsko-dąbrowski, wierny przyjaźni z pisarzem, najpierw zaprosił go do swojego mieszkania służbowego w Opolu, a następnie dzięki wojewodzie, Aleksandrowi Zawadzkiemu, załatwił mu w Opolu mieszkanie i pracę. Tak jak w dwudziestolecie nie bał się Wasylewski pisać o Śląsku Opolskim - tak teraz Opole nie lękało się przyciągnąć autora, któremu nikt nie chciał pomóc. Za wierność i odwagę miasto teraz spłacało dług. I Opole stało się, by powtórzyć za Kazimierzem Kowalskim, „ostatnim przystankiem w życiowej podróży Stanisława Wasylewskiego”.

Pracował jako bibliotekarz - archiwista w Komitecie Badań Prehistorycznych, ale nie wolno mu było ogłaszać niczego drukiem; redakcje i wydawnictwa odsyłały mu prace, wycofywały się z wcześniejszych zobowiązań. Musiał się kryć za pseudonimami i mógł publikować tylko w śląskiej prasie. Zawsze były dla niego otwarte łamy „Odry” redagowanej przez Wilhelma Szewczyka, który później, w roku 1964 zebrał i wydał odrzańskie felietony Wasylewskiego w książce *Szkice przewrotne i serdeczne*. Pisywał w „Słowie Polskim”, „Nowinach Opolskich”, „Gazecie Ludowej” pod pseudonimami: Kajetan Stopa, Tadeusz Szafraniec i Kujawiusz, a może i innymi? W tych latach przetracował swoje pamiętniki i wspomnienia *Pod kopułą lwowskiego Ossolineum* i *Czterdzieści lat powodzenia oraz Przebieg mojego życia* i pisał *Strażnicę na Pasiece* - książkę o polskiej tradycji Opola. Niestety, wszystkie te pozycje, jak i wiele innych, ukazały się pośmiertnie.

W roku 1947 Spółdzielnia Księgarska „Ognisko” w Katowicach przygotowała dla czytelników prawdziwy rarytas *Legendy i baśnie śląskie* opracowane przez Stanisława Wasylewskiego, jedyną książkę pisarza ogłoszoną po wojnie pod jego własnym imieniem i nazwiskiem. Jest to książka, która nie ma równej sobie (do tej pory ukazały się jej trzy wydania). Wasylewski pierwszy zwrócił uwagę na niezwykłą oryginalność i atrakcyjność śląskich baśni, na ich wielki demokratyzm (bohaterem śląskich baśni jest zawsze człowiek prosty!). Głęboka erudycja i mistrzostwo pióra pozwoliły regionalne wątki podaniowe i baśniowe wtopić w tło kultury europejskiej, pokazać ich oryginalność i uniwersalność. Wśród legend pięknym wyróżniają się dwie poświęcone śląskim świętym: św. Jadwidze śląskiej i św. Jackowi. W zakończeniu tomu zatytułowanym „Czego nas uczy baśń śląska” autor napisał: „... uczy wszystkiego, co godziwe, pożyteczne i dobre. Dobroć nade wszystko. Niepozornie

lecz konsekwentnie wdraża swoich wychowanków we wszystkie cnoty osobiste i społeczne”.

Pasjonujące są dzieje przygotowywania do druku przez Wasylewskiego drugiego, poprawionego i uzupełnionego wydania *Na Śląsku Opolskim*, nad którym pracował pisarz w latach 1947-1948. Wiązało się to z poszukiwaniem nowych źródeł i materiałów w Administracji Apostolskiej Śląska Opolskiego, oraz konsultacjami u ks. Bolesława Kominka, późniejszego kardynała a także u dr. Feliksa Steuera, cenionego językoznawcy. Uzbierał się w ten sposób prawie drugi tom książki.

W roku 1952 podjął ostateczne prace związane z nową wersją *Na Śląsku Opolskim*. Niestety poprawiony maszynopis zaginął, można więc tylko przypuszczać, jak miała wyglądać książka w udoskonalonym kształcie. Znamy jej planowaną formę z omówienia Andrzeja Brożka, który nawet przytoczył zachowany plan całości. Te materiały dają wgląd w tajemki warsztatu, ukazując w sposób autentyczny trud pisarski, nieustanne dążenie do pełni doskonałości utworu. Ale nie istniały żadne możliwości opublikowania nowego wydania książki.

Ale już wcześniej władze Opola wykonały kolejny gest, świadczący o odwadze - przyznały pisarzowi w roku 1950 nagrodę literacką miasta Opola, będącą wsparciem moralnym i finansowym dla Wasylewskiego, żyjącego wraz z żoną w wielkiej biedzie, jeszcze przez wiele lat w opolskich antykwiariatach sprzedawane były tomy z biblioteki Stanisława Wasylewskiego.

26 lipca 1953 roku idący do pracy pisarz na ulicy dostał ataku serca, w dniu następnym zmarł. Pogrzeb był skromny, w imieniu literatów Wasylewskiego żegnał tylko Zbyszko Bednorz. W kwietniu 1986 roku prochy pisarza z cmentarza przy ul. Wrocławskiej zostały przeniesione na Cmentarz Komunalny i złożone w Alei Zasłużonych.

W Opolu żyje pamięć o Stanisławie Wasylewskim: tu wydano w roku 1987 piękny reprint książki o Śląsku Opolskim, tu ogłoszono w roku 1995 opracowanie Andrzeja Brożka: *Po pięćdziesięciu latach. Wokół Stanisława Wasylewskiego* i jego *Na Śląsku Opolskim*, tu odbywają się sesje naukowe.

Proza Stanisława Wasylewskiego jest wciąż pełna uroku, którego nie przeżyły lata, żywa, barwna, bogata w szczegóły i realia minionego czasu, a przy tym ciepła i przyjazna czytelnikowi. Uczony i gawędziarz współtworzą teksty jedyne w swoim rodzaju - przewrotne i serdeczne zarazem. A to pisarstwo, jak i życie pisarza dwa miasta spinają klamrą serdeczną - Lwów i Opole; oba na kresach Rzeczypospolitej i oba semper fidels.



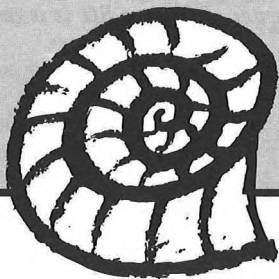
**Raz** na cztery lata przedmiotem debaty plenarnej Sejmu RP jest polityka ekologiczna. Ostatnio pod koniec kwietnia 2003 dyskutowano o polityce ekologicznej państwa na lata 2003-2006 (cel krótkoterminowy) z uwzględnieniem perspektywy na lata 2007-2010 (cel długoterminowy). Ten dokument rządowy to prawie 70 stron pomysłów, zaleceń i pobożnych życzeń. Pierwszy raz rząd przygotował tak kompleksowy, duży dokument, gdyż zobowiązania ekologiczne w zakresie integracji z Unią Europejską są wielkim wyzwaniem.

Poprzednie dwie polityki ekologiczne od początku lat dziewięćdziesiątych były właściwie założeniami do strategii polityki ekologicznej naszego kraju i były dokumentami kilku lub kilkunastostronicowymi. Unia Europejska jest dzisiaj zdecydowanie bardziej wrażliwa na ekologię niż Polska. Jednak ta ekologiczna wrażliwość Europy wzrastała stopniowo w ciągu ostatnich 30 lat wraz ze wzrostem dochodów na każdego z mieszkańców. Polska jest zapóźniona ekologicznie o co najmniej dwadzieścia lat głównie w obszarze gospodarki wodno ściekowej, w gospodarce odpadami, w energiach odnawialnych. Unia, a właściwie przyjęte ustalenia w zakresie ekologii, wyznaczają Polsce wielką robotę do wykonania. Można by rzec - wielki skok biednego państwa do europejskich dyrektyw i norm ekologicznych. Wynegocjowaliśmy w obszarze ochrony środowiska dziesięć okresów przejściowych. Ale mimo to przed nami trudne zadanie do wykonania: mamy dogonić Zachód - przy około 60 procent niższych dochodach mieszkańców. Graniczy to niemal z cudem.

Dokument kładzie spory nacisk na włączanie aspektów ekologicznych do polityk sektorowych. Chodzi też o partnerstwo z biznesem, o kształtowanie postaw konsumenckich i o to, aby za ekologię odpowiedzialne były inne ministerstwa, a nie tylko ministerstwo środowiska. Tak więc chodzi o włączenie ministra rolnictwa do zagadnień rolnictwa ekologicznego i zdrowej żywności. Ministra infrastruktury w zakresie transportu ekologicznego. Ministra gospodarki w zakresie energii odnawialnych i tzw. czystej produkcji. Chodzi też o wskazanie konkretnych jednostek administracyjnych odpowiedzialnych za wykonanie polityki ekologicznej. Dokonaliśmy przed laty decentralizacji ochrony środowiska. Punkt ciężkości z władz centralnych został przesunięty na władze powiatowe i wojewódzkie. Podstawowym celem polityki ekologicznej pozostaje ochrona dziedzictwa przyrodniczego i racjonalne użytkowanie zasobów przyrody. Dziedzictwo przyrody nie powinno dotyczyć wyłącznie świata istot żywych (zwierzęta, rośliny) ale również tzw. przyrody nieożywionej - zasobów kopalin, wód podziemnych, formacji geologicznych, atrakcyjnych wystąpień minerałów i skamieniałości. Jak zawsze poważne miejsce zajmuje zrównoważony rozwój lasów w Polsce oraz ochrona gleb.

## EKOLOGIA

Kolumna dofinansowana  
ze środków Wojewódzkiego  
Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej  
w Katowicach



## Polityka pobożnych życzeń

Nowością w tym programie są biotechnologie i organizmy zmodyfikowane genetycznie. Ostatnie miejsce w rozdziale zrównoważonego wykorzystania surowców, wody i energii zajmuje kształtowanie stosunków wodnych i ochrona przed powodzią. To ostatnie zagadnienie jest w Polsce niedofinansowane, a więcej przeznaczaliśmy na usuwanie skutków powodzi niż na profilaktykę. Jest to o tyle niebezpieczne, że Polska pod względem zasobów wody pitnej na jednego mieszkańca zajmuje ostatnie miejsca w Europie.

Kiedyś Polska ze względu na wyraźne postępy w zakresie ekologii nazwana została „zielonym tygrysem Europy”. Dziś ten przydomek już do nas nie należy, gorzej - nasze nakłady na ochronę środowiska spadają od kilku lat, zamiast rosnąć. Ciężkie są nawet wydatki na utrzymanie etatów w parkach narodowych. Mówiąc językiem wojskowych, nasze europejskie zobowiązania sojusznicze w zakresie ekologii, tzn. zrealizowanie podpisanych negocjacji europejskich i przestrzeganie unijnych dyrektyw wymagać będzie wielkiego wysiłku organizacyjnego, inwestycyjnego, no i finansowego, szacowanego na około 140 mld zł. Skąd zatem rząd znajdzie w najbliższych dziesięciu latach odpowiednie sumy? Czy nastąpi wzrost nakładów na ekologię z roku na rok wynoszący sporo miliardów złotych, bo przecież nie sfinansują tego wyłącznie podmioty gospodarcze i samorządy?

Sporo miejsca w tym dokumencie poświęca się ochronie klimatu a raczej przeciwdziałaniu zmianom klimatu. Obserwujemy ocieplanie się klimatu co powoduje wielkie zmiany klimatyczne w różnych punktach naszej planety. Jednym obszarom grozi stepowanie i pustynnienie, innym grożą powodzie, a jeszcze innym zalanie przez ocean. Ochrona klimatu to dzisiaj modny temat, ukoronowany

klimatycznymi negocjacjami międzynarodowymi w Kioto. Polska należy do krajów, które zobowiązały się zmniejszać emisje gazów szklarniowych odpowiedzialnych za destabilizację klimatu. Mamy szanse zarobić na tych działaniach. Świat przewiduje globalny handel pozwoleniami do emisji gazów. Kraj taki jak Polska, który zainwestuje w zalesianie słabych gleb może wykreować nadwyżkę praw do emisji i handlować nimi na rynku.

Wydaje się, że wiele mamy do zrobienia w zakresie ochrony krajobrazu. Z jednej strony musimy rewitalizować środowisko ale również powinniśmy chronić dziedzictwo cywilizacyjne Śląska - do którego należy również krajobraz szczytów kopalnianych, kominów hutniczych, stożkowych hałd itp. Musimy chronić też piękny krajobraz przyrodniczy, który gdzieś tam jeszcze się zachował jak na przykład w Beskidzie Śląskim czy na Jurze. Niestety w wielu naszych miejscowościach wypoczynkowych, np. w Brennej, nie odczuwa się potrzeby ochrony krajobrazu. Mieszkańcy tego jeszcze nie czują, nie kalkulują, że łuciorze (wczasowicze i turyści korzystający ze świeżego beskidzkiego powietrza) przyjeżdżają też dla pięknych widoków. Niestety obok wspaniałych stylowych drewnianych beskidzkich chałup czy karczm, wybudowano z pustaków paskudne domy - jeden z niebieskim dachem drugi z zielonym. Czy urzędnicy nadzoru z gminy uzgodniali te projekty budowlane? A może dla nich ten wściekloniebieski blaszany dach jest przejawem awansu cywilizacyjnego? Taka pstrokaczna paskudzi beskidzki krajobraz, a w konsekwencji odstrasza turystów. Popatrzmy jak to robią Tyrolczycy wrażliwi na porządek i estetykę, posiadający wspaniałą architekturę wkomponowaną w górski krajobraz i piękne widoki, na których zarabiają. Podobnie chroni krajobraz Republika Południowej Afryki, zarabiająca miliony na turystyce, na safari, na parkach narodowych. W wielu miejscach, nawet w miastach widziałem z daleka dziwne drzewa, których nie potrafiłem zakwalifikować do znanych mi gatunków. Najczęściej były to palmy. Jednak z bliska okazywały się sztucznymi drzewami, metalowymi konstrukcjami obłożonymi blachą lub plastikiem. O co chodzi, zastanawiałem się? Otóż okazało się, że rząd RPA nie zezwolił na zaśmianie krajobrazu metalowymi konstrukcjami nadajników telefonii komórkowej. Nakazał maskowanie konstrukcji kratownych jako palm i innych drzew wkomponowanych w krajobraz.

A jak to wygląda w Polsce, na Śląsku. czy chronimy właściwie nasz krajobraz? Co kilka lub kilkanaście kilometrów masz lub strzelista konstrukcja stalowa, niekiedy pomalowana na czerwono. Czy to też ma być dumą z postępu cywilizacyjnego tak jak kiedyś cieszyliśmy się z hasła „dymią kminy Śląska”?

JAN RZYMELKA

PS. Poprzednie felietony ekologiczne przeczytać można w internecie na stronie <http://lrzymelka.sejm.pl>

# JAROSŁAW ZAPART

## RIVUS

\*\*\*

*„How can you own water really? It's always flowing in a stream, never the same, which in the stream of life we trace. Because life is a stream.”*

James Joyce „Ulisses”, epizod ósmy.

### rivus

szszzsmijajamnie z każdej strony gładkie wstęgi pobocza  
wysmukła zieleń źdźbeł z posuwistą szarością ziemi  
umykający pośpiesznie startowy pas ziół i kamieni  
z ożywczą mącąca wszystko kropłą światła  
ach! być tam teraz wszędzie zniknąć zapaść się w wiatr  
zamilknąć na zawsze zaszyć usta szelestem trącanych metrów  
zamknąć się choćby tylko raz na chwilę w tej wąskiej smudze powietrza  
wyszarpnąć spod powiek te wszystkie czarne dni  
ten kalejdoskop uchybień leniwe ranki i puste noce  
wymknąć się z więzienia wracających zaklęć  
tak zwanego życia wysunąć stopę ze strzemion powtarzanych słów  
krzyczeć i milknąć krzyczeć i rzucić się w to słońce  
w ten pot i urywany oddech w te złoto wysuszonych zbóż  
na horyzoncie jeszcze miliony lat jeszcze nieprzeliczone obrazy  
on i ona przestonięci cieniem on i ona przedzieleni światłem  
jeszcze kilka wdechów i kłamstw ale już powoli wzbiera  
zakwita kłuje pod skórą to dławiące czekanie  
ten moment kiedy nareszcie zgasnę kiedy wejść w ten strumień  
VIII 2002

### rivus II

#### echa milczenia

to trwanie które mija w bólu mięśni  
i bezwiednym prawie odgarnianiu zmierzwionych włosów  
znad oczu a także w śmierci która  
wsiąka w to delikatne płótno przemoczoną kartę papieru  
... a shot in the dark one step away from you  
tak śmierć nawet muzyką potrafi przypomnieć o sobie  
cyniczny podpieram się światłem i zamieniam płytę  
why don't you talk to me you never talk to me  
bo niemaoczym (to prawie jak zaklęcie codzienna alchemia)  
zrozum pozwól mi wejść w ciemność  
zostać tam przez jedną wilgotną chwilę  
what are you thinking? what are you feeling?  
powiem ci coś na kształt mgły  
coś na kształt bezbarwnej masy ona tkwi tu przele  
wa się wokół moich dłoni ale dość już o mnie  
założę jeszcze koszulę w kratę jest chłodniej  
nareszcie chłodniej  
jestem jak rozpuszczony w szklance wody  
rozmieniony

na

dro bne

VIII 2002

(fragmenty tekstów O. Osbourne  
z albumu „The Ultimate Sin”,  
oraz Pink Floyd z albumu „The Division Bell”)



Rys. Wojtek Łuka

„I olśnienie, kiedy czyściłem kielich, kiedy wertowałem mszał:  
najpiękniejsze, co mogło się przydarzyć na ziemi to chrześcijaństwo”  
Ks. Jerzy Szymik

### **rivus III**

**via**

tak się składa że przydarzyło nam się tylko życie  
nas trzech milczenie i ciemność i szerniała murawa boiska  
i miłość której nie trzeba tłumaczyć przez skruszałe

też się przydarzyła ach jakże oszczędna lecz gotowa  
symbolo  
wyrzucić

wstydliva bo jakże męska o której nie trzeba głośić  
nie trzeba maczać ust we krwi ileż w tym pierwotności  
zjeść własnego boga w nadziei zawsze w nadziei

na miejsce  
w słodkiej utopii i przydarzył nam się chłód w wilgoci  
traw uścisk dłoni

w geście pożegnania kiedy odległy kurant wyśpiewał  
niespieszną północ  
(zawsze miłość w każdym momencie bo przecież nie ma

nic  
innego jak wiatr wstrząsający konary odległych sosen  
prawie prawie nieistniejąca)

i przydarzyły nam się popołudnia w bezlitosnym słońcu  
i śmiech i nieważność wzrastająca w pełnię i pielgrzymka  
ojca świętych

po pewnie nie naszego i stapiające się w ciemny odprysk  
zazębiające wszystko przekleństwa jak wyzwanie rzucone  
nocy

i jej włosy jej oczy i spojrzenia za siebie na ulicy  
a czy któryś z tych trzech kształtów pod ciężkim niebem  
wejdzie kiedyś w pył i proch ukrzyżowanych?  
tak strach jak gwóźdź zawsze będzie znaczyć nasze dni  
VIII 2002

### **rivus V**

**dogasanie**

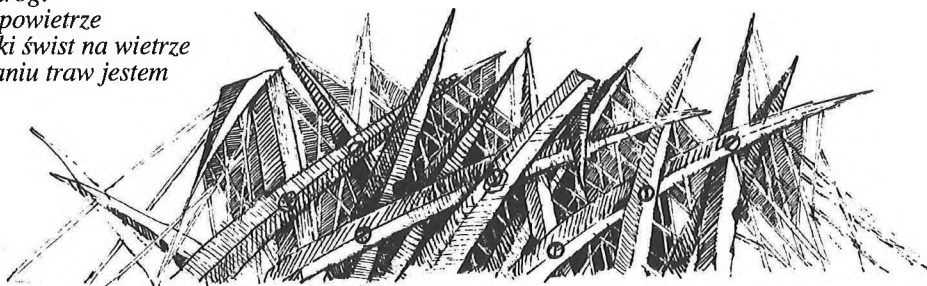
oto nadjeżdża z prześwistem powietrza  
jak stoję z dłonią we włosach mierzę jego ciężar  
i przekraczam gwizd jego i zaraz odjeżdżam

powoli trójki kończy swoją pieśń tę co wsąca się  
w migotanie lampy pod woń suchych liści  
i w dzwonięcie kieliszków i refreny gwizdu

tak upływa to lato w suchym szepcie traw  
zacierają się dni w ich szorstkim dotyku  
wdzierają się w mój sen żółtopelną kicią  
spiwszy wilgoć z twarzy i z muśnięć rzęs w dreszczu  
kłosem cierpkim jak wierszem chore ciało pieszczą

na przeciwnej linii rozpalonej drogi  
pęczniący w słońcu też tnący powietrze  
mruknął do mnie „czołem“ lekki świst na wietrze  
nie nie w a m należę w szemraniu traw jestem  
VIII 2002

Rys. Wojtek Łuka



### **rivus VIII**

**nausikaa**

przed chwilą siedział tu jeszcze  
mężczyzna w czerni przyczesany i odmierzony  
nienagannie suchym patykiem  
kreślił w leniwym piasku niechzące JESTEM  
potem drzemał bloom tłustousty znużony nieczystym  
grzechem  
czystym zachwytem

krągłość jej tydki

czarne strzały nietoperzy  
z piskiem kroili ciężkie od soli powietrze  
kiedy odchodził w tłuszczy miasta

naga skala ze wspomnieniem jej ciepła  
z wolna stygła moszcząc w pamięci  
nikły zarys dziewiczego ciała

i to już koniec nimfo to było cudowne

tych żlebow we mnie nie zatrze żaden nurt  
XI 2002

### **rivus X**

**rivus mutantis**

to już niemal koniec raz jeszcze zaśmieję się brzydko  
i zamknę oczy by zobaczyć złoto sierpniowych zbóż  
gdzie rozpoczął się sen

a teraz jest ten czas  
by na smukły cień nawlec dziesiąty podszept  
i chociaż chciałbym być jasny i dobry  
jak woda kiedy szklę się w słońcu

to jednak ludzie mówią że źle idzie z prądem  
i że przychodzi z gór

słaby  
jestem wzrokiem wymyty przez nurt  
robię krok w wysmukłą dostojność traw  
mówię nie  
przyptywom

przykryj mnie kiedy zasnę  
I 2003

# JAROSŁAW ZAPART



Katowicka „Śruba”.

Foto: ARC

ALICJA  
BADETKO

# Kabarety stare i nowe

**- Dziś wszystko jest absurdem. Robienie kabaretu z kabaretu jest bez sensu. Śmiać mi się chce, widząc jak kabarety śmieją się na siłę - uważa Edmund Wojnarowski, współtwórca - wraz z Jerzym Bilewiczem, w latach 70. literackiego kabaretu „ŚRUBA”.**

**S**z czupły siwowłłosy mężczyzna po 60., w szarej kurtce. Dżentelmeńsko całuje mnie w dłoń. Siadamy przy małym stoliku markowego fast-fooda. Wyciągam zeszyt i notuję.

- Robiliśmy w Radiu Katowice audycje rozrywkowe, w których grali zawodowi aktorzy - Edmund Wojna-

rowski zaczyna opowieść o pierwszym radiowym i jednocześnie literackim kabarecie „Pies na portierni” oraz o zawiłych losach scenicznego kabaretu „Śruba”. W obu grały prawie te same gwiazdy śląskich scen. Wśród nich Ewa Decówna, Bernard Krawczyk, Mieczysław Łęcki, Bogumiła Murzyńska, Stanisław Brudny, Anna

Gołębiowska, Piotr Skarga, Michał Banasik przy fortepianie.

- Doszliśmy więc do porozumienia, żeby zrobić kabaret w oparciu o Wojewódzką Agencję Imprez Artystycznych.

Właściwie nie wiadomo czy „Pies na portierni” wyszedł ze „Śruby”, czy na odwrót.



## Docisnąć śrubę... „Śrubie”

Zatem o „Śrubie”. Pierwszy program - „Ja głośno myślę” - powstał ok. 1968 roku. Tytuł był aluzją do haseł z odpraw pracowniczych.

- Wystawiliśmy go w Teatrze Ate-neum. Były to czasy zamieszek w Katowicach. Pamiętam jak szliśmy ulicą po jednym z występów a w sklepach były powybijane szyby - wspomina Wojnarowski.

Zaprezentowali jeszcze dwa programy: „Życie jest inne, czyli koszmarek sceniczny w dwóch częściach” i „Głupi nie zwariuje”. Jednym z zachowanych tekstów jest piosenka Wojnarowskiego o miłości do... brojlerów:

*Kochajmy więc brojlera*

*To kurcze blade*

*Niech go samotność nie zżera*

*Kiedy ląduje na lądę (...)*

*To szybko rosnące mięsko*

*Wyjść z kłeski może zwycięsko*

*Dziwna to miłość być może*

*A być może pomoże (...)*

*kochajmy więc brojlera...*

Niestety w 1970 roku „Śruba” się rozpadła. - Był konflikt między zespołem a kierownikiem artystycznym agencji, który sobie usurpował prawo do reżyserowania. Nie zgodziliśmy się na jego zbyt ingerencję.

Niedługo potem doszło do reaktywowania kabaretu, który nie miał nic wspólnego z agencją. Powstała „Śruba 2” - Było to niezbyt udane przedsięwzięcie i kabaret upadł ze względu na środowiskowe niesnaski, spowodowane pro domo sua przez wspomnianego mściwego kierownika artystycznego agencji. Po jego odejściu, Agencja próbowała odnowić „Śrubę 1”.

Powstał nowy program pt.: „Człowiek jest ciekawy”. Kabaret działał w oparciu o stary zespół realizatorów i autorów, który został uzupełniony przez Bohdana Widerę.

## Teatr mistyfikacji

Kolejnym kabaretem wspomnianego „Radiowego tria” był „Pies na portierni”. Akcja każdej audycji działała się na portierni. Trzej mężczyźni

grają w PSA i komentują sytuację w kraju, obgadując osoby, które do nich przychodzą. Wtedy po raz pierwszy w jednej z audycji użyto gwary.

- Nie było wolno jej używać na antenie ze względów politycznych. Może mogło to wywołać nastroje separatystyczne? - zastanawia się p. Wojnarowski.

Wśród pomysłów radiowców warto wspomnieć o „Kapitulie Złotego Wahadła”. Akcja polegała na przyznawaniu zegarowego wahadła za zasługi w zakresie wystawiania „Hamleta”, sztuki wówczas unikanej w teatrach naszego regionu. Nagrodzono m.in. Gustawa Holoubka, Michała Staśkiewicza, reżysera amatorskiego teatru „Forum” z Bytomia, a następnie „Quorum” z Dąbrowy Górniczej.

- Zresztą zaprosiliśmy ich potem do studia, by pod pretekstem, że nie mają gdzie grać, wystawili sztukę Szekspira w odcinkach. Wyszło ich 283 - mówi Wojnarowski, dodając, że ma „hopla” na punkcie Szekspira.

Zrealizował też „pseudo sesję” naukową pt. „Pierwiastek hamletyzmu w powojennej literaturze śląskiej”.

- Tutejsze środowisko naukowe obrazilo się na nas, bo kpiłiśmy z regionalnej literatury, która wtedy była preferowana na Śląsku. - Robiliśmy różne mistyfikacje, np. stworzyliśmy nieistniejący teatr, którego sztuki recenzowaliśmy, traktując wszystko śmiertelnie poważnie. „Pies na portierni” działał od 1970 do około 1981 roku. Za naszą działalność antypaństwową w „Śrubie” i „Psie...” przypłaciliśmy w stanie wojennym zwolnieniem z pracy.

## Pokolenie hipisowskie

W latach triumfu „Śruby” i „Psa...” działały na Śląsku, powstałe już w latach 60. przy śląskich uczelniach, efemeryczne kabarety studenckie. Na przykład Akademia Ekonomiczna miała „Z kopyta”, potem „Bungo”. O tym ostatnim, jego członek - Jerzy Ciurlok - mówi tak: - Kabaret istniał kilka lat, ewoluując, zmieniając składy.

- A czego dotyczyła tematyka poruszana przez „Bungo”?

- Były elementy satyry politycznej. Jednak szliśmy w stronę surrealizmu, dadaizmu. Jeśli coś uważaliśmy za głupie - wykpiwaliśmy. Jednak było to bez żadnej ideologii. Wynikało raczej z buntu. Byliśmy pokoleniem na obrzeżach subkultury hipisowskiej. Wtedy to była taka radosna twórczość i nikt niczym się nie przejmował. Występowaliśmy w klubach studenckich.

- A o czym mówiły inne kabarety?

- Wtedy kabaret ośmieszał politykę, gospodarkę. Rzadko był czarny humor, pure nonsense.

Natomiast na Politechnice Śląskiej w Gliwicach najpierw był „Bunkier”, potem przez radiowęzeł swoje skecze, monologi prezentował pod oficjalną już nazwą Kabaret „Długi”, czyli Jacek Łopot i Piotr Skucha. Najbardziej inspirowała ich polityka. Jeszcze w liceum oglądali Kabaret Olgii Lipińskiej (Galux Show).

- W radiowej Trójce słuchaliśmy ITR-u, IMA, 60 minut na godzinę, obserwowaliśmy Teya. Inspirowali nas Salon Niezależnych i Jan Pietrzak - wspomina Łopot.

Aż tu nagle w 1985 roku udało im się wystąpić w etiudzie o historii Salonu Niezależnych, realizowanej przez Krzysztofa Magowskiego. Obok nich przed kamerą przemykali min. Jerzy Stuhr, Bogusław Sobczuk i oczywiście Jacek Kleyff.

W roku 1979 „Dłudzy” uznali, że czas zacząć działać profesjonalnie. Jedną z pierwszych przygód scenicznych był rok później teoretyczny wyjazd do Moskwy. W rzeczywistości zaś do - ... Mińska i dalej do Nowopołocka, na polskie bazy, budujące tam rurociąg, by wystąpić na akademii z okazji 22 lipca. W pierwszych rzędach rosyjscy generałowie, z tytu robotnicy. I co zrobić? Nasze podstawowe dowcipy były przeciwko sojusznikowi, czyli ZSRR - opowiada.

Po tym ekscesie organizacje młodzieżowe już ich więcej nie zaprosiły. Poza tym przez 13 lat kabaret nie wystąpił w Opolskim Amfiteatrze.





Lucjan Czerny i Jerzy Kuczera.

Foto: ARC

- 4 czerwca odbyły się pamiętne wybory, które wygrała Solidarność, mieliśmy podpisany kontrakt na udział w Maratonie kabaretowym i dodatkowo 31 maja Estrada Opolska zaproponowała nam dodatkowy koncert.

Mimo zapewnień, że jest to normalna, biletowana impreza, okazało się że jest koncertem przedwyborczym dla 18-latków. „Długi” miał im wskazać, by głosowali na PZPR.

- Odmówiliśmy. Wróciliśmy do domu - dodaje Łapot.

„Długi” to baczny obserwator rzeczywistości, której przypisuje pointy: „coś jest w narodzie, że sąsiada to by w złote ramki oprawił, byle by wisiał”; „dzięki audiotele poziom inteligencji uniósł się gwałtownie, podobnie jak nadeptane grabie”; „ja jestem posłem i sam do tego doszedłem”.

Dziś w kabarecie grają na stałe Agnieszka Trzepizur, akompaniuje zaś Dariusz Szweda. Kabaret „Długi” jako pierwszy z kabaretów w Polsce, w 1984 roku, zaczął wydawać kasety ze swoimi występami.

#### Psss...

- Psss... ktoś jest na sali.....

- Kto?

- Uważaj!!! Tam. Pies tam jest.....

(w tej chwili na podstawioną osobę na widowni bije światło punktowe. Osoba wstaje i krzyczy)

- Ha! ha!..... (i wychodzi z sali)

Wiadomo, że pies to SB-ek.

Autorem tego skeczu jest Lucjan Czerny. Ten 53-letni mężczyzna jest

animatorem kultury, dziennikarzem, wodzirejem. Współtwórcą między innymi „Śląskich Godów”, „Księgi Rekordów i osobliwości” itp. Przede wszystkim zaś to kabareciarz. Przed, po i w trakcie stanu wojennego współpracował z Krzysztofem Daukszewiczem (kabaret „Clown”), z Zenonem Laskowikiem („Teyatr”), a w 1984-85 dołączył do katowickiego Kabaretu „Ssak”, przemianowanego potem na „Kabaret pod postacią psa”. Tworzyli go między innymi Mirosław Nejert i Bogdan Kalus.

- Nie były to łatwe czasy, ale... wtedy piliśmy więcej lepszych trunków niż dziś. Na trzeźwo nie dało się rzeczywistości oglądać - śmieje się Czerny przypominający z twarzy Bogusława Lindę. (A może jest odwrotnie?)

Drugą wybitną postacią śląskiej rozrywki był Andrzej „Toluś” Skupiński. Wymyślił wiele skeczy, monologów, w których krytykował przyjezdnych. Co bynajmniej mu sympatii nie dodawało. Tym bardziej, że mówił to gwarą, pełną germanizmów. „Dorka, Dorka pamiętasz...”, czyli przeróbki na gwara „Jolka Jolka”, „Budki Suflera”, czy „Czas Relaksu” Andrzeja Rybińskiego, przyniosły mu największy sukces.

#### Trzej muszkieterowie

Jeśli ktoś oglądał chociaż jedną z puszcanych w telewizji „lab śląskich”, z pewnością zna ten tekst:

„Moplikiem se jada na szychta, moplikiem se wracam z roboty,

na gowie mom gogle carrera, zicherką mom spiente galoty...”

Oczywa wyobraźni po scenie sunie szczególnie zamaskowany Krzysztof Hanke z Kabaretu „Rak”. Jego początki to też lata 80., a dokładnie przełom 1981/82 roku. Kabaret o cofającej się nazwie wymyślili Krzysztof Hanke, Ryszard Siwek i Andrzej Stefaniuk. Jednak dziś jest ich trzech: Hanke, Grzegorz Poloczek i Krzysztof Respondek, śląski aktor.

Przez „Raka” przewinęło się wielu artystów. Np. Marian Makula, z którym było głośnie rozstanie. W konsekwencji zaczął on działalność kabaretową na własną rękę, tworząc kabaret „Raki z nowej Paki”. W jego skład wchodzi także Jolanta Banaszek, Dariusz Niebudek i Janusz Homeniuk.

- Czy Pan i Pan Marian M. jeszcze kiedyś razem zagracie w jednym kabarecie?

- Nie!!!, i nie widzę takiej możliwości!! Trzeba iść naprzód. Pewnych spraw już się nie da cofnąć - upiera się Hanke, którego spotkałam na planie „Świętej wojny”. Zresztą wygłupiając się w tym serialu założył za skórę wielu Ślązakom. Uważali oni, że ich kompromituje.

- To wynika z braku autoironii i z czegoś, co ja nazywam „kompleksem Ślązaka” tzn. Ślązacy uważają się za gorszych od innych. Ludzie inteligentni nigdy by tak nie pomyśleli - szybko urywa, bo wołają go na próbę. Dziś kabaret „Rak” nie walczy, ale żartuje sobie z życia codziennego.

- My pokazujemy sposób myślenia zwykłego, prostego człowieka, który wielu spraw nie rozumie, a chciałby wiedzieć o co chodzi. To jest bliskie ludziom - dodaje na zakończenie.

#### Witejcie u Wos!

**-Tak** mnie ludzie witają gdziekolwiek pojedą i kojarzą około 50 dowcipów - śmieje się Aleksander Trzaska.

Obecnie z Jerzym Ciurlokiem tworzą Radiowy Klub Masztalskiego. Podtrzymują w ten sposób tradycję śląskiego kabaretu, wywodzącego się z folkloru, który - jak opowiada Aleksander Trzaska - *nobilitowano po wojnie do rangi wielkiej kultury. Jednak w tym folklorze, będącym towarem eksportowym (Śląsk, Mazowsze i inne) brakowało „godki”. A więc nie było kabaretu słownego.*

Twórcą właśnie takiego kabaretu śląskiego był Stanisław Ligoń, który w 1927 roku na antenie Radia Katowice opowiadał śląskie wice, wcielając się w postać Karlika z Kocyndra, w audycji „Bery i bojki śląskie”. W tych programach był zarówno śpiew jak i beranie. Ligoń śmiał się z siebie, z innych ludzi. On jako pierwszy zwrócił uwagę na dowcip. Co istotne, radio było wtedy głównym środkiem masowego przekazu. - *Efektom jego poszukiwań w zakresie godki, dowcipu była wydana w 1931 roku antologia „Bery i bojki Śląskie”. Książka na Śląsku do dziś jest kultowa. To biblia wielu Ślązaków, którą zaczytywali się także miłośnicy gwary poza Śląskiem - dodaje Trzaska.*

Później, w latach 60. na antenie Radia Katowice pojawiły się tzw. „Radiowe czelodki” czyli tzw. biesiady radiowe. Brali w nich udział aktorzy amatorzy władający gwara. Teksty pisali Witold Szewczyk i Z. Rembieza. Występowały trzy postaci: Kaczmarek, Kokotka i Lichoń. - *Można powiedzieć, że „Radiowe” były przez wiele lat jednym z najpopularniejszych kabaretów, którego korzenie tkwiły w folklorze - dodaje.*

#### Pyrsk, ludkowie!

Natomiast historia Radiowego Klubu Masztalskiego rozpoczęła się na antenie I Programu Polskiego Radia, w audycji „Lato z Radiem”, gdzie grupa dziennikarzy opowiadała śląskie wice, choć gwara zrozumiała dla każdego. Potem pointowali temat dnia w „Czterech porach roku”.

- Wywalczyliśmy sobie także prawo stałego działania na antenie lokalnej. Tak powstał Radiowy Klub Dowcipu. To się wszystko stało w ciągu kilku tygodni, w 1986 roku - opowiada Jerzy Ciurlok. - Aleksander Trzaska uzupełnia wypowiedź kolegi. - *Na początku stylizowaliśmy gwarę bazując na tekstach Stanisława Ligonia i Doroty Simonides, autorki zbioru pt.: „Śląskie beranie, czyli humor Górnego Śląska”, która rozhermetyzowała, społszczyła gwarę.*

Przez pierwsze lata kabaret składał się nawet z ośmiu dziennikarzy władających gwara, m.in. Marii Pańczyk jako Maryjki, Trzaski - Masztalskiego i Jerzego Ciurloka - Ecik, czyli alter ego Masztalskiego.

- *Potem siłą rzeczy wystąpiliśmy na scenie. Zaczęliśmy zbierać dowcipy i uczyć się sztuki opowiadania ich na estradzie - mówi Trzaska.*

- *Zapoczątkowaliśmy erę wydawania książek z żartami. Dotąd wyszło sześć książek po 1000 dowcipów. Zebrane mamy ok. 25 tys. wiców - dodaje Trzaska.*

Do języka potocznego weszło wiele ich słów i zwrotów zwyczajnych dla gwary śląskiej np.: „pyrsk ludkowie” czyli pa!, czy słowo „piznąć” - uderzyć. To ostatnie wywołało oburzenie wśród nie-Ślązaków.

- *Zastanawiający jest fakt, że zaczęliśmy mówić po śląsku nie na antenie lokalnej a w Warszawie. Mimo wszystko na lokalnej antenie nie było klimatu na dowcip śląski. Wiązało się to ze wstydem używania gwary.*

A przecież gwara w dowcipie wyostrza go, pozwala na większą dosadność.

- *Jednak może właśnie przez akcent przeszkadzać, gdy chce się zrobić karierę - uważa Joanna Bartel, Ślązaczka,*

*która debiutowała w Piwnicy pod Baranami, opowiadając śląskie żarty. - Wiem, że śląskie wice podobają się na całym świecie. Jak np. opowiadam je po polsku izraelskim Żydom, to ich żony Polki tłumaczą je na angielski. Gdy zaś mówię je po śląsku, tłumaczą na jidisz, bo lepiej brzmią. Co więcej, humor śląski jest przesylny, bardzo bliski życiu.*

Edmund Wojnarowski, polonista, dodaje:  
- *Humor śląski ma w sobie dużo pure nonsensu. Jest wysokiej klasy. Ślązacy śmieją się sami z siebie, jest więc bliiski humorowi angielskiemu, żydowskiemu, góralskiemu. Specyfika wynika z tego, że jest z dawnego pogranicza i miejsca zderzenia dwóch kultur, różnych sposobów myślenia, podejścia do świata, prezentacji zjawisk w oparciu o bogatą pojęciowość, używania germanizmów do tzw. zderzeń myślowych.*

Jako baczny obserwator, Edmund Wojnarowski tak pointuje lata 70. i 80.

- *Kiedyś kabaret zastępował myślenie, śmiał się za ludzi, którzy przychodzili i słyszeli coś, co sami bali się powiedzieć.*

*Tajemnicą kabaretu jest przecież narażanie się, kabaret zawsze się narażał.*

W okresie 1980-85 śmiech na sali wywoływały żarty z komuny. Potem to się skończyło. Zaczął się powolny schyłek kabaretu politycznego.

#### Kolega cenzor

Poza tym była wszędobylska cenzura. Marzeniem wszystkich artystów była pieczęć z napisem „ZATWIERDZONE”. Im więcej ich było, tym prościej uzyskiwało się

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU GASTRONOMICZNEGO  
ODDZIAŁ USŁUG ROZRYWKOWYCH  
KATOWICE, UL. MICKIEWICZA 8 TEL. 528-52

Dyr. i kier. art. LESZEK SZYMOCHA

#### Zespół\* literackiego kabaretu

# ŚRUBA 2

W KATOWICACH

zaprasza pł. Publiczność do »Okrągłaka«  
na umiarkowanie optymistyczny spektakl  
w dwóch częściach

pł.

## BO CZŁOWIEK JEST CIEKAWY

\* Autorzy: Edmund Wojnarowski \*\* Bogdan Widera  
i Marek Kania

Wykonawcy: Bogumiła Murzyńska, Stanisław Brudny \*\*\*,  
Bernard Krawczyk, Mieczysław Łęcki

Kompozytorzy: Michał Banasik \*\*\*\* Bogumił Pasternak  
Plastyki: Barbara Grabska

\*\* Kierownik artystyczny

\*\*\* Reżyseria

\*\*\*\* Przy fortepianie

St. Ligoń podaje jak to zrobić:  
„*Łosprawioocz mo przy tym łosprawianiu zawsze gęba spokojno, poważno, za to ci którzy słuchajom, trzymajom się łod śmiechu za brzuchy, łosprawioocz musi se miarkować trzy rzeczy, kiere som związane z jego fajnym kunsztem, mianowicie:*

1. *wic, czyli kasek musi być krótki,*
2. *fajnie łopowiedziany*
3. *koniec ma być nieoczekiwany.*

Klub Masztalskiego spowodował wielkie zainteresowanie dowcipem.



zgode w kolejnym mieście i program się wystawiało.

- Z cenzurą się nie rozmawiało. Odbierało się od nich teksty wiele razy pokreślone na czerwono. A że cenzura nie puściła kilku programów, to była norma. Mieliliśmy cenzorów, którzy podnosili nam poprzeczkę, mówiąc co poprawić, żeby było lepsze - wspomina z uśmiechem na twarzy Lucjan Czerny. - Kiedyś przystali nam dziewczynę, która chciała z nami występować, a nie miała za grosz słuchu. Zenek kazał jej ćwiczyć w podscenium i mieliśmy z niej „ubaw” i wiedzieliśmy, że to jest „ucho”. Przez cenzurę Zenon Laskowik musiał wyrzucić radio, telefon, bo wszystko było na podsłuchu. Nawet do scenografii mu się przyczepiali - wspomina Edmund Wojnarowski, który uważa, że cenzorom zależało, żeby tekst poszedł.

- Mieliliśmy np. dowcip o tym, że w ruskim pierogu został znaleziony gryps. Gdybyśmy zmienili „ruski” na inne państwo, nie byłoby dowcipu, w końcu udało się to puścić. Albo mieliśmy dowcip inspirowany współczesną sytuacją polityczną - związany był z rozpadnięciem demonstracji robotników w Katowicach. Wymyśliliśmy, że nad lotniskiem w Pyrzowicach ORMO rozpedza mgłę.

Kabaretowi „Długi” także cenzura wstrzymała programy. Łopot przypomina sobie sytuację, gdy cenzor zadzwonił do niego z prośbą o przyniesienie tekstów do zatwierdzenia. Okazało się, że odchodził na emeryturę.

- Gdy w 1986 roku wygraliśmy Ogólnopolskie Spotkania Estradowe wybuchła afera. Okazało się, że nasza „Piosenka zoologiczna”, która wydawała się całkowicie bezaluzyjna, i z taką intencją ją pisaliśmy wspólnie ze Stanisławem Klejwe, jest polityczna, ponieważ w refrenie jest słowo „Zyrafa”. Okazało się, że tak w Rzeszowie nazywani są zomowcy.

Jerzy Ciurlok: - Wiem, że środowisko studentów było inwigilowane, ale było to na zasadzie badania nastrojów, co w trawie piszczy. Nikt z nas się nie przejmował. Nie zgłaszaliśmy programów do cenzury.

Cenzorom nie wszystko się mówiło; problem, gdy cenzor był na spektaklu i to, co płynęło ze sceny, nie zgadzało się z tekstami, które wcześniej dostał.

#### Smakowity pure nonsense

... I Transformers i transformers  
Komu trzeba damy w mordę  
Po co mózg mieć i intelekt  
Gdy się mięśni ma tak wiele  
Zabić zniszczyć, wyciąć spalić  
Wszystkich słabych w mig powalić  
Po co komu czule słowa  
Zbudujemy świat od nowa...

Autorem tej piosenki jest Kabaret „Dno” z Dąbrowy Górniczej (powstał w 1995 roku). Obok katowickiego



„Śruba”

„Mumia”, rybnickiego „No! Nej!” , czy „DUDU” są nadzieją młodego pokolenia kabareciarzy naszego regionu.

Niesamowitym zjawiskiem na współczesnej scenie kabaretowej jest „Absurdalny Kabaret”. W 1993 roku założył go ksiądz Marek Wójcicki. Tworzą go niepełnosprawni intelektualnie mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej „Republika” w Chorzowie.

W programach młodych kabaretów nie ma dziś polityki.

- Dziś sens przestało mieć robienie satyry politycznej, gdy taką satyrę można obejrzeć w każdej transmisji z sejmiku lub w wiadomościach - uważają panowie z „Dna”.

- Tworzyłem do żartów są dziś wartości uniwersalne. Pociągający jest absurd. Te tradycje są w tekstach najlepszych: Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego, K. J. Gałczyńskiego - uważa Aleksander Trzaska.

Dodatkowo dziś do łask wracają evergreeny. Edmund Wojnarowski: - mają zupełnie inne spojrzenie na to co nas otacza. Ich kabaret oparty jest na wyrafinowanym humorze, pure nonsense. Pójście w abstrakcję pozwala smakować warsztat, sztuki szukania dziury w całym. Widzę, że oni myślą linearnie.

Jednak nowa forma kabaretu nie każdemu się podoba.

- Na przeglądach obserwuję, że kabaret zmienia środek wyrazu. Następuje jego teatralizacja. Pojawia się dużo rekwizytów. Zdarza się, że skecze są przegadane, a kabaret, to przecież krótka forma. Nie wiem czy to dobre, czy złe. W ogóle je-

stem zwolennikiem większej różnorodności i klasycznego kabaretu konferansjerskiego - wyjaśnia Jerzy Ciurlok.

- Wszystko zależy dla kogo chce się grać. My występujemy przed publicznością studencką i oni wolą taki rodzaj humoru, formy. Natomiast starsi ludzie wolą, albo kabaret polityczny, albo łatwą biesiadę - twierdzą studenci: Tomasz Sobieraj, Jarosław Cyba, Wojciech Stala z „Dna”.

#### Zagrać na drzewie i pogrzebie

**Dziś** sytuacja w rozrywce jest trudna. Kabaret może uświetnić każdą imprezę: mecz żużlowy, bal sylwestrowy itp. - Myśmy nie grali tylko na drzewie i pogrzebie! - śmieje się Jacek Łopot. Czasem kabaret przegarnie telewizja. Swego czasu oddział regionalny emitował „Sobotę w Bytkowie” (z której wyrósł kabaret „Antyki”), czy „Szkołę Użycia Kabaretu Długi”.

Największym wyróżnieniem dla młodego kabaretu jest zaproszenie na jakiś przegląd np. krakowską Pakę, czy na imprezę studencką. Jest niewesoło. Pan Edmund ze „Śruby” mówi: - Dziś kabaret ma trudną sytuację, ponieważ nie ma pożywki, którą miał dawniej, gdy nie wolno było wielu rzeczy atakować. Dziś robienie sobie żartów z np. złodziejstwa, podłości jest bez sensu, bo to jakbyśmy te zjawiska popierali, zlagadzali. Więc dziś co nam zostaje? Konwencja Monthy Paytona, śmianie się z siebie, przecież wielu nie ma odwagi podważyć wartości - zastanawia się.



**Widok z okna domu****historia pierwsza. Miłość**

przegryza jej szyję a  
potem długo czyści zęby pastą  
lecz smak krwi pozostał...  
ciągle czuje go w ustach

poczuła męski brud na  
swoich wargach  
uciekła, zmyła nowoczesną

chemią

ale kiedy zdejmuję sweter  
stojąc naprzeciwko okna  
szuka wzrokiem jego wzroku  
za szybą;

**historia druga. Tęsknota**

siedzi w fotelu, kiwa się  
i powtarza jedno słowo: — pies  
... czasami wzdycha...  
i powtarza: — Pies  
już nie potrafi chodzić  
w oknach szczerzą zęby kraty  
drzwi zatrzęsnęła nienawiść

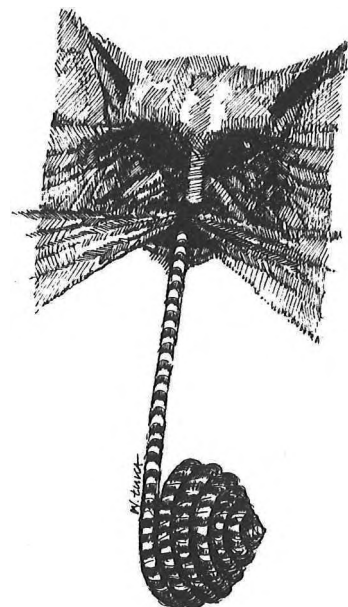
rysując przekrój zęba  
myśli o włosach koleżanki  
znowu dostanie jedynek;

**Baja pod tytułem  
Imię muszli**

w ogrodzie jest dużo drzew  
i jabłek więc jedzcie  
tylko uważajcie na robaki,  
w towarzystwie kota nie  
czują się  
bezpieczna chociaż on  
przekonuje  
że jest przyjacielem,  
gotuję zupę nie smakuje  
piecze krew ostra  
cebula pali wargi głód  
nie wybredny,  
okrutne dzieci zabijają koty  
okrutne dzieci śmieją się z  
z okrutnych dorosłych,  
w studni bez wody mieszka  
szczur  
przyniosę ci go zamiast  
kwiatów,

brudzisz mi wodę  
zajmujesz moje łóżko  
drwisz ze mnie zostań,  
my w kościele nie weźmiemy  
ślubu  
we śnie uciekniemy daleko  
na brzegu wśród muszli  
zostawię  
sukienkę i ciebie,

teraz wiem że nawet muszle  
mają imiona ta muszla to  
ostrea tamta klawiatuła  
bardziej podoba mi się ostrea.



Rys. Wojtek Łuka

## MARZENA ORCZYK

**Nowicjat**

i tak staniesz się kiedyś  
wyblakłym obrazem  
zgodą na poranek  
w obcej pościeli  
która pachnie sterylnym  
żelazkiem

i niczym więcej  
wszystkie ślady zostały  
wywabione

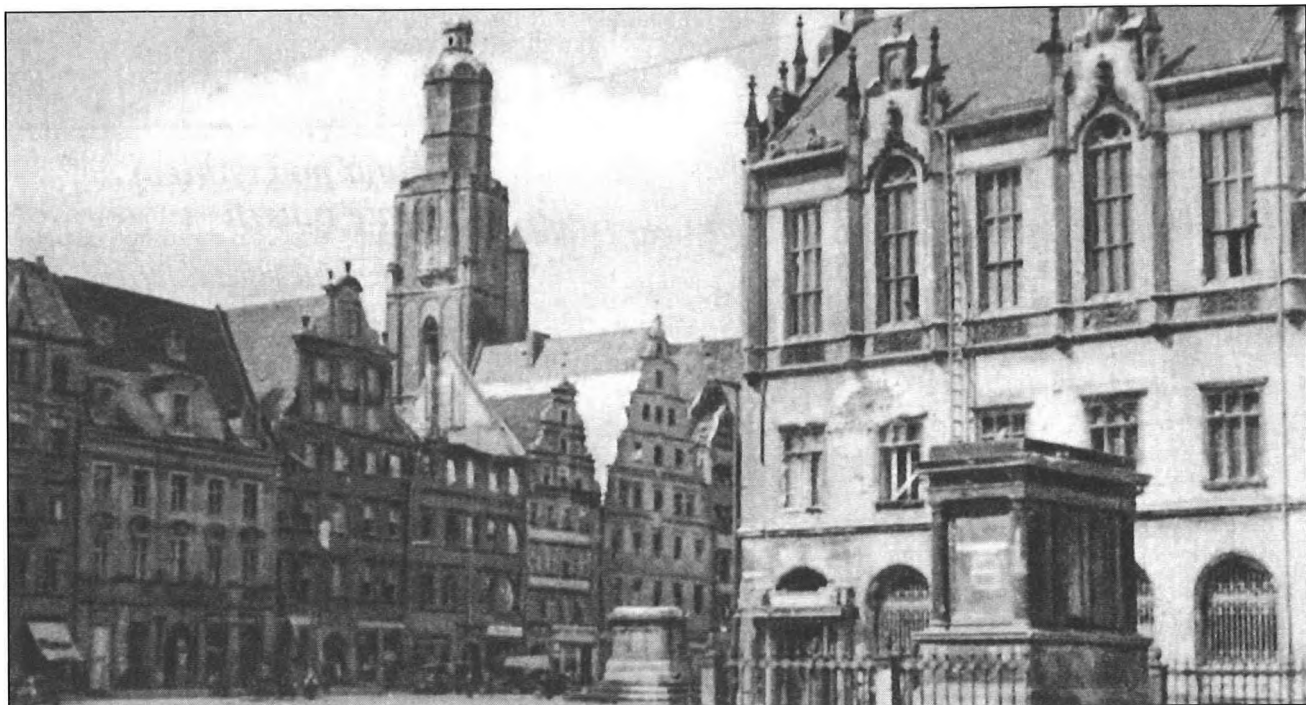
przez bystre pokojówki  
przychylne złudnym szeptom  
i anonimowej bieli  
więc dobrze:  
noc zakwitła od twojego blasku  
wyrzekliśmy się swoich twarzy  
teraz mogę rozpocząć  
mozolne preparowanie  
rozciniwanie włókien  
cieni  
zakopywanie imion  
rytualne obmywanie rąk  
i powiek

i skoro  
jak powiedziałeś  
każdego dnia  
za każdymi drzwiami  
zostawiamy cząstkę siebie  
czas najwyższy  
ogłosić mnie świętą

**Spisane**

Ileż możliwości  
w takim pudełku zapalek!  
Trudno zliczyć kombinacje,  
może lepiej wkupić się  
w łaski znaczeń?  
Od liczb o niebo lepsze są  
słowa.

W rozlewiskach pojęć  
nie ma różnicy  
między realnym a nierealnym,  
łatwiej tym samym  
przybić do jakiegoś brzegu  
i raz na zawsze  
wymeldować się z wszystkich  
dni tygodnia.  
To jest jakieś wyjście.  
Drogi rachmistrzu,  
puste miejsca są potrzebne,  
dzięki nim punkty odniesienia  
świecą wyraźniej  
na tarczy radaru.  
Rejestruj, ja wychodzę.  
Poproszę o rachunek  
nieprawdopodobieństwa.



Wrocławskie pomniki ok. 1890 r.

Pocztówkę wysłano z Wrocławia do Obornik 16 stycznia 1949 r. Nie wiadomo, kiedy została wykonana. Czarno-biała, na kiepskim, dziś już pożółkłym papierze, przedstawia fragment wrocławskiego rynku z wieżą kościoła św. Elżbiety w tle. Widać na niej wojenne zniszczenia, jedna z kamienic pozbawiona jest dachu. Jednak inny szczegół sprawił, że kupiłam tę starą pocztówkę - mianowicie dwa masywne puste cokoły.

Kiedyś stali na nich władcy Prus, Fryderyk Wielki i Fryderyk Wilhelm III. Co się z nimi stało? Ani we wrocławskim Muzeum Architektury, ani od osób zajmujących się historią Wrocławia nie uzyskałam dokładnej informacji. Cezary Wąs z Muzeum Architektury przed dziesięcioma laty obronił pracę doktorską na temat wrocławskich pomników. Starał się także odtworzyć ich powojenne losy - niestety bezskutecznie, bo dziś nikt nie wie, kiedy, jak i z czyjego polecenia zostały zniszczone. Jedno jest pewne: zaginęły bezpowrotnie. A jeszcze na zdjęciu wykonanym w grudniu 1945 r. przez nieznanego fotografa wyraźnie widać pomnik Fryderyka Wilhelma III; cztery lata później w tym miejscu stał już tylko pusty cokoł.

Ten sam los spotkał wszystkie wrocławskie pomniki. A było ich wiele. Mówiło się, że tylko Berlin miał ich więcej. Wiek XIX był bowiem dla Wrocławia okresem imponującego rozwoju. Do 1871 r. miasto było drugim co do wielkości w Prusach, a po zjednoczeniu ponad 200-tysięczny Wrocław stał się po Berlinie i Hamburgu trzecim miastem cesarstwa niemieckiego. Z końcem XIX w. osiągnął liczbę pół miliona mieszkańców. Szybkiemu rozwojowi towarzyszyły intensywne przemiany cywilizacyjne i kulturalne. Władze miasta nie szczędziły wysiłku, aby nadać mu charakter nowo-

# Smutek cokołów

WERONIKA  
SILCZAK

czesnej i eleganckiej metropolii. Jednym z tego przejawów była wręcz obsesja na punkcie pomników. Bohaterowi obrony Wrocławia przed Austriakami w r. 1760, gen. Tauenzienowi wystawiono na nowo wytyczonym placu (obecnie plac Kościuszki) wspaniały pomnik-mauzoleum. W 1827 r. na obecnym Placu Solnym odsłonięto pomnik marszałka Blüchera. Bohaterom wojny z Francją 1870-71 postawiono monumentalną kolumnę zwycięstwa, a kanclerzowi Bismarckowi pomnik przy dzisiejszym placu 1 Maja. Ukonoroowano także feldmarszałka Moltkego, prawnika Svara i wielu innych. W 1896 r. cesarz Wilhelm II osobiście odsłonił pomnik swego dziadka Wilhelma I przy ulicy Świdnickiej.

Po 1945 r. wszystkie pomniki zniknęły, także te z wrocławskiego rynku. Nie darowano nawet Neptunowi na Nowym Targu. Czy miały szansę pozostać tam, gdzie stały? Historia dała jednoznaczную odpowiedź... I tak we Wrocławiu nie ma już dziś pomników dłuta wybitnego rzeźbiarza Augusta Kissa, pochodzącego z Paprocan, który za życia konkurował z innym górnosłaskim rzeźbiarzem, Theodorem Kalidem z Królewskiej Huty.

## Równieśnicy i konkurenci

Obaj byli niemal równieśnikami. Theodor Erdmann Kalide urodził się 8 lutego 1801 r. w Królewskiej Hucie, zaś August Karl Eduard Kiss 10 października 1802 r. w Paprocanach. Ojciec Theodora, Gottlieb, był inspektorem hutniczym w Królewskiej Hucie, ojciec Augusta, też August, pełnił funkcję pisarza w paprocańskiej odlewni. Obaj przybyli na Górny Śląsk z końcem XVIII stulecia i tutaj założyli rodziny. Kalide ożenił się z Charlottą Wilhelminą Beck, córką urzędnika zarządu dóbr Donnersmarcków ze Świerklańca, Kiss wziął sobie córkę koniuszego pszczyńskich Hochbergów. Obie rodziny były wyznania ewangelicko-augsburskiego.

W kościele ewangelickim w Tarnowskich Górach, w księdze chrztów pod datą 14 lutego 1801 r. zachował się wpis o udzieleniu sakramentu chrztu Theodorowi Erdmannowi Kalidemu. Rodzice ochrzczili go w rodzinnej parafii matki, gdyż w Królewskiej Hucie gmina ewangelicka nie posiadała jeszcze wtedy własnego kościoła. W 1816 r. Kalide przeprowadził się do Gliwic, gdzie podjął na-

ukę w gimnazjum oraz pracował dorywczo pod okiem starszego brata Wilhelma w słynnej gliwickiej odlewni żelaza. Kiedy objawił się jego talent, wyjechał w 1819 r. na studia do Królewskiej Akademii Artystycznej w Berlinie. Początkowo studiował w klasie rysunku prof. Gottfrieda Schadowa, a następnie przeniósł się do pracowni Christiana Raucha. Tu zapewne zetknął się z Kisse, który rozpoczął studia w akademii berlińskiej w r. 1822. Wcześniej, podobnie jak Kalide pracował jako modelarz w mikołowskiej odlewni żelaza.

Obaj nauczyciele górnośląskich rzeźbiarzy cieszyli się sławą i uznaniem jako wybitni przedstawiciele europejskiego klasycyzmu. Schadow (1764-1850), m. in. autor słynnej kwadrygi na Bramie Brandenburskiej, przez wiele lat piastował godność rektora berlińskiej akademii. Rauch (1777-1857) zasłynął jako autor i wykonawca mauzoleum królowej Luizy w Charlottenburgu oraz pomnika Fryderyka Wielkiego w Berlinie. Obaj dali się poznać także we Wrocławiu. Schadow wraz z Langhanssem zaprojektowali mauzoleum Tauenziena, Rauch zaś był autorem pomnika Blüchera na Placu Solnym.

W 1831 r. Kalide otrzymał akademicki tytuł artysty rzeźbiarza i rozpoczął samodzielną działalność. Kiss pozostał znacznie dłużej w pracowni mistrza Raucha. Związany do końca z berlińską akademią, otrzymał tytuł profesora.

Odtąd różnie toczyć się będą ich losy. Kalide, mimo iż jako artysta ceniony i cieszący się dużym uznaniem, nie otrzymywał wielu zleceń. Wiódł żywot nader skromny i często musiał korzystać z finansowego wsparcia brata Wilhelma oraz siostry Albiny Winckler. Za to Kiss na brak pracy nie narzekał. Jego rzeźby i pomniki zamawiali władcy i bogate miasta: Berlin, Poczdam, Królewiec, Monachium i Wrocław. Właśnie we Wrocławiu ponownie skrzyżowały się drogi obu. Władze tego miasta postanowiły bowiem wystawić na rynku pomnik Fryderyka Wielkiego. Kalide przedstawił projekt, w ocenie fachowców był doskonały, który jednak nie zachwycił samych wrocławian i został odrzucony. Ostatecznie wybrano projekt Kissa - uroczyste odsłonięcie pomnika nastąpiło w 1847 r.

Historia powtórzyła się kilkanaście lat później. W 1861 r. na tym samym rynku od-



*Fryderyk Wielki ok. 1913 r.*

słonięto konną statuetę Fryderyka Wilhelma III, także autorstwa Kissa, po odrzuceniu wcześniejszego (i chyba ciekawszego) projektu Kalidego. Krytycy wytykali Kissowi, że nowy pomnik jest repliką poprzedniego, że artysta nie stworzył nic oryginalnego, a o wyborze jego dzieła zadecydowała profesorska pozycja, członkostwo Akademii Sztuk Pięknych i wcześniejsza sława.

Wrocławskie niepowodzenia głęboko dotknęły Kalidego i były jedną z przyczyn jego frustracji i załamania. Niewielkim wszak pocieszeniem była wiadomość, że żeliwny odlew jego rzeźby „Chłopiec z łabędziem”, wykonany dla Królewskiej Huty (stoi do dziś w Chorzowie na placu Matejki), zakupił także Wrocław. Pasją Kalidego były bowiem pomniki - niestety, tylko jeden jego projekt doczekał się realizacji. 29 sierpnia 1853 r. Fryderyk Wilhelm IV osobiście odsłonił w Królewskiej Hucie pomnik Fryderyka Wilhelma Redena, dłuta Kalidego. Po II wojnie podzielił on los wrocławskich pomników, staraniem Towarzystwa Miłośników Chorzowa został jednak zrekonstruowany i ponownie odsłonięty we wrześniu ubr. Miał zatem Kalide, choć po śmierci, więcej szczęścia niż Kiss, jego bowiem wrocławskich po-

mników z pewnością nikt nawet nie stara się odtworzyć. Pozostaną tylko stare zdjęcia i widokówki.

## Pod kołami historii

Co więc się stało z pomnikami Kissa? Czy zostały zniszczone już w 1945 r., czy nieco później?

Marian Jokiel ze Świętochłowic w lutym 1946 r. przybył do Wrocławia. Pracował w firmie remontującej budynek seminarium i pałac biskupi na Ostrowie Tumskim.

- Wraz z żoną zajęliśmy niewielkie mieszkanie w zrujnowanej kamienicy przy ulicy Malarskiej - wspomina. - Wczesną wiosną w mieście nasiliły się roboty, wywożono gruz, zabezpieczano uszkodzone budynki, remontowano trakcję tramwajową. Lecz zauważyłem także pewne dziwne działania. Na niektórych ulicach i placach, tam gdzie nie przebiegały tory tramwajowe, zrywano kostkę brukową, krawężniki i ciężkie granitowe płyty chodnikowe. Zaintrygowany, dopytywałem się o cel tych robót. Ku mojemu zaskoczeniu dowiedziałem się, że cały ten materiał pojedzie do Warszawy.

We Wrocławiu było wtedy wyjątkowo niebezpiecznie, prawie co noc dochodziło do strzelaniny, żona żyła w ciągłym strachu. A skoro wywożono stąd nawet kostkę brukową, byłem pewien, że jeszcze przez długi czas nie będzie tu normalnie. Wyjechaliśmy do mojego brata na Górny Śląsk. W Świętochłowicach dostałem mieszkanie i pracę w hucie Florian - kończy Marian Jokiel, który nie pamięta już dziś czy zimą '46 na wrocławskim rynku stali jeszcze dwaj Fryderykowie.

Najpewniej oba pomniki podzieliły los cegieł i marmurów pochodzących z pałaców i budynków z terenu całego Dolnego Śląska, o których pisała Aneta Augustyn, dziennikarka wrocławskiego dodatku „Gazety Wyborczej”. Sporządziła ona listę dolnośląskich miast, z których wywożono cegłę do odbudowy Warszawy. Pozyskiwano ją nie tylko ze zburzonych domów - rozbierano również budynki nietknięte, często zabytkowe. W Świdnicy rozebrano trzysta domów, w Brzegu siedemdziesiąt, w Legnicy pięćdziesiąt. Podobnie w Nysie, Kłodzku, Paczkowie. A kiedy rozpoczęto budowę Pałacu Kultury w Warszawie, dla wspaniałych śląskich rezydencji wybiła ostatnia godzina. Czego nie zniszczyła armia radziecka i szabrownicy, tego dokonały firmy budowlane, w majestacie prawa. Wyrwano marmurowe posadzki, balustrady, gzymsy, kolumny.

Szczególnie cennym źródłem materiałów budowlanych okazała się letnia rezydencja Hohenzollernów w Kamieńcu Żąbkowickim. Wybudowana w latach 1838-1845, była ostatnim dziełem znanego na Śląsku architekta Karla Fryderyka Schinkla. Olbrzymi pałac bogato wyposażony w marmurowe elementy (nawet żłoby w pałacowej stajni wykonano z białego marmuru), został dosłownie wypatroszony. Pięknie zdobioną, potężną klatkę schodową zdemontowano i wywieziono.

Przewodnik, który oprowadza po ruinach kamienieckiego zamku twierdzi, że zdobi ona dziś gmach Urzędu Rady Ministrów w Warszawie.



*Fryderyk Wilhelm III - grudzień 1945 r.*

# Przegrana misja

Od daty publikacji „Na ziemi Piastów” Jana Wiktora, w pierwszym numerze właśnie co utworzonego przez Kazimierza Wykę miesięcznika „Twórczość”, upłynęło blisko pół wieku. Tekst ten porusza jednak równie mocno jak w chwili pierwszego wydania. Dramatyczny apel pisarza i jego uzasadnione ostrzeżenia nie odniosły, jak się wnet okazało, należnego skutku. A przecież w tamtym czasie można było oczekiwać, że uda się nadać powrotowi Polski na ziemię po wiekach odzyskane rangę misji dziejowej, by nagrodzić historyczne krzywdy trwających przy polskości opolskich Ślązaków.

Miało to nastąpić w tym przełomowym momencie dziejów, gdy „Polska wychodzi z podziemi i wraca do swojej prawdy historycznej, do swej mowy i swoich praw”. Jan Wiktor postawił jednak zasadniczy warunek by ta narodowa misja mogła zostać spełniona godnie. Pisarz stwierdził z całą mocą, że teraz gdy „rozlega się wezwanie: »Na zachód! Na Zachód! tam ludzi potrzeba, tam opuszczone stanowiska«. Niechże tam idą na ciężką pracę ludzie wybrani, charaktery mocne, nieskazitelne, mający poczucie odpowiedzialności wobec państwa, wobec przyszłości (...). Geszeftciarzom wszelkiego rodzaju wstęp w tamte strony musi być wzbroniony”. Ostrzeżenie najwyższej wagi, przewidujące fatalne następstwa jeśli pojawią się tam ludzie nastawieni na szaber i rabunek, pozbawieni poczucia misji.

Był rok 1933 gdy Jan Wiktor wyprawił się po raz pierwszy na reporterski zwiad po Opolszczyźnie. Jest w tym czasie autorem szeregu książek, w tym powieści: „Wierzybnia nad Sekwaną”, o losie polskiej emigracji zarobkowej we Francji skazanej na wyzysk i życiowe upokorzenia. Dwa lata później ukaże się również poruszająca „Orka na ugorze”, powieść przedstawiająca sytuację zagrożonej w nędzy i zacofaniu góralskiej wsi. Reporterskie peregrynacje Jana Wiktora po Opolszczyźnie przypadają więc na szczytowy okres jego twórczości, pisarza o chłopskim rodowodzie (urodził się w Radomyślu nad Sanem w 1890 r.), związanego z radykalnym ruchem chłopskim. Wiktor, który wyrastał z tradycji pisarstwa Żeromskiego i Orkana, miał głębokie poczucie społecznych zadań literatury, jej powinności wobec narodowego losu. I ta problematyka znalazła odbicie w opolskich reportażach Jana Wiktora o mocnej patriotycznej wymowie.

Pisarz, który wyprawił się na tę ziemię w okresie wzmożonego terroru stał się - jak napisał W. Szewczyk: „Kronikarzem dokonującej się na jego oczach zagłady, w obliczu największych dla polskości niebezpieczeństw”. W sytuacji przybierającego na sile germanizacyjnego terroru, już wtedy pod znakiem swastyki, gdy dochodzi do wypierania wszystkiego co polskie, tym bardziej przejmujące są świadectwa trwania i heroicznego oporu polskich działaczy i trybunów tej miary co Arka Bożek. Jaki ich jednak czekać będzie los w nadchodzących la-

tach potwierdza męczeństwo w Dachau Franciszka Myśliwca.

Teksty Jana Wiktora, które ukazywały się na łamach poczytnego Ilustrowanego Kuriera Codziennego, miały alarmować i poruszać opinię publiczną a także wymuszać na polskich władzach polityczne interwencje. Czy jednak w ówczesnym czasie, oficjalnego zbliżenia polsko-niemieckiego, było to możliwe. Narodowi działacze Opolszczyzny mogli liczyć głównie na siebie: na heroiczny opór pod znakiem Rodła - Związku Polaków w Niemczech. Lecz potem, gdy nastał rok 1939...

„Na Ziemi Piastów” Jana Wiktora, pamiętnikarski tekst napisany w roku 1945 z perspektywy wydarzeń po II wojnie światowej, stanowi esencję opolskich wędrówek pisarza w latach gdy wraz z nastaniem Hitlera nastąpiła kolejna ofensywa germanizacyjna zmierzająca do likwidacji wszystkiego co polskie. Są to zapisy poruszające a do najbardziej przejmujących należą sceny w Watykanie, gdy przybyła tam pielgrzymka Polaków z Niemiec pod przewodnictwem księdza Domańskiego.

Podczas lektury tego tekstu czytającego po latach krzyżują się dwie perspektywy: historyczna i współczesna. To co dokonywało się po roku 1945, gdy ma miejsce rabunkowe marnotrawienie kapitału narodowego bez względu na nieodwracalne następstwa... I to co nastąpiło w ostatnich latach, gdy już niemal całkiem zapomina się o wielkich polskich rodach opolskich Ślązaków i ich przywódcach-herosach, których symbolizuje Arka Bożek.

Jan Wiktor nie spoczął na publikacji szkicu „Na Ziemi Piastów”. Znowu wracał na Opolszczyznę, pisał i ogłaszał alarmujące reportaże, choć z coraz większym trudem, nękany przez cenzurę. Ileż bólu i gorczy zawiąrającego słowa, gdy już jesienią 1945 roku musiał na łamach katowickiej „Odry” stwierdzić: „Lud z nad Odry i Nysy, wychowany w prostocie obyczajów, pobożny, patrzy z przerażeniem na tych głosicieli polskości i nie może zrozumieć swojej Polski, pamiętającej czasy piastowskie. (...) dzisiaj dusza tego ludu obrasta żalem a może i nienawiścią do Polski, widzianej w mrocznym, w pieśni, w tęsknocie (...).

Gdy pisarz wyrażał ten bolesny sąd upłynęło dopiero pół roku od końca wojny. Wiele rzeczy złych i najgorszych miało się dopiero stać, gdy już nic nie usprawiedliwiałoby pofrontowych okrucieństw i rozbojów zwycięskiej Armii Czerwonej. Misja przegrana, bo pozbawiona słuchu na prawdziwy głos historii i dziejowe posłannictwo. No bo przez kogo i komu oddana bez względu na skutki. I kto, nie licząc wyjątków, reprezentował tam wówczas państwo polskie.

TADEUSZ KIJONKA

I.

W różnych okresach od 1932 do 1939 wpadałem na Śląsk Opolski, w dniach szalejącego terroru i w dniach jego złagodzenia. Wędrowałem po tej ziemi, po zapomnianych okolicach, aby poznać lud osiadły od wieków, aby zajrzeć w głębie dusz, odetchnąć starą mową. (...)

Przewodnikami polskości byli pracownicy zahartowani, mający „mur w kościach”, entuzjaści nie uznający kompromisów, ugodowości, kipiący energią, patrzący w przyszłość z nadzieją, chociaż ówczesne życie przynosiło tyle bolesnych doświadczeń, chociaż zmieniano się w pałkę, spadającą na plecy, łamiącą kości. Raz Arka Bożek, po iście cudownym ocaleniu spod noży zbiorów, po wyleczeniu z ran powiedział: „pracuję dla polskiego ludu, a w tym nie jestem bohaterem, bo ino spełniam swój obowiązek. Jakbym nie poradził tego, tobych tego nie spełnił. Ale była potrzeba tego, więc robiłem. Byłbym chacharem wobec swego narodu, jakbych inaczej postąpił. A chacharem nie chcę być”.

Wśród opowiadań twardych, jak głazy, czasem załkała bolesna skarga - „jeżeli czasy się nie zmieniają, to krew polska się zatrze i cmentarz zostanie”. „Starym nie połamaj ręk, ino z młodymi źle. Jak dzieci ratować? Urobiją w ochronkach, szkołach na swój sposób”. „Staruszkowie nie poradzi mówić po niemiecku, a wnuk już jest innej mowy, już się zaparł ojców” (...).

Z Bytomia miasta, które było wówczas ogniskiem polskich poczynań przez założenie gimnazjum wyruszyliśmy na zwiedzanie tej ziemi. Wstępowaliśmy do wielu miejscowości, do wielu domów, poznawaliśmy lud, można rzec odkrywaliśmy jego wartości, nieznane ogółowi polskiemu. Ten lud oderwany od Ojczyzny przed 700 laty, zapomniany przez wieki, mimo niebezpieczeństwa, mimo obcego naporu wciąż trwał, wkończony w glebę, jak mocny dąb. Lud zahartowany w walkach mówi starą polszczyzną, pełną archaicznych form, pełną klejnotów, które już zaginęły w innych dzielnicach. Jakaż moc w tej duszy, jakaż moc w tej mowie, że nie dała się skruszyć i zniszczyć. Świetny pisarz mówi w książce o Śląsku Opolskim, że ta mowa, to „sędziwy matecznik polszczyzny”, rezerwat, w którym do dziś przechowuje się język prastary z epoki chrobrych czasów.

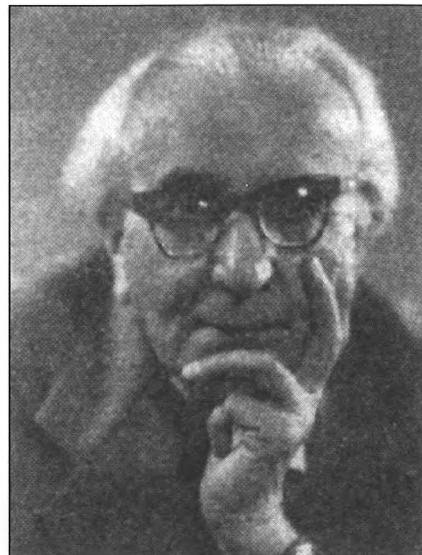
Nieraz przychodzili bolesne myśli, że tak łatwo, tak lekkomyślnie odwróciliśmy się od tej ziemi, aż do głębin polskiej, pozostawiając ją na pastwę gwałtu i wynarodowienia. Krótkowzroczni, małoduszni, zmarnowaliśmy wielką kartę dziejową, przegrywaliśmy najbogatszą dzielnicę, własnymi rękami wydzieraliśmy jedną z najważniejszych przyciesi, wrośniętą pod grzbót Ojczyzny. Śląsk miał być twierdzą, a w ciągu wieków kruszał z powodu naszego zaniedbania. Nie umieliśmy obronić, kiedy gwałt nie-



# Na ziemi Piastów

JAN  
WIKTOR

(Kartki z pamiętnika)



miecki rozbierał cegłę po cegle, kiedy wydzierał serce za sercem. Gdyby nie siły niepożyte utajone w ludzie opolskim, zostałyby zgłiszczą i cmentarze, treść dla badań naukowych. W ciągu 20 lat waśni, zamachów, Śląsk był ofiarą prześladowań. Wciąż cofaliśmy się. A od roku 1918, kiedyśmy szaleli niepodległością, tam wadał terror, którego narzędzie i skutki poznaliśmy dopiero od roku 1939. Gdzie mieszkał działacz, tam padały granaty, ciała wywlekał zbior i żywcem grzebał. Oprawca był prawodawcą, mającym w rękach gwałt, kule i pałkę. Patrzyliśmy obojętnie na dokonywany mord, bośmy nawet papierkiem dyplomatycznym nie chcieli zasłonić piersi polskich przed ciosami, groźbą, śmiałym wystąpieniem nie umieliśmy wytrącić morderczego narzędzia. Wtedy, gdy Niemcy gotowali się do zadania ostatecznego, śmiertelnego uderzenia Polsce, okłamywaliśmy się paktami przyjaźni i wspólnej pracy na polu kulturalnym. Nie słyszeliśmy wołania wymierających i mordowanych.

Przecinamy równinę. Czasem wystrzeli komin, czasem zwałisko kopalni przytłoczy pejzaż i zamiga nad nią koło wyciągowe. Po błękitie snują się kłęby dymu. Ściga nas łoskot pracy. Zdążamy w okolice rolnicze, które lud nazywa „bożymi stronami”. (...)

Mijamy kapliczki, krzyże. Usiłovaliśmy odczytać napisy, pozdrawiające przechodnia i proszące o westchnienie za duszę „fundatora”. Z trudem nam się udawało. Czyjaś ręka zasmarowała, zdrapała lub ściosała napisy, mówiące, że ten krzyż, tę figurę, tę kapliczkę fundował dziedzic tej ziemi, w tym a w tym roku, że po polsku modlił się o ulżenie w męczarniach, o szczęście wiekiście dla siebie. Dużo, dużo minęliśmy takich krzyżów z zasmarowanymi polskimi modlitwami; kiedy wieść rozeszła się o jakimś ocalałym zabytku, zaraz po paru dniach nieznane ręce zdrapały te napisy, pazurami, dłutem, siekierą lub bło-tem czy smołą zamazały, aby wszelki znak unicestwić.

I były już wówczas połacie, gdzie zabrakło mowy polskiej w ustach żyjących, tam już tylko kości w mogiłach

wołały, tam zatajone w kościołach, kaplicach tablice mówiły o polskich przodkach. Gdzie zdarto tablice, tam ziemia krzyczała. Gdzie zagłuszyli mowę ziemi, tam podziemia, tam podwaliny za- bytków, tam osady sprzed tysięcy lat niezatartymi świadectwami, odkrywany- mi przy każdym dotknięciu pługa udo- wadniały, że ten kraj od wieków był i dzisiaj jest polski, chociaż przykryty obcym sztandarem, zdeptany obcym butem. (...)

Opodal ze wsi kroczy chłop za plu- giem, ale nie dociera do końca, skręca i omija ugorony kawał zagonu.

- Panie Boże dopomóż - wołamy.

- Daj Panie Boże - orzący podniósł głowę ku nam i odwrócił się, jakby się uśmiechnął świętym wezwaniem, że go ktoś pozdrowił polskim słowem i ode- tchnął jego radością.

- Dlaczegoż do końca nie orzecie? Czyż nie szkoda marnować ziemi?

- Czasem trzeba tak zostawić - spoj- rzał nieufnie ku obcym.

Zrozumiałem. Tak. To tutaj święte miejsce.

- Pługiem można poranić - mówię.

- Tak, tak - zająknął się. - Dość za ży- cia się namęczyli, jeszcze po śmierci tra- pić.

Dużo takich miejsc po polach, zaga- jach, lasach. Tu spoczywają kości pa- dłych w obronie swego narodowego ży- cia. Te miejsca omija pług.

Leżą tam, gdzie padli. Nie wolno ich tknąć, ani przenieść na cmentarz. Set- ki grobów rozrzuconych po polach, la- sach, łąkach są słupami granicznymi, wbijanymi przez wielką miłość, boha- terstwo i poświęcenie tych, którzy przez 700 lat nie znali Polski, a w po- trzebie oddali za nią życie. Tutaj spo- czywają synowie tej ziemi padli w po- wstaniach, lub później pokrajani ba- gnetami, strzaskani kolbami. Po śmierci są bez imienia, bo za życia za- pisywali najpiękniejsze karty chwałą czynów. W wieczór listopadowy, lub w rocznicę święta narodowego wybły- skują świeczki, gdzieś na skraju lasu czy zagonu, gdzieś nad brzegiem rzeki, gdzieś pod kopą wykwitła wieniec owi- nięty amarantową wstęgą. (...)

## II.

Kiedy się jest w Opolu, trudno nie wstąpić do dawnego kościoła Fran- ciszkańskiego, zmienionego w zbór ewangelicki. Tutaj mieszczą się nagrobki Piastów. W opuszczeniu, w zapomnie- niu, odrzucone w zapamiętany kąt, bez światła, poza ołtarz, służą za podstawę pod wazoniki, rupiecie, graty. Grobo- wiec książąt Bolków Opolskich. Wstrzą- sem całej istoty, ciosem serca można wy- powiedzieć myśli i uczucia cisnące się na widok postaci wykutych w kamieniu, z których jedna dźwierży wyciągnięty miecz, a druga spoczywa dłonią zamarłą na rękojeści. (...) Lud opolski wyjął z rąk książęcych symbol tych mieczy i uczynił orężem w walce z wrogiem.

Stąd wypadłem do wsi, aby złożyć po- kłon najczcigodniejszemu kapłanowi ks. Koziołkowi, który cały był rozplomie- niony ewangelią i Polską, który przez całe życie narażony na prześladowania, udręki, katusze, niemal pod kulami, pod pałkami, nauczał, walczył, zagrzewał, nakazywał, aby religii uczyć w macie- rzystym języku, wołał, aby choć w ko- ściele, gdy zakazują gdzie indziej, pod- rzucić pod serce żar polskiego słowa.

Kościół był ostatnim przytułkiem mo- wy polskiej na Śląsku. W kościele dziec- ko miało ostatnią ostoję. - Tak było daw- niej... A później? Już nie ma ostatniego przytułku. (...)

W ławkach głównej nawy siedziało kilkadziesiąt dzieci, zebranych z całej wsi nawskroś polskiej. Po jednej stronie chłopcy, po drugiej dziewczęta. Szereg płowych głów jakby pokosy pszenicy. Młody ksiądz uczył katechizmu po nie- miecku. Wykładał świetnie, tak obrazo- wo, jakby każde słowo rzeźbił przed oczami słuchających.

Dzieci w lot pojmowały i usiłowały odpowiadać po niemiecku na zadawane pytania. Niektóre czyniły to bez trudno- ści, płynnie. Wskazana dziewczynka wymówiła kilka zdań i urwała w poło- wie. Namyslała się, urabiała w sobie po- trzebną odpowiedź, wreszcie nabrała tchu i bezwiednie kończyła starą polsz- czyną, zachowaną jako najszlachetniej- szy zabytek w pamięci ludu.

Ksiądz, wytrawny pedagog, nie przerywał, słuchał spokojnie, nie groził, nie używał gwałtu. Po skończeniu odpowiedzi poprawiał po niemiecku i łagodnie nakazywał kilkakrotnie powtórzyć i niejako wklinał wyrazy niemieckie w duszę. Dziecko, patrząc w Chrystusa zbolełego, skrwawionego, uczącego miłości i prawdy z krzyża, wymawiało powoli, z mozołem, obce słowa, które miały się stać treścią jego życia. Mielišmy poglądową lekcję, jak się przekształca, urabia polskie dusze na sposób niemiecki.

Za nami wyszła owa staruszka modląca się przed Matką Boską Częstochowską.

- Skądżeście są? Z Polski może?

- Z Krakowa.

- Jezusie! - ogarnęła rękami powietrze, jakby chciała do piersi przytulić to słowo - z Krakowa! z Krakowa! - powtarzała po kilkakroć. - Znam, znam każdy kamyczek. Szczęśliwe ludzie, co tam mogą mieszkać. Jezusie! Piechotę chodziłam przez granice, żeby choć popatrzeć, posilić serce, tchu innego nabrać. (...)

W powrotnej drodze spotykamy przydrożną kapliczkę, może jedyną na ziemiach polskich, która do przechodniów przemówiła wyrzytm polskim napisem, radosnym okrzykiem rzuconym w przestwór niebios z tej ziemi, z wszystkich zagonów i domów: „Na znak wdzięczności Panu Bogu za uwolnienie od pańszczyzny w R.P. 1814”.

Już tylko na starej kapliczce, zbudowanej przez radujące się ręce chłopów pańszczyźnianych, tak bezlitośnie wyzyskiwanych przez panów niemieckich, ginących pod batem ekonomicznym na łanie, który zawsze był polskim, widnieje ten napis, jakby to krople potu i łzy wdzięczności wyciśnięte z cegieł zmieniły się w litery na wieczną rzecz pamiątkę.

Tak było jeszcze w 1933 roku. W czasie późniejszych wędrówek już nie znalazłem tego napisu, ani też na cmentarzach polskich nazwisk, polskich modlitw i prośb, wykutych w kamieniu. Ręce niemieckie zrąbały je, aby nie świadczyły o prawdzie historycznej, nie świadczyły o polskości tych ziem.

Niemcy ogłosili, że na Śląsku nie istnieje zagadnienie polskie, że stare pokolenie wymiera, a najmłodsze już jest zniemczone. Mimo tych zapewnień toczyła się zażarta walka w domu, w polu, na miedzach, w kościele. Niemal każdy z działaczy, budzicieli, nosi blizny, szramy, znaki, niemal każdy ma strzaskane kości, szczęki, zębra, a przecież ani kamienie, ani palki, ani noże, często braterskie na rozkaz wroga, nie złamały dusz. Zahartowane charakterystyki nie zwątpiły, nie cofnęły się, nie upadły, ale dalej prowadziły walkę o polskość. To typy godne, aby ich żywoty pomieścić w wypisach, jako wzory bohaterstwa, upor, pracy, wypełnie-

nia obowiązków, niezłomności w ukończeniu idei. Lud ten zdobywał się na największe ofiary w czasie powstań i wciąż, w codziennym życiu dawał nieustannie dowody najpiękniejszego przywiązania do dalekiej i nieznannej Ojczyzny.

Tutaj ciśnie się opis zdarzenia, jakie rozegrało się w jednej z miejscowości Śląska Opolskiego. Syn, żołnierz, w czasie powstania odznaczony za waleczność, musiał opuścić rodzinną wieś, wstąpił do Seminarium i został księdzem na Górnym Śląsku. Rodzice, siostry, bracia zostali po tamtej stronie granicy. Stamtąd po r. 1933 dochodziły wieści, raniące synowskie serce, że rodzice zaparli się Polski. Nie mógł tego ścierpieć. Wstyd i ból go palił. Wybrał się ukradkiem w odwiedzin.

- Jużeć nie miał do was przyjechać, ale musiałech, żeby wam wszystko wypalić - wyznał zaraz po przekroczeniu progu.

- Ładnie nas starzyków witasz. Czego ty, drogie dziecko, nie chciałeś przyjechać do ojca?

- Boście przystali do Hitlera.

- Tegoś się ojca chciał zaprzeć - synu mój?

- Tego.

Zadumał się stary nad synowskimi słowami, jakby umiłowane ręce przykładały siekiere do jego piersi. Milczał, a dopiero po chwili, powoli zaczął urabiać wyrazy.

- Żeby cię synu kochany trzy razy palili, żebyś ino w koszuli został, żebyś nagie i głodne dzieci na zgorzeli widział, tobyś inaczej mówił. (...) Już nie mam sił. Jo tu - jo tu w sercu Polak, a tu - wskazał na wargi - tom przystało do Hitlera, bom musiał. I twój brat i sąsiedzi. My wszyscy w sobie mamy Polskę, ale co z dziećmi? One są innego ducha. Polskę nam wydzierają na każdym kroku, od małości w ochronce, w szkole, a najbardziej w kościele... Nawet Pan Bóg nie jest naszą ucieczką i obroną.

### III.

Kiedy oburzałem się na germanizację Śląska przez kościół, jeden z najświatlejszych kanoników, najbardziej tolerancyjny dla niemieckich katolików, proboszcz katowicki, który zresztą zginął zamęczony w obozie - wypowiedział pamiętne słowa:

- Właściwie w zasadzie wszystko jedno dla kościoła katolickiego, czy jego wyznawcy mówią „Ojcie nasz” - czy „Vater unser”.

- Czy duchowni niemieccy z kard. Bertramem głoszą taką samą zasadę? - zapytałem. Jednakże nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Nieraz ta rozmowa stawiała mi w pamięci, gdy wędrowałem po Śląsku Opolskim, gdzie w każdym kościele, w czasie kazań, nauk, przekonywałem się, że dla niemieckiego kleru nie jest wszystko

jedno, czy wyznawca, uczęszczający do kościoła mówi „Vater unser” czy „Ojcie nasz”. Duchowieństwo z zacieklnością dążyło, aby polskie, od wieków nauczone „Ojcie nasz” wydrzeć z serca dziecka i podeptać. Kler głosił imieniem ks. Ulitzki, stojącego na czelę wojującą niemieczyny, na zjeździe katolików w Gliwicach, że dalsza germanizacja leży w planach Opatrzności Boskiej, gdyż lud na Śląsku nie jest „narodowo obudzony”.

Działacze centrowi w imię tych hasel dążyli wszelkimi siłami do wynarodowienia ludu polskiego, zapominali o nakazach Chrystusowych, nadużywali ambon, nie byli przewodnikami bożymi, ale grabieżcami dusz, nie wszechpiali zasad religijnych, ale czynili wszystko, aby wyrugować nabożeństwa, kazania polskie z kościoła - mówił stary działacz, głęboko religijny. Kazują podpisywać, że parafie chcą mieć niemieckie nabożeństwa. Nikt nie chce podpisywać i hitlerowcy, choć to dezterterzy od naszej mowy, ale w kościele mają ducha polskiego, też nie podpisali, a mimo to - wbrew woli wszystkich - zaprowadzili nabożeństwa niemieckie w imię wszechwładnie rozbrzmiewającego nakazu: „Siegreich wollen wir Polen schlagen”.

Mało kto w Polsce zdawał sobie sprawę, że na Śląsku Opolskim trwała walka bodaj najzaciętsza o polski pacierz, polską litanię, polską spowiedź, polski śpiew i nabożeństwo. Przez długie lata kościół był najwzrostniejszym przytułkiem mowy polskiej. Wśród duchowieństwa bardzo wielu było działaczy, pisarzy, pracowników niezmordowanych, którzy słowem i piórem, modlitewnikiem, kazaniem, wierszem religijnym, budzili świadomie, szerzyli miłość do mowy, ojców i do obyczajów. Ich szlachetne wysiłki stapały serca ludu śląskiego z polskim narodem. Tych księży, tych budzicieli lud wspomina z największą czcią. Ich duchem lud opuszczony jeszcze do dzisiaj żyje. Jeszcze przed wojną światową, w olbrzymiej większości parafii byli proboszczami i wikarymi księża polscy, a nawet centrowcy niemieccy dbali o to, aby dziecko rodziców polskich modliło się po polsku. Po niewielu latach, za jednym nakazem, zmieniły się stosunki. Obecnie, a było to w roku 1933, na olbrzymią ilość księży pracujących w parafiach czysto polskich, zaledwie pięciu przyznawało się otwarcie do polskości. Ale tych przerzuciła władza kościelna na jałowe piaski brandenburskie na ztratę. (...) Kościół był ostatnim bastionem mowy polskiej, gdzie znaleźli przytułek przerażeni, kaleczni, rujnowani, aby u stóp Boga szukać pomocy, ratunku. Obecnie został zdobyty ostatni bastion i stąd idzie najgroźniejszy szturm na polskie wsie. (...) Zdawało się, że krzyk wynarodowianych, mordowanych wstrząśnie murem Watykanu, że Watykan weźmie w obronę uciśnionych, że ewangelia zastąpi prześladowanych. Kamienie Watykanu były głuche na wołania polskie

i milczały. I nadal najsrozsze ciosy padały z kościoła, największe spustoszenia czynił tu kler, a kuźnią tych działań był episkopat wrocławski, a kardynał Bertram nadal był niemieckim młotem zmienionym w krzyż, walącym w pierś wierzącego ludu, chcącym zdruzgotać serca polskie. Hitleryzm i kler w jednym szeregu szturmówki zjednoczone wspólną wolą, wspólnym celem: zniweczenia polskiego żywiołu.

Tu godzi się wspomnieć o jednym kapłanie, którego nazwisko należy postawić w szeregu nazwisk najbardziej zasłużonych dla Polaków w Niemczech. Mówię o księdzu dr Domańskim, proboszczu parafii, leżącej daleko na północ. Zakrzewo, wzorowa wieś, było drugim Liskowem, twierdzą polskości i kultury. (...)

W listopadzie 1933, pod przewodnictwem ks. Domańskiego, wyjechała pielgrzymka Polaków, mieszkających w Niemczech, do Rzymu. Większość uczestników stanowiło opolskie. Ambasada niemiecka, mająca olbrzymie wpływy w Watykanie, sprzeciwiła się najbardziej stanowczo, aby papież przyjmował obywateli Rzeszy jako Polaków. Równocześnie zażądała przez usta gestapowca von Klebińskiego, aby Ojciec święty przemówił do pielgrzymki po niemiecku. Dla polskich rzesz, widzących w papieżwie jedyną ostoję, szukających tutaj pociechy, pokrzepienia, otuchy, takie powitanie byłoby najboleśniejszym ciosem. Na wiadomość o tym ks. Domański postanowił wyblagać zmianę tego. Wówczas odbyła się pamiętna rozmowa prezesa Związku Polaków w Niemczech z ówczesnym sekretarzem Stanu, dawniejszym nuncjuszem papieskim w Berlinie, serdecznym przyjacielem arcybiskupa wrocławskiego ks. Bertrama.

Sekretarz Stanu oznajmił, że pielgrzymka katolików z Niemiec dostąpi łaski wstąpienia przed oblicze zastępcy Chrystusa, ale pod warunkiem, że ten powita ją po niemiecku. Wtedy rozegrała się wstrząsająca, pełna dramatycznego napięcia scena, tak bardzo przypominająca odwiedzin Mickiewicza u papieża. (...)

- Błagam w imieniu Chrystusa Ukrzyżowanego, na jego męki... Łaski... - Ks. Domański zawsze twardy, nie zginający karku przed nikim krom Chrystusa, teraz pod brzemieniem odpowiedzialności wobec swego ludu ugiął się, padł na kolana przed wysokim dostojnikiem kościoła i zwiłżając łzami zimne, marmurowe posadzki, błagał o litość, u najmłodszych stóp kładł lud skrzywdzony, skazywany na wystąpienie i ostatnim głosem, drgającym bólem i rozpaczą, wołał:

- Wynaradawiają, spod krzyża rozbrzmiewa „ausrotten” i „Siegreich wollen wir Polen schlagen”.

- Musisz w pokorze wysłuchać i spełnić powinność swoją jako kapłan, jako sługa kościoła.

- Nie wolno mi zapominać, że jestem sługą ludu polskiego, kapłanem polskim, jego obrońcą. (...)

- Postanowione jest...

(...) Polacy w trwodze i w nadziei czekali na przybycie ks. Domańskiego. Kiedy się zjawił, rozgorączkowane spojrzenia wszystkich zebranych spoczęły na jego wargach. Uniósł głowę. Rozchylił ramiona. Jakies słowo rodziło się zatłuczone spadającymi łzami. Nie wyrzekł go. Załkał.

Papież Pius XI przemówił do polskiej pielgrzymki po niemiecku. Racja stanu okazała się mocniejsza niż Chrystus, niż Golgota, niż cierpienie za ukrzywdzonego człowieka, więc zwyciężyła.

Działo się to w listopadzie 1933 roku, w pół roku po rewolucji hitlerowskiej zagrażającej zniszczeniem świata, burzeniem ewangelii, rzucającej pożar pod krzyż.

#### IV.

Od strony Śląska Opolskiego poszła ofensywa niemiecka na Polskę. Klin wbijany od wieków teraz miał ugodzić w serce Słowiańszczyzny. Na wschód pomaszerowała milionowa armia, potoczyły się góry żelaza, mające zniszczyć wszelkie życie, aby na pustyni wśród cmentarzy budować wielkie Niemcy, narody podbite zmieniać w najmitów i niewolników, służących „Herrenvolkowi”.

Wrzesień 1939 był najtragiczniejszy dla Śląska Opolskiego. Każda godzina tego strasznego miesiąca zatłuczona kolbami, skąpana była we łzach i we krwi wybroczonej z tysiąca ran, każda godzina w skowycie i chustach żałobnych. Tego zamordowali, tamtego zamęczyli. Wszystkich działaczy polskich, budzicieli, żołnierzy sprawy narodowej, ludzi otoczonych szacunkiem, cieszących się zaufaniem wśród ziomeków, Gestapo uprzątnęło, wywiozło za druty kolczaste na zatrą, w tym przekonaniu, że polskość tej ziemi nie zasłana ożywcą krwią, musi zmarnąć...

(...) Tu godzi się uczcić pamięć jednego z najszlachetniejszych i najodważniejszych, Franciszka Myśliwca, ze wsi Sprzęcice, siedemdziesięcioletniego starca, w ostatnich latach piastującego godność prezesa Polaków Opolszczyzny. Za wzorowe gospodarowanie otrzymał nagrodę, to też wszyscy nazywali go pierwszym gospodarzem w Niemczech, a to miano brzmiało dla Polaków jak wódz, hetman, prezydent. (...) Franciszek Myśliwiec szedł zawsze w pierwszych szeregach w walce o polskość, zawsze niezłomny, zawsze nieustraszony w pracy, nigdy nie lękający się kamieni, pałek ani kul. Miał w sobie wiele z proroka biblijnego i męznego bojownika, prowadzącego uciemieniony lud przez mroki ku świtowi. Nie doczekał się upragnionego, długo oczekiwanego świtu.

Wieści o nim przedzierały się przez druty kolczaste i dochodziły do Warszawy i tutaj w dniu 26 listopada 1941 roku

znajduję wzmiankę. „... Tam, gdzie przebywa Myśliwiec, panuje nadzwyczajny duch, moc, nieugiętość i niezachwiana wiara - będzie Polska. Chcieli go zwolnić z powodu sędziwego wieku. Odpowiedział spokojnie, z mocą - naród powierzył mi opiekę, póki jeden Polak tutaj przebywa, to mnie nie wolno opuścić obozu. Wyjdę z ostatnim, może za słabnie, więc muszę go podeprzeć. Jestem potrzebny. Został i cieszył się ogromną czcią u wszystkich”.

Kiedy pisałem te słowa, Myśliwiec już nie żył. Nie wyprowadził braci z niewoli do obiecanej ziemi, gdzie jawiły się zarysy Wawelu. Zginął jakby w światłości, wciąż modląc się wyrazami Ojczyzna, Bóg, Kraków, wytrwajcie. Powtarzał je coraz cichszym głosem, a potem szeptem jednako mocnym, aż wreszcie wargi zajaśniały uśmiechem uszczęśliwienia, w którym swemu Bogu powierzał tajemnicę a żyjącym najświętsze hasło.

- Polska...

Pochylił się nad nim więźniowie, bracia i obcy i bezwiednie powtórzyli echo pieśni ludu polskiego.

- I wytrwamy i wytrwamy! (...)

Dzisiaj jesteśmy świadkami odrodzenia, dokonywującego się z żywiołową siłą. Niewiele dni minęło od odejścia Niemców, a ta ziemia zmienia swe oblicze. (...) Polska wychodzi z podziemi i wraca do swojej prawdy historycznej, do swej mowy i swoich praw. Ogłuszone do wczoraj kościoły zaczynają sobie przypominać mowę wyrzuconą ze stopni ołtarzy, już ambony zaczynają się odzywać polskimi kazaniami, nawy przepełnione rzeszami spragnionymi słowa polskiego, rozbrzmiewają starą pieśnią, tak długo prześladowaną, a przecież wciąż żyjącą w piersiach piastowskiego ludu. (...)

U nas obecnie rozlega się wezwanie: „na zachód! na zachód! tam ludzi potrzeba, tam opuszczone stanowiska”. Niechże tam idą na ciężką pracę ludzie wybrani, charaktery mocne, nieskazitelne, mające poczucie odpowiedzialności wobec państwa, wobec przyszłości, którzyby rozumem, wolą, sercem, rzetelnym spełnianiem obowiązków, tę ziemię odrąbaną przed wiekiem wiązali z Rzeczpospolitą. Każdy, kto tam idzie, powinien być częścią Polski, promieniowaniem najpiękniejszych jej wartości, bo przez czynny każdego będą patrzyli na Ojczyznę, na naród. Każdy powinien być przedstawicielem i chorażym Polski w najczystszy znaczeniu. (...) Geszefciarzom wszelkiego rodzaju wstęp w tamte strony musi być wzbroniony. Zbudować wał obronny z serc i charakterów ludzi najrzetelniejszych, najszlachetniejszych przeciw najazdowi niegodnych, którzyby chcieli tutaj wtargnąć. (...)

(Wytłuszczenia i skróty od Redakcji)

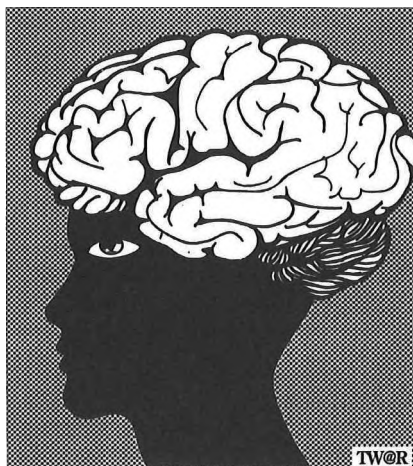
**Czy** ponosi winę bezbronne z reguły słowo gdy jedno z wielu jego znaczeń zaczyna nagle dominować i to do tego stopnia, że z czasem zagarnia całą zawartość wieloznacznego dotąd pojęcia? Ekspansję tę można porównać do sterroryzowania jakiegoś obszaru przez bandę bezkarnych gangsterów, zagrabienia wspólnej własności przez wszechmocną klikę, czy też opanowanie intratnego rewiru przez męty uliczne. Przykłady można mnożyć i to kryminalnej natury, bo tak się najczęściej dziś dzieje, że pewne słowa i pojęcia zagarnia i wypełnia po brzegi wulgarna szumowina. Jeszcze nie tak dawno co oznaczało to potoczne i niewinne w istocie słowo: molestować?... No a dziś!... Wystarczy wziąć do ręki byle gazetę by przeczytać, że znów (jak co dnia) ktoś, kogoś, gdzieś molestował, oczywiście w seksualnym znaczeniu.

Obecnie słowo to bywa stosowane uporczywie w jednym wyłącznie rozumieniu, jako nakłanianie, przymuszanie i prowokowanie do kontaktów seksualnych, czego akurat nie sugerują leksykony. I tak 3-tomowy „Słownik języka polskiego” z 1979 roku wyjaśnia, że molestować, to *natrętnie o coś prosić, nudzić ciągłymi prośbami, naprzykrzać się*. Podobnie Kopaliński, który zaznacza, że wyraz ten wywodzi się z łacińskiego „molestare” - *być ciężarem, kłopotem - od moles, ciężar (zwl. kamieni)*. Także ceniony „Słownik współczesnego języka polskiego” z roku 1999, pod redakcją prof. Bogusława Dunaja wyjaśnia, że molestować, to *Uporczywie kogoś prosić, zameczać kogoś prośbami, naprzykrzać się, na przykład Molestować krewnych lub przyjaciół o pożyczkę*. Jak bardzo szeroko pojmowano dawniej to słowo potwierdza wielki „Słownik języka polskiego” Karłowicza z roku 1902, gdzie m.in. czytamy, że molestować to *męczyć, trudzić, nękać, obciążać, dręczyć, dokuczać, dawać się we znaki, przykróść wyrządzać, a więc naprzykrzać się prośbami, prosić do znudzenia, usilnie, błagać rzewnie*. Mowa też o narzekaniu, ubolewaniu, o działaniu za wielkim molestunkiem, o molestach i molestacji. No i ten przykład z Orzeszkowej: *Molestowana panna siadła do fortepianu i grać zaczęła...*

Można na pewno było i w takim rozumieniu słowa wykazać się inwencją erotyczną, natrętnie prosić, naprzykrzać się, błagać molestującego a nawet dręczyć i skomlić rzewnie o miłosny feblík, afekcik, upojny momencik sam na sam... Leczyć molestowanie w tym znaczeniu nie było równoznaczne z fizycznym przymusem, perwersyjną agresją i seksualną deprawacją jak to obecnie narzuca język prasowych skandali erotycznych, protokołów i orzeczeń sądowych. A nie ma dnia by prasa nie doniosła o szokujących faktach molestowania seksualnego, w tym szczególnie wyzudanych i nikczemnych gdy perwersyjni erotomani i notoryczni zwyrodnialcy dopuszczają się tych aktów nawet wobec małych dzieci, bądź osób niepełnosprawnych, czy uzależnionych życiowo.



## Nie molestuj!



Rys. Ryszard Twardoch

**W**iadomo nie od dziś, że nic tak nie ekscytuje i porusza co zdarzenia lubieżne, sensacyjne, skandaliczne, szokujące okrucieństwem czy stopniem wyuzdania i deprawacji. Częstotliwość bulwersujących doniesień o tego rodzaju wydarzeniach, w tym licznych przypadkach molestowania seksualnego jest dziś tak zagęszczona, że można nawet mówić o medialnej obsesji na tym tle.

Przypadki molestowania seksualnego, czy niedyskresji erotycznej, to także wysoc chodliwy towar na obłęnym rynku skandali politycznych, gdy dotyczy to osób z kręgów elity władzy. Przykładem niewinna w istocie scenka z udziałem ministra Tadeusza Iwińskiego podczas oficjalnej podróży premiera do Hiszpanii. Tenże minister Iwiński, człek wzrostu dość mizernego, z fizys o wyrazie czatującego piżmaka, dopuścił się zbyt poufalego gestu, jako że prawica lewicowego ministra przywarła wręcz do prawego posładka tłumaczki w trakcie oficjalnej służby i to zdecydowanie poniżej jej wiotkiej kibiki, co zdemaskowała skwapliwie kamera. Nie pomagały potem wykrętne w istocie tłumaczenia, że był to bezpośredni wynik dysproporcji fizycznych, czyli różnicy wzrostu gibkiej a wysokiej tłumaczki i ministra-mikrusa. Posądzenie o bezwstydną molestowanie - i to gdzie, w jakich okolicznościach! - mogło doprowadzić nawet do dymisji posądzonego o prowokacyjną lubieżność ministra. Ocaliło go przypomnienie jak to za poprzedniej koalicji minister spraw zagranicznych, Bronisław Geremek, przytulał się namiętnie do reprezentującej oficjalnie przyjazne nam supermocarstwo Madeleine Albright. Doszło nawet to żarliwego pocałunku - czy tylko w interesie polskiej racji stanu? Posądzenie o publiczne molestowanie wykluczył jednak istotny argument, że był to jednak ze strony ministra Geremka głównie akt poświęcenia.

Szokującymi przypadkami molestowania seksualnego wybiła się ostatnio na czoło Częstochowa (sprawę w prokuraturze). O molestowanie nieletnich uczennic został tam oskarżony - dotąd ze wzorową opinią - nauczyciel wychowania fizycznego jednej z częstochowskich szkół podstawowych, który *miał obejmować i ścisnąć dziewczynki: dwunasto- i trzynastolatki*. Jak stwierdził rzecznik Prokuratury Okręgowej w tym mieście Romuald Basiński *zachowanie nie przybrało dramatycznych form. Było to tzw. miękkie molestowanie* (podaje za wszechobecnym „Dziennikiem Zachodnim”). A skoro tak, informacja ta pośrednio poświadcza, że w klasyfikacji tego rodzaju perwersji i agresji występuje także molestowanie twarde; zapewne prowadzące do osiągnięcia efektu końcowego przy użyciu instrumentu jednoznacznie seksualnego.

To ważne oświadczenie, bo w takim razie można wydzielić całą skalę sytuacji i napięć pomiędzy biegunami molestacji miękkiej i twardej. Skoro zaś molestowanie w seksualnym znaczeniu jest dziś zjawiskiem alarmującym, dla systematyzacji tego proceduru należałoby utworzyć nazwę agresywnego erotyzmu osobnika, który molestowanie uprawia i wymusza. Najcelniejszy termin to, jak sądzę, molestator - od słowa: molestować (analogicznie jak adiustator - od adiustować, degustator - od degustować itd.). Dla uściślenia tego określenia można by w istotnych przypadkach dodać drugi człon nazwy, odróżniający molestatora twardego od miękkiego. Inaczej przecież, dla przykładu, klasyfikowane jest wymuszenie rozbójnicze z bronią w rękę od pospolitego rabunku bez użycia środków przemocy.

**W**róćmy jednak do Częstochowy, gdzie wrze i dudni po doniesieniach niedosłej ofiary, zapewne molestacji twardej, napastowanej podczas wyjazdu 6-osobowej delegacji starostwa częstochowskiego do zaprzyjaźnionego powiatu Bodensee w Niemczech. Liczne publikacje (w tym kilka w „Dzienniku Zachodnim”) mogą wprawić w osłupienie. Ujawnione zostało nie tylko nazwisko osoby narażonej na drastyczne molestowanie, Eweliny Rakowskiej-Skuzi, która uczestniczyła w wyprawie w roli tłumaczki (znów tłumaczka!) a teraz wystąpiła z publicznym oskarżeniem składając z hukiem doniesienie do prokuratury o dokonaniu przestępstwa. Jednocześnie skierowała pisma do premiera i wojewody śląskiego o karygodnych nadużyciach w starostwie częstochowskim. Być może, iż Ewelina Rakowska-Skuzi przebolełaby to upokarzające doświadczenie, gdyby starosta Ireneusz Skubis przedłużył z nią umowę o pracę. Atrakcyjna 30-letnia brunetka o wysokich kwalifikacjach uznała ten despekt za perfidny odwet, toteż przezornie nagła późniejsze rozmowy z niedosłym molestatorem, w których konfrontowała oferty seksualne jurnego starosty.

Jeśli w jego przypadku rzecz sprowadzała się jednak do werbalnego molestunku, wicestarosta Stanisław Kucia po-



szedł, jak czytamy „va banque” i w drodze powrotnej, przechwalając się swymi erotycznymi możliwościami, jał panią Ewelinę obmacywać, łapać wpół i przyciągać do siebie. Z relacji wynika, że całe towarzystwo było spine totalnie: „Ten spał, ten rzygał”, słowem - swojsko. Na szczęście przypadek Lwa Rywina zrobił swoje i wzorem przezornego Adama Michnika wysoko kwalifikowana E. R.-S. nagrywała potajemnie rozmowy ze starostą Skubisem, nawiązując uporczywie do jego seksualnych ponoć ofert.

Bez względu na ostateczne rozstrzygnięcie przez sąd, skandal ten wywołał na pewno trwałe konsekwencje. Niejeden niespożyty komplementarz, czy erotyczny samochwała, będzie teraz zwierał mordę i bąkał monosylabami, by nie stwarzać pretekstu do posądzeń o molestowanie, choćby tylko w formie luźnych sugestii i frywolnych aluzji, jak ów gadatliwy i jowialny starosta Skubis. Jak najmniej słów i gestów, nawet bez świadków, oto reguła zachowania, skoro nie udało się sprecyzować dotąd definicji molestowania w znaczeniu seksualnym, podobnie jak pornografii, o co trwa od lat zapiekły spór. Przy takim zaś wyczuleniu na zagrożenie molestowaniem posądzenia o inicjację tego rodzaju mogą być kierowane pod adresem rzekomego molestatora, który mógł nie mieć w ogóle takich intencji. Aluzyjny komplement, pikantny dowcip, namiętne spojrzenie, otarcie się w przejściu, zderzenie w windzie... właściwie wszystko można uznać za objaw emocjonalnej eskalacji stwarzającej stan erotycznej presji do ustępstw seksualnych, chociażby najmniejszych. Ba, nawet demonstracyjna oziębłość w przypadkach maniackalnych urojeń rzekomej ofiary, może zostać uznana za szczególnie wyrafinowaną formę erotycznej prowokacji, zmierzającej do skutecznej molestacji twardej, z udziałem służbowego biurka trzeszczącego podejrzenie, a natarczymwie.

**Jak** z tego widać sytuacja komplikuje się coraz bardziej i nie wystarczą ustawowe represje zniechęcające do molestacji choćby czysto werbalnej. W tym stanie rzeczy należałoby doprowadzić do skutecznego wykluczenia podjęcia inicjatywy o charakterze seksualnym, szczególnie w uzasadnionych podejrzeniach o molestowanie twarde. Kto wie, a może po rozpoznaniu potrzeb rynku warto by rozpocząć produkcję specjalnych kagańców antymolestacyjnych zakładanych na organy słyszace z wyjątkowej pobudliwości erotycznej. Kagańce te zamykane na specjalny zamek w systemie sztyfowym przezorne małżonki zakładałyby mężom udającym się do miejsc gdzie mogą zostać posądzeni o molestowanie z zamiarem użycia przyrodzonego instrumentu. A już wyjazdy w delegacjach służbowych powinny stanowić szczególne ostrzeżenie.

Tylko jak zabezpieczyć się przed posądzeniami o molestowanie miękkie i to z udziałem dyktafonu?... Bezsilność absolutna!

SKORPION

## ANECDOTY

HENRYK BZDOK



Para sympatycznych plastyków Ariana Kotowska i Jacek Sarapata mieli psa, a suczka miała cieczkę. Ten fakt nie miał wpływu na konieczność wychodzenia z nią na spacer, tyle że należało być bardziej bacznym na psich kawalerów.

Jedno z takich zimowych wyjść bardzo się przeciągnęło, Ariana już była zaniepokojona gdy pojawił się zdyszany Jacek.

– Gdzie pies? zapytała, widząc samotnego Pana.

– Zakleszczył się – odparł Jacek – a ja po skarpetki, bo mi zimno.

## PIERWSZA PIĘCDZIESIĄTKA

IRENEUSZ TWARDOWSKI

Zachorowałem na grypę. Okropność. Chłopcy w moim wieku nie powinni chorować na grypę, bo grypa budzi w nich to samo nieprzyjemne poczucie winy, które dopadało ich, kiedy fundowali sobie kaca. Grypa przechodzi i kac przechodzi, a w środku jest niepokój, że życie ucieka gdzieś obok.

Nie lubię chorować choćby dlatego, że jestem rozpieszczony ogólnie dobrym stanem zdrowia i taka na przykład grypa odbiera mi istotną część moich praw. Lubię mieć prawo do myślenia, a przez tę grypę nie chce mi się myśleć; lubię też dotykałstwo, a żona niestety chodzi spać do innego pokoju twierdząc, że nie jesteśmy sami. To mi odbiera radość życia i źle nastraja. Dławiąc się kaszlem i czując ból w całym ciele wspominam swoje młodzieńcze kace i, prawdę mówiąc, wolę to przeziębienie. Cierpię, ale przynajmniej nie ma w tym mojej winy i nie muszę się wstydić.

Dawno temu wydawało mi się, że mając 50 lat, będę stary dziad, a wciąż przecież wydaję się sobie małym chłopcem. No, ale skoro przychodzi mi takie myśli do głowy, jak ta że wstydem za kaca, to chyba już nie jestem małym chłopcem.

CZESŁAW CZAİKA

## FRASZKI

### 1. Koalicjanci

Tak długo czerpią wspólnie zyski, póki nie przyjdą na krzywe pyski.

### 2. Zła strona

Najszybciej bywasz zauważony od tej złej strony.

### 3. Ludzie z pierwszych stron gazet

Zwykle najbardziej znani nie ci porządni, ci uwikłani.

### 4. Bez kobiet da się żyć

Nikt z mężczyzn nie ma zamiaru tego kryć, że jakoś tam z bożą pomocą da rady bez kobiet żyć!... Tylko po co?

### 5. Prośba polityków

Niejeden polityk prosi nieba, i tylko o tym marzy, by zwykli zjadacze chleba czepiali się tylko... piekarzy.

### 6. Obrzucanie błotem

Łatwo obrzucić błotem. Trudniej oczyścić to potem.

### 7. Anatomiczna ciekawostka

Dziwne, że udział w tym biorą nogi, gdy żona mężowi przyprawia rogi.

### 8. Boża wola

Są na bakier z bożą wolą ci, co nigdy nie swawolą.



## Dobry pies

JULIUSZ WĄTROBA

Skończ się, by się zacząć jeszcze raz od nowa, by głupawym czasom nie dać się zwariować.

Zagraj im na nosie, abyś mógł zapomnieć, że idzie szaleństwo po ciebie i po mnie...

I nałóż kaganiec na myśli, co szczerzą te zębki złamane, co tylko proteżają.

I skończ głupio gadać, zacznij mądrze szczebrać, by dobry pies wyrósł ze złego człowieka.

Pochodził z Krakowa. Temu mia-  
stu był najwierniejszy. Tu konty-  
nuował studia artystyczne, tu miał  
pierwszą indywidualną wystawę  
w lokalu Towarzystwa Przyjaciół  
Sztuk Pięknych, tu spędził dwudzie-  
stolecie międzywojenne, kierując  
pracownią rzeźby ASP. Tu wrócił  
z Oświęcimia-Auschwitz, gdzie  
przebywał pięć lat malując portrety  
współwięźniów i scenki barakowe.  
Pozostałe adresy to: Warszawa -  
gdzie rozpoczął studia w pracow-  
niach Leopolda Wasilkowskiego  
i Bolesława Syrewicza oraz gdzie  
osiadł po 1955 roku i mieszkał aż do  
śmierci, a także Wrocław, gdzie od  
1959 roku prowadził katedrę rzeźby  
w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk  
Plastycznych. Dunikowski był oby-  
watelem Europy - mieszkał w Pary-  
żu, Londynie, Rzymie, podróżował  
też po Syrii i Palestynie.

Był zarówno pupilkim władz II  
Rzeczypospolitej, jak i Polski Ludo-  
wej. Obie go nagradzały i fetowały.  
Na przykład w 1936 roku został od-  
znaczony Krzyżem Komandorskim  
Orderu Odrodzenia Polski. Był też  
pierwszym i przez długie lata jedy-  
nym artystą udekorowanym Orderem  
Budowniczego Polski Ludowej,  
przyznany mu już w 1949 roku.  
A jednak - gdy chodzi o sztukę - po-  
został niezależny. Gdy Bierut naka-  
zał rozpisć konkurs na rzeźbę o Sta-  
linie i jako jego zwycięzcę widział  
Dunikowskiego, ten wiele się nie za-  
stanawiając pobrał bajońską zaliczkę  
na wykonanie modelu pomnika,  
a potem zorganizował pokaz w Mu-  
zeum Narodowym dla członków i za-  
stępców członków Biura Polityczne-  
go Komitetu Centralnego Polskiej  
Zjednoczonej Partii Robotniczej.  
I bez strachu zademonstrował swą  
wizję Słońca Rewolucji. Oczom par-  
tyjnych bonzów ukazał się Stalin tak-  
i, jakim był naprawdę - potężnym,  
z grubą ciosanym satrapą, o imperty-  
nenckim spojrzeniu. Artysta odział  
go w olbrzymie buciory, którymi  
zdawał się miażdżyć świat. I choć  
wybuchła ogromna awantura, Duni-  
kowskiemu nikt nic nie zrobił.  
Wręcz odwrotnie - już za życia zbu-  
dowano mu pomnik, przeznaczając  
na muzeum jego prac warszawską  
Królikarnię, w której w rok po jego  
śmierci placówka ta otworzyła po-  
dwoje i działa do teraz.

Dziś, z dystansu prawie półwiecza  
od śmierci artysty, dzięki takiej wy-  
stawie, jak ta w Pałacu Schoena  
w Sosnowcu, widać tym wyraźniej,  
jak wielkim i wyjątkowym artystą  
był Dunikowski, jak wielkie dzieło  
zostawił po sobie. Tropić tę niezwy-  
kłą osobowość można w kilkunastu  
przedstawiających artystę fotogra-  
mach, którymi uzupełniono sosno-  
wiecką ekspozycję. Podziwiać wiel-

kość jego twórczych dokonań po-  
zwala zaś wybór 47 rzeźb i 9 obra-  
zów olejnych, temper i gwaszy.

W Muzeum w Sosnowcu przyjęto  
chronologiczny porządek pre-  
zentacji dzieła Dunikowskiego. Od  
prac najstarszych z okresu impresjo-  
nizmu i symbolizmu, poprzez okres  
paryski, dwudziestolecie międzywo-  
jenne, aż po realizm i socrealizm. Naj-  
starszymi rzeźbami są: *Portret Hen-  
ryka Szczygłińskiego* - praca dyploma-  
mowa artysty, nagrodzona złotym  
medalem ASP w Krakowie oraz  
dziewięć portret noszący tytuł *Pry-  
mulka* - kwintesencja młodości. Ce-  
chuje je miękki modelunek i koncen-  
tracja nad głębią psychologiczną  
przedstawianej postaci. To tworzenie  
aury duchowej otaczającej modela,  
jest efektem krótkotrwałego wpływu  
Auguste'a Rodina na artystę, który  
był uczniem zafascynowanego nim  
Konstantego Laszczka, profesora kra-  
kowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

## Piętno odrębności

Począwszy od dzieł z początku  
ubiegłego stulecia mówić już można  
wyłącznie o na wskroś indywidual-  
nej kreacji, pozbawionej jakichkol-  
wiek zapożyczeń. Kreacji brutalnej,  
szorstkiej, kanciastej - jak opisywał  
rzeźby Dunikowskiego Eligiusz Nie-  
wiadomski. Kreacji o formie podda-  
nej daleko idącej redukcji, w której  
detal traci na znaczeniu, a najważ-  
niejsza - jak ocenił to Piotr Szubert -  
staje się architektonika ekspresyjnie  
piętrzonych brył.

Na sosnowieckiej wystawie licznie  
prezentowane są portrety osób  
współczesnych artyście, m.in. portret  
Kazimierza Kamińskiego, popiersie  
Witolda Jodko-Narkiewicza, plakietka  
z portretem Ignacego Daszyńskiego,  
portret Antoina Cierplikowskiego,  
popiersie profesora Zygmunta Zale-  
skiego. Są też portrety historyczne,  
m.in. głowa Adama Mickiewicza,  
popiersie Dantego oraz liczne portre-  
ty z dwóch cykli *Głów Wawel-  
skich* - m.in. Norwida, Chopina, Sło-  
wackiego, Mickiewicza, Kochanow-  
skiego, Reja, Wyspiańskiego,  
Orzeszkowej. Pierwszy z cykli po-  
chodzi z lat 1925-1929, był tworzony  
z przeznaczeniem do uzupełnienia  
kasetonów stropu sali poselskiej na  
Wawelu, drugi powstał w latach  
1953-57. I choć w końcu zrezygno-  
wano z pomysłu wypełnienia pu-

stych kasetonów stropu Sali Posel-  
skiej zamku królewskiego w Krako-  
wie, to rzeźby te uznane zostały za  
arcydzieła.

Okres symboliczny reprezentuje  
jedna z najbardziej znanych rzeźb -  
*Kobieta brzemienista II* z cyklu  
uchodzącego za największe osią-  
gnięcie artysty. Delikatną, kruchą,  
nieco melancholijną, skupioną na ta-  
jemnicy swego stanu kobietę przed-  
stawił Dunikowski bez piedestału,  
wprost na posadzce, co w 1906 roku  
było wyczynem niemal rewolucyj-  
nym. Podobnie jak wybór tematu -  
jeden z krytyków ówczesnych obu-  
rzony pisał: „Rzeźba nie może zająć  
w ciężę”.

Jest też równie słynna, a na po-  
czątku XX wieku także szokująca  
estetycznie rzeźba *Ewa* - jedyny akt  
wśród prac Dunikowskiego. Jest też  
*Umierająca kobieta* - fragment  
kompozycji *Macierzyństwo* i kubi-  
zujące w formie a symboliczne  
w treści, opowiadające o misterium  
przekazywania życia *Tchnienie*. To  
o tych pracach mówił Kazimierz  
Wyka, że są „głównym dziełem  
rzeźby polskiej”.

Dopełnieniem sosnowieckiej eks-  
pozycji są malarskie portrety  
Dunikowskiego pochodzące z dwu-  
dziestolecia międzywojennego: *Auto-  
portret artysty w szacie wschod-  
niej*, *Portret córki Xawery Duni-  
kowskiej* i portret *Kobiety przy szta-  
lugach*, przedstawiający Sarę Lip-  
ską, matkę córki artysty.

Warto też przyjrzeć się zamieszczo-  
nemu w ostatniej sali ekspozycyjnej  
fragmentowi Pomnika Czynu Po-  
wstańczego z lat 1946-1955 na Górze  
św. Anny, choćby ze względu na je-  
den z nielicznych w twórczości Duni-  
kowskiego śląskich motywów. Nie  
można też przejść obojętnie wobec  
rzeźb z okresu socrealizmu - popiersia  
robotnika i popiersia Lenina. Wyszły  
spod ręki twórcy, który w czasie jed-  
nej z wystaw w „Zachęcie”, na której  
prezentowano figury robotników z ki-  
lofami i popiersia dostojników, po-  
wiedział: „Widziałem już rzeźby  
w glinie, w marmurze, w brązie.  
Pierwszy raz widzę w wazelinie.  
W wazelinie pierwszy raz”. I choć  
w pracach Dunikowskiego widać ty-  
powe elementy socrealizmu, to jednak  
rzeźby te nie są z wazeliny. Dokładne  
przyjrzenie się tym pracom ukazuje  
indywidualne podejście artysty, który  
nigdy nie ulegał żadnym narzucanym  
mu wymogom, które mogłyby skre-  
pować jego wizję twórczą.

DANUTA  
LUBINA-CIPIŃSKA

Xawery Dunikowski – wystawa w Muzeum  
w Sosnowcu. Czynna do 30 czerwca. Komisa-  
rze: Joanna Torchala i Ewa Chmielewska.





Xawery  
Dunikowski



KOMPANIA  
PIWOWARSKA



SPONSOR „ŚLĄSKA”





„Fryz z astrami chińskimi” 1904 pastel, papier.

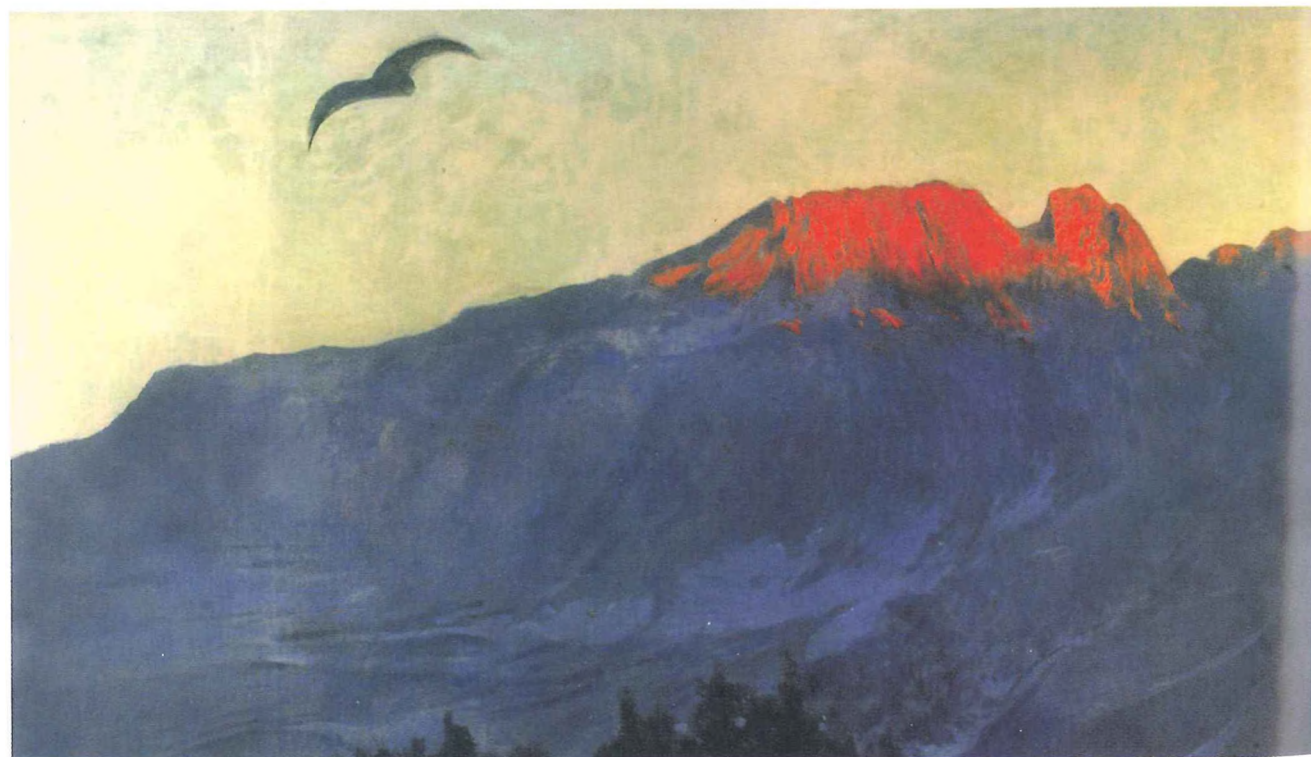


„Portret prof. Rydygiera z asystentami” 1897 olej, płótno.



„Panorama Koneży” 1911 olej, płótno.

**Leon Wyczółkowski**



„Giewont o zachodzie słońca” 1898 olej, płótno.



Uczeń Gersona i Matejki, podziwiający Gierymskiego - Leon Wyczółkowski, artysta wszechstronny, podążający własnymi ścieżkami. Impresjonista i realista, twórca malarskich scen rodzajowych i salonowych, historycznych, religijnych, pejzaży, martwych natur, portretów - wyrażał się w wielu technikach: olejnej, akwareli, pasteli, rysunku, grafice. Także w rzeźbie.

Przebywając zrazu w kręgu inspiracji swoich mistrzów, poszedł własną drogą. Ułatwiała mu to wielka łatwość w posługiwaniu się kolorem, światłem, precyzja rysunku. Malował z rozmachem, „szeroko“, swobodnie. W poszukiwaniu różnorodności wrażeń wiele wyjeżdżał: na jego drodze znalazły się nie tylko Kraków i Warszawa, ale i Paryż (trafił tam na dziesięć lat wcześniej przed Pankiewiczem i Podkowińskim oraz innymi koryfeuszami paryskiej szkoły), Ukraina, rodzime Polesie i Huculszczyzna. Różne miejsca, różne klimaty i nastroje.

Zanim jednak wyruszył w poszukiwaniu inspiracji tworzył obrazy rodzajowe, czasem historyczne (pod wpływem Matejki powstała *Maryna Mniszchówna*), portrety i sceny „salonowo-buduarowe”. W niczym jednak nie przypominały one obrazów innego mistrza portretu tego czasu - Czachórskiego. Bliżej im było do impresjonistycznego Maneta: plamy barwne kładzione szeroko i płasko, z dużą troską o strukturę barwy. Pojawiają się swobodne sceny z codziennego życia salonów, ich bohaterami są młode osoby, rozbawione, zajęte sobą. Prawie zawsze towarzyszą im bukiety kwiatów, wielobarwne toalety, książki, listy, wiele w nich załotności, czasem zadumy, troski. Jest w tych obrazach zatrzymana chwila, jak w kadrze zdjęcia fotograficznego: nierzadko o ulotności chwili świadczy nietypowa, często zaskakująca kompozycja obrazu i perspektywę. Wprowadzał śmiało zestawienia czysty, nasyconych barw.

W tym czasie powstało również wiele portretów: dzieci, osób dorosłych, członków rodziny (*Portret Kunegundy Falińskiej*, *Portret Aleksandra Gierymskiego*). Z początku cechowała je ciemna kolorystyka, monochromatyczność i sztywność postaci, jednak szybko je porzucił dla rozjaśnionej palety kolorystycznej, bliskiej wrażliwości impresjonistów.

Kilka lat później Wyczółkowski rozpoczął swój „okres ukraiński”, bodaj najważniejszy w twórczości dojrzałego artysty. Powstawały wówczas efektowne krajobrazy i pejzaże, których stałym elementem był człowiek i otaczająca go przyroda, natura. Odnaczała te obrazy ogromną sprawność techniczna artysty. W licznych obrazach i studiach z tego czasu widać wahania między luminizmem a dywizjonizmem. W licznych scenach z rybakami, połowami raków, orkami itp. Malował wodę szklistą i błyszczącą, kiedy indziej zasnutą siną mgłą. Postaci zabarwiał raz na sino-niebiesko, różowawo, niemal czerwono - co było efektem rzuconego światła przez wschodzące lub zachodzące słońce. W duchu „impresjonistycznej ortodok-

sji” powstała *Orka na Ukrainie* (1892) pełna chłodnych, wręcz zimnych tonów niebieskich i fioletowych, skonstruowanych z czerwienią i żółcią plam. Stosując dywizjonizm (dzielenie plamy barwnej na składniki widma słonecznego) uzyskiwał zjawisko jarzących się barw i światła, które w odrealniony wręcz sposób jednoczyły cały obraz, przesycąc wszystkie kolory osłabiając ich wyrazistość, zacierając kontury. Z czasem osłabiał zasadę dywizjonizmu, lecz zachowywał w pełni efekty światła i odmaterializowanego koloru (np. *Gra w krokieta* z 1895 roku). Wyrażnie zmierzał Wyczółkowski w kierunku naturalizmu, którego wskazania artystyczne, społecznej i religijnej poznał w środowisku warszawskiej grupy Wędrowiec”. Ich głównym postulatem było zwrócenie się ku codzienności, ku otoczeniu człowieka, ku prawdziwości.

## Wirtuoz koloru

Idąc z duchem swego czasu Wyczółkowski, podobnie jak Podkowiński i Pankiewicz, próbował wyrażać się przy pomocy symbolizmu, który na dłuższą metę okazał się dla niego obcą materią. Dlatego też czy to w *Skamieniałym druidzie* czy *Sarkofagach* wzorowanych na pomnikach z katedry wawelskiej, a nawet w *Wesołych pacholetach* nawiązujących do historyczno-kostiumowego malarstwa, trudno dostrzec się czystego symbolizmu - więcej w nim luministyczno-impresjonistycznych efektów malarskich. Nie ominął w swoim symbolicznym malarstwie motywu śpiących rycerzy na Giewoncie rzeźbiąc *Rycerza na koniu* i malując *panneau Rycerz wśród kwiatów*, na którym galopujący przez błonie porośnięte krokusami husarz dmie w róg w kierunku Tatr, na który czeka „zaśpione wojsko”.

Powrót do realizmu odbył się jednak przy pomocy impresjonizmu, który w twórczości Wyczółkowskiego zadomowił się na dobre. Był to więc postimpresjonistyczny realizm przeniknięty typowym dla artystów polskich tego czasu przywiązaniem do rodzimego krajobrazu, ludowości, do wierności malowanym postaciom. Ten czas w twórczości Wyczółkowskiego znaczą takie dzieła jak *Krucyfiks Jadwigi*, zabytki wawelskiego skarbcza, srebrna trumna św. Stanisława i długi szereg postaci wybitnych czasu Młodej Polski: Rydygiera i jego asystentów (zaskakująca to kompozycja), Kasprowicz, Chełmońskiego, Juliusza Kossaka, Tetmajera, Rydla, Reymonta, Żeromskiego, Witkiewicza a także z grona wybitnych naukowców Karola Olszewskiego, Karola Estreichera, aktorów i aktorek: Józefa Kotarbińskiego, Ireny Sołskiej, Heleny Sulimy, także w wielu wariantach Feliksa Jasieńskiego

i wielu innych. Powstało wiele studiów górali tatrzańskich. Malował te portrety farbami olejnymi i pastelami, które w krótkim czasie pozwalają na utrwalenie postaci w danej chwili.

Około 1898 roku rozpoczął pracę nad wielkim cyklem widoków tatrzańskich, malowanych głównie pastelami. Częste powroty do widoku Morskiego Oka i Czarnego Stawu o różnych porach dnia i roku, przywołują na myśl cykle pejzażowe Moneta. W tym czasie w Polsce panował wielki kult Tatr, rozpoczęły w późnym romantyzmie a wskrzeszony przez modernizm.

Malując pejzaże tatrzańskie artysta stosował wysmakowane barwy, często zawężone do bardzo wąskiej palety odcieni szarości, czerni, mocno rozjaśnionych brązów. Pastele tatrzańskie pokazały niepowtarzalne mistrzostwo artysty zarówno w doskonałości rysunku jak i oddawaniu nastroju kontemplacji połączonych z wielką ekspresją bardzo prostymi środkami.

Szczególne miejsce w twórczości Wyczółkowskiego zajmują grafiki (zwłaszcza litografie), rysunki tuszem i akwarele przedstawiające wizerunki architektonicznych fragmentów miasta: Krakowa, Poznania, Lublina, Bydgoszczy, Kazimierza nad Wisłą, Torunia. Wszystkie zdradzają zamiłowanie artysty do rozległych panoram, ale też do fascynacji detałem architektonicznym.

Wyczółkowski kojarzy się również z malowaniem (i to w wielkich ilościach) kwiatów: w wazonach, w donicach, kwiatów polnych, także przedstawianych w formie fryzów na kształt japońskich obrazów (pod wpływem fascynacji ludzi tej epoki japońskim malarstwem i arabeską). Są więc *Białe róże* malowane gęstym olejem, ale także są *Kaczeńce*, maki, prymulki, maki, orchidee - ledwo muśnięte delikatną akwarelą. Są też późniejsze „sny o kwiatkach” - odrealnione wielobarwne „zjawy”.

\*\*\*

Muzeum Śląskie w Katowicach pokazało wystawę dzieł najbardziej reprezentacyjnych dla twórczości Leona Wyczółkowskiego. Spośród liczącego prawie pięć tysięcy dzieł artysty wybrano te, które uchodziły dotychczas za zaginione, bądź po raz pierwszy doczekały publicznej prezentacji. Tę wielką retrospektywę zorganizowano w 150-lecie urodzin artysty. Na wystawę złożyły się dzieła pochodzące z kolekcji m.in. Muzeum Narodowego w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy i zbiorów własnych Muzeum Śląskiego, a także kolekcji prywatnych i zbiorów zagranicznych - Biblioteki Polskiej w Paryżu i Lwowskiej Galerii Sztuki - w sumie kilkadziesiąt prac artysty.

WIESŁAWA KONOPELSKA

**Leon Wyczółkowski 1852-1936.**  
Wystawa malarstwa, grafiki i rysunku. Muzeum Śląskie w Katowicach. Marzec - maj 2003.



Foto: Jarosław Krawczyk

## Po trzech latach zamykamy ten cykl

# Podsumowanie

TOMASZ M.  
GŁOGOWSKI

**P**otrzeba prowadzenia w szkołach edukacji regionalnej odczuwana była na Śląsku od wielu lat. Postulaty takie odnaleźć można w prasie już w latach pięćdziesiątych – w ostatnim numerze tygodnika „Przemiany” (który ukazywał się w Katowicach w okresie październik 1956 - październik 1957) opublikowano artykuł Antoniego Sylwestra *Nauka o ziemi rodzinnej*, wskazujący właśnie na konieczność wprowadzenia tego typu zajęć.

Na praktyczną realizację nauczania o najbliższej ojczyźnie przyszło czekać kilka dziesięcioleci – z dużą siłą temat ten powrócił na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy wraz z nastaniem wolności na Górnym Śląsku wybuchła erupcja regionalizmu. Taki klimat niewątpliwie wpłynął także na moje poczynania i zainspirował do wystąpienia z propozycją przeprowadzania na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego konferencji śląskoznawczych. Idea, która przerozdziła się w zamknięty już cykl pięciu śląskich spotkań, trafiła we właściwy czas i miejsce, a przede wszystkim ludzi; znalazła ona swoje odzwierciedlenie także na łamach „Śląska”. Fakty te miały zapewne również wpływ na zaproszenie mojej osoby do redagowania w tymże miesięczniku rubryki „Edukacja regionalna”, mającej w założeniach służyć pomocą nauczycielom realizującym w śląskich szkołach problematykę regionalną.

Choć od kilku już lat szkoły zobowiązane są ministerialnym rozporządzeniem do prowadzenia ścieżki międzyprzedmiotowej pod nazwą „Edukacja regionalna”, jej realizacja nastręcza wielu kłopotów. Pomimo funkcjonowania w nauczycielskim gronie wielu swoistych „zapaleńców” śląskości i regionalizmu, od lat z energią przekazujących dzieciom i mło-

dzieży wiedzę o rodzimej ziemi, ogromna większość nie ma zarówno kompetencji, jak i narzędzi do realizowania tej tematyki. I trudno ich za to winić, skoro nie mają zbyt wielu źródeł, do których mogliby sięgnąć w celu podniesienia swych kwalifikacji. „Edukacja regionalna” w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Śląsk” adresowana miała być głównie właśnie do takich osób, choć rzecz jasna jej wartość była atrakcyjna także dla szerszego grona czytelników.

### Ponad 30 kolumn

**P**o raz pierwszy „Edukacja regionalna” pojawiła się w lutym numerze „Śląska” z roku 2000 i obecna była na jego łamach niemal przez trzy lata – do listopada 2002. Cykl został zamknięty w pewien naturalny sposób, przede wszystkim w skutek pochłonięcia piszącego te słowa innymi zajęciami; nie oznacza to bynajmniej zniknięcia z pisma treści atrakcyjnych dla nauczycieli-regionalistów – wszak całe pismo może być dla nich wielce przydatne. Ponieważ jednak sama rubryka zakończyła swoją regularną obecność na łamach, zostałem poproszony przez Redakcję o jej podsumowanie. Zapewne nie ja powinienem tego dokonywać – wszak trudno z należytym obiektywizmem odnosić się do efektów własnej pracy. Przyjmując jednak zaproszenie do podsumowania swojej współpracy ze „Śląskiem”, retrospektywne spojrzenie chciałbym rozpocząć od tematycznego zróżnicowania artykułów zamawianych u specjalistów z przeróżnych dziedzin.

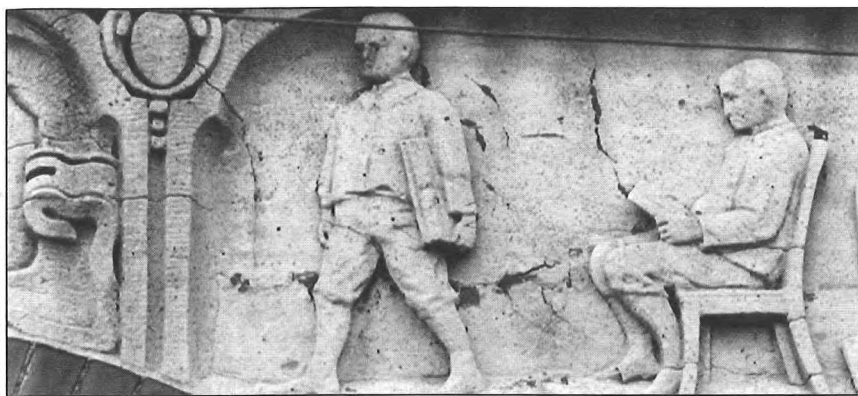
Przy doborze artykułów publikowanych niezmiennie na 67 stronie „Śląska” starałem się przeplatać teksty mające charakter syntezy, będące opracowaniami większego zagadnie-

nia, z takimi, w których autorzy skupiają się na wybranym, szczegółowym zagadnieniu związanym ze Śląskiem.

„Edukację regionalną” rozpoczęły dwa artykuły profesora Marka S. Szczepańskiego, od wielu lat poświęcającego badawczą uwagę śląskiej specyfice i mającego duży udział w stwarzaniu warunków dalszego rozwoju edukacji regionalnej w naszym regionie. Po tekstach prezentujących kulturowe zróżnicowanie województwa śląskiego (zróżnicowanie, które, co należy wyraźnie podkreślić, zdecydowanie ubogaca województwo) i przywiązanie do „ojczyzny prywatnej” na Śląsku, w kolejnym numerze pojawił się tekst doktora Tomasza Nawrockiego definiującego pojęcia: „region”, „regionalizm”, „regionalizacja”.

Po takim rzetelnym wstępie teoretycznym nastąpił czas na prezentację poszczególnych zagadnień ze śląskich dziejów. Czytelnicy „Śląska” mieli sposobność wnikliwie zapoznać się z dziejami literatury na Śląsku – osobne artykuły omawiały Barok, Romantyzm, Młodą Polskę, początek XIX wieku, czas powstań śląskich, jak i poezję oraz prozę lat dziewięćdziesiątych ostatniego stulecia.

Szczególnie cenny dla nauczycieli był zapewne tekst autorstwa profesor Heleny Synowiec, specjalistki zarówno od śląskiej gwary, jak i dydaktyki, która przekazała wiele przydatnych porad dotyczących pożądaných form obecności gwary w szkole. Wielokroć, co zrozumiałe, w „Edukacji regionalnej” przywoływano historię. Do „Historii przed historią” sięgnął Dominik Abłamowicz, prezentujący śląskie-pradzieje. Później przedstawiano początki kształtowania się Górnego Śląska, śledzono europejskie korzenie śląskiej szlachty, jak i pre-



zentowano interesujące postaci, które zapisały się w śląskiej historii.

Cenne wydają się przedstawienia postaci nieobecnych w ogólnosląskiej pamięci, takich które jednak odegrały istotną rolę w dziejach swoich rodzinnych miejscowości – o osobach takich pisali między innymi Jacek Lyszczyński, Bernard Szczech i Zbigniew Kadłubek. Ten ostatni przybliżył również wkład protestantów w budowanie śląskiego dziedzictwa. Paweł Lekszycki przypomniał czytelnikom „Śląska” wcześniejsze pisma społeczno-kulturalne ukazujące się na Śląsku; ciekawe zagadnienia głównie z obszaru szlacheckiego życia na Śląsku przywoływał Arkadiusz Kuzio-Podrucki – m.in. przybliżając ród von Donnersmarcków, czy też postać ostatniego przedstawiciela dynastii Piastów, którego odnaleźć można właśnie na Śląsku.

Tematów poruszanych w poszczególnych artykułach było oczywiście o wiele więcej. Światowi muzyki klasycznej poświęciła uwagę Magdalena Dziadek, zaś Andrzej Matysik (redaktor naczelny kwartalnika „Twój Blues”) w swoim tekście odpowiedział na pytanie, czy słusznie kojarzy się ze Śląskiem muzykę bluesową. Ciekawy jest tekst Andrzeja Sznajdera, przybliżającego wcześniej chyba nigdzie nie prezentowane zagadnienie – archiwum pozostałe po bytomskim punkcie Pomocy Internowanym w stanie wojennym.

Techniczny wymóg zmieszczenia treści na jednej kolumnie pisma, często nastroczał wiele dylematów. Wiele interesujących treści trzeba było „wycinać”, choć i tak rozmiar czcionki nieraz zmuszał oczy czytelników do sporego wysiłku...

Niejednokrotnie również na stronie 66 czcionka była niewielkich rozmiarów. Musiało tak być, skoro istniała konieczność pomieszczenia na niej aż trzech rubryk – *Prezentacje*, *Leksykon wiedzy o regionie* oraz *Z wydawnictw*.

## Prezentacje

W tej pierwszej prezentowane były oferty głównie muzeów, choć również innych instytucji, szczególnie pod kątem ich przydatności

podczas wdrażania edukacji regionalnej. Zaprezentowane zostały zarówno najzaciejsze i największe placówki, poczynając od Muzeum Śląskiego w Katowicach i Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, jak i zupełnie niewielkie, takie jak Muzeum Geologii Ziół funkcjonujące na Wydziale Górnictwa i Geologii Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Była pośród nich zdecydowana większość miejskich placówek muzealnych województwa śląskiego, także Muzeum Archidiecezjalne i Muzeum na Jasnej Górze oraz takie niewątpliwie atrakcje regionu jak Kopalnia Zabytkowa i Sztolnia „Czarnego Pstręga” w Tarnowskich Górach, czy też Skansen „Królowa Luiza” w Zabrze.

Z „niemuzealnych” instytucji przedstawianych w Prezentacjach wymienić warto Książnicę Cieszyńską, Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego (od szeregu lat prowadzący również działalność edukacyjną) oraz Regionalny Ośrodek Metodyczno-Edukacyjny „METIS” – placówkę od wielu lat organizującą kursy, których uczestnicy nabywają zarówno umiejętności prowadzenia programu „Ścieżka edukacyjna” w szkołach, jak i zdobywają kompetencje koordynatorów edukacji regionalnej w poszczególnych gminach. Na uwagę zasługiwał także adresowany do uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych konkurs historyczny organizowany przez Biuro Edukacji katowickiego Oddziału Instytutu Pamięi Narodowej *Zapomniane historie ludzkich dramatów – losy mieszkanców Górnego Śląska w latach 1939-1956*.

Bardzo rozległy był zakres haseł prezentowanych w *Leksykonie wiedzy o regionie*. Zaprezentowane zostały śląskie pisma społeczno-literackie i istotne zabytki piśmiennictwa powstałe na Śląsku; wielokrotnie uwaga poświęcona była instytucjom kultury i nauki, grupom poetyckim. Wiele było haseł biograficznych – prezentujących zarówno postaci polskich działaczy narodowych, dziennikarzy, wybitnych artystów oraz malarzy prymitywistów z początku wieku,

jak i wywodzących się ze Śląska laureatów Nagrody Nobla.

## Z wydawnictw

W rubryce *Z wydawnictw* znalazły się noty recenzyjne ponad osiemdziesięciu książek. Ich opracowywanie było dla piszącego te słowa niezmiernie kształcącym zajęciem; mam również nadzieję, że efekt tej pracy był dla czytelników przydatną wskazówką bibliograficzną. Prezentowane były zarówno zupełnie „świeże” publikacje, jak i szczególnie cenne wydawnictwa sprzed lat, nadal niezmiernie wartościowe – takie jak *Dzieje piśmiennictwa śląskiego* Wincentego Ogrodzińskiego czy *Życie literackie na Śląsku w latach 1922-1939* Zdzisława Hierowskiego. Frekwencyjnie wyróżniają się publikacje wydawane przez Muzeum Historii Katowic, prezentujące bardzo zróżnicowaną tematykę dotyczącą nie tylko dziejów stolicy województwa – zwracały uwagę takie książki jak *Patronowie katowickich ulic*, czy też *Cmentarze Katowic*. Kilkakrotnie pojawiały się broszury Bernarda Szczecha z zapalem odkrywającego dla szerszego grona odbiorców dzieje swojej małej ojczyzny – Woźnik.

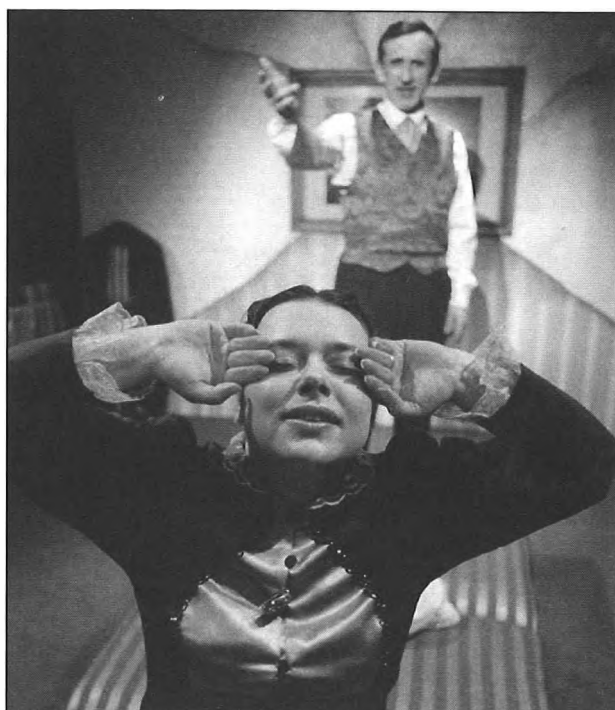
Szczególną uwagę chciałbym zwrócić na wydawnictwa Instytutu Tarnogórskiego, najczęściej autorstwa lub też redakcji jego prezesa Marka Wrońskiego. „... *miąnowano, a zaśle Sowice Od Solwigo wolania*”? *Z dziejów osady, kościoła oraz szkoły w 60 rocznicę jej powstania* (poświęcone niewielkiej dzielnicy Tarnowskich Gór), *Miasteczko Śląskie dawniej i dziś*, *Świerkianiec w dawnych widokach* – to niektóre z nich.

Kończąc swoje refleksje z redagowania *Edukacji regionalnej*, z radością wyrażę opinię, iż edukacja regionalna w szkołach rozwija się. Nawet gdybyśmy nie byli zadowoleni z tempa tego procesu, będzie on postępował dalej. Sam niejednokrotnie otrzymywałem sygnały od przyjaciół z czasów studiów, także tych, którzy współuczestniczyli wraz ze mną w tworzeniu śląskoznawczych inicjatyw na Uniwersytecie Śląskim, a obecnie regionalne treści przekazują swoim uczniom w różnych miejscowościach Śląska.



**A**ngielska dramatopisarka Karoline Leach jest niedługo debiutantką, bo dopiero *Tajemniczy Mr Love* zaprowadził ją pod koniec lat 90. na sceny londyńskiego West Endu, a w konsekwencji - także do teatrów polskich. Reżyser Monika Martini-Madej debiutowała jeszcze później, bo w ubiegłym roku. Teraz po raz pierwszy zrobiła przedstawienie dla dorosłych. Jest plastyczką, więc przygotowuje także kostiumy i dekoracje. I trzeba powiedzieć, że jej prace reżysersko-scenograficzne cechuje pewna lekkość i rzemieślnicza sprawność. Cóż, z gracją wchodzi do zawodu.

*Tajemniczy Mr Love* nie naręczał wprawdzie jakichś poważniejszych problemów inscenizacyjnych czy interpretacyjnych, ale przecież błędem byłoby sądzić, że do tej finyzyjnie napisanej komedii obyczajowej wystarczyło wpuścić dwoje dobrych aktorów. Monika Martini-Madej, zwłaszcza pierwszą część spektaklu, silnie wystylizowała tak, abyśmy nie mieli wątpliwości, że chodzi o igraszkę sceniczną, która ma bawić i nas, i aktorów, więc ci co rusz stają niejako obok ról, dystansując się nie tylko do zachowań i słów swoich bohaterów, ale w ogóle do całej tej historyjki. Jesteśmy więc wciągnięci w grę konwencji. Ze sceny puszcza się do nas perskie oko. Tu nic nie jest na serio, choć - uwaga - zdaje się, że



Alina Chechelska (Adelajda) i Jerzy Glybina (George).

obie panie (dramaturg i reżyser) mają w zanadrzu jakiś komediowy morał, jakąś przestrożę. I nie mylimy się, choć niestety druga część spektaklu jest już troszkę przegadana, więc wyraźnie słabsza.

**O**kazuje się, że ta bezpretensjonalna opowiadka o matrymonialnym oszuście, który chce uwieść (i okraść) naiwną, zakompleksioną i nieco już podstarzałą panienkę, rzeczywiście ma „drugie dno”. Kto tu właściwie kogo złapał i oszukał? On ją? A może jednak ona jego? Kto kogo podstępem zaprowadził do ołtarza? Ten lekko już zbławiany, coraz wyraźniej prowincjonalny i zmęczony swą życiową misją donżuan, czy owa szara gąska, która dotąd przez całe swe długie panińskie życie modelowała na zapleczu małego sklepiku kapelusze?

Odpowiedzi widzowi nie damy gotowej, bo na poły kryminalna intryga jest w tej sztuce warością samą w sobie, więc jej rozwiązanie musi być okryte tajemnicą. Niech nam wystarczy przekonanie, że ten sceniczny drobiazg warto zobaczyć, choćby tylko dla dwojga grających w nim aktorów: Aliny Chechelskiej i Jerzego Glybina. Bardzo udane role, zagrane „lekko, łatwo i przyjemnie”. Jakby specjalnie napisane akurat właśnie dla nich.

KRZYSZTOF KARWAT

## Oszust oszukany?

TEATR

Karoline Leach: *Tajemniczy Mr Love*. Przekład: Elżbieta Woźniak. Reżyseria i scenografia: Monika Martini-Madej. Premiera 11 kwietnia 2003 roku na Scenie Kameralnej Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

**W** tym roku konkurowało 15 zespołów teatralnych działających na obszarze województwa śląskiego. Ocenie podlegało kilkadziesiąt premier. Ustalono, że w każdej kategorii jury złożone z dziennikarzy i recenzentów śląskich mediów wskaże po trzy nominacje. Wyniki, do końca utrzymywane w tajemnicy, zgłoszono dopiero podczas wielkiej gali, którą w Teatrze Zagłębia zorganizował Urząd Marszałkowski.

W antrakciech sosnowieckiego *Kramu z piosenkami* fundatorzy nagród wręczali koperty z pieniędzmi oraz okolicznościowe statuetki. Miesięcznik „Śląsk” honorował w tym roku najlepszych scenografów. Red. Tadeusz Kijonka przekazał Złotą Maskę dwojgu słowackich artystów, którzy przygotowali oprawę plastyczną do *Cyrku Dekameron* w bielskiej „Banialu” (vide: recenzja na stronie 69).

**W** najważniejszej, choć tylko honorowej, kategorii „najlepsze przedstawienie roku” zwyciężył *Dyzma* z Teatru Rozrywki w Chorzowie. Poza tym spektaklem nominowane były: *Ferdydurke* (Teatr Zagłębia

w Sosnowcu) oraz *Cyrk Dekameron*. Tak się złożyło, że trzech reżyserzy, którzy zrealizowali te spektakle, dostali nominacje w kategorii „najlepszy reżyser”. Byli nimi: Laco Adamik (*Dyzma*), Jacek Bunsch (*Ferdydurke*) i Piotr Tomaszuk (*Cyrk Dekameron*). Zwyciężył Jacek Bunsch.

## Najlepszy „Dyzma”

ZŁOTE MASKI

W kategorii „najlepsza rola męska” Złota Maską przypadła Adamowi Baumannowi za rolę Kunickiego w *Dyzmie* i Ojca w *Pułapce* zrealizowanej w Teatrze Śląskim w Katowicach.

W kategorii „najlepsza rola kobieca” statuetkę odebrała Bogumiła Murzyńska za tytułową rolę w *Matce Witkacego* wystawionej przez Teatr Śląski.

W kategorii „najlepsza muzyka” Złotą Maskę odebrał Tomasz Kałwak

(*Aztec Hotel* z katowickiego Teatru „Cogitatur”).

W kategorii „najlepszy balet-choreografia” jury wskazało na Jarosława Stańkę (*Footloose, wrzuc luz* z Gliwickiego Teatru Muzycznego).

W tym roku po raz pierwszy wprowadzono kategorię „najlepszy spektakl dla dzieci”. Do honorowej Złotej Maski aspirowali: *Zwierzęta doktora Doolittle* (Teatr Dzieci Zagłębia), *Słowik* (z katowickiego Teatru „Ate-neum”) oraz *Mały Książę* (z Teatru Zagłębia). Złotą Maskę przyznano teatrowi będińskiemu.

Także marszałek województwa opolskiego przyznał swoje Złote Maski. Otrzymali je: Grażyna Rogowska za rolę w spektaklu *Spokój w głowie*, Jan Kaleta za rolę Momuna w *Białym Statku* oraz dyrektor teatru „EKO-Studio” Andrzej Czernik za adaptację i reżyserię *Chłopów* Reymonta.

Tradycyjnie Nagrodę im. Leny Starke przyznał Zarząd Wojewódzki ZASP - otrzymał ją Artur Świąs za rolę Józia w *Ferdydurce* (aktor ten był też nominowany do Złotej Maski).

(kark)

**D**ekameron (ściślej nowele: *Słowik, Okrutne łowy, Podwójne oszustwo, Zgodny mąż*) Giovanniego Boccaccia zdaje się być odczytany przez Piotra Tomaszuka poprzez nietzscheańską koncepcję kultury. Wizualnymi nośnikami dwóch przeciwstawnych sobie, ale zarazem współtworzących dzieło sztuki, żywiołów: apollońskiego i dionizyjskiego stają się w spektaklu postacie Twórcy Automatów i Satyra. Jedyne siły sprawcze scenicznego świata. Sprawcze w zakresach im danych przez kulturową tradycję i reżyserską inwencję.

Apollinizm Twórcy Automatów (w tej trudnej, interpretacyjnie wielowarstwowej roli Piotr Tomaszewski) to zdolność kreowania postaci (w tym przypadku twórców osobliwych-mechanicznych kukieł) i zdolność kreacji własnej (stawania się, w zależności od sytuacji, Matką Fionetty, Rycerzem Słoniem, staruchą Verdianą); to umiejętność tworzenia „złudy” (obrazów namiętności); to dążność do perfekcji i zakreślania granic (przeradzająca się w przywoływanej rzeczywistości w zamierzony schematyzm); to wreszcie ambicja dominacji nad wszystkim i wszystkimi ożywionymi automatami (wcielili się weń aktorzy: Alicja Rapsiewicz, Ziemowit Ptaszkowski, Małgorzata Król, Konrad Ignatowski, Lucyna Sypniewska, Włodzimierz Pohl) i Satyrem. Wszelkie działania Twórcy Automatów (zwłaszcza początkowe „uruchamianie” automatów, budzenie Satyra, skłanianie go do ciągłego ponawiania prób wymieniania imion kochanków i finałne - spychanie martwego ciała tegoż do otchłani) noszą znamie apollońskiego porządku (tresury, by przywołać - nie bezzasadnie w świetle konstrukcji omawianego przedstawienia - słowo przynależne do świata widowisk cyrkowych).

Dionizyzm Satyra (efektowna rola Rafała Gąssowskiego), Satyra bynajmniej w swym wizerunku scenicznym nie koźłozształtne (jak odpowiada nam tradycja peloponeska), lecz przypominającego jakby konia w ludzkiej postaci (jak chce tradycja attycka), przez co o wiele bardziej efektownego wizualnie, pozbawionego (pomimo zachwiania proporcji) znamion brzydoty i starości na rzecz piękna i młodości - zasadza się na łączeniu zjawisk pozornie najrozbieżniejszych, na nieokiełznaniu, dynamizmie, działaniu niesformalizowanym, zmysłowości, niejednoznaczności płci, wielości przyjmowanych ról, masek. (Są to role zjawy nieszcześliwego kochanka z lasu piniowego, lubieżnego wuja młodzietki, uroczej Fionetty, chutliwego męża ledwie co poślubionej atrakcyjnej Lagenfurii, kochanka kalekiej, topornej Orgety.) Także - na poznaniu tragicznego aspektu życia (twarz Satyra po zdjęciu maski, jest twarzą znużoną, znaczoną przecieciem nadchodzącego kresu). Nad wszystko jednakże dionizyjska prowincja Satyra w spektaklu Tomaszuka naocznia się w jego niezniszczalności, nieustannym odradzaniu się (zrzucony do otchłani-zapadni wydobywa się - wyjeżdża z niej z triumfalnym gestem podniesionej ręki).

**T**anatos i Eros - żywioł apolloński i żywioł dionizyjski - tendencje sobie przeciwstawne skazane są, według realizatorów spektaklu, na współistnienie i współdziałanie, na zasadzie partnerstwa jednakże, lecz według prawideł za-



Foto: ARC

TEATR

## Tanatos i Eros

ležności i podległości. Za sprawą Satyra Twórca Automatów pobudzi do działania kolejną Fionettę, Lagenfurię, Orgetę, ożywi kolejnego Nostalgia, Piccola, Perwa. I ponownie powiedzie ich - nienasyconych - na Piazza Centrale, na kolejne bachanalia.

„Rytuał powtarza siebie niezmiennie”, jak pisał E.R. Dodds w przedmowie do oksfordzkiego wydania *Bachantek* Eurypidesa (1944). Dlatego też z poddanych aktywizującej lekturze czterech nowel Boccaccia kluczową dla wymowy przedstawienia wydają się *Okrutne łowy*. Opowieść rycerza, w miłości swej niespełnionego, który jako zjawa goni i zabija dziewczynę umiłowaną za życia, ta zaś „z martwych powstaje po chwili”. Historia ta wyznacza wewnętrzne ramy scenicznych narracji; inkustrowano nią pogodnego *Słowika*, przywołano w finałnych - pełnych dramatyzmu i okrucieństwa (śmierć Satyra) - partiach przedstawienia. Na maskę nieszcześnie kochanki z lasu piniowego i maskę Satyra jednakowo sypie się piach (oddalenie nastąpiło tylko w czasie) i jednakowo po chwili oboje „z martwych powstają”.

Piach pokrywający maski jest zarazem piaskiem, którym zwykło się wysypywać cyrkową arenę. Sam cyrk - jego konwencja - tworzy ramy całej bielskiej inscenizacji. I nie jest to bynajmniej chwytliwe rozwiązanie formalne, mające uatrakcyjnić przedstawienie, a potencjalnych widzów zachęcić do odwiedzenia Teatru Banialuka. Konwencja cyrku, z wpisaną powtarzalnością popisów (numerów), służyć może na równi z prezentowanymi scenicznymi historiami inspirowanymi *Dekameronem*, wyrażaniu prawdy o cykliczności losu.

**W** spektaklu Piotra Tomaszuka pojawia się „najważniejszy specjalista, główny gospodarz cyrkowej grupy” (by użyć określenia Zbigniewa Raszewskiego, zamieszczonego w książce *Teatr w świetle widowisk*) - konferansjer i treser w jednej osobie: Twórca Automatów z wytresowanym „wspaniałym zwierzęciem, które w podróż zabierze każdego”: Satyrem. Postacie te stają się łącznikami pomiędzy dwiema scenicznymi rzeczywistościami.

Nadto w rdzenną (nie ramową) tkanę przedstawienia wprowadzono środki przynależne do sztuki cyrkowej. Wyeksponowano mechanizm ruchu, w nim zaś rytm, który można refrenicznie w obrębie danego obrazu powtarzać. Odtwarzający automaty aktorzy są niezwykle sprawni, dynamiczni, w repetycji czynności ruchowo-gestycznych precyzyjni, zdyscyplinowani, nierzadko wystylizowani. Powtarzalności ruchów towarzyszą powtarzalność słów, sylab, dźwięków. Rytm, tempo działań narzuca - i frywolną, niepokojącą, gorączkową, a w sekwencjach końcowych spektaklu demoniczną, aurę buduje - muzyka (od kompozycji klasycznych począwszy na muzyce zespołu „Rammstein” skończywszy).

Siłę wizualną obrazów Tomaszuka współtworzy świetna scenografia pary słowackich artystów: Evy Farkašovej i Jana Zavarskiego. I ona poddana została rytmowi nieustannych powtórzeń (unoszenie i opadanie zasłon imitujących ściany sypialni oraz czerwonej sukni Lagenfurii, złoty, skrzydłami trzepoczący słowik, rodem z *Casanovy* Felliniego, zamyślane zostały jako plastyczne odpowiedniki erotycznych uniesień bohaterów i wszechogarniającej namiętności).

Metaforykę przedstawienia Tomaszuka przenikają znaki rytuału dionizyjskiego i rytu apollońskiego, jako znaki widome kulturowe. Skontrastowane zostały z nimi współczesne ikony masowej wyobraźni. Z reality-shows przejęto wiszący nad sceną okrągły ekran (trzecie oko Satyra, które widzi „imiona kochanków ukryte”), z telewizyjnych talk-shows wzięto nazwę zbiorowej zabawy, na którą nas zaproszono („Wieczór z Satyrem”). Użyte w *Cyрку Dekameron* znaki należą zatem do dwóch różnych systemów, do dwóch różnych języków kultury, do dwóch odrębnych kodów, dając w pewnym sensie syntezę kultury współczesnej.

MIROŚŁAWA PINDÓR

*Cyрк Dekameron wg Giovanniego Boccaccia. Reżyseria: Tomaszuk. Dekoracje: Jan Zavarsky. Kostiumy: Eva Farkašová. Muzyka: Piotr Nazaruk. Prapremiera: 12 października 2002 roku w Teatrze Lalek Banialuka w Bielsku-Białej.*

# Centrum kultu Szymanowskiego

Wielbiciele twórczości najwybitniejszego po Chopinie kompozytora polskiego - Karola Szymanowskiego są świadomi tego, że szczególną uwagę poświęca się temu twórcy w stolicy Podhala, gdyż urodzony na Kijowszczyźnie twórca niedługo po odrodzeniu Rzeczypospolitej związał się właśnie z Zakopanem, by w ostatnich latach swego życia zamieszkać tam na stałe. Muzyka Podhala dostarczyła mu wiele ożywczych impulsów - do niej odwołuje się Szymanowski w większości swych dzieł powstałych po 1921 roku. Zamieszkała przez niego w latach 1930-36 willa „Atma”, wykupiona została w latach 70. przez polską społeczność artystyczną. Dziś jest siedzibą założonego przed ćwierćwieczem Towarzystwa Muzycznego, które oczywiście statutowo dba o to, by szczególnie w byłym domu kompozytora, ale także w innych miejscach Zakopanego - muzeach, galeriach i kościołach regularnie rozbrzmiewała jego muzyka.

Jest jej szczególnie dużo w połowie lipca, gdyż w tym okresie w Zakopanem odbywają się już od ponad 25 lat Dni Muzyki Karola Szymanowskiego - od pewnego czasu w formule międzynarodowej. Do niedawna temu festiwalowi towarzyszyły dwa minifestiwale upamiętniające rocznice śmierci kompozytora w marcu, i urodzin w październiku. Te dwie cenione przez środowisko zakopiańskie imprezy dziś należą do wspomnień. Obydwie rocznice są obecnie z powodów finansowych akcentowane co najwyżej przez pojedyncze koncerty, sponzorowane głównie przez bardzo przychylną Szymanowskiemu katowicką Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

Nie inaczej było w tym roku. W rocznicę śmierci Szymanowskiego, 29 marca, w willi „Atma” wystąpiła dwójka znanych artystów katowickich - Elżbieta Grodzka-Łopuszyńska i pianista Zbigniew Raubo. W swoim wielce udanym wokarno-fortepianowym recitalu zaprezentowali obok utworów Szymanowskiego - cztery *Mazurki* z opusu 50. oraz rzadko wykonywany cykl pieśni *Słopiwnie* do poezji Juliana Tuwima, kilka pozycji z dorobku Sergiusza Rachmaninowa.

Pierwsze dni kwietnia jeszcze raz pokazały, że na wiosnę centrum kultu Szymanowskiego przesuwają się zdecydowanie na północ, bowiem od chwili powstania przy katowickiej Akademii Muzycznej w Katowicach koła Zakopiańskiego Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego właśnie tu odbywa się rokrocznie w okolicach rocznicy śmierci Miśtrza trzydniowy festiwal, w którym jego muzyka prezentowana jest z założenia razem z muzyką innego współczesnego mu kompozytora. I tak w ubiegłych latach mieliśmy u nas festiwale, w których obok dorobku Szy-

manowskiego program festiwalowych koncertów uzupełniały kompozycje Janačka, Bacewicz, Ravela, Bartóka i Ryszarda Straussa. W tym roku pomysłodawca tych oryginalnych konfrontacji, przewodniczący Koła Arkadiusz Kubica, członek znakomitego Kwartetu Śląskiego, postanowił upamiętnić dwie rocznice śmierci: Karola Szymanowskiego i zmarłego 50 lat temu, o dziesięć lat młodszego od niego Sergiusza Prokofiewa.

Koncerty odbywały się tym razem nie w Auli Akademii Muzycznej, lecz pierwszy - symfoniczny w sali koncertowej Filharmonii Śląskiej, a kolejne dwa - kameralne w Liceum Muzycznym im. Karola Szymanowskiego w reprezentacyjnej sali wybudowanej kilka lat temu na Tysiąclecie nowej siedziby Szkoły oraz w nie tak dawno otwartym pięknym studio koncertowym Polskiego Radia przy ulicy Ligonii. Pomysł wyjścia poza mury katowickiej uczelni muzycznej okazał się trafiony.

W pierwszym koncercie sala Filharmonii dosłownie pękała w szwach. Taki tłok panował tutaj w ostatnich latach chyba tylko w czasie koncertów Krystiana Zimmermana z pięcioma *Koncertami fortepianowymi* Beethovena, a następnie z dwoma *Koncertami* Chopina. Ale i tym razem nie brakowało powodu dla tak wielkiego zainteresowania. W programie obok *Suity symfonicznej* z opery *Miłość do trzech pomarańczy* znalazły się *II Koncert skrzypcowy* oraz słynne cieszące się w Katowicach szczególną estymą *Stabat Mater* Szymanowskiego, wszak to tutaj jeszcze przed drugą wojną światową odbyło się jedno z pierwszych wykonań tego arcydzieła sztuki oratoryjnej. Akademicka Orkiestra Symfoniczna oraz zespół złożony z Chóru Kameralnego oraz Zespołu Wokalnego Wydziału Wokalno-aktorskiego Akademii z solistami Marią Zagojską, Joanną Ciupą i Adamem Szerszeniem pod dyktando szefa artystycznego Filharmonii Śląskiej, Mirosława Jacka Błaszczyka, wykonali trudne dzieło Szymanowskiego w sposób nadspodziewanie piękny, co też docenione zostało przez publiczność, która wymogła na zespole wykonawczym powtórzenie ostatniej jego części. Nieczęsty to przypadek, by bisowano część dzieła oratoryjnego.

Po tak wspaniałej inauguracji wieczorów z muzyką Karola Szymanowskiego w kolejnym koncercie zawiodła trochę publiczność, która być może jeszcze nie zorientowała się, że Katowice wzbogaciły się o wspaniałą salę koncertową, leżącą wprawdzie trochę na obrzeżu miasta, ale absolutnie godną uwagi melomanów. To też w pięknej, a przy tym odznaczającej się dobrą akustyką auli Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej im. Karola Szymanowskiego przy ulicy Ułańskiej wartościowemu koncertowi kameralnemu przysłuchiwało się niewiele ponad pięćdziesiąt osób. I dobrze, że wykonawcy - pianista Antoni Brożek oraz duo skrzypcowo-fortepianowe Szymon Krzeszowiec i Maria Szwajger-Kulakowska nie zrazili się liczbą słuchaczy. Swoją program artyści przedstawili perfekcyjnie.

Antoni Brożek zaimponował zwłaszcza znakomitą wykonaniem *VI Sonaty fortepianowej A-dur* Sergiusza Prokofiewa, poprzedzonej prezentacją dwóch „podhalańskich” *Mazurków* Szymanowskiego. Szymon Krzeszowiec, primarius Śląskiego Kwartetu Smyczkowego, wspierany przez Marię Szwajger-Kulakowską pięknie wykonał *Romans* op. 23 Szymanowskiego, by następnie zachwycić interpretacją prokofiewowskiej *I Sonaty f-moll* na skrzypce i fortepian.

Final trzydniowego festiwalu stał pod znakiem popisu Śląskiego Kwartetu Smyczkowego, bowiem i w tym przypadku nieprzychylny organizatorom los umożliwił występ przewidzianemu w koncercie soliście - oczekiwanemu w studiu koncertowym z dużym zainteresowaniem Piotrowi Pławnerowi, laureatowi I nagrody X Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego (miał wykonać *Nokturn* i *Tarantellę* Szymanowskiego oraz *Sonatę D-dur* op. 94 bis na skrzypce i fortepian), który nie tak dawno temu - o czym warto przy tej sposobności wspomnieć - związał się kontraktem z katowicką uczelnią muzyczną, co w każdym razie daje nadzieję, że wkrótce go w Katowicach posłuchamy. Kwartet Śląski wypełnił program koncertu obydwojoma *Kwartetami smyczkowymi* Szymanowskiego - oraz - przy współudziale Aleksandra Tesarczyka i Marii Szwajger-Kulakowskiej - bodaj po raz pierwszy tu prezentowaną *Uwerturą na tematy żydowskie* na klarnet, fortepian i kwartet smyczkowy Prokofiewa. Znałe raczej i jak zwykle w przypadku Kwartetu Śląskiego doskonale wykonane *Kwartety* Szymanowskiego słuchacze przyjęli z widocznym zainteresowaniem i zadowoleniem, zaś wykonanie oryginalnej *Uwertury* Prokofiewa wywołało taki aplauz, że nie obyło się bez powtórzenia jej fragmentu.

KAROL BULA



## Brahms, Dworzak, Brahms

Duch Stalina, który straszył w moim ostatnim felietonie, skutecznie przegnał z niego kilka atrakcyjnych tematów. Wśród nich było estradowe wykonanie przez zespoły Filharmonii Śląskiej i wybitnych krajowych solistów opery Rossiniego *Ermione* - duży wyczyn, zrealizowany wspólnie z amerykańskim podmiotem, który „wynajął” naszą orkiestrę do tego odpowiedzialnego i atrakcyjnego zadania.

Nadrabiając straty, wybrałam się do sali przy ulicy Sokolskiej tydzień później. Grano - jakżeż by inaczej - Brahmsa i Dworzaka. Już przed wojną Karol Stromenger pokpiwał sobie w „Tygodniku Ilustrowanym” na temat koncertów Filharmonii Warszawskiej, że różnią się między sobą tylko tym, że raz na początku jest Brahms, potem Dworzak, innym zaś razem - odwrotnie. W Katowicach tym razem zakończono Dworzakiem (*IX Symfonia*), rozpoczęto zaś *II Koncertem fortepianowym B-dur* Brahmsa. Wykonał go, wspólnie z Filharmonikami prowadzonymi przez Jerzego Salwarowskiego, Zbigniew Raubo. Grał pewnie i z temperamentem, przydając utworowi „ognistych” rysów romantycznych. Żywe tempa i stanowcza artykulacja były szczególnie przekonujące w miejscach „węgierskich”. Sala była szczelnie wypełniona, przeważnie pianistyczną młodzieżą. To najlepszy dowód trafności kierunku, jaki zaczyna przebyskiwać w polityce naszej Filharmonii, polegającego na promowaniu młodych śląskich solistów. Lepiej przecież udzielać gościnności miejscowej utalentowanej młodzieży, niż dawać zatrudnienie nieustrudzonym reprezentantom ekipy „pierwszorzędnym artystów drugorzędnych” (bez obrazu - to określenie przylgnęło do ludzi tej miary, co Sienkiewicz i Moniuszko), która już od dłuższego czasu zanudza publiczność w całym kraju.

## I jeszcze raz Brahms

W tym roku koncerty „Silesii” zapowiadane są afiszami z dumnym nagłówkiem „W 20. rocznicę działalności”. Dwudziesty sezon zaśluzonej instytucji wypełniają serie stanowiące kontynuację wcześniejszych. Jest wśród nich cykl poświęcony przypadającej w tym roku 120. rocznicy śmierci Johannesa Brahmsa. 13 marca twórczość wielkiego klasyka została przypomniana na koncercie zorganizowanym w Domu Kultury na Koszucie znakomicie zestawionymi dziełami kameralnymi Brahmsa. *Klavierstücke op. 76* zagrała Anna Górecka, *III Sonata d-moll op. 108* za-

MIĘDZY NUTAMI



prezentowali Roland Orlik i Teresa Baczewska, a *Vier ernste Gesänge* op. 121 zaśpiewał Maciej Bartczak z akompaniamentem Grzegorza Biegasa. Muzyka Brahmsa szczególnie „leży” Annie Góreckiej, o czym już od dawna wiadomo. Pianistka doskonale wyczuwa jej nieco ocieślały puls, potrafi uwydatnić szlachetność i harmonijność brzmień, a przede wszystkim umie przekonać słuchacza do kryjącego się w muzyce Brahmsa patosu.

Pozostali wykonawcy trochę od tego patosu uciekali. *Skrzypcową Sonatę* wydała się w interpretacji Rolanda Orlika i Teresy Baczewskiej, warsztatowo nienagannej i ogólnie efektownej, dziełem niemal lekkim; to samo wrażenie wywołały pieśni śpiewane przez Macieja Bartczaka - gdzieś się zgubił ich mistycyzm - może artysta nie dość zgłębił ich „Ton-Wort”?

## Rewelacyjny Kłosiewicz

Tegoroczny cykl koncertów Śląskiego Towarzystwa Muzycznego w sali radiowej przy ulicy Ligonii rozpoczął (również 13 marca) recital wybitnego klawesynisty Władysława Kłosiewicza, wypełniony suitami Louisa i François Couperinów, przedstawiciele słynnego rodu kompozytorów francuskich epoki baroku. Pomimo trudności, jakie sprawia odbiorcy (nawet fachowemu) wysłuchanie tego typu programu - barokowa muzyka klawesynowa nie została przecież zaprojektowana jako obiekt do słuchania „na sztywno”, w sali koncertowej, lecz do „bycia z nią” w bardziej realistycznych okolicznościach - występ wielkiego artysty wywarł wielkie wrażenie. Kłosiewicz należy do nielicznej grupy muzyków zajmujących się dawnym repertuarem, którzy potrafią grać naturalnie. Dyskretnie ukrywają przed słuchaczem swoją uczoność, w odróżnieniu od licznych tłumów speców, których gra jest obce-

szą manifestacją postawy (powtórzę celną obserwację Ryszarda Gabryśa, nie zdradzając, kogo dotyczyła): „ja wiem, jak to trzeba grać”. U Kłosiewicza nie tylko słychać, ale i widać naturalność. Artysta wyprowadza muzykę - jej rytm, kapryśny tok fraz - z całego siebie. Odnosi się wrażenie, że koronkowe pasaże i triumfalne akordy mają początek w rdzeniu jego kręgosłupa. Osiąga jedność ciała z instrumentem, dochodząc do wspaniałych rezultatów, jeśli idzie o przekonującą realizację ozdóbek i rubata, a także o to, co w muzyce barokowej najważniejsze - odtworzenie wszelkich zawiłości mowy muzycznej. Klawesyn Kłosiewicza (kopia instrumentu N. Blancheta wykonana przez J. C. Neuperta w 1887 roku) przemawiał subtelnie i sugestywnie, wywołując nostalgiczną atmosferę. Do jej podtrzymania przyczyniła się pomysłowa dekoracja autorstwa Ewy Sataleckiej, rodzaj martwej natury z pięknym bukietem kwiatów, flaszą wina, stosami owoców. Gdybyż jeszcze to wszystko znalazło się w zasięgu ręki słuchacza...

## Wszyscy święci słuchają

Stało się już zwyczajem, że wybitny pianista rosyjski Aleksander Orłowiecki, podążając z wiosną ku Zachodowi, odwiedza Katowice i daje koncert w ramach sezonu „Silesii”. 20 marca dał koncert w Muzeum Archidiecezjalnym. Grał *Obrazki z wystawy* Musorgskiego oraz znakomitą, prawdziwie wirtuozowsko napisaną parafrazę na temat Eugeniusza Oniegina Czajkowskiego autorstwa zapoznanego kompozytora rosyjskiego Paula Pabsta w stylu, który dawniej określano się mianem „wielkiego efektu”, omal nie rozsadzając dźwiękami małej salki muzeum i nie zdmuchując z postumentów poustawianych tam rzeźb. Święci rzeźbieni i malowani znieśli nad podziw spokojnie egzotyczne atrakcje, które zgotował Musorski w *Obrazkach*: zapanie bytła, plotki kumoszek, klótnię dziecięcą, wybryki gнома, pohukiwania trupich czaszek, a nawet wrzaski Samuela Goldenberga i Szmula, może dlatego, że Orłowiecki grał cały cykl bardziej po europejsku, niż po rosyjsku (prawdziwie rosyjskiego ducha wykrzesał pianista jedynie z zagranej na bis *Pieśni jesiennej z Pór roku* Czajkowskiego, która w wyobraźni polskiego odbiorcy, a przynajmniej mojej, na wieki wieków skojarzona została z odzywką Nikodema Dyźmy: „d-moll? A czemu nie d-mucha?”). Tylko święty Mikołaj - ten z Wilczy Górnej - miał minę dość kwaśną - nie w smak mu było widocznie, że mu przerwano Świętą rozmowę...

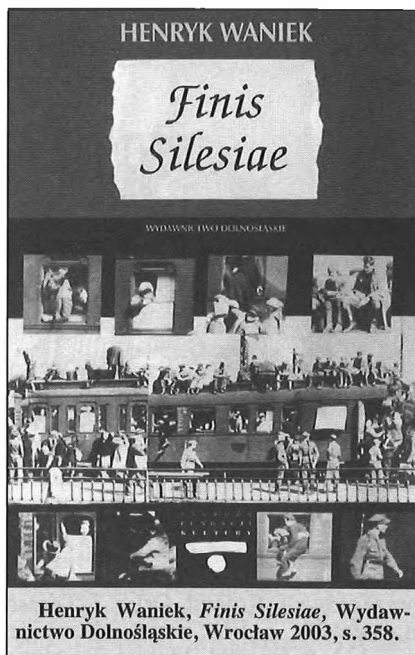
MAGDALENA DZIADEK

„Piękne landszafty. Ale trochę jak „z innego świata. Z innej rzeczywistości” - taką opinię o fotograficznych ujęciach śląskiego krajobrazu autorstwa Paula Scholza, bohatera powieści Henryka Wańka *Finis Silesiae*, wypowiada polski malarz, pisarz i filozof, w którym bez trudu rozpoznajemy Stanisława Ignacego Witkiewicza. Do spotkania dochodzi u starszego o dziesięć lat przyjaciela Paula, Petera Drabka, który z polskim nazwiskiem nie mógł liczyć na dobrą posadę w Gleiwitz, nadto, i to jest istotniejsze, jego ojciec, organista, założył w czasie plebiscytu Koło Polskie. Peter przeniósł się do Katowic - „nie dla zademonstrowania narodowej tożsamości” - po prostu, zaproponowano mu dobrą posadę. Lecz we wrześniu 1939 roku razem z Polakami wyruszy na wschód, dzieląc ich los, by zginąć pod Tarnowem jako szpieg niemiecki (miał niemiecki paszport) z rąk Polaków. Ale to „za rok - jak pisze Wańek - z kawalkiem”.

Spotkanie Paula z Witkacym w roku 1938 Katowicach w mieszkaniu Petera Drabka, przy ulicy Plebiscytowej jest prawdopodobne, lecz z pewnością fikcyjne. Słowa, jakie wypowiada ów „genialny Polak” mógłby z powodzeniem wypowiedzieć Witkacy: „Wariaci odrzucają pędzle i sięgną po bomby. Artystami zostaną rzeźnicy, a filozofami szewcy”. Prawdziwe są fotografie śląskiego krajobrazu, owe „piękne landszafty”, ale wymyślony jest sam fotograf (czy też artysta-fotograf?), ponieważ ta książka, która jest potężnym przedsięwzięciem pisarskim, splecionie jest ze spekulacją i prawdy. W rozumieniu goetheańskim, naturalnie, bo i łatwo i trudno przeprowadzić w niej granicę między *Dichtung* i *Wahrheit*.

Paul urodził się w roku 1908. Autor pozwala mu pamiętać coś niecoś z pierwszej wojny światowej i lat późniejszych, lecz uwagę naszą zatrzymuje na dwóch, trzech latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. To jest czas, gdy Paul najwięcej fotografuje, przygotowując dla wydawcy serię dwustu fotografii układających się w panoramę Śląska. To jest także czas jego romansu z Brigitte. Jako że fotografowanie śląskich atrakcji krajobrazowych wymaga ciągłego bycia w drodze, od Görlitz po Gleiwitz i Beuthen, z licznymi odskokami w prawo, w lewo i na skos, Paul Scholz jest niemal stale w podróży służbowej, lecz jest to jednocześnie podróż egzystencjalna, może nie w głąb, ale na pewno w stronę samego siebie, do kresu pewnej nocy, jeszcze wtedy nie przeczuwanej, (choć historia przez h duże i małe dawała wyraźne znaki), do kresu, który w tytule powieści otrzymał definicję *Finis Silesiae*, czyli koniec Śląska. Podróżując po Śląsku z aparatem i Brigitte, Paul krąży po swoistym *circulos vitiosus*.

Brigitte Kopietz (Kopiec, Kupiec?), którą poznajemy ze zdjęć Karla Franza



## Homo silesiensis

Klose (przypisanych Paulowi Scholzowi), bodaj raz jeden tylko spogląda w obiektyw, czyli w oczy czytelnika. Jest na tych fotografiach, ale, rzecz można, nie bardziej, niż Paul, który jest niewidzialny „Stoi za aparatem i właśnie naciska migawkę”. Powiedzmy od razu, że sam Śląsk, śląski krajobraz, jest na tych fotografiach, ale rzecz można, jest nie bardziej, niż Brigitte; ma, jak ona, coś do ukrycia; i jak ona unika spojrzenia nam prosto w oczy. Śląskość tego krajobrazu musi być potwierdzona słowem. Jego „landszaftowa” sielankowość jest złudna: wyczuwa się w nim znużenie i wyczerpanie. Więc Paul i Brigitte! Kochankowie w świetle, który niebawem osunie się w nicość. Jednakże brakuje sygnałów, iż pomiędzy tą jasnowłosą dziewczyną na zdjęciu, a mężczyzną, który ją fotografuje, coś iskrzy, że kieruje nimi wzajemna fascynacja, ciekawość, miłość... Jest to dziwny romans, właściwie bez namietności. Jakby energia miłosna wyczerpała się, nim przyszła miłość.

Pod koniec swojej śląskiej podróży do kresu nocy, Paul Scholz, człowiek, który ledwie przekroczył trzydziestkę, cierpi na nieuleczalną bezsenność. Z tego właśnie powodu, iż nie mógł zasnąć odesłano go ze wschodniego frontu (służył w jednostce propagandowej) na tyły, na Śląsk, do zakładu umysłowo chorych w miejscowości Lublinitz. Paul Scholz - powieściowe wcielenie Karla Franza Klose, niemieckiego fotografa ze świata rzeczywistego, pragnie: „Wydostać się z tego szpitala. Z tej me-

dycyny. Z Rzeszy. Zadanie nierealne, ale trzeba próbować... Nawet nie widać innej ewentualności. Jest obezwładniony”. W tym ostatnim zdaniu, które pojawia się pod koniec książki, zawiera się definicja bohatera *Finis Silesiae*. Jest to człowiek obezwładniony. Można również nazwać go - idąc za Robertem Musilem, artystą, jak sądzę, bliskim Wańkowi - „człowiekiem bez właściwości”. Paul Scholz, jak niejeden bohater bez przymiotów, stojący z boku, pozbawiony wyraźnej motywacji do życia i działania, raz tylko zdobywa się na gest indywidualny, zdecydowany i kategoriyczny, gdy popełnia samobójstwo.

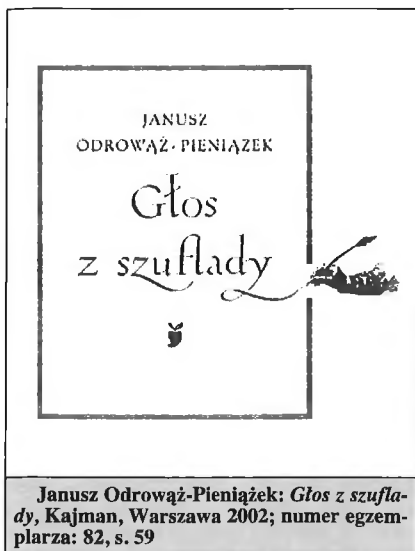
*Finis Silesiae* jest powieścią o wielkim znużeniu i wielkim wyczerpaniu.

Rzetelny pisarski wysiłek został skierowany na wskrzeszenie rzeczy, spraw i ludzi niemieckiego Śląska. Uporczywemu wskrzeszaniu towarzyszy nie mniej uporczywe przeświadczenie, że jest to gest daremny. To „błędne koło”, po którym Paul krążył z zdezorientowaną i stale zmęczoną Brigitte u boku, zacisnęło się w pętlę, narzędzie i znak śmierci. Nieuchronny jest koniec pewnego świata, uściśliłmy: niemieckiego świata na Dolnym i Górnym Śląsku. Nieuchronny jest koniec pewnego życia, uściśliłmy: zwyczajnego, powszedniego niemieckiego życia, które nie pukało do bram Historii, lecz ona przyszła, najpierw przez małe ha, na pierwszy rzut oka (uściśliłmy: niemieckiego oka!) raczej budząca śmiech niż grozę. Słowem, więcej było zdziwienia, niż uzasadnionego przerażenia. Więcej odczucia małej, niż przecucia dużej historii.

*Finis Silesiae* jest potężnym przedsięwzięciem pisarskim. Brawurowy zamysł, styl, język, refleksja historiozoficzna, ironia (i autoironia), czysta ludzka empatia i silne poczucie tragiczności życia pozwalają widzieć w *Finis Silesiae* dokonanie pisarskie o bezspornych znamionach wybitności. Henryk Wańek, wyszedłszy od kilku fotografii - puszczając wodze wyobraźni, a jednocześnie, dla zachowania równowagi, stojąc pewnie na gruncie wiedzy materialnej, (która jest, zaiste, imponująca!), niespiesznie rozwijając romansową fabułę na tle zdarzeń o fundamentalnych dla Europy i świata konsekwencjach - doszedł do wielowymiarowej panoramy śląskich losów, opowiedzianych z perspektywy... Właśnie! Na pierwszy rzut oka, jest to perspektywa niemiecka, ale to jest pozór, ponieważ perspektywa rzeczywista jest domeną narratora, a jest nim autor, Henryk Wańek, który w kilku retardacjach wkracza na karty powieści, aby świadczyć, że jest kimś więcej niż autorem opowiadanej historii przez małe i duże „h”. Kim jest?

Jest Ślązakiem, *homo silesiensis*, wiecznie tułającym się po błędnym kole Śląska.

FELIKS NETZ



Zastanawiać się można, czy ma sens wracanie do poetyckich juvenaliów (...) pisanych przed pół wiekiem (lub prawie przed pół wiekiem) - oto słowa samego autora „Głosu z szuflady”, którymi zręcznie rozpoczyna wstęp do swoich dawnych wierszy. Wierszy, które z różnych powodów długo pozostawały w szufladzie, choć nie oznacza to, że wcześniej nie były czytane. J. Odrowąż-Pieniążek to postać znana w kręgach kultury pisarskiej, zwłaszcza prozatorskiej: szczególnie cenne są jego studia nad korespondencją A. Mickiewicza, popularne były i takimi pozostają „Opowiadania paryskie”. W tym kontekście interesujące wydają się utwory poetyckie pomieszczone we wspomnianym tomiku. „Głos z szuflady” zawiera teksty rozmaite: od poetyckich miniatur po wiersze, określone przez samego autora *nieomal prozą*. Tę rozmaitość porządkuje w pewien sposób tytułowy „głos” - jednobrzmiący ton metaforyki przestrzeni słów, symboli i barw. Podmiot liryczny większości tekstów pozostaje niejako ukryty. Ten chwyt artystyczny świetnie odzwierciedla sytuację egzysten-

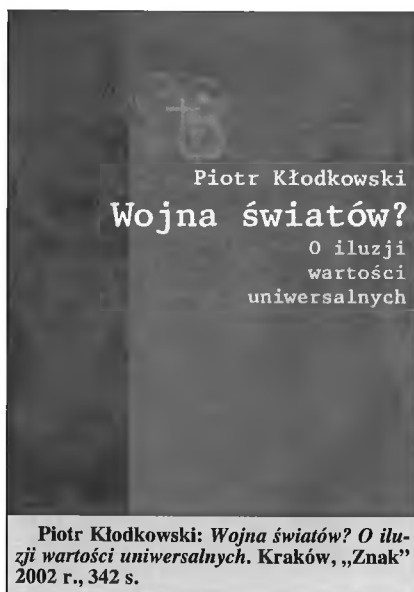
cjalną żyjących i tworzących - podobnie jak J. Odrowąż-Pieniążek - w socrealizmie czy innych czasach zniewolenia systemem. Wszyscy ci, chcąc ocalić prawdę, także pozostawali w ukryciu. Właśnie dlatego czas - określany tu każdorazowo datą powstania utworu - jest tak ważny dla odczytania poszczególnych wierszy. Istotne jest i to, że wpisanie tekstów w konkretny kontekst dziejowy nie odbiera im swoistej uniwersalności. W tytułowym wierszu J. Odrowąż-Pieniążek napisał: *Wszystko jest tak logiczne, wszystko jest tak proste, / że powiesz słowo, a już cię zaszufładkują, powiesz drugie, to cię przeszufładkują, ale zawsze będziesz w szufladce.* (...) Tak było i, choć to smutne, zawsze będzie. Proces szufładowania grozi przecież nie tylko poetom. Dziś jednak poetyckie juvenalia Odrowąża-Pieniążka są nie tylko kolejnym śladem literackiego „głosu sprzeciwu”, ale także swego rodzaju znakiem tego, że poezja istotnie zachowuje i ocala to, co faktycznie ważne. Właśnie dlatego wracanie do poetyckich juvenaliów może mieć sens.

MAGDALENA ZABRZEWSKA

Zastanawiam się niekiedy, dlaczego tak się dzieje, że im szybciej żyjemy, tym mniej mamy czasu, choć powinno być całkiem odwrotnie. Wydaje mi się, iż trafna odpowiedź leży w tym, że życie daje nam coraz więcej możliwości wyboru, czyli - mówiąc językiem marketingu - ciągle przybywa nam ofert. Kiedy życie toczyło się powoli czy nawet ospale, mieliśmy czas na czytanie. Dziś tego czasu zrobiło się nagle dużo mniej, a książek do przeczytania wciąż przybywa. Na mojej półce czeka w kolejce kilkanaście pozycji, które uważam za pilne, i kilkadziesiąt, które odkładam na jakieś lepsze czasy, kiedy bez przeszkód będę mógł się poświęcić lekturze. Książki z półki „pilne” zabieram ze sobą w podróże, najczęściej są to kolejowe podróże do Katowic, gdzie muszę być na Uniwersytecie. A skoro jeżdżę z powodów, które mogę nazwać akademickimi, to i wybieram do czytania książki o charakterze naukowym, takie zatem, które trudno mi polecać na tych lamach, bo podejrzewam, że większość z państwa nie ma czasu na podobne lektury. Mogę jednak wskazać pozycję wyjątkową, która łączy w sobie jakby ogień z wodą - dwa gatunki, które w przemierzaniu dają utwór ciekawy i łatwy w lekturze, jednocześnie zaś rzetelnie naukowy. Jest nim „Wojna światów”, wydana przez „Znak” w zeszłym roku.

Autor, Piotr Kłódkowski, jest orientalistą. Mieszka w Rzeszowie i tam wykłada, a do tego od lat podróżuje po odległych zakątkach globu, koncentrując się głównie na Azji. Jej też poświęca swoją książkę, której tytuł jest nawiązaniem do słynnego stwierdzenia brytyjskiego historyka, Huntingtona, twórcy tezy o nieuchronnej konfrontacji czy wręcz zderzeniu mającym nastąpić kiedy poszczególne kontynenty ze swoimi cywilizacjami znajdą się bliżej siebie w wyniku procesu globalizacji. Po ataku islamskich terrorystów na Nowy Jork to proroctwo stało się bardzo realne i dziś wszyscy czujemy powiew zagrożenia ze strony tych cywilizacji, które dotychczas same czuły się zagrożone przez naszą stronę.

## W pociągu do Katowic



„Naszą stroną” jest to, co wyrosło ze starożytnej Grecji i tego, co nazywamy tradycją judeochrześcijańską. To Europa ze swym przedłużeniem po drugiej stronie Atlantyku. Czasem myślimy o tym szerzej, używając pojęcia „kultura białego człowieka”, czasem wężiej, kiedy nazywamy tę cywilizację, czy kulturę po prostu „Zachodem”.

Książka, którą tu zachwalam, mówi o nas, Europejczykach, czy szerzej - ludziach Zachodu, z perspektywy różnych krajów Azji. Pokazuje, jak bardzo jesteśmy zasklepieni w sobie, jak brakuje nam zrozumienia tego, co przeżywają i co czują ludzie w Persji, na Półwyspie Indyjskim, czy też w Chinach. Opisuje to zarówno sięgając do rzetelnej, akademickiej

wiedzy, jak i popierając różne spostrzeżenia reportażowymi wspomnieniami. Autor zna kilka języków Wschodu (przede wszystkim Hindi i Urdu), spędził sporo czasu jako student pośród azjatyckich rówieśników. Jest stosunkowo młody (nie ma jeszcze czterdziestki). Píše z łatwością i precyzją, dzięki którym trudno mi się od lektury oderwać. Kiedy za oknem pociągu spostrzegam napis „Katowice”, już zaczynam myśleć o drodze powrotnej do Warszawy, podczas której będę mógł pochłonąć kolejne rozdziały.

Każda lektura jest jakimś zaproszeniem przez autora do dialogu. Kiedy kończę książkę, mam wrażenie, że poznałem nowego człowieka, i przez niego poznałem jakiś nowy obszar, z którym wcześniej miałem mniejszy kontakt. Od lat jeżdżę do Azji, pasjonuję się kulturą Persów, Indusów, Chińczyków i Japończyków. „Wojna światów” dopowiedziała wiele do moich własnych spostrzeżeń, przede wszystkim zaś podniosła pytanie o to, co w kulturze jest uniwersalne. Co dotyczy wszystkich bez wyjątku, a co jest specyficzne dla różnych zakątków świata? Przez wieki w naszej rodzinnej Europie uważaliśmy się za pępek świata i mieliśmy do tego podstawy. Byliśmy najwyższej rozwinięciem przyczółkiem ludzkości. Możliwe, że dziś jesteśmy świadkami tego, jak upada nasza pozycja lidera, która kiedyś także do Europy nie należała (wystarczy wspomnieć starożytne Chiny). Jeżeli tak jest rzeczywistość - warto się dowiedzieć czegoś więcej na temat kultur, które nas na wielu płaszczyznach doganiają, a możliwe, że są dla nas także zagrożeniem.

Książka „Wojna światów?” ma w tytule znak zapytania. Nie przesadza, czy taka wojna się toczy. Jako czytelnik i obserwator świata mam raczej złe przeczucia i spodziewam się zwykle gorszego obrotu spraw. Autor jest mniejszym ode mnie pesymistą i przez to lektura nie zostawia uczucia przygnębienia. Chyba, że przygnębi nas poczucie niewiedzy, które musi ogarniać przy spotkaniu bogactwa myśli zupełnie odmiennych od naszych.

KRZYSZTOF ZANUSSI

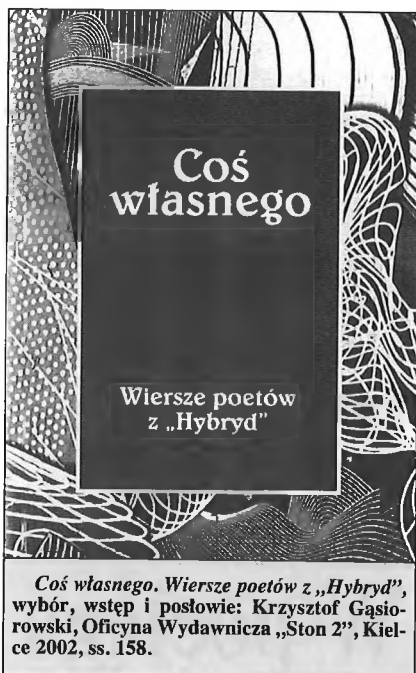


M mało kto dziś pewnie pamięta, czym była Orientacja Poetycka „Hybrydy”. A przecież to właśnie członkowie tej grupy animowali w latach 60. tzw. życie literackie w naszym kraju, organizowali liczne konkursy i wieczorki w domach kultury, tworzyli pisma literackie, dzięki którym władza komunistyczna mogła kontrolować to, co działo się w świecie młodych twórców. Na łamach grupowego pisma, „Orientacji”, publikowano teksty klasyków marksizmu, a w konkursie poetyckim „Czerwona Róża” sławiono bohaterów żołnierzy radzieckich za wyzwolenie Polski (zainteresowanych odsyłam do tekstu Wojciecha Wencła na ten temat, opublikowanego niedawno w „Nowym Państwie”).

Co pozostało po tych twórcach „literatury zaangażowanej”? „Sto kilkadziesiąt tomików po kilkadziesiąt wierszy i poematów każdy” - pisze we wstępie do antologii poetów z „Hybryd” Krzysztof Gąsiorowski, członek grupy i zarazem autor wyboru. Oczywiście nie znajdziemy tu żadnych utworów „ku czci”, bo o tych nikt chyba nie chce pamiętać, ale celem książki ma być „odsłonięcie specyfiki” twórczości kręgu Orientacji, a zarazem ukazanie jej przemian i procesu indywidualizacji. Jednocześnie Gąsiorowski ubolewa, że „wiersze tych poetów (...) działały się i dzieją niejako na marginesie naszego życia literackiego”. Przyczyn takiego stanu rzeczy nie trudno jednak dociec. Wystarczy wziąć do ręki wspomnianą antologię, zatytułowaną „Coś własnego”.

Jeśli jest to wybór reprezentatywny, a zakładam, że jest, obraz twórczości członków Orientacji wypada marniutko. Ze stu kilkadziesiątu tomików broni się może kilkanaście wierszy - głównie autorstwa Zbigniewa Jerzyny, Marka Wawrzewicza (sposób grupy podstawowej) i - jedyne poety w zestawie dziś naprawdę

## Coś hybrydycznego



znanego - Edwarda Stachury. Ten ostatni jednak, choć formalnie należał do „Hybryd”, stanowi zjawisko zupełnie osobne pod względem wyobraźni i poetyckiego języka. Jest po prostu indywidualnością na tle twórców zupełnie przeciętnych.

Komicznie brzmi pytanie postawione w posłowie przez Gąsiorowskiego: „Co bowiem w poezji polskiej minionego półwiecza wydarzało się dostatecznie ważne go i nowego poza poniekichymi propozy-

cjami Orientacji?”. Chętnie odwróciłbym to pytanie: co tak naprawdę „własnego” zaproponowała Orientacja poza tzw. „tendencją wyobraźniową”, przechodzącą często w belkot? Oczywiście, można robić z tego nowatorstwo, mówić o „antypozytywistycznym rozumieniu języka poetyckiego”, uważać się za prekursora postmodernizmu - wszystko to próbuje nam wmówić autor omawianego wyboru. Może i dałbym się nabrać, gdyby rzeczywiście któryś z poetów porwał mnie swoją wyobraźnią tak, że przestałbym się koncentrować na rozpaczliwym poszukiwaniu sensu poszczególnych utworów, tylko polecał, polecał... Nic z tego jednak. Za każdym razem, kiedy próbuję oderwać się od ziemi, potykam się o frazy takie jak ta: „gdzieś z odemkniętą muszlą płuc, z pochodnią / jeziora w dłoni / spałam echo za sobą / i wracam, gdzie mleko brzasku wtłacza się - / w krtanie krzewów / przesłucha przez kropki ptaków” (Maciej Bordo-wicz). Pojawiają się też zwyczajne błędy gramatyczne, np.: „Idąc śród nocy - książkę mnie otwiera” (Zbigniew Jerzyna) albo: „miłość nie może oznaczać - wymianę ciał” (Jerzy Koperski).

Cóż, każdemu wolno pisać - powie ktoś. I pewnie będzie miał rację. Kiedy grafo-man udaje nowatora - można się pobłażliwie uśmiechnąć. Ale autor wyboru nie porzeka na tym. W posłowie czytamy również: „(...) wobec takiej zapaści «aksjologicznej» wszelkie instrumentalne postawy poetyckie, moralizowanie, politykowanie wydawały się nam «poetycko» (czyli antropologicznie) wysoce podejrzane. Chyba jednak przeceniamy uwnioślające swoich fanów Herberta”.

Zrobić z własnego koniunkturalizmu cnotę - to dopiero sztuka. Co nam po Panu Cogito, mamy przecież poetów Orientacji!

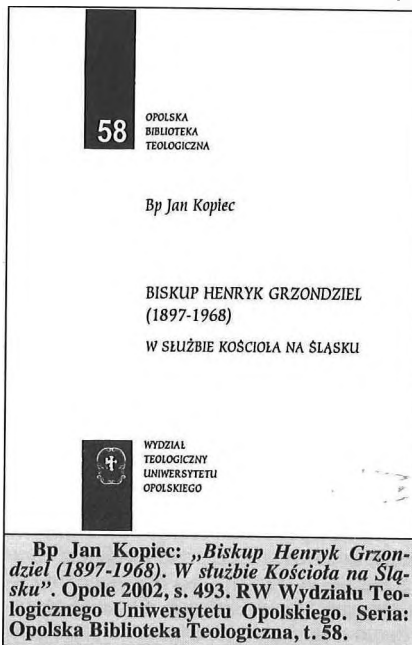
SYMON BABUCHOWSKI

Niemal w przededniu 35 rocznicy śmierci polskiego biskupa pomocnicznego Henryka Grzondziela ukazała się książka, która przybliży czytelnikowi osobę tego niezwykłego człowieka. Jej autorem jest bp Jan Kopiec - obecny polski biskup pomocniczy, profesor historii Uniwersytetu Opolskiego, archiwista specjalizujący się w tematyce archiwów watykańskich dotyczących nuncjatury w Polsce, wybitny znawca dziejów Kościoła na Śląsku. Te słowa o autorze są ważne byśmy wiedzieli, że pisarz i książka mają rangę ponadprzeciętną.

Biografia bpa Henryka Grzondziela jest bowiem, dzięki myślowej precyzji i naukowej skrupulatności autora, książką - nie wahać się napisać - fascynującą. Bo takie też było życie Henryka Innocentego Grzondziela urodzonego w 1897 roku Załężu.

Wychowanek bł. ks. Józefa Czempieła. Żołnierz Wehrmachtu w czasie I wojny światowej. Książd o wielu talentach duszpasterskich i organizacyjnych. Przygotowywany przez wrocławskiego kardynała Adolfa Bertrama na następcę. Przed II wojną i w jej czasie szukanowany przez niemiecki rząd narodowosocjalistyczny, po wojnie przez polskie władze komunistyczne. Najpierw podejrzewany o postawę „propolską”, potem „proniemiecką” - kiedy został faktycznie usunięty z archidiecezji wrocławskiej jako już ostatni świadek duchowego i kulturowego dzie-

## Biskup zawiłych dróg



dictwa tej metropolii kościelnej. I to w dodatku - czy może być dla księdza większy ból? - usunięty przez ówczesnego rządcę archidiecezji, spolegliwego wobec władz komunistycznych, ale działającego w tej sprawie z pobudek własnych.

Brzmi to wszystko może aż nazbyt heroicznie, więc śpieszć dodać, że nie jest to w żadnym razie książka w stylu „hagiograficznym”. Ścisła analiza źródeł, bez jakichkolwiek upiększających uogólnień, w połączeniu z żywym tokiem narracji sprawia, że czytelnik obcuje z postacią z krwi i kości. Zebranie materiałów faktograficznych stało się możliwe dzięki rodzinie oraz współpracownikom bpa Grzondziela, którzy zachowali tak niezwykle dokumenty jak: „Mój dziennik” - pisany przez 15-letniego Henryka, czy listy do rodziny m.in. z frontu I wojny światowej. Najobszerniejszą część książki stanowią właśnie te i inne jeszcze dokumenty (pouczająca i zdumiewająca jest np. lektura korespondencji, ilustrująca klimat usunięcia ks. Grzondziela z Wrocławia) i wybór spuścizny pisarskiej bohatera książki. Również ich lektura - zapewniam - dostarczy czytelnikowi wielu doznań i wzruszeń. Oddaje bowiem aurę zmieniających się uwarunkowań życia na Górnym Śląsku w wieku XX, skupioną w życiowych losach wybitnej postaci tutejszego Kościoła.

ANDRZEJ KERNER

Od niespodziewanej śmierci autorki zebranych pieczołowicie prac z serii śląskoznawczej minęły dwa lata. W tym czasie ukazały się już dwa wybory z jej cennego dorobku. Pierwszy przygotowali przyjaciele i współpracownicy zmarłej w jej macierzystym Instytucie Języka Polskiego. Z konieczności ograniczona objętość tomu została przydzielona dorobkowi związanemu z badaniami historii języka ogólnego i przeszłości językowej Śląska. Nie udało się też w drugiej części zmieścić wszystkiego, co w swym pracowitym życiu naukowym stworzyła Alina Kowalska, jedna z wybitnych badaczek polszczyzny śląskiej, często cytowana przez środowisko językoznawcze jako autorka m.in. monografii *Dzieje języka polskiego na Górnym Śląsku w okresie habsburskim (1526-1742)* wydanej we Wrocławiu w 1986 r. Te niedostatki wyrównuje w imponującej formie omawiana tu publikacja. Składa się z pięciu części. Pierwsza poświęcona jest stanowi i perspektywom badań historycznojęzykowych nad polszczyzną śląską. Druga - językowi polskiemu na Górnym Śląsku w świetle archiwaliów. Trzecia - badaniom nad gwarą. Czwarta - obrońce przed germanizacją i odrodzeniu polskiego języka literackiego. Wreszcie piąta - poezji śląskiej.

Tom otwiera wstęp profesora Józefa Śliwioka, prezesa Górnośląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przedstawia on krótki rys osobowości prof. Aliny Kowalskiej jako naukowca, a zwłaszcza jako człowieka. Szczególnie trafna wydaje się przytoczona za prof. Ranożkiem maksyma, charakteryzująca jej postawę „Cicho żyć, cicho pracować, cicho odejść”. Jako osoba przyjaźniąca się ze zmarłą przeszło czterdzieści lat muszę podkreślić u niej absolutnie niewspółczesny brak chęci stwarzania sobie publiczności i medialnego wizerunku. Prof. Kowalska, nieskłonna do autoreklamy, do wynurzeń o sukcesach i gloryfikacji swoich osiągnięć, w pełni realizowała chrześcijański model pokory.

Dla zainteresowanych i poszukujących artykułów dotyczących np. roli Kościoła katolickiego na Śląsku, wydawcy zamieścili pełną bibliografię prac prof. Kowalskiej.

Część pierwsza dotycząca badań nad historią polszczyzny śląskiej, słusznie zajmuje w wyborze poczesne miejsce. Autorka przedstawiła w niej przemyślany program naukowy (dziś powiedzielibyśmy projekt) opracowanie czterech stuleci (1521-1921) dziejów polszczyzny śląskiej. Miało go realizować Instytut Języka Polskiego Uniwersytetu Śląskiego, co się też stało. Alina Kowalska była jedyną referentką tego projektu na corocznym Zjeździe Polskiego To-

# Nie tylko o języku

Alina Kowalska, *Z badań nad dziejami języka polskiego na Górnym Śląsku. Wszelchnica Górnośląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk im. W. Roździeńskiego w Katowicach. Materiały do druku przygotowali: Jerzy Kowalski, Józef Śliwiok Katowice 2002, s. 272.*

warzystwa Językoznawczego, zyskała w dyskusji zainteresowanie środowiska i akceptację przedstawionej metodologii oraz zakresu badań.

Część druga, skupiająca artykuły powstałe w żmudnych, ale owocnych kwerendach archiwalnych, ilustruje bardzo istotną dla naukowca cechę - dążność do jak najlepszego udokumentowania materiałowego wniosków i syntez. Prof. Kowalska, wzorem dawnych mistrzów - historyków języka: Witolda Taszyckiego i Stanisława Rosponda, przemierzała niestrużenie Śląsk, by w archiwach odnaleźć i odczytać potrzebne dane. Szczególną wagę przywiązywała do archiwaliów parafialnych, co znalazło w tej części tomu odpowiedni wyraz.

Część trzecia dowodzi rzetelności w poszukiwaniu wszelkich dostępnych źródeł, z których można by odtworzyć stan gwary śląskiej w przeszłości. Polszczyzna śląska musiała być zbadana w dwu podstawowych kodach: ogólnym (oficjalnym) i gwarowym. Autorka sięgnęła więc do ksiąg cechowych z Sośnicowic i Toszka, by odtworzyć stan gwary gliwickiej w pierwszej połowie XIX wieku. Trzeba zaznaczyć, że zapisywała karty historii gwary na Śląsku dotąd niemal zupełnie puste. Czyniła to nowocześnie, wyzyskując wszelkie osiągnięcia językoznawstwa polskiego w II połowie XX wieku.

Część czwarta, najobszerniejsza, poświęcona jest odrodzeniu polskiego języka literackiego (dziś napisalibyśmy ogólnego) na Górnym Śląsku w XIX i XX wieku. Dokonywało się ono w obronie przed germanizacją. W procesie tym ważną rolę odegrała szkoła, redaktorzy i wydawcy czasopism i książek oraz duchowieństwo katolickie. Działalność ta, troska o poprawność języka, o zachowanie normy ogólnopolskiej, o dostarczenie śląskiemu czytelnikowi dobrej językowo literatury popularnej, trwała mimo nacisku władz pruskich. Śląsk od końca XVIII wieku znalazł się bowiem, z wyjątkiem księstwa cieszyńskiego, pod panowaniem Prus. Władze pruskie prowadziły tu konsekwentną walkę z polskością. Nastąpiła fala kolonizacji nazwanej fryderycjańską, obsa-

danie wszelkich stanowisk w rozwijającym się przemyśle Niemcami i spychanie Górnoślązaków do klasy robotników. Germanizacji poddano administrację, sądownictwo, szkołę. Odpowiednie księgi prowadzono tylko w języku niemieckim, tak też się stało i z księgami cechowymi.

Te i inne zabiegi władz pruskich, których efekty trwają do dziś, dzięki dogłębnym, własnym poszukiwaniom prof. Kowalskiej, pozwalają czytelnikowi nie tylko pogłębić wiedzę o przeszłości regionu, ale są konieczną podstawą do analizy współczesnych stosunków językowo-kulturowych na Górnym Śląsku. Są cenne nie tylko dla językoznawcy, ale również dla socjologa, politologa, folklorysty itp.

Alina Kowalska kreśli też sylwetki dwóch zasłużonych dla Śląska księży. Jana Alojzego Ficka, proboszcza w Piekarach, wydawcy, w założonej przez niego w Piekarach drukarni, książek o tematyce religijnej w języku polskim i bibliofila. Zgromadził 3 tysiące woluminów pisanych po polsku, wydanych w oficynach pozaśląskich w całej Polsce - w Poznaniu, Krakowie i w Warszawie.

Drugim działaczem-folklorystą, opisującym pieśni ludowe, obyczaj śląskie był ks. Emil Szramek. Znałca gwary śląskiej i obrońca jej polskości. Walczył z germanizacją języka, m.in. wprowadzając Kącik językowy-poprawnościowy w „Głosach znad Odry”. Uzasadniał, zwracając się do władz pruskich, prawo Ślązaków do używania języka polskiego. Był, w dzisiejszej terminologii, obrońcą praw ludności regionu do porozumiewania się w języku macierzystym. Rozumiał też skutki braku rodzimej inteligencji, której miejsce zajęli Niemcy, stwarzając bariery dla Ślązaków.

Część piąta wzbogaca całość o uwagi na temat poezji powstałej na przemysłowym Śląsku. Poetyckość dostrzegła autorka m.in. w „Pieśniach ludu polskiego na Górnym Szląsku”, opracowanych przez Juliusza Rogera w 1863 r., wydanych w Wrocławiu. Przytoczę pieśń z Rybnickiego: „Jadę do Berlina/ Szabliczkę toczę, / Obejrzyj się miła, / Moja roztomiła, / Już się nie wróćę.” Jest to pożegnanie żołnierza, ale wers o zdeterminowaniu losu, opuszczającego małą ojczyznę, może być mottem do życiorysu innych Ślązaków, którzy już się nie wrócili.

Ten krótki przegląd problematyki, której Alina Kowalska była wierna aż po śmierć, być może skłoni czytelników „Śląska” (zwłaszcza nauczycieli wprowadzających edukację regionalną w szkole) do sięgnięcia do bogatego, napisanego prostym, jasnym językiem, zbioru jej prac.

ANTONINA GRYBOSIOWA

Nie ma rękopisów, ani maszynopisów nowych wierszy. - Mamy pliki z wierszami, które tworzy się w komputerze. Datę powstania „sonetów rymskich” poety Adama Miśkiewicza ustalamy poprzez tekst, przez określenie dat powstania różnych plików i wprowadzenia edytorów na rynek. Poezja z kartek papieru przenosi się do komputera. Nawet redakcje nie chcą przyjmować wierszy inaczej, jak zapisanych na dyskietce. Czy komputer może pisać wiersze? Nie - i pewnie długo nie będzie mógł. Ale już poeta częściej sięga po bibliotekę cyfrową, czyli słowniki załączone do edytora tekstów, niż po grube księgi. Wystarczy klik myszką i słowo „myszka” pod piersią ukochaną dziewczyny zamienia się w wierszu automatycznie na „pieprzyć”, „plamę”, albo „znamie”.

Dlaczego o tym piszę? Bo ukazała się na papierze antologia wierszy publikowanych w „Kursywie” - jednym z kilku internetowych pism literackich w Polsce. „Kursywa” przez długi czas ukazywała się tylko w wersji elektronicznej i sporadycznie jako dodatek do „Opcji”. Książka jest przeglądem najlepszych, zdaniem redaktorów, wierszy jakie zamieszczono w internecie i ma być podsumowaniem trzyletniej działalności tego pisma.

Antologia prezentuje 30 autorów - głównie poetów. Autorzy wyboru: Paweł Łekszycki i Adam Pluszka, w różnych komentarzach zawartych w niej starają się efektownie przypodobać czytelnikom, nawiązując do jednej z modnych list przebojów pod nazwą „30 ton” - nie wiem gdzie prezentowanej, w radiu, czy w telewizji. Język tych komentarzy jest w istocie podobny - slangowy, zatrącający o manierę, na pewno nie krytyczny.

A jak się to przekłada na wybór wierszy? - Są gwiazdki i najmłodszy - rozpiętość w latach urodzenia od 1960 r. - jak Karol Maliszewski, po lata 1984 - jak Ewa

## Poezja „Kursywa” - czyli porobiło się...



Pirowska. Z „nadzikowców” pół składu: Kremza, Majzel i Olszańscy. Jest „fryzjer” Foks (Dariusz) - tu w roli krótko ostrzyżonego lisa. Warto odnotować obecność Krystiana Emanuela Baczewskiego, Radosława Kobierskiego, Pawła Samę, Tomasza Różyckiego, i jeszcze kilka innych na-

zwisk, nie mniej ciekawych, kilka zupełnie mi nie znanych. Wiersze na ogół udane, sprawne, czasem efektowne - w każdym na ogół coś jest interesującego, ale bywają też efekciarskie i tandetne - jak w przypadku słynnego Marcina Barana (jego „Słynna ciemna strona księżycza”).

W tej ciekawej książce, w której nie brakuje dobrych i mocnych wierszy, zastanawia mnie coś innego. Przeważa obserwacja dnia codziennego: „... w prochowcu lutowego/ zmierzchu, wybieram z włosów popioł. oglądam/ z niedowierzaniem. z łupieżem byłoby łatwiej/ pogodzić się.” i druga obserwacja: „włosy w przeciągu/ kilku minut przewidują nadchodzący katar/ szampon 2w1 nie daje ukojenia...”.

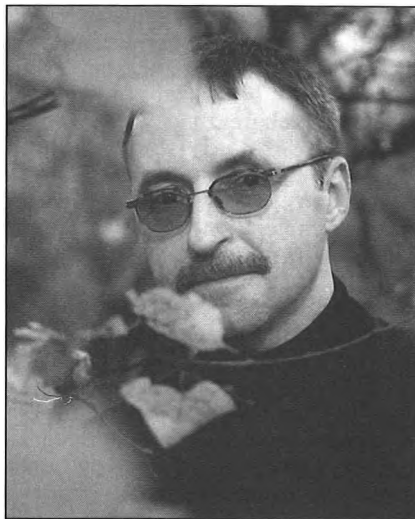
- Tak się złożyło, że trzy cytaty, razem z tytułem wiersza Barana, a mamy już cztery nawiązania do świata pop-kultury: do Coena, Pink Floyd i reklamy. Na miły Bóg, jak odróżnić, który z cytatów pochodzi z wiersza Pirowskiej, a który Tadeusza Dąbrowskiego? - Jakie były powody do napisania ich?

W tej pop poetyce język się zunifikował, zunifikowało się przeżycie, zgrubił krajobraz, metafora, ujednoliciła fraza, zanikły język protestu, bunt i zaangażowanie. Bo dla mnie wyrazem buntu nie są słowa z wiersza - pisanego Osiecką (też pop) - Katarzyny Ewy Zdanowicz: „noszę okulary wielkie jak słoneczniki/ warkocz chude jak dżdżownice/ i piżamę w tuste biedronki// właściwie wciąż jestem tą samą dziewczyną/ której zdjąłeś majtki// ale już więcej nie nabiorę się na te tanie chwyty/ jak miłość śmierć prawda i pisanie wierszy”.

Nie, nie narzekam, bo sporo jest w antologii dobrych wierszy, ale zdecydowanie nie udało się debiutu. W prezentowanej książce wolę jednak poetów nieco starszych, bogatszych i dojrzałych.

ŚLAWOMIR MATUSZ

Nasze wydawnictwo przez pół wieku (w tym roku obchodzi jubileusz) swe go istnienia kreuje i promuje najciekawsze zjawiska literackie oraz najwybitniejszych twórców literatury polskiej i obcej. Wśród autorów związanych z oficyną są polscy nobliści Wisława Szymborska i Czesław Miłosz, oraz tak znakomite nazwiska, jak Stanisław Barańczak, Gustaw Herling-Grudziński, Stanisław Lem, Ewa Lipska, ks. Stanisław Musiał, Jerzy Pilch, Tadeusz Różewicz, Jan Józef Szczepański, Dorota Terakowska, Jan Twardowski, Karol Wojtyła, abp Józef Życiński i wielu innych. Na wiosnę polecamy *Elementarz* Wojciecha Eichelbergera dla kobiety i mężczyzny. To niekonwencjonalny poradnik dla poszukujących odpowiedzi na najważniejsze pytania dotyczące macierzyństwa, ojcostwa, samotności, religii i duchowości oraz związanych z tym problemów współczesnego świata. Wybór myśli znanego psychoterapeuty, pochodzący z jego książek i artykułów, ujmuje celnością sformułowań, dobitnością i odwagą wypowiedzianych sądów. Inną pozycją wartą przeczytania jest „Ewangelia według Piłata” Erica-Emanuela Schmitta. Po opublikowaniu w 2000 r. znalazła się szybko na listach bestsellerów, jako jeden z najbardziej rozchwytywanych i najgoręcej dyskutowanych tytułów. W Ogródzie Oliwnym młody człowiek czeka na śmierć. Rozpamiętuje swoje życie, wiedząc, że niebawem zja-



## Zapowiedzi wydawnicze

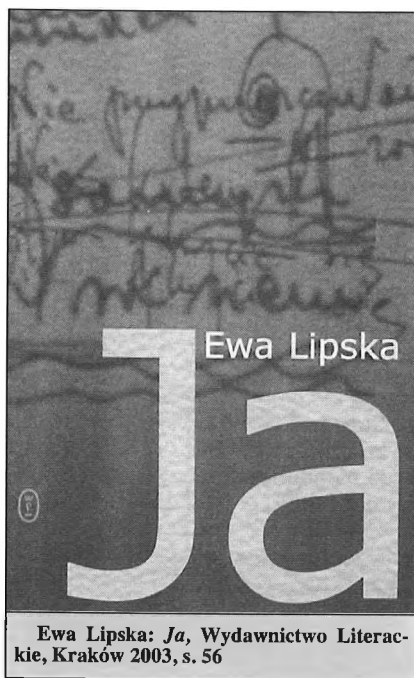
KRZYSZTOF LISOWSKI  
specjalista public-relation  
Wydawnictwa Literackiego

wią się żołnierz, aby go pojmać i zaprowadzić przed sąd. Jaka siła uczyniła z syna cieśli cudotwórcę? Czy jest on - jak uważają jego uczniowie - synem Boga? Aż do ostatniej chwili Jezua nie jest pewien niczego - prócz tego, że umrze. Z kolei „Najpiękniejszy dom na świecie” Witolda Rybczyńskiego może okazać się pomocną lekturą, kiedy pytanie o własne miejsce na ziemi przybiera kształt marzenia o zbudowaniu własnego domu. Osobista opowieść autora mówi o tym, że budowa domu to nie tylko wytyczanie fundamentów i stawianie ścian, lecz jedno z najważniejszych przedsięwzięć życiowych, zadanie intelektualne i przygoda duchowa. Zainteresowanych poszukiwaniem własnej drogi duchowej zaciekawia zapewne „Wiara wątpiących” abpa Józefa Życińskiego. Książka napisana jest przystępnie, w esejistyczno-gawędziarskim stylu, co sprawia że czyta się ją jednym tchem. Porusza takie problemy jak stosunek wiary katolickiej do poznania naukowego, zawiera krytykę współczesnej kultury za jej powierzchowność, irracjonalność, a także opis fascynującego doświadczenia dochodzenia do poznania Boga bardzo różnymi ścieżkami. W książce znajdziemy także dużo uwag na temat doświadczenia etycznego - konieczności otwarcia się na drugiego człowieka i jego cierpienie, oraz estetycznej wrażliwości na piękno i harmonię otaczającego świata.



Był koniec lat sześćdziesiątych, kiedy kupiłem sobie „Dom Spokojnej Młodości”. Wiersz „My” zdecydował o tym, że wybrałem sobie właśnie tę poezję, choć mogłem trafić na zupełnie inny „głos pokolenia” urodzonego niedługo po wojnie i dźwigającego mimo to „przestrzeloną pamięć”. Nie mam już tamtego tomiku, ale przez wszystkie następne lata starałem się nadal czytać Ewę Lipską, widząc w niej jakby koleżankę ze szkolnej paczki, z którą dobrze się rozmawia podczas kolejnych spotkań. Przez ten czas „wyrośliśmy” z pierwszych wierszy, choć pozostał do nich sentyment. Podobało mi się, że zamiast tytułów nadawała kolejnym zbiorom numery, była w tym jakaś prowokacyjna abnegacja. Podobały mi się jej „przebrania” za kogoś innego, w innym wieku, w innym czasie, innej płci, co bodaj w „Ludziach dla początkujących” doprowadziło do narodzin pana Schmetterlinga. Bliski mi był jej sceptycyzm, ironia, poczucie humoru (czasami wiśielcze). Przede wszystkim jednak ciekawił mnie indywidualny język Lipskiej, czy też - mówiąc precyzyjnie - ciągle i nieufne badanie możliwości tego narzędzia opisu świata. Po drodze znikły rymy, znikali narratorzy, wiersze stawały się coraz bardziej ascetyczne, jakby poetka wykreślała z tekstu wszelkie emocje, zostawiając tylko tyle słów, żeby czytelnik wiedział, że to jeszcze utwór poetycki. W powieściach o mafii pojawia się taki zwrot, kierowany do ofiary, jako usprawiedliwienie wyrządzenia jej krzywdy: „to nie jest nic osobistego, to tylko interes”. Lipska jakby przyjęła podobną zasadę w swojej poezji. „To nie osobistego, to tylko wiersz” - zdaje się mówić czytelnikom. Wiersz o świecie, w którym musimy żyć, bo jesteśmy na niego skazani, chociaż go nie rozumiemy i nie akceptujemy. Poetka nie czyni z siebie kronikarza schyłku, nie udaje „starca z gór”, który „wie”. Zlewa się z tłumem ludzi, którzy znaleźli się w tym miejscu, w tym czasie, w tej sytuacji nie z własnej woli. Rozmowa o katastrofie toczy się więc na przykład „przy wegetariańskim deserze”. Dlatego także na opis składają się słowa bardzo codzienne, wręcz „prozaiczne”, zestawione tak, żeby wywołać wrażenie, iż autorka bez emocji, w pełni obiektywnie rejestruje rzeczywistość, w której obok „stada bańalów błakającego się po torfowiskach przymiotników” pojawiają się też zagubione wśród tego ważne prawdy i odkrycia, które jednak nie są w żaden sposób uprzywilejowane. Tomiki „1991” i „Sklepy zoologiczne” osiągnęły surowość średniowiecznych ikon. Trudno mi było po lekturze wyobrazić sobie następne wiersze Lipskiej. Wydawało mi się, że DALEJ i POTEM możliwe jest już tylko milczenie. Z wielką więc ciekawością (ale też dość nieufnie) zabrałem się do czytania nowej książeczki poetyckiej Ewy Lipskiej, zatytułowanej „Ja”.

Tytuł zapowiadał mi raz jeszcze bardzo osobistą. Może tak jest, może jednak to tylko kolejna kreacja. Na pew-



## Uroda „brzydkich” słów

no rozczarowani będą widzowie *reality show* i telewizyjnych rozmów z tzw. ciekawymi ludźmi. Bo jeśli nawet są w tym tomiku jakieś wątki autobiograficzne (nie znam życiorysu poetki), to na pewno bez „szczegółów” i anegdot. Konkrety pojawiają się - znów odwołując się do malarstwa - tylko tak jak na niektórych obrazach tzw. „literatura”. Może (chyba tak, bo należało to do rytuału życia rodzinnego) mała Ewa piła tran, jadła złoty rosół albo razem z rodzeństwem pytała o deser, przeżywała przygody dzieci kapitana Granta, nie jest to najważniejsze. Liczy się, że wszystkie te hasła odsyłają nas do słowników naszej własnej pamięci, dlatego są wiarygodne i przejmujące. Po osiągnięciu pewnego wieku zaczynamy lubić sentymentalne podróże w przeszłość. Chętnie odbywamy je w towarzystwie twórców, którzy tak pięknie potrafili „za nas” ocalać miniony czas od zapomnienia. Nie ten jednak aspekt decyduje o wartości najnowszego tomiku Ewy Lipskiej. I o jego wielkości, bo to na pewno poezja wspaniała.

Niedawno jadąc tramwajem zobaczyłem jakąś maszynę, na której umieszczony był napis „przepychny pod drogami”. Pod nim figurował telefon firmy zajmującej się wspomnianą działalnością, służącą przeprowadzaniu pod jezdnią kabli lub może rur bez prucia asfaltu. Nie mając nic do roboty zacząłem się zastanawiać nad skomponowaniem

miejskiego haiku (klasycznego, siedemnastosylabowego), w którym wygrane byłoby podwójne znaczenie słowa „przepychny”. Ale dojechałem do swojego przystanku i natchnienie mi przeszło bez konsekwencji. Przypomniała mi się ta historyjka, kiedy czytałem „Ja”. Pełno bowiem w tej książeczce „przepychnów pod drogami”. Kartkując ją trafiam na „akt notarialny”, „magazynek broni palnej”, „kartę gwarancyjną”, „listę przebojów”, potworną „sokowirówkę” i cały szereg pojęć z informatycznego slangu - „folder”, „dialogowe okno”, „ikonę” itd. Jakaż niewdzięczna materia do tworzenia wierszy! Był taki czas, kiedy dyskutowano zaciekle o dehumanizacji, będącej efektem postępu technicznego, z czego - jak zwykle - niewiele wynikało. Tymczasem Lipska, zamiast błądząc nad degeneracją czy brzydnieniem języka, pozbierała wszystkie te lingwistyczne „brzydkie kaczątko” i w swojej poezji przemieniła je w łabędzie. Tendencję taką można znaleźć już w jej poprzednich zbiorach, nigdy jednak nie było to tak konsekwentnie doprowadzone do samego końca, do granic możliwości. Od dawna nie przeczytałem nic bardziej prawdziwego i poruszającego od linijek kończących wiersz „Dom”:

*W oddali nasz dom rodzinny.*

*Czarna skrzynka. Dygresja wypadku*

Trywialna nazwa odpornego na uszkodzenia mechaniczne, ogień i Bóg wie, co jeszcze urządzenia rejestrującego funkcjonowanie poszczególnych elementów samolotu (i rozmowy pilotów), użyta w tym kontekście działa z ogromną siłą. Wyzwała wspomnienia i tęsknoty. Porusza emocje. Autorka uzmysłowiła nam, że w tej znanej każdemu „czarnej skrzynce” wszystko zostało zapisane. Możemy sobie do woli badać przyczyny katastrofy. A kiedy już je odkryjemy, możemy zadzwonić. Usłyszymy zapewne głos z wiersza „Nikt”:

*Proszę zostawić wiadomość  
mówi nikt.*

„Świat się spruł” mówi krawiec z wiersza „11 września 2001”. Możemy też konstatację uznać za prawdziwą. Nawet przywołać jeszcze bardziej czarny obraz rzeczywistości.

*No i co z tego*

*kiedy miłość*

*gałązka lekko poruszana przez wiatr  
jest zawsze Numer Jeden  
i chyli się w naszą stronę.*

Dlatego kiedy „sokowirówka / wyciska z nas nieśmiało zeznania”, słyszy krótkie „tak” - słowo będące afirmacją życia, rzeczywistości, nawet „sprutego świata”. Afirmacją mimo wszystko.

Pisanie o poezji jest zawsze dla mnie ciężką pracą, bo wolę się cieszyć wierszami, zamiast o nich mówić. Dlatego nie próbuję nawet szukać jakichś mądrych podsumowań i uczonych wniosków. Kończę więc ten tekst trawestacją mojej ulubionej poetki: Dobrze, że Ewa Lipska jest zawsze Numer Jeden i chyli się w naszą stronę.

BOGDAN WIDERA

**Anne Frank, „Dziennik (oficyna), wyd. drugie”, Wydawnictwo Znak, Kraków 2003 r.**

„Dziennik” Anny Frank znają wszyscy. Pisała go trzynastoletnia Żydówka - Anna, ukrywająca się razem z rodziną przed hitlerowcami. Przez dwa lata (od 1942 do 44 r.) udało im się przetrwać w oficynie w centrum Amsterdamu. Kiedy wyzwolenie Holandii było już bliskie, Gestapo zlokalizowało kryjówkę i aresztowało wszystkich jej mieszkańców. Z całej rodziny przeżył tylko ojciec, który później opublikował „Dziennik”. Ten wstrząsający zapis szybko stał się jedną z najbardziej znaczących książek w historii holenderskiej literatury. To nie tylko obraz tragizmu tamtej sytuacji, ale i rejestracja dojrzewania autorki. Książkę przetłumaczono na trzydzieści języków. Najnowsze wydanie zostało wzbogacone o pięć odnalezionych, jeszcze dotąd niepublikowanych stron notatek. Podobnie jak wcześniej opublikowało je wydawnictwo „Znak”.

bgz

**Joanna Salamon: „Nazbierałam w wieczorze światel”, Wydawnictwo Klubu Artystyczno-Literackiego Teatru Stygmator, Kraków 2002 r.**

Ten wybór wierszy Joanny Salamon nabiera jeszcze większej wartości jeśli się zna kulisy jego powstania. Przygotowała go przy pomocy młodego poety Eryka Ostrowskiego terminalnie chora autorka. Książka mobilizowała ją do życia. Nie doczekała chwili jej wydania, umarła 6 grudnia 2001 r., zbiór wierszy ukazał się w styczniu roku następnego. Wiersze jednak, tak jak za życia poetki „żyją osobno”, prowokują do zdziwienia i zabawy słowem („Abecadło”), zmuszają do zamilknięcia, jak te ostatnie, będące odsąconym na ile się da z emocji, zapisem cierpienia („Anioł czasu krągłego”). Śpiewna, pełna dramatyzmu fraza ostatnich tekstów przypomina chwilami linijki Mariny Cwietajewy czy Anny Achmatowej, których Salamon była znakomitą tłumaczką. Jest w nich przede wszystkim ona sama, świadoma umierania (z zawodu lekarz pulmonolog), ale po męsku do ostatka kochająca życie.

bgz

**Marek Skwarnicki: „Ptaki”. Wydawnictwo Nowy Świat. Warszawa 2002. s. 47**

Tomik „Ptaki” Marka Skwarnickiego można nazwać biurem rzeczy zagubionych. Znajdujemy w nim to, co czas wziął w swoje panowanie, każąc nam się cieszyć śladami, odbiciami, wspomnieniami. Prawdziwe piękno kobiet, muzyki, przyjaźni, miłości. W wierszu, w którym piękna kobieta siedzi i płacze nad odchodzącą urodą i przemijaniem marzeń autor notuje „Gdybym tę kobietę / Mógł spotkać raz jeszcze tam, / Gdzie zgromadzone są wszystkie rzeczy zagubione / I cieszyć się jej widokiem / Bylibyśmy znowu szczęśliwi.” Skwarnicki panuje nad czasem. Pozornie kruche słowa jego wierszy mają moc cofnięcia przemijania. Paradoksalnie, tytułowy wiersz tomiku nosi nazwę „Ptaki”. Ptaki symbolizują ciągły ruch, przemijanie, nieustanny przepływ czasu. Wszystko płynie - zda się powtarzać za Heraklitem poeta. Ale doskonale przezwycięża ów nieustanny bieg, gonitwę, właśnie tym poetyckim zapisem - zatrzymanym w wierszu słowem. „Ptaki” niepokoją, przypominając o locie. „Ptaki” uspakajają, przygotowując na lot.

bgz

**Krystian Hadasz: „Światowy Dzień bez Polski” Wydawnictwo it@tis sp.z o.o. Chorzów 2003 r. 63 s.**

Już sam tytuł ostatniego tomiku Krystiana Hadasza „Światowy Dzień bez Polski” kpi z aktualnych przyzwyczajzeń myślowych, modnych trendów, niepisanych tradycji. Podczas gdy wszędzie mówi się o wejściu Polski do Unii Europejskiej Hadasz pisze o świętowaniu dnia wolnego od przymusu pamięci, od konieczności bycia kimś stosownym do panujących okoliczności. Dniu, w którym Polak przestanie brać udział w tej całej światowej zabawie. Po prostu zostanie sobą. Oryginalne, pełne zabaw lingwistycznych, przełamywania schematów językowych, niesamowitych skojarzeń są najnowsze wiersze siemianowickiego poety. W każdej dziedzinie życia, czy najwykleszej sytuacji, w której możemy się znaleźć, podmiot liryczny dopatruje się skostnienia, smutnej rutyny. Przez drwinę, nagle „uszczypliście” słowem, humor, pozwala zobaczyć wszystkie te sprawy inaczej, na nowo. „Wyszli z partii poprawić makijaż i wstąpili do nowej pachnącej oliwką dla niemowląt” („wylanie”) - to tylko próbka tego, co Hadasz zgrabnie pisze o politykach. „Światowy Dzień bez Polski” jest wart lektury. I to niejednokrotnej.

bgz

**Adam Regiewicz: Wizerunek heretyka w średniowiecznym piśmiennictwie polskim. „Folia Sciencita Bibliothecae Silesianae”, Katowice, 2002, str. 176.**

Tytuł tej książki - „Wizerunek heretyka w średniowiecznym piśmiennictwie polskim” jest nieco mylący. Adam Regiewicz, literaturoznawca zajmujący się etnologią, antropologią i mediewistyką, członek Polskiego Towarzystwa Teologicznego, potraktował temat herezji znacznie szerzej. Można nawet powiedzieć, że portret „odstępcy” w polskim piśmiennictwie to tylko część tej pracy. Znajdziemy w niej bowiem wprowadzenie odnoszące się do ustaleń współczesnych (Sobór Watykański II), opis najbardziej znaczących ruchów heretyckich w Europie, omówienie poświęconych tematowi pism Ojców Kościoła i średniowiecznych dokumentów kościelnych, wreszcie - ewoluowanie samego przedstawiania postaci heretyka, od „diabelskiego slugi” w wieku XII i XIII, do XV-wiecznego rewolucjonisty, zagrożającego panującemu porządkowi społecznemu. W części dotyczącej Polski autor pokazuje trzy wizerunki „brata błędzkiego” w ujęciu Stanisława ze Skarbimierza, Zbigniewa Oleśnickiego i Jana Długosza. Ten rozdział poprzedzony został przeglądem tematyki nie tylko w literaturze polskiej, czy listach biskupów, ale i kronik, a nawet annałów sądowych. Fascynująca lektura, zwłaszcza dla miłośników średniowiecza.

b.w.

**Romuald Skopowski: Zasiedzialem się, czas na mnie... „Śląsk”, Katowice marzec 2003, str. 174**

Urodzony w 1939 roku w Józefówce koło Tarnopola autor trafił po wojnie wraz z rodziną na Dolny Śląsk, a po studiach we Wrocławiu przyjechał na Góry, gdzie „poza oficjalnym nurtem twórczości” pisał pod pseudonimem teksty piosenek, również w gwarze śląskiej. Ten skrót biograficzny jest chyba najlepszym wprowadzeniem do wyboru wierszy z ośmiu wydanych wcześniej zbiorów. Tłumaczy powracające stale wątki wojny, uchodźstwa, krzywdy - sięgając do miłoszowskiej terminologii - człowieka prostego. W wierszach, zwłaszcza tych nowszych, powraca temat przemijania, śmierci coraz częściej pojawiającej się w najbliższym otoczeniu, co - podobnie jak tytuł wyboru - jest jakby aluzją do wieku poety, ale to klucz trochę mylący, bo miejsce II wojny światowej zajmują coraz to nowsze krwawe wydarzenia - konflikt w Sarajewie, zamach w Nowym Jorku. „Parowóz dziejów” ciągle gna i nadal okalecza lub zabija niewinnych. Przejmujące wiersze, gorzka diagnoza ludzkiej natury.

b.w.

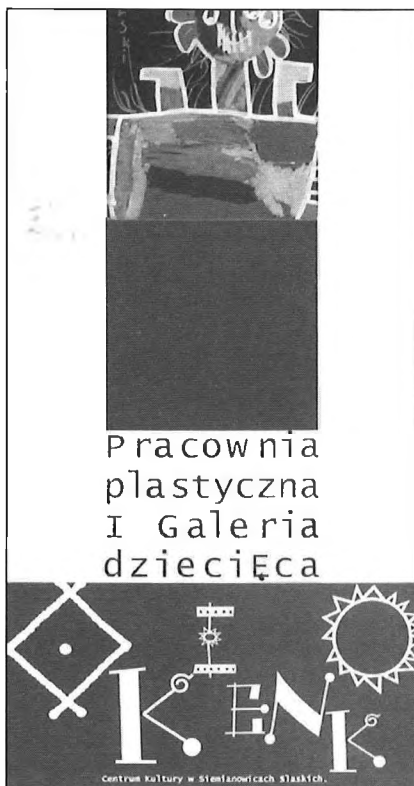
Okno na świat plastyki, czyli pracownia plastyczna i galeria dziecięca „Okienko“ działająca w Centrum Kultury w Siemianowicach Śląskich. Miejsce stworzone w październiku 1994 roku dla dzieci w wieku od 5-15 lat. Tylko dzieci mogą tworzyć w tej pracowni i tylko prace dziecięce wystawiane są w galerii „Okienko”. To jedyna galeria dziecięca na Śląsku. Powstała pięć lat temu na potrzeby pracowni, w której powstają ciekawe i nagradzane prace. Zajęcia w pracowni plastycznej prowadzi Dorota Micior-Gajewska.

**DOROTA MICIOR-GAJEWSKA**  
- Wystawiamy prace nie tylko dzieci „okienkowych” ale i z innych miast Polski, z pracowni podobnie działających. Mają miejsce wystawy po konkursach ogólnopolskich. Ostatnio z np. XIII Międzynarodowego Biennale Grafiki Dzieci i Młodzieży 2002 na którym nasza Dorota Litwin zdobyła wyróżnienie czy IX Międzynarodowego Biennale Exlibrisów Dzieci i Młodzieży w Żarach, gdzie Agnieszka Piotrowska zdobyła nagrodę a Martyna Michalska i Miłosz Gajewski wyróżnienia. W naszej galerii można zobaczyć co najlepszego dzieje się w sztuce dziecięcej, co miesiąc jest wernisaż. Każdej wystawie towarzyszy katalog.

- **Działalność „Okienka”** jest znana poza Siemianowicami. I nie tylko w sąsiednich Katowicach i Bytomiu. Najbardziej prestiżowa jest współpraca z „Bunkrem”, tj. Biurem Wystaw Artystycznych w Krakowie. Dwa razy do roku podopieczni pracowni jeżdżą tam na imprezy.

- **Jak wygląda nabór dzieci?**

- Co roku przeprowadzam nabór. Mogę przyjąć 90 osób, ale jest więcej chętnych niż mam miejsc. Mogłaby istnieć druga pracownia w mieście i miałby pracę drugi plastyk. Przyprowadzenie w dużej mierze zależy od rodziców. Jakiekolwiek podejście do zamiarów dziecka. Ale dziecko musi chcieć rysować. Jeżeli dziecko nie chce pracować twórczo i poddawać się korektom to nie można się nad nim „znęcać”. Żaden rysunek nie jest wymuszony. Dzieci przychodzą bo chcą. Rodzicom tłumaczę, że jak dziecko jest zmęczone to niech go nie przyprowadzają. Nie tylko samo nic nie zrobi ale całą grupę zniechęci.



## Małe okno, duża sprawa



- **Zajęcia w pracowni są tak interesujące, że przyciągają tylu chętnych?**

- Zajęcia warsztatowe obejmują zapoznanie z podstawowymi dzie-

dzinami plastyki i jej technikami tworzenia: rysunek, grafika, techniki mieszane i inne (m.in. collage, zdrapki, batiki, sztuka użytkowa). Żadne z zajęć się nie powtarza ani tematycznie, ani w technice. Wszyscy siedzą przy jednym stole, co daje niepowtarzalną atmosferę. Jakby każdy ma udział w tworzeniu prac innych. Z wyjątkiem przedszkolaków, mających swoją grupę, inne grupy wiekowe są wymieszane. Jedne od drugich się uczą. Te starsze są sprawniejsze manualnie, za to młodsze mają większą fantazję. Zależy mi na klimacie, aby było wesoło i przyjaźnie. Dzieci korzystają z materiałów w domu niedostępnych. Materiały są kosztowne albo rodzice zabroniliby tego typu zabaw ze względu na ubrudzenie.

- **Co potem się dzieje?**

- Prace są gromadzone w pracowni i na koniec dziecko zabiera swoją teczkę ze sobą. I mają one swoją wartość, także wymierną. Poprzez system punktowy w szkołach prace te dają uczniom dodatkowe punkty.

- **Nie sposób wymienić wszystkich konkursów w których biorą udział młodzi adepci malarstwa i rysunku. Ale z sześciu grup pewnie nietrudno wybrać ciekawe prace?**

- Wysyłam dużo prac na konkursy, ale to nie jest główny cel, którym jest praca artystyczna. Na koniec zajęć w czerwcu wszystkie dzieci dostają nagrody - wszyscy jednakowe. Dzieci nie wiedzą, czyje prace wysyłam.

- **Czy uważa Pani „Okienko” za kuźnię talentów?**

- Często pytają mnie rodzice czy dziecko jest zdolne. Wtedy ja pytam: Czy dobrze się bawi? Ostatecznie dziewięcioro „okienkowiczów” przyjęło do szkół plastycznych, w tym dwie dziewczyny są studentkami Akademii Sztuk Pięknych. Jednak celem działań plastycznych jest rozbudzenie i uwolnienie wspaniałej wyobraźni. Najważniejszą zasadą jest aby dzieci mogły się wyżyć, pobrudzić i zmęczyć. Z tego wynika świadomość pracy. To się zawsze przydaje w życiu.

Rozmawiała:  
**JANINA SZANECKA**



Galerie Górnośląskiego Centrum Kultury znane są z wystaw plastycznych prezentujących bardzo śmiało czasami poszukiwania i próby artystyczne lub dorobek twórców uznanych czy wybitnych. W takim kontekście trochę zaskakujący wydaje się pomysł pokazania w tej szacownej placówce zwyczajnych ilustracji do książek dla dzieci autorstwa człowieka, którego wylali z próbnego semestru w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych, i któremu w dodatku profesor tej uczelni miał powiedzieć: „nie ma pan zdolności i jest pan niezgraba”.

Jednak wystawa „Janosch w Polsce. Pierwsze książki dla dzieci (1960 - 1975)” była w GCK jak najbardziej na swoim miejscu. Po pierwsze Horst Eckert (tak bowiem nazywa się artysta, który pseudonim Janosch zawdzięcza błędowi drukarskiemu w tytule jednej ze swych książek) urodził się w Zabrze i w swojej twórczości niejednokrotnie sięgał do własnych, śląskich korzeni. Po drugie - w Polsce znany jest przede wszystkim z powieści dla dorosłych, napisanej - jak opowiadał - po pijanemu (40 butelek ginu) pt. *Cholonek czyli dobry Pan Bóg z gliny*, znacznie zaś mniej z pisanie i rysowanie dla dzieci, a to przecież właśnie zapewniło mu światową sławę - jego książki (a napisał ich i namalował ponad 150) przełożono na 30 języków.

Po obejrzeniu ilustracji do wczesnych książek trudno się tej popularności dziwić. Janosch mówi o sobie, że jest dyletantem, rzemieślnikiem, w żadnym razie artystą, ale to nieprawda. Oglądając jego obrazki nie ma żadnych wątpliwości, że to sztuka. Mamy tu do czynienia jakby z wesołym Chagalem i to nie tylko dlatego, że niektórzy z postaci fruwią w powietrzu. Chodzi raczej o nastrój, ogromny ładunek poezji oraz bajkowe przedstawienie minionego świata. Janosch osiągnął to wszystko przyjmując dziecięcą optykę i także posługiwanie się kolorem. Nieważne są proporcje, zasady perspektywy, realne barwy. Dom na tych ilustracjach może być mniejszy od chłopca, wrona może dorównywać wzrostem krowie, a koń może mieć kolor niebieski, na dziecięcych obrazkach wszystko to jest możliwe. Również zestawianie ze sobą barw wbrew akademickim regułom.

Artyści próbują czasem naśladować dziecięcy sposób malowania, przeszkadza im jednak wiedza i ogólnie przyjęte prawa. Ja-

# Niemcy w GCK

nosch zdaje się niczego nie parodiować, odnosi się wrażenie, że w swojej twórczości jest ciągle dzieckiem, które bawi się farbami, osiągając zaskakującą świeżość wizji i barw. W psychologii osobowość dziecka bada się analizując jego rysunki. Dom, drzewo, postać ludzka, ich kolory, rozmieszczenie na kartce, wielkość itd. dostarczają informacji na temat traumatycznych doświadczeń życiowych, samooceny, zdolności. Przykładając tę naukową miarkę do ilustracji Janoscha można stwierdzić, że ich autor przybył do nas z krainy szczęśliwego dzieciństwa. Może dlatego tak łatwo poddajemy się urokowi jego prac.

Z okazji wystawy wydano piękny katalog z ilustracjami, zawierający też bibliografię Janoscha, świadcząca o wielkiej pracowitości autora *Cholonka...* i o tym, jak mało go w Polsce znamy. Niestety nie zanośsi się na jakąś szczególną odmianę tego stanu, bo wernisażowi towarzyszyło zainteresowanie dość umiarkowane. Nie przyszedł prezydent miasta, choć wystawę zorganizowano pod jego patronatem. Z akademików zaś najliczniej reprezentowani byli słuchacze czeladzkiej Akademii Smaku, którzy uświetnili uroczystość otwarcia wspaniałą „częścią gastronomiczną”.

Ponad tydzień wcześniej także w GCK, w Centrum Scenografii Polskiej pokazano bogaty dorobek scenograficzny innego niemieckiego artysty również urodzonego na Śląsku, ale Dolnym, wrocławianina Christofa Heyducka.

Ten niezależny scenograf współpracował z 29 teatrami, w których stworzył 260 opraw scenicznych do różnych spektakli. Sporą ich część stanowią projekty scenograficzne do widowisk operowych. To nie przypadek, w wieku chłopięcym bowiem Heyduck zachwycił się muzyką, zaczął nawet naukę w Krajowej Szkole Muzycznej we Wrocławiu, ale edukację tę przerwała wojna.

Uprawianie scenografii nie zawsze jest zajęciem wdzięcznym. Trzeba się pogodzić z faktem, że wolność twórczą ograniczają i prze-

strzeń sceniczna i koncepcja reżysera. Zaprezentowane na wystawie projekty świadczą o tym, że Heyduck nie tylko potrafił się do tych zasad dostosować, ale także wypracował sobie własny, rozpoznawalny „charakter pisma”. Proponowane przez niego rozwiązania są przede wszystkim funkcjonalne, wspomagające aktora i bardzo przemyślane w każdym detalu. Poszczególne projekty czerpią z różnych kierunków plastycznych, zawsze jednak występuje dbałość o czytelność i czystość przyjętej do danego spektaklu konwencji. Widać jednak, że artysta najlepiej czuł się wtedy, kiedy mógł sobie pozwolić na realizowanie „przy okazji” tworzenia scenografii swoich aspiracji malarzskich (Heyduck jest również malarzem). Jego wycieczki koloru i kompozycji podziwiać można np. w projektach scenograficznych do „Czarodziejskiego fletu” Wolfganga Amadeusza Mozarta (Städtische Bühnen, Gelsenkirchen, 1961 r). Zamiast realistycznej scenerii mamy tu do czynienia z czystą rozgrywką kolorów. Patrząc na te malarzską realizację załujemy, iż to tylko projekt „na papierze”. Ile dodatkowego życia musiały wydobywać z niego teatralne światła. Jak bardzo musiał tę barwną kompozycję wzbogacać ruch sceniczny postaci w kostiumach.

Ciekawa ekspozycja, nie tylko dla miłośników teatru. Warto jeszcze zaznaczyć, że przygotowana przez Muzeum Górnego Śląska w Ratyniu i Muzeum Teatru Miasta Düsseldorf wystawa, w Polsce została pokazana najpierw w katowickim GCK. Od połowy maja do 22 czerwca oglądać ją będzie można w rodzinnym mieście Heyducka, Wrocławiu, w tamtejszym Muzeum Architektury. Potem prace prezentowane będą w innych miastach niemieckich.

Niedawno pisałem w tym miejscu o interesujących wystawach w marcu. Mija kolejny miesiąc i znów w GCK coś się ważnego dzieje. Z tym większą ciekawością czekam na kolejne propozycje.

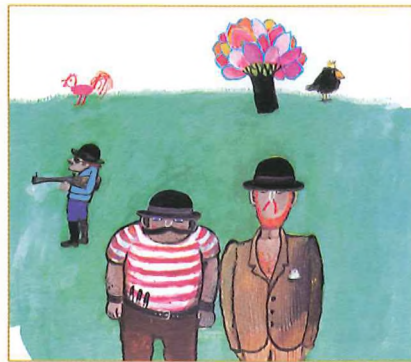
BOGDAN WIDERA

*Janosch w Polsce. Pierwsze książki dla dzieci (1960 - 1975). Organizator: Górnośląskie Centrum Kultury. Koncepcja wystawy i katalogu: Piotr Mras. Prace wypożyczone ze zbiorów Janosch film & medien AG z Berlina. 10. 04 - 11. 05. 2003.*

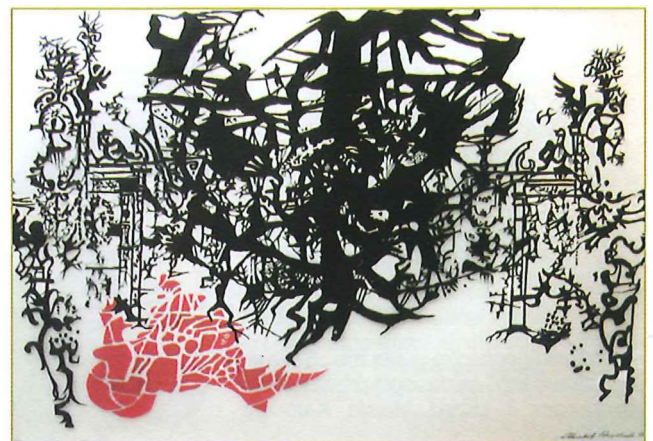
*Duchowe przestrzenie. Prace scenograficzne Christofa Heyducka. Autorzy wystawy: Peter Mrass i Michael Matzigkeit. Ekspozycja w Centrum Scenografii Polskiej w GCK 31. 03 - 03. 05. 2003.*



# JANOSCH



Christof  
Heyduck







Szczyt portalu kamienicy przy ul. Staromiejskiej 21

## Katowicka secesja

U progu wejścia Polski do Unii Europejskiej zastanawiamy się, co nasze miasto może pokazać Europie. Nowoczesność jest podobna - tym co nas różni to m.in. spuścizna przeszłości. Katowice - obok licznych zabytków techniki, które ciągle spotkać można w kopalniach (często już zlikwidowanych), hutach i browarach, są miastem, w którym dość bogato reprezentowany jest jeden z najbardziej dekoracyjnych stylów architektonicznych - secesja. Jej obecność w reprezentacyjnych niegdyś kamienicach miasta (dziś z powodzeniem odrestaurowywanych, przez co zyskują znów swój dawny blask) przy głównych traktach komunikacyjnych, świadczyła o wadze, jaką ich dawni właściciele przykładali do wyglądu nie tylko tychże kamienic, ale i miasta. Dziś trudno spotkać taką konsekwencję w zabudowie, w stylu jaki prezentują poszczególne nowe obiekty architektoniczne.



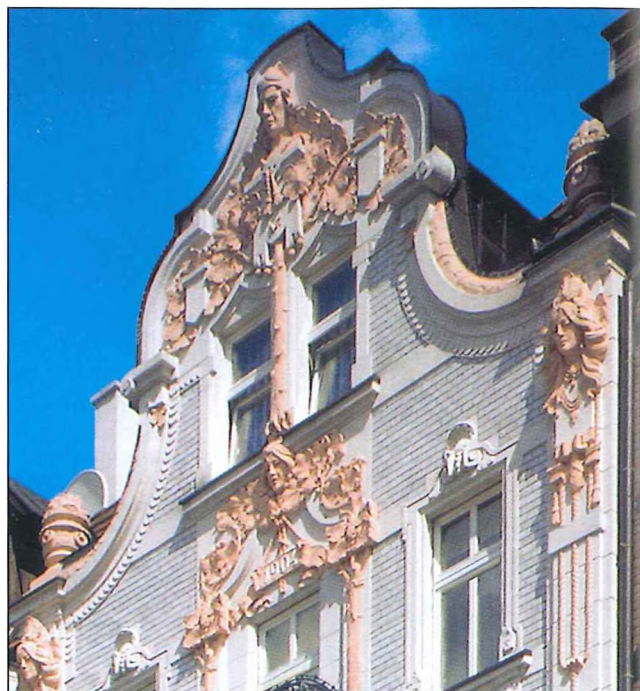
Stary dworzec - detal

Chociaż jeszcze wiele perełek katowickiej secesji czeka na swą kolej w odnawianiu, to warto przyrzeć się z bliska tym, które zazwyczaj nie są dostępne dla oka przeciętnego przechodnia, bowiem stanowią często zwieńczenia fasad, szczyty portali itp. detale.

Trwająca od dłuższego czasu dyskusja wokół wyglądu katowickiego Rynku w przyszłości, podnosi znaczenie zabytkowych, pięknych, secesyjnych kamienic, które przy tworzeniu nowego wizerunku miasta muszą odegrać rolę pierwszoplanową.

(wk)

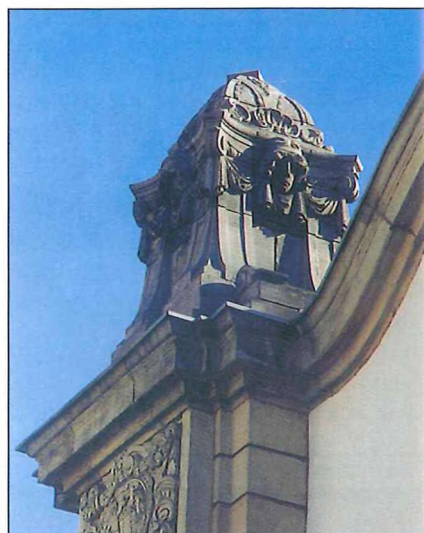
(Zdjęcia pochodzą z albumu „Secesja w Katowicach” wydanego przez Unitech Bydgoszcz i Urząd Miasta Katowice w 2001 r.)



Ulica 3 Maja 17



Ulica Słowackiego 24



Stary dworzec - detal



Ulica 3 Maja 6/8



**Dla** Aleksandra Głowackiego (1847—1912), znanego pod pseudonimem Bolesław Prus, jednego z najwybitniejszych pisarzy okresu pozytywizmu, sumiennego kronikarza zdarzeń bieżących, Śląsk był tematem marginalnym. Wykazał to już Joachim Glensk w zadziwiająco obszernym artykule „Bolesław Prus a Śląsk”, opublikowanym w roku 1967 w tomie 11. „Studiów Śląskich”. Autor tropił w nim ślady zainteresowania pisarza Górnym Śląskiem poświęcając najwięcej miejsca najmniej szym wzmiankom i dalekim odniesieniom do naszej dzielnicy rozrzuconym w „Kronikach” publikowanych od roku 1875 w „Kurierze Warszawskim”, a od 1887 w „Kurierze” Codziennym”. Dziś jednak nie interesują nas omówienia i mało czytelne siatki skojarzeń. Zgodnie z zasadą tej kolumny — która stara się też pełnić rolę namiastki antologii, jaka dotąd nie powstała — sięgnijmy do tekstów. Wydaje się przecież czymś nienaturalnym fakt, że największy objętościowo tekst Prusa o Śląsku, zamieszczony pierwotnie w „Gazecie Rolniczej” w numerze pierwszym z roku 1880, a opublikowany w roku 1955 w tomie czwartym pełnego wydania jego „Kronik”, przez następne dziesiątki lat nie był przedrukowany w całości. Więc nie interesował nikogo sposób widzenia Śląska przez jednego z największych mistrzów pióra!

Powstawał ten szkic w okresie wielkiego zainteresowania Górnym Śląskiem po tym jak Karol Miarka zaalarmował redakcję pism warszawskich w końcu roku 1879 wieścią o klęsce głodu w śląskich powiatach rolniczych. Pisał Prus: „Kraina ta — o Śląsku mówię — stanie się chyba źródłem nowożytnej tragedii.

Bo tylko przypatrzcie się jej losom.

Przed kilkoma wiekami książęta tamtejsi, lwy narodu, dobrowolnie włożyli na kark niemiecką obrożę. Szlachta naśladowała ich albo też z nadmiaru smutku czy dobrego humoru przeżuła spuściznę słożeńskich ojców. W dodatku duchowieństwo poczęło garmać się do protestantyzmu.

Już w tym położeniu lud szlaski wyglądał straszliwie. Był on jak nie widziany jeszcze pod słońcem człowiek, któremu ucięto głowę, wyrwano serce, a on jednak — żył wieki.

W to beświadome, cierpiące, a niespożyte ciało poczęto z kolei wbijać kliny i gwoździe. To szkoły niemieckie, to kolonizację, to lanratów i wucherów...

Dzieci psuły język ojców, młodzież w wojsku służąc musiała się go strzec i wstydić. Nad ubogą, obdartą, skrzywdzoną i zapomnianą ludnością jak stado kruków unosił się urągania i wykrzykniki!... Wasserpolak!... Wasserpolak!...

Co wstrzymało ten lud, że zmęczony, nie rzucił w końcu zalanej dzielnicy i nie wyniósł się gdzieś całą gromadą? Oto przywiązanie do ziemi.

Wszystko zniesli, wszystko przecierpie-li. Byle się od łona macierzy nie odrywać.

A dziś — i ziemia ich zawiodła, i do moralnych katuszy ludzkiego wynalazku dorzuciła swój ciężki gwicht — głodu.

Bywają tak nieszczęśliwi, tak opuszczeni od wszystkich, że w końcu sam Bóg bierze ich za rękę i stawia na szczycie nę-



## Glossy górnosłaskie

dzy, aby się im cały świat przypatrzył i uczuł litość. Czy chwila taka nadeszła dla Szlązaków, czy ich wielkie rany chociaż bliżsi zobaczą i w miarę możliwości opatrzą?...

Dajcie im, co możecie! Oto pierwsze powinowactwo noworoczne, jakie redakcja składa swoim czytelnikom. Błogosławieni miłośniemi!...

Wzmianka powyższa niewiele doda Szlązakom, o których wszyscy wiedzą i którym każdy, o ile mógł, coś już przeznaczył. Nią więc nie możemy ograniczyć powinowactwa noworocznych.”

### W Katowicach

**Nie** udało się dotąd ustalić, kiedy dokładnie Bolesław Prus był w Katowicach, o czym wspominał w roku 1900: „Może nikt nie domyśliłby się, a przecież tak jest, że i ja byłem za granicą: w Toruniu, Katowicach, Tarnowie, ba! nawet w Wiedniu”. Wcześniej, w „Kronikach Tygodniowych” w „Kurierze Codziennym” z 19 grudnia 1887 roku znalazł się fragment sugerujący, że znał to miasto z autopsji. W części „Kronik” — w śródrodziale o tytule: „Co byśmy zyskali »wsiaqnawszy« w państwo niemieckie” — narrator rozmawia z przyjacielem, „rodowitym berlińczykiem”, który wywodzi: „Wy, Polacy, zyskalibyście tylko na »wsiaqnęciu«. Mielibyście wyborne drogi, szpitale, szkoły, tanie towary i cudne miasta... Bo porównaj pan na przykład Sosnowice, po waszej i Katowice po naszej stronie. Oba miasteczka rodziły się równocześnie i dziś — Sosnowice są obrzydliwą dziurą, gdzie nie ma jednej przyzwoitej ulicy, a Katowice są miastem europejskim. Znasz pan Katowice?”

— Znam, śliczne miasto.”  
Pisarz niewiele podróżował. Od wojaży odrzucał go lęk przestrzeni, który miał u niego ostry przebieg. Przed rokiem 1887 był za granicą tylko we wrześniu 1881 roku na Kongresie Literatów w Wiedniu.

Można zaryzykować przypuszczenie, że mógł wtedy przejeżdżać przez Śląsk w drodze powrotnej do Warszawy. O swych wrażeniach napisał jednak dopiero w „Kartkach z podróży”, drukowanych w „Kurierze Codziennym” w roku 1896. Rzecz dotyczyła najdłuższej podróży w życiu Prusa — do Niemiec, Rapersvili i Paryża — rozpoczętej w połowie maja roku poprzedniego. Wydobywając z pamięci wcześniejsze i mało przyjemne kontakty z Prusakami, napisał: „Jadąc kiedyś przez Oderberg (Bogumin) podziwiałem gburowate zachowanie się jakiegoś urzędnika. Innym razem, w Katowicach, zachwycam się pięknnością i czystością miasta, ale za miastem — zimno mi się zrobiło, gdy zobaczyłem robotników maszerujących z fabryki jak żołnierze, a przy drodze słup z napisem, że — taki to a taki oddział landwery ma zbierać się w takiej a takiej miejscowości.”

W tymże roku 1896 odnotował w „Kronikach” w „Kurierze Codziennym” z 16 marca tragiczny pożar w kopalni „Kleofas” pod Katowicami, w którym zginęło 114 górników.

Ograniczenia cenzuralne sprawiły, że we wszystkich dotychczasowych ujęciach tematu „Prus a Śląsk” „nie zauważono” jego wypowiedzi na temat konfliktu czesko-polskiego na Śląsku Cieszyńskim. W roku 1901 polska prasa, m.in. „Kurier Warszawski”, „Gazeta Polska” i „Kraj”, odnotowała kampanię antypolską czeskich dzienników piszących o wzroście liczebnym i aktywności żywiołu polskiego. W „Kronikach Tygodniowych” w „Kurierze Codziennym” z 16 czerwca 1901 roku Prus pisząc o tym posłużył się często używaną w swej publicystyce formą dyskursu postaci o odmiennych poglądach. Tu wypowiada się rozważny i racjonalniej myślący „historyk” (alter ego pisarza) zbijając argumenty porywczego „dziennikarza”. Ten pierwszy przypomina o trwającym od kilku lat czesko-polskim „spółkowaniu”, w efekcie którego m.in. Polacy i Czesi wspierali się w parlamencie wiedeńskim w walce z Niemcami, i wywodzi dalej: „Ponieważ na świecie nie ma dwóch ludów sąsiadujących ze sobą, między którymi nie istniałyby jakieś pretensje, więc to samo jest między Polakami i Czechami, a kwestię sporną stanowi Śląsk. Jest to kraj piękny, bogaty, zamieszkały przez Niemców, Polaków i Czechów, więc też wszyscy radzi by go posiadać na wyłączną własność. W czasach panowania rozsądku pretensje te załatwilyby się w jakiś bardzo prosty sposób. Dziś jednak prowadzą one do rozdrażnień, których można by uniknąć taktownym postępowaniem.

Na nieszczęście o tych bardzo jasnych zasadach zapomnieli amatorowie polityki i zaczęli tak głośno obwoływać tryumfy na Śląsku, tak licznie jeździć się na uczty i przedstawienia, tak piękne wypowiadać mowy, że aż... zachwiało się »polsko-czeskie spółkowanie«. [...] Czy nie lepiej byłoby, ażeby »politycy« zamiast na politycznych wiecach głosić przedwcześnie tryumfy, zajęli się na Śląsku urządzaniem spokojnych wieców obyczajowych i obmyślaniem środków przeciw swym strasznym klęskom: pijaństwu i suchotom, które bardzo prędko mogą zdecydować o losach narodowości naszej na Śląsku?”

WOJCIECH JANOTA

## Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich

Niegdyś, pamiętamy to jeszcze bardzo dobrze, obchodzony był Miesiąc Książki - zawsze w maju. Był to czas kiermaszy, spotkań pisarzy i poetów z czytelnikami (wtedy jeszcze tacy byli), recitali i innych artystycznych wydarzeń. Na półkach księgarni i stoiskach okazjonalnych można było „upolować” niejednego oczekiwanego i wypatrywanego nadamennie tytuł.

Czas książkowych majów się skończył. Dziś kiermasze są nikomu niepotrzebne, bo i tak książki, jakie tylko byśmy sobie zażyczyli zalegają na księgarskich półkach. Wyjątkiem są tytuły takie jak - dla dzieci „Harry Potter” połączony z gigantyczną kampanią reklamową i promocyjną, czy ostatnie wydarzenie wydawnicze - „Tryptyk rzymski” Jana Pawła II - wzbudzający emocje w środowisku nie tylko ludzi zainteresowanych poetyckimi strofami papieża. Na swój sposób jest to książka, którą wypada mieć na domowej półce.

Gdzie podzieli się ci rozmiłowani w drukowanym słowie miłośnicy książek? Badania rynkowe pokazują dramatyczne obniżanie się przeróżnych statystycznych wskaźników czytelnictwa, zwłaszcza zaś zakupów książek, czy to przez osoby prywatne czy instytucje, jakimi są biblioteki.

Czasy nowe dawno zapomniane majowe święto książki zamienili na Światowy Dzień Książki, dokładając „... i Prawa Autorskich”. Ciekawsze jest źródło pochodzenia Światowego Dnia Książki (23 kwietnia, w dniu św. Jerzego - patrona Katalonii, każdy mieszkaniec obdarowywał swych bliskich książką i różą), aniżeli swojego Miesiąca Książki. Szkoda, że u nas nie przyjęto się powszechnie zwyczaj obdarowywania książką (o róży nie wspominając).

Ale zwyczaj ten podchwyciła Biblioteka Śląska, która już po raz drugi w tym dniu obdarowała biblioteki samorządowe województwa śląskiego książkami, a czytelników Książnicy - symboliczną różą - oznaką piękną płynącego z wiedzy.

Dary Biblioteki Śląskiej zawędrowały do biblioteki w Radziechowach-Wieprzu. Wybór nie był przypadkowy: biblioteka ta m. in. aktywnie włączyła się w organizację „Góralskich ostatków w Bibliotece Śląskiej”. Ponadto placówka ta boryka się z ogromnymi trudnościami finansowymi - należy do grona bibliotek w regionie, w których roczny zakup książek w przeliczeniu na stu mieszkańców wynosi 1 wolumin. Ideą corocznych spotkań w dniu 23 kwietnia jest wizyta w najmniejszych, czasem zaniedbanych i zapomnianych bibliotekach.

Ponadto, to właśnie tu, w Radziechowach, w 1878 roku założono jedną z pierwszych w Galicji czytelni katolickich.

Być może do akcji obdarowywania bibliotek w Światowym Dniu Książki włączą się i inni, którym zależy na rozwoju czytelnictwa, zwłaszcza wśród młodzieży, na powrocie do kultury słowa pisanego.

WIESŁAWA KONOPELSKA

## KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

### Henryk M. Górecki nagrodzony

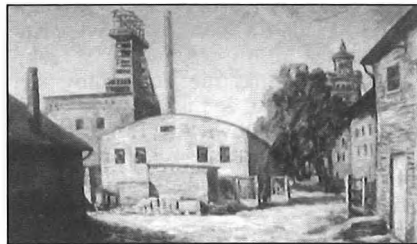
Światowej sławy kompozytor, prof. Henryk Mikołaj Górecki został uhonorowany Nagrodą Muzyczną Polskiego Radia za 2002 rok. Uroczystości, która odbyła się w Studio Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego, towarzyszyło światowe prawykonanie „Pieśni kurpiowskich” Góreckiego.

Kompozytora wyróżniono „za wybitne osiągnięcia o szczególnym znaczeniu dla polskiego życia muzycznego w zakresie twórczości, wykonawstwa i inicjatyw kulturowych związanych z działalnością Polskiego Radia”.

W gronie dotychczasowych laureatów znajdują się m.in. Jan Krenz, Andrzej Hiolski, Michał Bristiger.

### Odchodzący Śląsk

Kolejną, niezwykle interesującą wystawę otwarto w Galerii Sztuki Pogranicze Muzeum Śląskiego. Tym razem gościło w niej malarstwo Pawła Kurzeja. Wystawę zatytułowano „Malarzski zapis odchodzącego Śląska”. Kurzeja jest malarzem nieprofesjonalnym, mającym jednak za sobą naukę (niepełną) w liceum plastycznym w Zamościu, a także swego rodzaju



Paweł Kurzeja, „Ruda Śląska”, płótno, olej, 1995. Wł. Muzeum Miejskie w Rudzie Śląskiej.

opiekę artystyczną artysty malarza Włodzimierza Dmytryszyna i naukę w Ognisku Plastycznym w Katowicach.

Jednym zdaniem

■ W Bibliotece Śląskiej odbyła się promocja książki „Ono” Doroty Terakowskiej - popularnej autorki książek dla dzieci i młodzieży z gatunku *fantasy*, takich jak „Córka czarownic”, „Guma do żucia”, „Lustro Pana Grymsa”.

■ W Sosnowickim Centrum Sztuki - Zamek Sielecki prezentowano fotografie reportażowe Elżbity Oleksy i malarstwo Pawła Mendrka.

■ Wystawę zatytułowaną „Album rodziny” autorstwa Jana Szmatłocha można oglądać w Bibliotece Śląskiej.

■ Również w tym samym miejscu odbył się wieczór literacki pt. Górnośląski świat według Stanisława Bieniasza.

■ Po raz XIII w Rudzie Śląskiej zorganizowano Festiwal Kultury Młodzieżowej.

cach, gdzie nauczycielem jego był m.in. Paweł Steller.

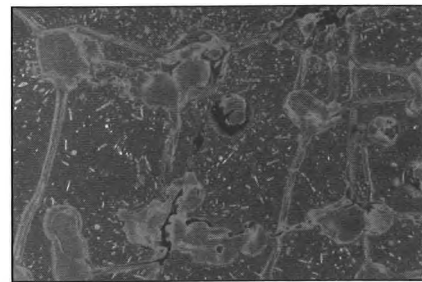
Paweł Kurzeja urodził się w Katowicach. Przeszedł gehennę lat wojny, jako dziecko trafił do obozu szkoleniowego na terenie Niemiec, potem do sierocińca.

Autorka scenariusza i komisarz wystawy tak o autorze napisała w towarzyszącym wystawie katalogu: „Najbardziej lubi malować pejzaże. W plenerze wykonuje wiele szkiców, obmyśla kompozycje przyszłych prac. {...} Za najważniejsze w swoim dorobku uważa jednak pejzaże z okolic Śląska. Tu od dawna znajduje swojskie, górnicze klimaty, inspirującą architekturę, bliskich sercu ludzi.”

Na wystawie prezentowany jest cykl obrazów, ukazujących Śląsk „odchodzący”: Katowice-Janów, Nikiszowiec, Szopienice, Chorzów, Ruda Śląska, a także Śląsk z okolic Beskidów. Są to obrazy ukazujące sentymentalny powrót do krainy i mitologii dawnych miejsc, dawnego, minionego czasu.

### Obrazy organiczne Robakowskiego

Józef Robakowski jest fotografem, autorem filmów eksperymentalnych, instalacji, działaczem artystycznym, wydawcą. Mieszka w Łodzi. Jest



Józef Robakowski, „Obrazy intuicyjne”, 1958.

absolwentem Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu a także PWSFTViT w Łodzi. Był wykładowcą Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu Łódzkiego, a od 200 roku jest kierownikiem multimedialnej pracowni na Wydziale Grafiki w Wyższej Szkole Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi.

We wczesnych latach twórczości związany był z awangardą, współzałożycielem grupy fotograficznej ZERO 61. Był jednym z inicjatorów

■ Biblioteka Śląska była organizatorem wieczoru, podczas którego promowana była książka Izabeli Kacmarzyk pt. „Adam Gdańszczanin. Z dziełowej karności śląskiej”, która ukazała się w serii wydawanej przez Śląską Książnicę *Folia Scientia Biliotheca Silesiana*.

■ „Znaki karbonu” czyli malarstwo Mariana Nowotnego prezentowane były w Muzeum Miejskim „Sztęgarka” w Dąbrowie Górniczej, a towarzyszyła tej wystawie projekcja filmu Lecha Majewskiego „Angelus”.

■ Spotkanie promujące album poświęcony Asymetrycznej Damie Witkacego odbyło się w Muzeum Historii Katowic.

■ Galeria „Na Żywo” Radia Katowice gościła wystawę malarstwa Georgija Safranowa.

Warsztatu Formy Filmowej działającej przy PWSFTiVt. Ugrupowanie to, działające do 1977 r. było jedną z najważniejszych grup artystycznych, reprezentujących etos neoawangardowy. Działania Warsztatów poświęcone były głównie analizie języka mediów. W latach 80. Robakowski zaangażowany był w niezależne formy życia artystycznego. Od 1978 roku do dziś prowadzi multimedialną Galerię Wymiany. Innym ważnym wątkiem jego działalności jest film oraz programy telewizyjne o sztuce.

Wystawę jego „Obrazów organicznych 1958-2003” pokazała Galeria Sektor I i Galeria Pusta Górnoląskiego Centrum Kultury w Katowicach.

### 35 lat na scenie

Adam Baumann - czołowy aktor Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach obchodził jubileusz 35-lecia pracy artystycznej.



Jubilat Adam Baumann.

Karierę aktorską rozpoczął w 1967 roku w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu. Z Teatrem Śląskim związany jest od 1977 roku. W środowisku teatralnym uważany jest za jednego z najzdolniejszych aktorów swego pokolenia. Cenią go teatralni twórcy i krytycy, podziwiają i lubią widzowie. Ma w swoim dorobku kilkadziesiąt pierwszoplanowych ról teatralnych. Wystarczy wspomnieć chociażby te, za które otrzymał nagrodę krytyki i publiczności - „Złotą Maskę”. Kreował Wielkiego Księcia w „Nocy Listopadowej” (1982), Saliergo w „Amadeuszu” (1985), Papkina w „Zemście” (1992), Fortunat Korzeń w „Chłop milionerem” (1996). Warto jednak odnotować również takie role jak: Erwin w „Hajdach” Bieniasza, Prezydenta w „Intrydze i miłości” Schillera, Vladimira w „Czekając na Godota”, Karmazyna w „Wyzwoleniu”, Mąckiego w „Żołnierzu Królo-

wej Madagaskaru”, Ojca w „Pułapce” Różewicza.

Gościnnie występował na deskach Teatru Rozrywki w Chorzowie, Teatru Muzycznego w Gliwicach, Teatru Nowego w Zabrze. Do Teatru Rozrywki powrócił rolą Kunickiego we współczesnej adaptacji powieści „Kariera Nikodema Dyźmy”.

W swoim artystycznym dorobku ma ponad 20 ról filmowych, a wśród nich pierwszoplanowe, takie jak Hanysz w serialu „Znak orła”, Kasjer w serialu „Blisko coraz bliżej”, Zagłębiak w „Grzesznym żywocie Franciszka Buły”, Baron w „Sobolu i pannie”, dyrektor banku w „Piłkarskim pokerze”.

Od kilku lat współpracuje z Wydziałem Radia i Telewizji Uniwersyte- tu Śląskiego.

Swój jubileusz Adam Baumann świętował na scenie Teatru Śląskiej, 5 kwietnia br., w spektaklu „Intryga i miłość”.

### Na Wzgórzu Zamkowym

Jerzy Żymirski był znanym i cenionym artystą fotografem. Przez kilka dziesiątków lat związany był z Czeladzią. Fotografował bardzo wiele - pozostawił po sobie ogromną spuściznę,



Jerzy Żymirski, Na Wzgórzu Zamkowym w Będzinie.

która dopiero podczas kolejnych wystaw, uświadamiać będzie znaczenie jego pracy - był zamiłowany w krajo- brazie swojej Ziemi Zagłębiowskiej, chociaż tu się nie urodził i to właśnie jej poświęcił najpiękniejsze swoje zdjęcia, a są ich setki.

Wystawę fotografii Jerzego Żymirskiego pt. „Na Wzgórzu Zamkowym” została przygotowana przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Czeladzi - z galerią Exlibris współpracował najczęściej, chociaż miał na swoim koncie artystycznym wystawy w całej Polsce. Był laureatem wielu artystycznych nagród, w tym Medalu 150-lecia Foto-

grafii i cenionej w świecie fotografii krajobrazowej Medalu im. Kremsera.

### Lompa w bibliotece

29 marca br. bractwo Myśli Bratniej Związku Górnoląskiego w Katowicach, Biblioteka Śląska i burmistrz Woźnik, zorganizowali całodzienne obchody 140. rocznicy śmierci Józefa Lompy. Przed południem w „Benedy-  
 k-



tyncie” - wypełnionej po brzegi Sali Biblioteki Śląskiej, zebrani wzięli udział w konferencji popularno-naukowej. Prof. Jan Malicki przedstawił „Fenomen Józefa Lompy”. Omówił jego wkład w kulturę Śląska i kulturę powszechną. Podkreślał rolę opracowa- nych przez Lompę podręczników, mających na celu podniesienie poziomu ówczesnego rolnictwa regionu. Dr Jacek Lyszczyna skupił się na poezji autora „Hirlanda, czyli niewinności uciśnio- nej”. Zwrócił uwagę na jej powiązania z poezją staropolską. Mgr Bernard Szczep opowiadał o znanych i niezna- nych epizodach z życia „nauczyciela z Lubszy”. Szczegółowo przedstawił jego życie w tej miejscowości, między innymi konflikt z ks. Szyją.

Konferencję zakończyło otwarcie ekspozycji w holu głównym „Józef Lompa 1797-1863”. Pracownia Działu Zbiorów Śląskich Biblioteki uświetniła jubileusz wydaniem „Rap- tularza” - jednodniówki w całości po- święconej omawianej postaci.

Po południu uroczystości przeniosły się do Lubszy i Woźnik, gdzie uczest- nicy spotkania złożyli kwiaty pod pomnikami śląskiego działacza. W tej części obchodów rocznicowych brali udział nie tylko naukowcy, badacze dzieła Lompy, ale też mieszkańcy miejscowości, w których żył i działał.

■ „Dom mojego urodzenia” - pod takim tytułem Ludwik Zogala opublikował książkę o swoich rodzinnych korzeniach w Chorzowie-Hajdukach, a promocja jej odbyła się Miejskim Domu Kultury „Batory” w Chorzowie.

■ Dr hab. Zygmunt Woźniczka wygłosił w Mu- zeum Historii Katowic wykład na temat „Katowice 1945-1956”.

■ W Muzeum Miejskim w Świętochłowicach Ma- rian Piega promował swoją książkę pt. „Wydarzy- ło się w Świętochłowicach w latach 1961-1998”.

■ „Stamtąd” - wieczór pieśni Mieczysława Eli- giusza Litwińskiego do poezji mistycznej Wschodu i Zachodu w wykonaniu duetu Sol et Luna odbył się w teatrze Korez w Górnoląskim Centrum Kultury w Katowicach.

■ Górnoląskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk było organizatorem sesji naukowej pt. „Śląscy ucze-

ni, o tych, co odeszli”, a poświęconej tak wybitnym osobowościom jak prof. Józef Pieter, prof. Jan Za- remba, prof. Zbigniew Jerzy Nowak, Mieczysława Mitera-Dobrowolska, prof. Józef Mayer.

■ W Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej odby- ło się spotkanie z apbem Damianem Zimoniem zatytu- łowane „Kościół katolicki na Górnym Śląsku wobec problemów społecznych XXI wieku”.

■ Ewa Satalecka prezentowała w Muzeum Histo- rii Katowic swoje grafiki, rysunki i książki.

■ W Muzeum w Sosnowcu otwarta została wysta- wa plastycznych prac dzieci i młodzieży szkół spe- cjalnych pn. „Koszyk wielkanocny”.

■ W Szkole Podstawowej nr 17 w Chorzowie od- było się uroczyste podsumowanie i wręczenie na- gród w V edycji konkursu „Promuj Śląsk”.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu z miłośnikami alpinizmu i himalaizmu spotkał się

Ryszard Pawłowski - kierownik i uczestnik wielu wypraw w najwyższe góry świata.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Jastrzębiu Zdroju otwarta została wystawa fotografii pt. „Gre- cja w obiektywie” autorstwa Jarosława Gilgi.

■ Koncert pedagogów PSM I stopnia w Rudzie Śląskiej odbył się w miejscowym Muzeum Miejskim.

■ Flecista Jerzy Sojka i harfista Krzysztof Wa- loszczyk koncertowali w ramach II Festiwalu „So- snowieckie Dni Muzyki Znanej i Nieznanej” w So- snowieckim Centrum Sztuki - Zamek Sielecki.

■ W Muzeum Miejskim w Sosnowcu otwarta zo- stała wystawa „Sosnowieckie ABC II”, która towa- rzyszyła podpisaniu umowy o współpracy i wymia- nie kulturalnej na lata 2003-2005 pomiędzy Mu- zeum w Ołomuńcu (Republika Czeska) a Muzeum w Sosnowcu.



## Nadgraniczna przyjaźń

Tegoroczny Festiwal Teatralny „Na Granicy” w Cieszyńsku i Czeskim Cieszyńsku odbędzie się już po raz piętnasty i jak zapewnia jego główny animator po naszej stronie Olzy, dyrektor Muzeum Ziemi Cieszyńskiej Marian Dembiniok, potrwa od 21 do 24 maja. Imprezę rozpocznie spektakl bardzo dobrego i zasłużonego dla cieszyńskiego festiwalu teatru „Gęś na sznurku” z Brna, a zakończy występ praskiej sceny narodowej.

Festiwal stworzyła garstka przyjaciół z Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej z obu stron Olzy, z Kubą Małem, Jerzym Kronholdem i Jerzym Hermą na czele. Pierwsza edycja imprezy była upojna. Upojeni wolnością zorganizowali święto sztuki człowieka, który nie dał się zniewolić - Wacława Havla. Po manifestacji politycznej przyszedł czas na manifestację artystyczną. Przez kilkanaście lat Festiwal Teatralny „Na Granicy” ujawniał (choć bywało, że tylko starał się ujawniać) to, co najlepsze we współczesnym teatrze czeskim, słowackim i polskim, a ostatnio także węgierskim. Autentyczna przyjaźń między ludźmi teatru (jak to dziś podejrzanie brzmi...) uzyskiwała wymiar artystyczny we wspólnych przedstawieniach bądź przybierała formę rywalizacji, gdy wystawiano tę samą sztukę w różnym wykonaniu. Przyjaźnie zawierano zresztą nie tylko w teatrze, ale podczas imprez towarzyszących, które rozkwitły zwłaszcza w początkowych latach festiwalu. Któż nie pamięta jajecznicy z 500 jaj w wykonaniu artystów sztuki kulinarnej z trupy im. mjr. Szmajzera z Czeskiego Cieszyńska? Zdjęcie słusznej postury ówczesnego dyrektora Teatru Cieszyńskiego Ladisława Sliwy nad ogromną patelnią z jajami obok wianuszków otwartych butelek po piwie obiegło potem prasę czeską i polską.

Pamiętam przyjacielskie spotkanie futbolowe drużyn z Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej w parku po stronie zaolziańskiej (przyjaźń przyjaźnia, ale na prawdziwe boisko piłkarskie nas wtedy nie wpuszczono). Kapitanem naszej drużyny był natenczas - ze względu na futbolowe nazwisko - deputowany Zbyszek Janas, a pierwsze skrzypce grali największy na boisku ówczesny burmistrz Cieszyńska Jan Olbrycht oraz poeta i konsul Jerzy Kronhold ze szwagrem w bramce. Mieliśmy wtedy obawę o wiele lepszą niż podczas spotkań piłkarskich o podwyższonym stopniu ryzyka. Z trzech stron boiska stało trzech uzbrojonych drabów z UOP-u, a jeden - jeśli dobrze pamięć - biegł między nami ze spluwą. Ochrońcy nie mogli ani na chwilę rozstać się z postem Januszem Okrzesikiem. Zachodziła bowiem obawa, że negatywnie zweryfikowani przez niego funkcjonariusze SB i MO szykują zamach.

Nie ma już między nami kilku ludzi szczególnie zasłużonych dla festiwalu. Pierwszy odszedł jeden z pomysłodawców imprezy, czeski filozof Kuba Mał. Rozstała się z nami wybitna znawczyni teatru, jurorka festiwalu, prof. Marta Fik. Przez ponad 10 lat towarzyszył imprezie dobry (choć niektórzy uważają, że zły) duch Cieszyńska, Andrzej Żurek. A festiwal trwa.

JAN PICHETA

## BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

### Dwadzieścia lat „Lipy”

Po raz 21 odbędzie się Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA. Pierwszy przegląd odbył się 4 czerwca 1983 roku. Po raz siódmy impreza będzie mieć charakter ogólnopolski. „Lipę” od początku jej istnienia organizuje Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany” w Bielsku-Białej, której prezesem jest - tak jak 20 lat temu - Eugeniusz Cebura. Mimo iż zmieniają się ministrowie i prezydenci, od wielu lat „Lipę” niezmiennie wspiera Ministerstwo Kultury, a patronat nad nią sprawuje prezydent Bielska-Białej.

Przegląd inspirował dzieci i młodzież do swobodnej twórczości i co roku wyłania i promuje nowe talenty. Tegorocznymi uczestnikami imprezy mogą być uczniowie szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich z całej Polski. Tematyka, gatunek i rodzaj literacki prac, które można na „Lipę” nadesłać, są dowolne, natomiast ilość tekstów została ograniczona do sześciu. Warunkiem udziału jest nadesłanie samodzielnie napisanych utworów (nigdzie dotąd nie publikowanych), w trzech egzemplarzach maszynopisu.

Prace należy opatrzyć godłem (pseudonimem), które trzeba także wpisać do karty zgłoszenia, jedynej informacji o autorze, klasie, szkole, adresie domowym i szkolnym. Termin nadsyłania prac upływa 30 czerwca br.

Utwory należy przesłać pod adresem SCK „Best” przy SM „Złote Łany”, 43-300 Bielsko-Biała, ul. Jutrzenki 22, z dopiskiem „Lipa 2003”. Ogłoszenie wyników, wręczenie nagród i publiczna prezentacja nagrodzonych utworów połączone zostaną z warsztatami literackimi, które odbędą się 14 listopada br.

### Starczewski w galerii

Od 3 kwietnia trwa w Galerii Bielskiej BWA retrospektywna wystawa prac Antoniego Starczewskiego (1924-2000), ucznia Władysława

Strzemińskiego, absolwenta, a następnie profesora PWSSP w Łodzi. Podczas bielskiej wystawy pokazano malarstwo, rzeźbę ceramiczną, tkaninę, grafikę, rysunek i instalacje oraz materiał dźwiękowy. Dzieła charakteryzują najważniejsze etapy poszukiwań artystycznych znanego twórcy.

- Najwcześniejsze prace to obraz z 1949 roku oraz ceramiki z końca lat 50.: wazony i dekoracyjne płaskorzeźby; mają one zupełnie odmienny charakter od tych, które przypadają na późniejszy okres twórczości Starczewskiego i noszą cechy właściwe dla artysty powtarzalności elementów. W tym charakterystycznym dla niego stylu utrzymane są zarówno tkaniny, grafiki, gofraże (elementy wytłaczane w papierze), jak i płaskorzeźby oraz reliefy z ceramiki szklonej, białej porcelany, terakoty, biskwit, a nawet brązu. Duże wrażenie robią stoły, na których ułożone są równe rzędy porcelanowych jabłek czy ziemniaków, a między nimi pojawiają się prawdziwe bułki. Uzupełnieniem jest materiał dźwiękowy - awangardowe nagrania dokonane w latach 70., nawiązujące do jego prac plastycznych. Są to pojedyncze, wypowiedziane przez Starczewskiego w różnych tonacjach samogłoski lub słowa, powtarzane jak buddyjskie tantry, zmiksowane i wielokrotnie na siebie nakładane, a także dźwięki skrzypiec, które były ulubionym instrumentem artysty - powiedziała dyrektorka galerii Małgorzata Kubica-Bilska.

### Nagrody biskupa

Biskup ordynariusz diecezji bielsko-żywieckiej wręczył coroczne nagrody im. św. Maksymiliana Kolbego. „Maksymiliana” przyznawane są za kultywowanie wartości chrześcijańskich w dziedzinie kultury i sportu oraz... finansowe wspieranie takich wartości. Nagrodę otrzymała siostra Jadwiga Wyrozumska, animatorka kultury, która prowadzi - znany z jasełek i misterii pasyjnych - zespół teatralny w parafii św. Elżbiety w Cieszyńsku.

W dziedzinie kultury nominowani byli ponadto: pracownik Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej Zbigniew Micherdziński z Żywca, dyrektor Oświęcimskiego Centrum Kultury Ryszard Strutyński oraz redaktor TV Katowice Adam Kraśnicki.

### Jednym zdaniem

■ 4 kwietnia Teatr Polski w Bielsku-Białej po raz pierwszy w swej historii wystawił dzieło Witolda Gombrowicza, którym była wyreżyserowana przez Grzegorza Chrapkiewicza „Iwona, księżniczka Burgunda” z Anną Guzik w roli tytułowej.

■ Przegląd Filmów Czeskich i Słowackich „Kino na Granicy” odbył się w kwietniu w Cieszyńsku i Czeskim Cieszyńsku.

■ W kwietniu w bielskich kościołach oraz Domu Muzyki odbył się IV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej na Podbeskidziu „Sacra in musica”.

■ W kwietniu w galerii Książnicy Beskidzkiej eksponowano malarstwo Czesławy Gwinnier i wystawę ręcznie malowanych pisanek Anny i Waldemara Pawelków z Bielska-Białej.

■ W kwietniu w Książnicy Beskidzkiej odbyły się promocje płyty „Mały Wiedeń” zespołu „Amadeus Trio” oraz „Strauss Capelle Quintett”, a także utworów poetyckich Stanisława Goli.

■ W holu Ratusza w Bielsku-Białej prezentowano w kwietniu wystawę malarstwa Marka Luzara i fotografii Kazimierza Gajewskiego.

## Uwaga premiera

W Teatrze im. A. Mickiewicza odbyła się premiera sztuki Antoniego Czechowa „Wujaszek Wania”. Spektakl wyreżyserował wykładowca i pedagog Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej, Bogusław Semotiuk.

Nazwisko Semotiuka kojarzone jest głównie z twórczością Bogusława Schaeffera, której stał się znakomitym interpretatorem. Częstochowskiej publiczności zaprezentował przed niespełna dwoma laty swoją wizję „Scenariusza dla trzech aktorów”.

W częstochowskim „Wujaszku” nie ma ani jednego niepotrzebnego gestu aktora, ani jednego zbędnego rekwizytu na scenie. Postacie skoncentrowane zostały wokół dużego stołu, bo jest to najlepsze miejsce do prowadzenia rozmów i tych bardzo zwykłych, i tych, od które poruszają ludzkie serca, a przecież takie dysputy prowadzą bohaterowie „Wujaszka Wani”. Tempo, nie tylko spektaklu teatralnego, ale także rytmu świata, w którym egzystują Astrow, Wojnicki, Sonia czy Helena, odmierza muzyka. W głębi sceny niczym za przezroczystą ścianą znajduje się wiolonczelista (gościnnie występuje Serhii Rysanov); jego gra pełni funkcję charakterystycznego akompaniamentu dla rozgrywającego się spektaklu ludzkich namietności.

Muzyka stała się w przedstawieniu symbolem tej siły, z którą nadaremnie próbują walczyć bohaterowie dramatu. Spektakl jest dobrze zagrany przez częstochowski zespół. Interesującą kreację aktorską stworzył Andrzej Iwiński, wcielając się w postać tytułowego wujaszka Wani. Równie przekonujący jest Astrow w interpretacji Marka Ślosarskiego. Nad światem postaci w sztuce Czechowa dominuje Aleksander Sieriebriakow, stworzony przez Marka Perepeczko, który doskonale ową prostacką przewagę ukazał. Piękną Helenę Andriejewną stworzyła Agata Ochota-Hutyr. Najmłodsza częstochowska aktorka, Paula Kwietniewska, wcieliła się w postać najbardziej tragiczną - Sonię. Jej Sonia to kobieta świadoma swojej życiowej katastrofy potrafi żyć heroicznie, a zarazem zupełnie zwyczajnie i nie posiada żadnego „środka znieczulającego”, jak mężczyźni, którzy szukają ratunku w alkoholu. Paula Kwietniewska swoją kreacją aktorską zdołała przekonać publiczność, iż Sonia mimo wszystko pragnie żyć i jest na tyle silna, by przekonać innych o konieczności życia.

„Wujaszek Wania” ma szansę powtórzenia sukcesu innej sztuki rosyjskiej wystawionej na tej samej scenie, czyli „Rewizora” Mikołaja Gogola, który w Częstochowie był już grany ponad 50 razy.

ELŻBIETA KOT

## CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

### Po raz pierwszy

O chórze Politechniki Częstochowskiej „Collegium Cantorum” piszemy często. Czy może być inaczej, skoro jest to najlepszy chór w Częstochowie, odnoszący duże sukcesy nie tylko w całym kraju, ale również za granicą?

Koncerty akademików zawsze przyciągają rzesze wierniej publiczności, którą chór na nowo wciąż zaskakuje. Tym razem po raz pierwszy „Collegium Cantorum” dyrygował nie Janusz Siadlak - założyciel, dyrektor i przez przeszło dziesięć lat jedyny dyrygent chóru. W marcowym koncercie w kościele Wyższego Seminarium Duchownego w Częstochowie chórem dyrygował Janusz Łukaszewski. Fakt, iż tak znakomity muzyk zgodził się wziąć udział w występie, najlepiej świadczy o klasie i poziomie artystycznym chórzystów częstochowskich.

Łukaszewski jest dyrygentem, dyrektorem naczelnym i artystycznym Polskiego Chóru Kameralnego „Scho-la Gedanensis”, a przede wszystkim ogromnym propagatorem muzyki chóralnej. W roku 1999 otrzymał prestiżową nagrodę im. Jerzego Kruczkowskiego, przyznaną przez największe muzyczne autorytety w Polsce, z Krzysztofem Pendereckim na czele.

Częstochowski chór zaprezentował bardzo trudny repertuar. Rozbrzmiewały m.in. kompozycje Wacława z Szamotuły („Ego sum pastor bonus”), Mendelssohna oraz Pawła Łukaszewskiego - kompozytora współczesnego pochodzącego z Częstochowy. W roli solistki wystąpiła Małgorzata Siadlak. O przyjęciu przez publiczność tego koncertu pasywnego najlepiej świadczy fakt, iż chór, ulegając bardzo żywiołowej reakcji słuchaczy, bisował trzykrotnie.

### Artystyczny trójgłos

W Miejskiej Galerii Sztuki odbyła się wspólna wystawa twórczości trzech artystów: Rafała Głowackiego, Jarosława Kweclicha oraz Jerzego Piwowarskiego. Całą trójkę łączy jedynie fakt, iż są częstochowianinami, na-

leżą do tego samego pokolenia i są ze sobą zaprzyjaźnieni. Na próżno szukać innego wspólnego mianownika, tym bardziej że Piwowarski wypowiada się za pośrednictwem fotografii, a dwójka pozostałych artystów poprzez malarstwo.

Monumentalne obrazy olejne Kweclicha, który z upodobaniem kreśli portret zbiorowy naszych rodaków, oraz miniatury Rafała Głowackiego z egzotycznym światem wywołującym skojarzenia baśniowe, też nie stworzyły zwartej i jednolitej całości malarskiej. Wręcz przeciwnie, stanowią swego rodzaju artystyczne bieguny.

Zdjęcia Piwowarskiego ujawniły magię oglądanej przez obiektyw aparatu fotograficznego Częstochowy. Jego czarno-białe „pocztówki”, na których znajdują się jedynie stare kamienice, zaułki ulic, samotne latarnie, olśniewają swą wewnętrzną kolorystyką. Prawdziwym bohaterem swoich fotografii uczynił artysta światło i cień, które tworzą zaskakującą „tęczę barw”.

Inne widzenie koloru zaproponował publiczności Rafał Głowacki na swych doskonale skomponowanych miniaturach. Barokowy czy wręcz orientalny przepych barw jest bardziej uderzający poprzez zestawienie z fotografiami Piwowarskiego. Bardzo dobrze zaaranżowana wystawa pozwoliła każdemu z artystów zaprezentować własną indywidualność twórczą.

### New York

W galerii „Art-Foto” w Regionalnym Ośrodku Promocji Kultury prezentowana była wystawa prac młodego fotografa częstochowskiego Macieja Kusztala. Jest on absolwentem opolskiego Studium Fotografii i Filmu oraz Politechniki Zielonogórskiej (dyplom obronił w 2001 roku).

Częstochowanie po raz pierwszy mieli okazję podziwiać sztuki fotografii artyści, gdyż do tej pory nie prezentował on swoich prac w rodzinnym mieście. Wystawa jest plonem jego dwumiesięcznego pobytu w USA. Bohaterem zdjęć jest Nowy Jork ujęty w kanony tradycyjnej fotografii czarno-białej. Artysta ukazał miasto-labirynt fascynujące dla każdego przybysza, urzekające swoim urbanistycznym monumentalizmem.

Honorowy patronat nad wystawą objął attache kulturalny ambasady USA w Warszawie Peter Sawchyn, który przybył do Częstochowy na wernisaż młodego artysty.

■ W Zespole Szkół Muzycznych w Częstochowie odbył się Ogólnopolski Konkurs Uczniów Szkół Muzycznych I stopnia grających na instrumentach dętych.

■ W piwnicach Ratusza Częstochowskiego odbyła się wystawa malarstwa Michała Blaka, ucznia częstochowskiego Liceum Plastycznego.

■ Odbyła się premiera spektaklu Studentkiego Teatru Tańca Politechniki Częstochowskiej pt. „Feniks”.

■ W Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” odbył się koncert jazzowy „Contemporary International Quartet”.

■ W Filharmonii Częstochowskiej wystąpił zespół opery Teatru Wielkiego w Łodzi prezentując publiczności częstochowskiej swoją interpretację dzieła włoskiego kompozytora Battisty Pergolesiego „La serva padrona”.

## Śląsk magiczny

Do grona uwiedzionych przez Śląsk dołączył Andrzej Sapkowski, najpopularniejszy rodzinny pisarz fantasy. Jego najnowsza powieść „Narrenturm”, pomyślana jako pierwsza część trylogii, dzieje się w burzliwych latach dwudziestych XV stulecia między Wrocławiem a Opolem. A ponieważ w kolejnych częściach mamy towarzyszyć wyczynom husytów, można się spodziewać, że zachaczymy też o inne rejony Śląska.

Łotrzykowską powieść Sapkowskiego odnotować trzeba koniecznie, bo dla tysięcy miłośników jego twórczości stanie się zapewne pierwszą a zarazem fascynującą lekcją śląskości. To świat, w którym głównego bohatera nazywa się Reinmarem z Bielawy bądź też Reinmarem von Bielau. On sam równie swobodnie mówi po niemiecku, łacinie i - jak możemy się domyślać - miejscową słowiańską gwarą, a siebie samego uważa za Ślązaka, zastrzegając w pewnym momencie, że „nie jest Niemcem”. Dodajmy od razu, że nie jest też Polakiem, o Królestwie Polskim nie wie w zasadzie nic i chyba go nie lubi, bo jego ojciec poległ w bitwie pod Tannenbergiem (czyli bitwie pod Grunwaldem) po „naszej, chrześcijańskiej stronie”. Z kolei brat Reinmera, Piotr lub Peterlin, jest sympatykiem czeskich husytów. A wrocławski biskup Konrad, Piast, czuje się Niemcem i do szatu doprowadza go myśl, że podlega jakimś polskiemu arcybiskupowi z Gniezna. I tak dalej, i tak dalej.

Wielokulturowość Śląska, o której górnolotnym językiem rozprawiają naukowcy, publicyści czy politycy, objawia się tu w sposób tak naturalny, oczywisty i atrakcyjny, że trudno nie ulec urokowi tej dziwnej krainy. Byłoby pewną przesadą sugerowanie, iż powieść Sapkowskiego powinna trafić na listę lektur pomocniczych w programie nauczania regionalnego, ale książkę tę można polecić wszystkim, którzy chcieliby zrozumieć fenomen Śląska, tego szmaragdu (by użyć metafory ks. arcybiskupa Alfonsa Nossola), w którym stapiają się wpływy polskie, niemieckie i czeskie.

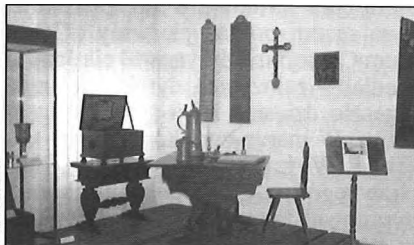
Sapkowski nie byłby sobą, gdyby tej śląskiej magii nie doprawił magią rodem z literatury fantasy (choć mocno zakorzenioną w średniowiecznych wierzeniach). Ale to jest wabik dla czytelnika szukającego sensacji, który nie jest w stanie przestąpić tego wszystkiego, co decyduje o wyjątkowości „Narrenturmu”: autentycznej fascynacji Śląskiem i jego dziejami. Po „Narrenturm” powinni też sięgnąć - nie tylko dla rozrywki - ci wszyscy, którzy nie potrafią wyjść z pułapki rozumowania kategoriami narodowymi i wszędzie doszukują się prawdziwej polskości czy niemieckości. Albo też, co świadczy o podobnym skrzywieniu, chcą w podobny sposób definiować śląskości. Warto odłożyć na bok tego rodzaju dywagacje i zanurzyć się w magiczny Śląsk Sapkowskiego.

MAREK ŚWIERCZ

## OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

### Gdy rzemieślnik był kimś

„Obyczaje cechów śląskich” to najnowsza wystawa w Muzeum Śląska Opolskiego. Nim trafiła do Opola, była pokazywana we Wrocławiu, gdzie uznano ją za „wystawienniczy majstersztyk”. Ekspozycję przygotowali Tadeusz Ferencowicz i Jacek Witecki, wybierając ponad 500 eksponatów pochodzących z 15 placówek muzealnych.



Wystawa w MŚO

„Prezentowana wystawa dotyczy zagadnień związanych z życiem i obyczajami dawnych miejskich cechów na Śląsku” - piszą w programie autorzy, jednoznacznie dając przy tym do zrozumienia, że cech był swego rodzaju mikroświatem, autonomicznym i rządzącym się własnymi prawami, a przy tym mocno osadzonym w miejskiej rzeczywistości. Cechy miały swoje statuty, miały też swoje obyczaje obejmujące „schadzki cechowe” (znane na Śląsku jako „Morgensprache”) czy rytuały wyzwalania ucznia na czeladnika, w trakcie których pito do upadłego z „pijackich konwi” (Schleifkanne). Pokazane w MŚO eksponaty obrazują to bogactwo rzemieślniczego życia: jest tu miejsce na narzędzia pracy, cechowe skrzynie, cechowe ołtarze, trumienne tarcze (dekorowane nimi trumnę, w której chowano członka cechu) czy broń pozostającą na wyposażeniu bractw kurkowych zakładanych przez rzemieślników w celu wspólnej obrony miasta przed najeźdźcami.

### Czas teatru

Jeszcze przed startem tegorocznej edycji Opolskich Konfrontacji Te-

Jednym zdaniem

■ Około 300 wokalistów z 14 zespołów wzięło udział w I Przeglądzie Schol Liturgicznych Diecezji Opolskiej - wygrała schola „Callunae Domini” z Wrzeszowa.

■ W wydanej niedawno „Księdze aforystyk polskiej XXI wieku - Potęga myśli” znalazły się teksty dwóch opolskich aforystów: Zbigniewa Krygiela i Wiesława Malickiego.

■ W Galerii Pierwsze Piętro na opolskim Rynku można oglądać pierwszą pośmiertną wystawę prac Zdzisława Chudego.

■ Wystawa obrazów Hanny Rudzkiej-Cybisowej w galerii Muzeum Śląska Opolskiego zainaugurowała cykl wystawienniczy „W kręgu Cybisów”.

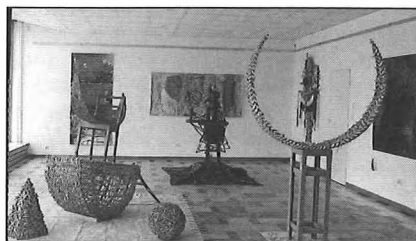
atralnych „Klasyka Polska” życie teatralne w Opolu mocno się ożywiło. W II Liceum Ogólnokształcącym zorganizowano Szkolne Konfrontacje Teatralne 2003 - w ciągu czterech dni młoda publiczność mogła obejrzeć siedem przedstawień. Własny przegląd teatralny przygotowali także, już po raz trzeci, uczniowie opolskiej Szkoły Podstawowej nr 18.

Edukacja teatralna nie ogranicza się do zabawy w teatr. W tym roku młodzi wielbicieli sztuki scenicznej mogli też wziąć udział w konkursie na najlepszą recenzję teatralną. Konkurs pod nazwą „Pierwszy dzwonek” wymyślili dwaj aktorzy opolskiej sceny dramatycznej Maciej Namysł i Dominik Bąk, którzy od roku prowadzą na antenie Radia Opole magazyn teatralny „Trzeci dzwonek”. Na konkurs wpłynęło aż 38 prac - za najciekawsze uznano recenzję Karoliny Litwiniec dotyczącą spektaklu „Spokój w głowie” oraz recenzję przedstawienia „Igraszki z diabłem” autorstwa Radosława Zatoki. Przyznano też pięć wyróżnień dla Anny Kaczorowskiej, Anny Mielec i Beaty Woźniak (to studentki) oraz Marzeny Gabryk i Adama Olczyka (to uczniowie).

### Przestrzeń zawłaszczona

Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu przygotowała wystawę monumentalnych kompozycji przestrzennych Zbigniewa Andrzeja Natkańca. Organizatorzy podkreślali, że to naprawdę wyjątkowa okazja obcowania z tymi pracami, bo autor zazwyczaj prezentuje je na wernisazu Salonu Jesiennego, po czym rozbiiera na części i chowa.

To druga indywidualna wystawa Natkańca (pierwsza miała miejsce w 1994 roku). Decyzja o jej zorganizowaniu zapadła po tym, jak otrzymał nagrodę na ubiegłorocznym Salonie



Prace Natkańca

Jesiennym. Dodajmy, że wystawę sfinansowano dzięki wpływom z balu maskowego, który od jakiegoś czasu organizuje Galeria na zakończenie karnawału.

■ W opolskiej Galerii nad Odrą odbył się wernisaz prac stypendystów premiera i prezydenta Opola, swoje prace pokazali Agnieszka Grodzińska, Alicja Patyniak, Aneta Kalinowska i Klaudia Zglińska.

■ Biblioteka Austriacka w Opolu obchodziła 10. rocznicę istnienia: obchody objęły okolicznościowe referaty, koncert duetu fortepianowego Theine und Bretnier w Filharmonii Opolskiej a także Tydzień Kuchni Austriackiej w Hotelu „Mercure”.

■ Galeria Autor na opolskim Rynku zorganizowała wystawę obrazów Mariana Szczerby.



## W AVION-ie przy kawie

O nietragedyjnej porze, bo już o godz. 15.00, i przy dziennym świetle rozpoczęło się w sobotę 29 marca w Teatrze Cieszyńskim urodzinowe spotkanie w „Kawiarni AVION, której nie ma”, zorganizowane z okazji 7. rocznicy powstania Towarzystwa AVION i 70-lecia założenia w 1933 roku przy czesko-cieszyńskim Moście Przyjaźni słynnej przedwojennej kawiarni o tejże nazwie. Nic dziwnego - na urodziny AVION-u złożyły się aż trzy programy, które do tzw. „Dużej Galerii” oraz klubu teatralnego TC zwałyby całe rzesze gratulantów. A były sobotnie popołudnie i wieczór spotkaniem z poezją, muzyką i - jakże inaczej, jeżeli chodzi o kawiarnię - z kawą...

To właśnie kawie, kawiarniom i kulturze poświęcony był pierwszy z urodzinowych programów pn. „Stesk kavárenského povaleče”, który wspólnie z kolegami z ostrawskiego Teatru Narodowego Morawsko-Sląskiego - Anną Cónową i Miroslavem Ratajem - przygotował w „Dużej Galerii” Radovan Lipus, reżyser m.in. słynnego cyklu telewizyjnego o „szumnych miastach”. Wspólnie z gośćmi AVION-u mogliśmy zwiedzić nie tylko do Etiopii, gdzie ponoć kawę odkryto, ale również do słynnych kawiarni paryskich, wiedeńskich, krakowskich, a zwłaszcza praskich, o których artyści mówili słowami m.in. Czesława Miłosza, Jarosława Seiferta czy Františka Langer. Towarzyszyły też kawiarnianym refleksjom przedwojenne piosenki czeskie i żydowskie.

Do klubu teatralnego zaprosili natomiast miłośników poezji najmłodszy zaolziański poeta - Hanna Rybicka, Dariusz Jedzok, Roman Krop, Tomasz Rylko i Petr Põnkava. Nie wszyscy autorzy wprawdzie zdobyli się na odwagę, by przeczytać swoje utwory, i zdali się na pomoc młodym aktorów Sceny Polskiej - Ewy Kus i Dariusza Waraksy, ale mądre, czasami jednak bardzo gorzkie wiersze przekonały chyba wszystkich. Warto dodać, że jeden z poetów, T. Rylko, wspólnie z Jackiem Rybickim urozmaicił spotkanie z młodą poezją kilku piosenkami, m.in. do wiersza Juliusza Słowackiego „Testament mój”.

Punktem kulminacyjnym urodzinowego spotkania był jednak chrzest najnowszego tomiku (pierwszego czeskojęzycznego) poetki, założycielki i „gospodyni” AVION-u Renaty Putzlacher pn. „Mezi řádky” (przekłady Vlasty Dvořákové, Ericha Šojky, Libora Martinka i Jindřicha Zogaty, ilustracje Bronisława Liberdy). Wiersze poetki czytały ostrawskie aktorki Alena Sasínová-Polarczyk z Teatru im. P. Bezruč a Jana Zajacová z Teatru Lalek, a akompaniował im na wiolonczeli Nikos Engonidis.

Z zadowoleniem wszyscy urodzinowi goście AVION-u przywitani też nie tylko piękną, pachnącą kawą jubileuszową publikację z artykułami o kawiarniach i wierszami najmłodszych poetów, ale również kończący imprezę koncert-niespodziankę. Zaprezentowała się w nim młoda kapela rockowa bez nazwy (na koncercie nazwę zastąpiła część internetowego adresu - bliss.wz.cz) z wokalistką Barbarą Humel oraz gitarzystą, poetą i autorem tekstów i muzyki wszystkich utworów Dariuszem Jedzokiem na czele.

JACEK SIKORA

## ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

### Z finansami trochę lepiej

Zapoznanie się z analizą gospodarowania w roku ubiegłym było głównym tematem marcowego posiedzenia Zarządu Głównego PZKO. Jego uczestnicy przede wszystkim z zadowoleniem przyjęli informację o poprawie w roku 2002 sytuacji finansowej ZG. „Dzięki dochodom z Festiwalu PZKO - ale nie tylko dzięki nim - udało się obniżyć stan zadłużenia kasy na połowę kwoty z początku roku. Pomimo to jednak z wielkim trudem udaje nam się spłacać długi wobec urzędów i ubezpieczalni według ustalonego harmonogramu” - stwierdził prezes ZG Zygmunt Stopa.

Członkowie ZG dyskutowali też nt. współpracy z organizacjami zajmującymi się sprawami szkolnictwa, głównie z Macierzą Szkolną oraz Towarzystwem Nauczycieli Polskich. Celem miałyby być lepsze wykorzystanie istniejącego potencjału fachowego do promowania kultury i oświaty oraz stworzenie warunków systematycznej pomocy dla szkół ze strony Miejscowych Kół PZKO. ZG podjął uchwałę o przygotowaniu spotkania z przedstawicielami ww. organizacji oraz Rady Kongresu Polaków.

Kolejna uchwała dotyczy współpracy z mediami oraz wydawnictwami - zarówno zaolziańskimi, jak i spoza naszego regionu. „Chodzi o to, żeby nasz Związek mógł wpływać na to, co się o nim pisze. W związku z tym ZG powoła pełnomocnika, który będzie się na co dzień zajmował tymi sprawami” - wyjaśnił prezes Stopa.

### »Przyjaźń« świętowała

Słowa piosenki z Kabaretu Starszych Panów: „Choć szron na głowie i nie to zdrowie, lecz w sercu ciągle maj” zabrzmiały w sobotni podwieczór ze sceny cieszyńskiego Teatru im. Adama Mickiewicza. Tam właśnie miłośnicy śpiewu chóralnego z obu stron granicy hucznie obchodzili jubileusz 45-lecia Zespołu Śpiewaczo-Muzycznego „Przyjaźń” oraz 50-lecia nieprzerwanej pracy dyrygent-

kiej kierownika artystycznego i dyrygenta, a przede wszystkim założyciela zespołu, Józefa Wierzgonia.

W odróżnieniu od innych zaolziańskich chórów „Przyjaźni” od samego początku towarzyszy orkiestrze, co pozwala na bogatszy dobór repertuaru. Chór oraz jego soliści - Grażyna Wilk-Biernot, Adelajda Pasz-Szymik i Władysław Czepiec - zaprezentowali zatem nie tylko typowe pieśni chóralne, ludowe, ale również arie operowe, melodie z operetek i musicali, pieśni sakralne. Te ostatnie „Przyjaźni” zadedykowała swemu długoletniemu przyjacielowi, zmarłemu niedawno działaczowi Macierzy Ziemi Cieszyńskiej (MZC), Kazimierzowi Foberowi.

Jeszcze przed finałową arią z „Traviaty” Verdiego oraz pieśnią „Staropolskim obyczajem”, która stała się prawie hymnem zespołu, przyszła chwila na życzenia, kwiaty, a przede wszystkim odznaczenia. Sam zespół został np. odznaczony Złotą Odznaką z Laurem PZChIO oraz Medalem Pawła Stalmacha MZC, J. Wierżgo natomiast uhonorowany za osiągnięcia Dyplomem Ministerstwa Kultury RP, Srebrną Odznaką Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz odznaką „Zasłużony dla Śląska” przyznaną przez samorząd województwa śląskiego.

### Spacerkiem po Cieszynie

Na drugie już spotkanie zaprosili w sobotę 22 marca 40 nauczycieli z obu stron Olzy autorzy transgranicznego projektu edukacji regionalnej pn. „Śląsk Cieszyński - mała ojczyzna w Europie”. Tym razem chodziło o spotkanie jak najbardziej robocze - pedagogzy cały dzień spędzili na wędrówkach po prawobrzeżnym Cieszynie.

Uczestnicy warsztatów edukacji regionalnej przed południem zwiedzili Wzgórze Zamkowe (Wieża Piastowska, baszta, rotunda św. św. Mikołaja i Wacława), Książnicę Cieszyńską, Teatr im. Adama Mickiewicza oraz Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Po obiedzie, na który złożyły się - jakże inaczej - typowe dania kuchni regionalnej, nauczyciele odwiedzili kolejne ciekawe miejsca - m.in. Cieszyńską Wenecję i Studnię Trzech Braci.

Przypomnijmy, że projekt pn. „Śląsk Cieszyński - mała ojczyzna w Europie” przygotowało Polskie Centrum Pedagogiczne przy współpracy z muzeami w Cz. Cieszynie i Cieszynie oraz Macierzą Ziemi Cieszyńskiej. Partnerami zaś były dla tych instytucji ratusze obu Cieszyń.

### Jednym zdaniem

■ 11 kwietnia br. zmarł w Cz. Cieszynie - w wieku 76 lat - Jan Rusnok, długoletni redaktor naczelny miesięcznika „Zwrot”, autor książki „Pod Czantorią, Gawdy o ziemi rodzinnej”.

■ Również o stosowaniu w praktyce dwujęzyczności rozmawiał 26 marca z przedstawicielami władz Cz. Cieszyńska konsul generalny RP w Ostrawie, Andrzej Kaczorowski.

■ Wiceburmistrz Cz. Cieszyńska Marian Kuś (nb. absolwent czesko-cieszyńskiego Polskiego Gimnazjum) stał się na marcowym zjeździe Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej członkiem najwyższych władz tej partii - prezydium Centralnej Rady Wykonawczej.

■ Samorząd miasta Karwiny podjął decyzję o połączeniu - z dniem 1 września br. - obu tutejszych polskich szkół podstawowych: frysztackiej i nowomiejskiej.

■ Chór gimnazjalny „Collegium Iuvenum” zakwalifikował się do ogólnopolskiego finału IX konkursu chórów szkół średnich „Gymnasia Cantat”.

■ Dzieci i nauczycielki jabłonkowskiego, największego na Podbeskidziu polskiego przedszkola uroczystą akademią uczęły 4 kwietnia jubileusz 75-lecia swojej placówki.

■ Dziennikarka „Głosu Ludu” Martyna Radłowska-Obrosnik otrzymała wyróżnienie w Konkursie Fotografii Dziennikarskiej „Press-Camera Brno 2003”.

■ 60. urodziny obchodził w kwietniu Adam Palowski, folklorysta i choreograf, długoletni kierownik artystyczny zespołów „Górniki”, „Błędownice” i „Górole”.

■ Uczniowie Podstawowej Szkoły Muzycznej w Karwinie - Weronika Foltznowa i Adam Farana - zdobyli pierwsze miejsce w III Konkursie Gry na Fortepianie „Per Quatro Mani 2003”, który przebiegał w Pradze.

■ W sobotę 26 kwietnia, na przedostatniej w tym sezonie premierze, Scena Polska wystawiła sztukę Nikołaja Erdmana „Samobójca” w reż. Rudolfa Molińskiego.

■ **1.06.br. godz. 11.00**

— Koncert inauguracyjny w wykonaniu Orkiestry Dętej Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II st. im. K. Szymanowskiego w Katowicach pod dyrekcją Bernarda Steuera;  
w programie: Mozart, Różycki, popularne marsze wiedeńskie, polskie i amerykańskie, walce J. Straussa-syna i inne.

■ **8.06.br. godz. 11.00**

— Orkiestra Kameralna Szkoły Muzycznej II st. i zespół Smyczkowy Szkoły Muzycznej I st. im. M. Karłowicza w Katowicach pod dyrekcją Wojciecha Sękółę  
w programie: Cimarosa, Albinoni, Bach, Moniuszko, Dvorak, Kilar

■ **15.06.br. godz. 11.00**

— „Od klasyki do rozrywki, czyli dziś grają panie” w wykonaniu Polskiej Orkiestry Kameralnej „SOTTO VOCE” pod dyrekcją Grzegorza Olkiewicza;  
w programie: przeboje muzyki klasycznej, rozrywkowej, filmowej i inne.

■ **22.06.br. godz. 11.00**

— „Od Chopina do Beatlesów” w wykonaniu Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia” i solistów;  
w programie: Chopin, fragmenty oper i operetek, Negro Spiritual, standardy muzyki rozrywkowej

■ **29.06.br. godz. 11.00**

— Orkiestra Dęta Katowickiego Holdingu Węglowego KWK „Staszic” pod dyrekcją Grzegorza Mierzwińskiego, soliści: Grażyna Bieniek-Żaak, Adam Żaak

■ **6.07.br. godz. 11.00**

— „Strauss Ansamble” w wykonaniu Zespołu Instrumentalnego „Strauss Ansamble”, soliści: Mieczysław Błaszczyk — tenor, Ludmiła Worobeck-Witek — skrzypce, Artur Jaroń — fortepian;  
w programie: kompozycje rodziny Straussów, Lehara, Arnolda, Montiego, d’Orio i in.

Jedenaście lat temu narodził się pomysł;  
parkowy skwer obok pomnika T. Kościuszki  
zamienić w salę koncertową.  
Drzewa, śpiew ptaków, muzyka...  
Spodobało się Państwu, więc

po raz jedenasty spotkamy się latem 2003 r.

# KONCERTY PROMENADOWE 2003

## „Od Bacha do Beatlesów”

pod patronatem Prezydenta Miasta Katowice

— Piotra Uszoka

Instytucja Kultury „Estrada Śląska”  
— Urząd Miasta Katowice



■ **13.07.br. godz. 11.00**

— „Muzyka wiedeńskich saloonów” w wykonaniu: Małgorzata Strąg — sopran, Mieczysław Błaszczyk — tenor, Jerzy Sojka — flet, Piotr Kopiński — fortepian;  
w programie: Schubert, Brahms, Stolz, Sieczynski, Wieniawski, Kreisler i inni

■ **20.07.br. godz. 11.00**

— „Z wizytą u pana Straussa” w wykonaniu: Renata Drozd — sopran, Mieczysław Błaszczyk — tenor, Adam Szerszeń — baryton, Artur Jaroń — fortepian; w programie: Strauss-syn, Lehar, Kalman, Zeller, Abraham i inni

■ **27.07.br. godz. 11.00**

— „Zaproszenie do operetki” koncert w wykonaniu: Jolanta Kremer

■ **24.08.br. godz. 11.00**

— „Od Argentyny po Bałkany” w wykonaniu Zespołu „ARS HARMONICA” w składzie: Piotr Biazik, Piotr Chochołowicz, Jakub Mietła (akordeony);  
w programie: Bach — Vivaldi, Chaczaturian, Precz, Grekow, Piazzola, melodie ludowe Bałkanów, Irlandii, Włoch i inne

■ **31.08.br. godz. 11.00**

— „Ach, jakże mi serduszko drży...” w wykonaniu Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Mirosława Jacka Błaszczyka z solistami: Aleksandra Stokłosa — sopran, Adam Żaak — baryton, Joanna Kściuczyk — mezzosopran, Hubert Miśka — tenor;  
w programie: Strauss, Offenbach, Kalman, Sartori i inni

— sopran, Joanna Kściuczyk — mezzosopran, Witold Wrona — tenor, Mieczysław Błaszczyk — tenor, Grażyna Griner — fortepian;

w programie: E. Kalman „Hrabina Mari-za” (przekrój)

■ **3.08.br. godz. 11.00**

— „Opowieść o perle” w wykonaniu grupy „ACID FLAMENCO” z solistą Witoldem Łukaszewskim;  
w programie: muzyka flamenco i utwory inspirowane tańcem, pieśnią, grą Cyganów hiszpańskich

■ **10.08.br. godz. 11.00**

— „CAPRICCIO” — nie tylko espagñoł” w wykonaniu Joanny Cortes i Waldemara Malickiego — fortepian;  
w programie: Moszkowski, Addinsell, pieśni hiszpańskie oraz impresje fortepianowe

■ **17.08.br. godz. 11.00**

— „Mistrzowie dawnych i naszych czasów” w wykonaniu zespołu „CAMERATA IMPULS” pod dyrekcją Małgorzaty Kaniowskiej;  
w programie: Vivaldi, Gade, Dyens, Górecki, Piazzola i inni

Opracowanie i prowadzenie koncertów — Danuta WĘGRZYK

Miejsce: Park im. Tadeusza Kościuszki, Aleja — lewa strona od pomnika T. Kościuszki

W przypadku niepogody: w czerwcu i sierpniu — Park Kościuszki, zabytkowy Kościół pw. św. Michała; w lipcu — sala parafialna Kościoła Św. Rodziny, ul. Z. Kossak-Szczuckiej 24, Katowice-Brynów, godz. 12

PROJEKT OBJĘTY MECENATEM SAMORZĄDU MIASTA KATOWICE



# INSTYTUCJA KULTURY ESTRADA ŚLĄSKA



*Koncertы Promenadowe*



*Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej  
„Interpretacje”  
- wielki konkurs na realizacje teatralne  
i telewizyjne*



*Kabaret „Antyki”*



*Program Edukacji Teatralnej zapewnia dzieciom  
i młodzieży bezpłatne spotkania z wybitnymi  
teatrami i aktorami*

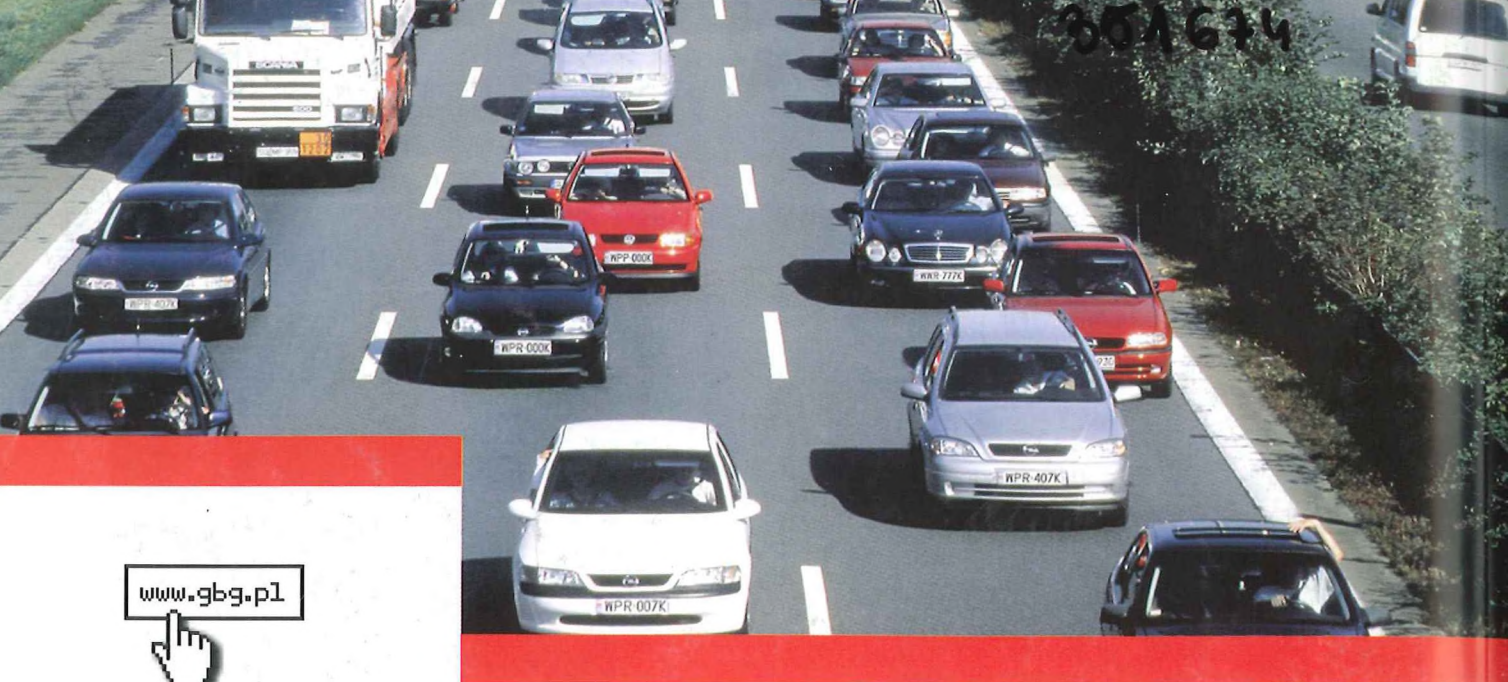


*Gwiazdy sceny operowo-operetkowej i estrady:  
Iwona Hossa, Joanna Cortez, Dariusz Stachura,  
Kałudi Kałudow i Bogdan Kaczyński*

TV Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej  
KATOWICE 2002  
INTERPRETACJE

*Instytucja Kultury „Estrada Śląska” 40-519 Katowice ul. Kościuszki 88  
tel. (032) 251-66-81 do 3, 251-93-38, 257-13-56 tel/fax (032) 251-75-27  
e-mail: [estrada@estradaslaska.pl](mailto:estrada@estradaslaska.pl) [imprezy@estradaslaska.pl](mailto:imprezy@estradaslaska.pl) [www.estradaslaska.pl](http://www.estradaslaska.pl)*





www.gbg.pl



# GBG AUTO PIERWSZY KREDYT RZECZPOSPOLITEJ

Wiesz, dlaczego **GBG AUTO KREDYT** został uznany przez RZECZPOSPOLITĄ za najlepszy\*? Bo jest:

**Szybki** - dzięki maksymalnie uproszczonym procedurom,  
**Komfortowy** - ponieważ może być złotówkowy lub indeksowany kursem USD oraz EUR i nie wymaga wpłaty własnej,

**Tani w utrzymaniu** - bo ma korzystne oprocentowanie, a jego spłatę można rozłożyć nawet na 8 lat, więc raty są jeszcze niższe niż dotychczas!

Poza kredytem masz jeszcze do wyboru **GBG AUTO LEASING**.

Pytaj o **GBG AUTO** w salonie samochodowym, komisie lub u naszego przedstawiciela.

\*Ranking kredytów na zakup nowego i używanego auta, Rzeczpospolita z dn. 17.10.2002



Zadzwoń już teraz i umów się z naszym przedstawicielem: 0801 163 049

całkowita opłata za połączenie wynosi 0,35 zł (w tym VAT)



## GBG BANK